

PREDATOR

DARK VERSE

TOM 1

R U N Y X



R U N Y X

PREDATOR

DARK VERSE

TOM 1

PRZEŁOŻYŁA
Edyta Świerczyńska



*Moim czytelniczkom i czytelnikom,
którzy nigdy mnie nie opuścili.*

Jestem tu tylko dzięki Wam.

NOTA AUTORKI

Ta książka jest pierwszym tomem serii Dark Verse. Przedstawiony w niej świat jest pełen przemocy, mroku i brutalności. Z niego się wywodzą zachowania bohaterów, ich osobowości i motywacje. A jest to świat utkany z odcieni szarości, rozmytej moralności i wątpliwego człowieczeństwa. Jednak zagłębiając się w jego mrok, w każdym kolejnym tomie postaram się odnaleźć płomyk światła. Jeśli więc uznasz, że drastyczne i erotyczne sceny oraz przemoc to absolutnie nie Twoja bajka, najlepiej od razu odłóż tę powieść. Mam jednak szczerą nadzieję, że odważysz się wybrać ze mną w tę podróż.

PS Z uwagi na to, że główna bohaterka ma wyjątkowo wysokie IQ, w jej wewnętrznym świecie obowiązują powtarzalne schematy myślenia. I co jakiś czas powraca do tego, co budzi jej fascynację.

*Kiedy spoglądasz w otchłań,
ona również patrzy na ciebie.*

– FRIEDRICH NIETZSCHE



PRZEDMOWA

PRZYMIERZE

Tenebrae City, 1985

Pewnej mroźnej zimowej nocy na pustkowiu za miastem, smaganym bezlitosnym wiatrem i śniegiem z deszczem, dwóch mężczyzn z Klanu Tenebrae spotkało się z dwoma wysłannikami Shadow Port. Bezwzględna rywalizacja między rodzinami trwała już ponad dekadę i w ostatecznym rozrachunku przynosiła im obu więcej szkody niż pożytku. W bądź co bądź małym mafijnym półświatku lukratywna współpraca bardziej się opłacała niż ciągłe skakanie sobie do gardeł. Nadeszła pora, by zakopać topór wojenny i pomyśleć o świetlanej przyszłości.

Okutany w grube palto boss Shadow Port zadrżał z zimna, nienawykły do niskich temperatur, które nigdy nie nawiedzały jego miasta na zachodzie. Boss Klanu Tenebrae zaśmiał się pod nosem. Oni widywali słońce jeszcze rzadziej niż on swoją żonę. Gdy szefowie wymieniali grzeczności, towarzyszący im goryle zachowali kamienne oblicza.

Następnie przeszli do interesów – chodziło o intratny biznes pod przykrywką obrotu bronią i alkoholem. Z pomysłem wyszedł boss Tenebrae. Choć nowa branża dopiero raczkowała, to była niezwykle obiecująca, od spodziewanych zysków mogło zakręcić się w głowie. Szef Shadow Port przystał na propozycję i obaj poprzysięgli utrzymać to w tajemnicy, wszyscy mieli myśleć, że chodzi o stary dobry handel bronią i gorzałą.

Boss Tenebrae otworzył bagażnik swojego auta. Leżały w nim dwie zaledwie ośmioletnie dziewczynki, nieprzytomne i nieświadome

tego, co je czeka.

Mafiosi wymienili chytre uśmieszki i uścisnęli sobie dłonie.

– Za przyszłość – powiedział pierwszy.

– Za przyszłość – powtórzył drugi.

I tak oto narodziło się Przymierze.



W PASZCZY LWA

Teraz

Nóż wpijał się jej w udo.

Nie powinno jej tu być.

Ta dręcząca myśl zapętiła się w głowie Morany, gdy ze wszystkich sił starała się zachować pozory wyniosłości. Trzymając przy policzku kieliszek, udawała, że sący szampana, równocześnie przeczesując wzrokiem tłum gości. Parę łyków bąbelków na pewno ukołoby jej napięte jak postronki nerwy, ale oparła się pokusie. Bardziej niż płynnej odwagi potrzebowała dziś trzeźwego umysłu. Być może. Taką miała nadzieję.

Przyjęcie na rozległym trawniku rezydencji Maronich zdążyło się rozkręcić. Przeklęty Klan. Dobrze, że tak drobiazgowo przygotowała się do dzisiejszej akcji.

Ze swojej zacienionej miejscówki rozejrzała się po jasno oświetlonym ogrodzie i rozpoznała twarze z gazet. Niektóre widywała niegdyś w swoim rodzinnym domu. Przewijały się między mafijnymi pionkami o kamiennych twarzach i robiącymi głównie za dekoracje kobietami uwieszonymi na ramieniu swoich potężnych mężczyzn. Wrogowie.

Ignorując swędzenie pod peruką, stała bez ruchu i obserwowała. Włożyła dużo wysiłku w przygotowanie przebrania. Długa czarna suknia skrywała przypięte do ud noże, z których jeden jakimś cudem się przekręcił i ją uwierał. W dark webie kupiła na tę okazję bransoletkę ze skrytką na niedostępną na rynku truciznę

w spreju, ciemne pukle schowała pod jedwabistą rudoblond peruką, a usta pomalowała kusicielską krwistoczerwoną szminką. To nie była ona. Ale skoro trzeba, to trzeba. Od dawna planowała tę akcję i porażka nie wchodziła w grę. Nie teraz, gdy była tak blisko.

Objęła wzrokiem górującą nad ogrodem bryłę rezydencji. Bestia – to pierwsze, co nasuwało się jej na myśl. Niczym ukryte pośród wzgórz szkockie zamczysko, ta osobliwa krzyżówka nowoczesnej willi i średniowiecznej warowni rzeczywiście przypominała bestię. Bestię trzymającą w swoich trzewiach coś, co należało do Morany.

Zadrżała lekko owiana chłodnym powiewem wonnego wieczornego powietrza. Nagle jej uwagę ściągnął wybuch gromkiego śmiechu w północnym rogu ogrodu. Spojrzała na zwalistego mężczyznę o pomarszczonej twarzy i zaskakująco czystych rękach. Zaskakująco, bo wiedziała, że są unurzane we krwi. Zresztą nie tylko jego ręce. Okrucieństwem nie ustępował jej własnemu ojcu.

Lorenzo „Ogar” Maroni od ponad czterdziestu lat kierował Klanem Tenebrae i szczycił się reputacją zimnokrwistego mordercy oraz kartoteką dłuższą od jej dzisiejszej sukni.

Morana spędziła dość lat wśród podobnych mu degeneratów, by czuć przed nim respekt i co ważniejsze, pod żadnym pozorem nie okazywać strachu.

Obok Lorenza stał jego starszy syn, Dante „Mur” Maroni, którego anielsko piękna twarz mogłaby zwieść kogoś nieobeznanego z długą listą jego „osiągnięć”. Twardy i barczysty, posturą górował nad całym towarzystwem. Jeśli wierzyć pogłoskom, od dziesięciu lat pełnił jedną z najwyższych funkcji w rodzinie.

Udając, że sący szampana, wymieniła uśmiech z jakąś przechodzącą kobietą, i wreszcie przeniosła wzrok na milczka u boku Dantego.

Tristan Caine.

Był anomalią. Jedynym niepołączonym więzami krwi członkiem klanu. A raczej jego wierchuszki. Nikt nie wiedział dokładnie, który szczebel hierarchii zajmuje, ale nie było wątpliwości, że wysoki. Teorie się mnożyły; jak zwykle w takich przypadkach nikt nie miał pewności.

Morana zmierzyła go wzrokiem. Ubrany w sportowy trzyczęściowy czarny garnitur bez krawata, wzrostem niemal dorównywał Dantemu. Miał krótko przystrzyżone ciemnoblonde włosy i nawet z daleka mogła dostrzec jego jasne oczy.

Wiedziała, że są niebieskie. Niesamowicie niebieskie. Na robionych ukradkiem zdjęciach, które znalazła, niezmiennie ziały pustką. Przywykła do oglądania beznamiętnych twarzy tego świata, ale on zostawiał je wszystkie w tyle.

Nie mogła oderwać od niego wzroku, lecz nie dlatego, że jego muskularne ciało było niewątpliwie atrakcyjne, ale z powodu opowieści, jakich się nasłuchiwała – a raczej jakie podsłuchiwała – głównie od ojca.

Był ponoć synem osobistego ochroniarza Lorenza, który przed dwudziestu laty zasłonił swojego szefa własną pierś. Po jego śmierci matka Tristana zniknęła, zostawiając synka na łasce losu.

Z niewiadomych przyczyn Lorenzo wziął chłopca pod swoje skrzydła, osobiście nauczył gangsterskiego rzemiosła i ostatecznie go usynowił. Niektórzy mówili nawet, że jest jego ulubieńcem i po odejściu na emeryturę Maroni to właśnie jemu, a nie Dantemu, przekaże władzę.

Tristan „Drapieżca” Caine.

Nazywano go drapieżnikiem. Jego reputacja go wyprzedzała. Rzadko wyruszał na łowy, ale gdy już to robił, jego ofiary nie miały szans. Ulubiony sposób odbierania życia: pchnięcie nożem w tętnicę szyjną. Żadnych zabaw w kotka i myszkę. Przy całym swoim opanowaniu ten człowiek był bardziej zabójczy niż ostrze, które wpijało się jej teraz w udo.

Był również powodem jej dzisiejszych odwiedzin.

Bo zabije Tristana Caine'a, tu i teraz.



Życie córki bossa Shadow Port przygotowało ją na wiele. Ale nie na to. Choć dorastała w otoczeniu zbrodni, chowano ją pod szczelnym kloszem. Domowe nauczanie, uniwersytet i wreszcie praca

programistki freelancerki. Zwyczajna, bezpieczna droga. Z tego też powodu kompletnie nie była do tego przygotowana. Nie miała pojęcia, jak przeniknąć do domu wrogów jej ojca. A już na pewno nie nauczono ją ich mordować.

Może to jednak nie będzie konieczne. Może wystarczy go porwać.

Akurat.

Obserwowała go ukradkiem przez dobrą godzinę, czekając na jakiś ruch. W końcu właściciel chmurno-pięknego oblicza odkleił się od Maroniego i przeniósł do baru.

Morana była rozdarta: zaatakować na oczach gości czy poczekać, aż wejdzie do domu? Po półsekundowym wahaniu postawiła na to drugie. Pierwsza opcja była zbyt niebezpieczna, a zdemaskowanie oznaczałoby nie tylko wyrok śmierci, ale i rozpętanie wojny gangów. Wzdrygnęła się na wspomnienie mrozących krew w żyłach opowieści, których tyle się nasłuchiwała.

Logika tego posunięcia też budziła pewne wątpliwości.

Może on nie musiał tracić życia, ale ona musiała dostać się do domu, w którym trzymał jej skradziony pendrive.

Wszystko zaczęło się od prowokacji jej byłego faceta (o którego istnieniu nikt nie wiedział). Jako programista rzucił jej wyzwanie stworzenia kodu nie do złamania, a ona jak zwykle uniosła się ambicją i je przyjęła.

Ten kod był jej potworem Frankensteina. Niosącym zniszczenie dziełem, które wymknęło się spod kontroli. Gdyby wpadł w niepowołane ręce, mógłby wywołać katastrofalne skutki: wymazane tożsamości, obalone rządy, krach mafijnego świata.

No i już w bardziej niepowołane ręce nie mógł wpaść. Ten dupek Jackson, jej były, trzy tygodnie temu ukradł śmiertelny plik i zniknął.

Dopiero gdy zaczęła go szukać, odkryła, że tak naprawdę był wtyczką Klanu. A dokładniej pana Caine'a. Skąd ten człowiek wiedział o jej zdolnościach – tego nie wiedziała.

Ale wiedziała, że ma przerąbane. Na amen.

Ojcu nie mogła powiedzieć. To wykluczone. Lista jej przewinień już i tak była długa: związek z człowiekiem z zewnątrz, budowanie tykających bomb w postaci kodów bez jakichkolwiek zabezpieczeń,

które, co gorsza, dostały się w ręce arcywroga. Ojciec zabiłby ją bez mrugnięcia okiem. Wiedziała o tym i, prawdę mówiąc, miała to gdzieś. Ale nie chciała, by za jej błędy płacili niewinni.

Tak więc po tygodniach wytężonego śledztwa sfalszowała zaproszenie na przyjęcie w Tenebrae. Ojcu wmówiła, że jedzie na spotkanie z przyjaciółmi ze studiów, a przydzieleni jej do ochrony goryle myśleli, że śpi pijana w hotelowym apartamencie.

Urwala się im i weszła w paszczę lwa. Musiała znaleźć ten pendrive i jak najszybciej się stąd wynieść, wcześniej uciszywszy Drapieżcę. Najlepiej na wieki.

Na myśl o tym, jak zaplanował wszystko z Jacksonem, krew się w niej zagotowała i zacisnęła zęby.

O tak, z największą rozkoszą wyprawi tego chorego drania na tamten świat.

Osuszywszy szklaneczkę szkockiej, Tristan Caine wreszcie oderwał się od baru i ruszył boczną ścieżką w kierunku rezydencji.

Przedstawienie czas zacząć.

Skinęła głową, odstawiła kieliszek na tacę jednego z wielu kelnerów i wymknęła się cichaczem w ślad za nim, zostawiając za sobą gwar przyjęcia. Dzięki czarnej sukni bez trudu wtopiła się w noc. Przedzierając się przez gęstwinę okalających ścieżkę krzewów, starała się nie stracić z oczu wysokiej sylwetki wbiegającego po schodkach Caine'a. Przyspieszyła z obawy, że może się jej wymknąć.

Rozejrzawszy się dookoła, skulona wdrapała się za nim po schodkach. Po lewej zamajaczył jej rozświetlony trawnik i rozstawieni na jego skraju goryle.

Ściągnęła brwi, zaskoczona brakiem ochrony przy samej rezydencji, i wślizgnęła się do środka przez uchylone podwójne drzwi.

Tylko po to, by zobaczyć zbliżającego się strażnika.

Poczuła uderzenie adrenaliny. Schowała się za najbliższym filarem, rozglądając się gorączkowo po ogromnym holu, z którego sufitu zwiślał isticie operowy żyrandol. Po lewej w ostatniej chwili dostrzegła znikające w bocznym korytarzu plecy Caine'a.

Nagle czyjaś dłoń szarpnęła ją za rękę.

Okazało się, że należy do przerośniętego goryla o morderczym spojrzeniu.

– Panienska się zgubiła? – zapytał podejrzliwie.

Nie namyślając się długo, a w zasadzie wcale, chwyciła pobliski wazon i rozbiła mu go na głowie. Zanim runął na posadzkę, goryl zdążył tylko wytrzeszczyć oczy. Rzuciła się do ucieczki, przeklinając w duchu.

„Kurwa, kurwa, kurwa”.

Pierwsza megaskucha.

Wzięła głęboki wdech, żeby się uspokoić. Skupiła się na zadaniu i przygarbiona weszła w ciemny korytarz, przezornie ściągnawszy hałaśliwe szpilki. Puściwszy się biegiem, już po chwili dotarła do zakrętu zakończonego schodkami prowadzącymi do pojedynczych drzwi w głębi domu.

Z sercem walącym jak młotem przełknęła ślinę i weszła na palcach na półpiętro, pod samiotkie drzwi. Nabrawszy powietrza, sięgnęła po schowany pod sukienką nóż, którego pochwa zdążyła zostawić jej bolesnego siniaka na delikatnej skórze. Włożywszy z powrotem buty, złapała za gałkę i ją przekręciła.

Zajrzała ostrożnie do środka i rozejrzała się po tonącym w półmroku quasi-pokoju gościnnym.

Był pusty.

Marszcząc brwi, wślizgnęła się do środka i cichutko zamknęła za sobą drzwi.

Nagle drzwi po drugiej stronie przestronnego pokoju się otworzyły. Z sercem w gardle przykucnęła w ciemnym kącie na widok wychodzącego z łazienki mężczyzny. Gdy rzucił marynarkę na łóżko, jej oczom ukazały się czarne szelki odcinające się od śnieżnej bieli rozpiętej pod szyją i opinającej muskularną klatę koszuli. Niesamowicie muskularną klatę. Kaloryfer też pewnie miał niezły.

Z nieskrywaną niechęcią musiała przyznać, że facet jest bardzo, ale to bardzo atrakcyjny. Wielka szkoda, że przy tym łajdak.

Zauważyła, że z kieszeni spodni wyjmuje telefon i w skupieniu wpatruje się w jego ekran. Nie spuszczając wzroku z jego szerokich pleców, powoli wstała z kucek.

Teraz albo nigdy.

Wstrzymując oddech, zaczęła się skradać z nożem w zaciśniętej, drżącej dłoni. Stanąwszy dwa kroki od niego, przyłożyła ostrze do jego pleców tuż nad sercem.

– Drgnij, a zginiesz – wycedziła najzimniejszym głosem, na jaki było ją stać.

Zanim zdążyła zamknąć usta, mięśnie napięły mu się jeden po drugim. To byłby nawet fascynujący widok – gdyby nie umierała ze strachu, jednocześnie gotując się ze złości.

– Interesujące – odparował ze stoickim spokojem, jakby jego życie wcale nie znalazło się w jej drżących rękach.

Poprawiła chwyt.

– Rzuć telefon i łapy do góry – nakazała.

Bez wahania spełnił polecenie.

– Skoro jeszcze żyję, zakładam, że czegoś chcesz – przerwał pełną napięcia ciszę.

Jego szokująco nonszalancki ton podziałał na nią jak płachta na byka. Czemu ani trochę się nie przejął? W każdej chwili mogła go przecież zaszlachtować. A może coś jej umknęło?

Strużki potu spływały jej po karku, swędzenie pod peruką dobijało, ale nie spuszczała wzroku z jego pleców. Sięgnęła pod sukienkę po drugi nóż i przyłożyła mu go do boku, na wysokości nerki. Plecy mu drgnęły, ale ręce pozostały nieruchomo wyciągnięte.

– Czego chcesz? – powtórzył równie opanowanym tonem.

Morana wciągnęła powietrze, przełknęła głośno ślinę i go oświeciła:

– Pendrive'a, który dostałeś od Jacksona.

– Jakiego Jacksona?

Docisnęła ostrzegawczo oba ostrza do jego skóry.

– Nie zgrywaj głupiego, Caine. Wiem wszystko o twoich konszachtach z Jacksonem Millerem.

Miała ochotę zatopić w nim nóż.

– Gdzie jest pendrive?

Po chwili milczenia przekręcił głowę lekko w lewo.

– Marynarka. Wewnętrzna kieszeń.

Morana zamrugnęła, kompletnie zaskoczona. Nie sądziła, że tak szybko się złamie. Może pod tą całą maską macho krył się po prostu

zwykły mięczak. Czyżby wszystkie te makabryczne opowieści były funta kłaków niewarte?

Zerknęła na marynarkę i to wystarczyło.

W ułamku sekundy uderzyła plecami o ścianę przy drzwiach, z prawą dłonią przygwożdżoną nad głową i lewą z nożem przy swoim gardle, a przed sobą ujrzała wściekłe oblicze triumfującego Tristana Caine'a.

Zamrugła, wpatrując się w jego płonące gniewem niebieskie oczy, kompletnie oszołomiona tym obrotem sprawy. Tego się nie spodziewała. Cholera, tylko nie to.

Przełknęła głośno ślinę. Czuła na gardle zimne ostrze własnego noża trzymanego w dłoni pozostającej w kleszczach jego uścisku. Drugą potężną szorstką dłonią przytrzymał jej uzbrojoną rękę nad głową, oplatając nadgarstek palcami. Poczowała nacisk jego potężnego, muskularnego ciała, ciepłą klatę napierającą na jej falującą pierś, piżmową woń wody kolońskiej wdzierającą się w jej nozdrza, jego umięśnione nogi unieruchamiające jej uda.

Przełknęła, wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy. Jeśli to koniec, nie umrze jak tchórz, a już na pewno nie z ręki tego szubrawca. Przysunął się do niej jeszcze bliżej, tak że teraz ich twarze dzieliły centymetry, i wbił w nią stalowy wzrok.

– A teraz – wycedził lodowatym głosem – wystarczy, że lekko pchnę i umrzesz, zanim zdążysz mrugnąć.

Żołądek podszedł jej do gardła, ale zacisnęła zęby, zdeterminowana, by nie okazać strachu. Poczowała, jak dociska ostrze do jej krtani.

– Tutaj. Spuszczę z ciebie krew.

Serce waliło jej jak młotem, a dłonie pocily się pod jego stalowym spojrzeniem. Ostrze ześlizgnęło się tuż nad obojczyk.

– Albo tutaj. Wiesz, co wtedy będzie?

Milczała, zahipnotyzowana jego szyderczym, niemal uwodzicielskim głosem.

– Poczujesz rozdzierający ból – ciągnął butnym głosem. – Wykrwawiając się kropla po kropli. – Jego głos lizał jej skórę. – Śmierć przyjdzie, ale znacznie później – wycedził lodowato, poprawiając nóż. – Więc jeśli nie chcesz umrzeć, gadaj, kto cię nasłał i co to za pendrive.

Zamrugnęła zdezorientowana i dopiero wtedy ją olśniło. Nie rozpoznał jej. No jasne. Nigdy wcześniej się nie spotkali, a jeśli idzie o pozytywne pierwsze wrażenia... no cóż. Pewnie widział tylko przelotnie jej zdjęcia, tak jak ona jego.

– Pendrive należy do mnie – szepnęła, oblizując spierzchnięte usta.

Zmrużył nieznacznie oczy.

– Czyżby?

Zapominając o strachu, zmrużyła ze świeżą złością swoje.

– Owszem, ty łajdaku. Naharowałam się jak wół i niech mnie piekło pochłonie, jeśli oddam ci ten kod. Jackson mi go ukradł i przyjechałam tu z samego Shadow Port, by go odzyskać.

Przez chwilę wpatrywał się w nią tępo z błyskiem zdumienia w oczach.

– Morana Vitalio?

Kiwnęła lekko głową, uważając na ostrze przy gardle. Powoli zmierzył ją wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na peruce i ustach.

– Proszę, proszę – mruknął pod nosem, odrywając ostrze od jej skóry i rozluźniając nieogoloną szczękę.

Otworzyła usta, by poprosić go o odłożenie noża, gdy nagle drzwi za ich plecami trzasnęły o ścianę. Z gardła wyrwał jej się cichy okrzyk zaskoczenia. Mężczyzna momentalnie puścił jej przygwożdżoną do ściany rękę, by wolną dłonią zakryć jej usta.

Serio? Co on sobie myślał, że zacznie wzywać pomocy w rezydencji Klanu?

– Tristan, nikt się tu nie kręcił? Ktoś ogłuszył Matteo na dole – odezwał się zza progu czyjś gruby głos z lekkim, lecz niepodrabialnym akcentem.

Unosząc pytająco brew, Caine zajrzał jej w oczy. Przełknęła głośno, gotowa na najgorsze.

– Nikogo nie widziałem – odparł, nie odrywając od niej wzroku. – Zaraz zejść.

Usłyszała oddalające się kroki i po paru sekundach zdjął rękę z jej ust. Ale jego ciało ani drgnęło.

– Czy mógłbyś zabrać ten nóż? – poprosiła cicho, wwiercając się w niego wzrokiem.

Jego uniesiona brew podskoczyła jeszcze wyżej i znów poczuła ostrze na gardle.

– Nie wiesz, że nierozważnie jest przychodzić bez zaproszenia do domu wroga, i to bez ochrony? A jeszcze nierozważniej jest podkradać się do drapieźnika. Gdy tylko poczujemy krew, ruszamy na łowy.

Zacisnęła szczęki, żeby nie spoliczkować tego aroganta.

– Oddaj mi mój pendrive.

Po chwili milczenia wreszcie się od niej oderwał, oglądając z zaciekawieniem noże.

– Ta wizyta była niemądra, panno Vitalio – odezwał się cicho i spojrzał na nią. – Gdyby znaleźli cię moi ludzie, już byłabyś martwa. Jeśli dowiedzą się twój, to samo. Chciałaś rozpętać wojnę?

Co za hipokryta! Zrobiła krok w jego stronę i ich twarze znów znalazły się centymetry od siebie.

– I tak już po mnie, więc co za różnica? Masz pojęcie, co zawiera ten pendrive? Wyobraź sobie tę swoją hipotetyczną wojnę w dziesięciokrotnym powiększeniu. – Nabrała powietrza, próbując przemówić mu do rozsądku. – Słuchaj, po prostu mi go oddaj i nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Zapadła ciężka, ciągnąca się w nieskończoność cisza. Świdrował ją wzrokiem, pod którym mogła tylko przestąpić nerwowo z nogi na nogę.

– Pod schodami są drzwi – powiedział w końcu, oddając jej nóż. – I korytarz prowadzący do bramy. Musisz zniknąć, zanim ktoś cię zauważy i rozpęta się piekło. To mój pierwszy wolny wieczór od miesiąca i nie zamierzam spędzać go na wycieraniu twojej krwi.

Wzięła głęboki oddech, odbierając od niego drugi nóż.

– Proszę.

Po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach jakiś obcy błysk. Skrzyżował ręce na piersi i przekrzywił głowę, przyglądając się jej dziwnie.

– Idź już.

Przyjęła porażkę z ciężkim westchnieniem. Nic więcej nie mogła zrobić. A powrót z pustymi rękami oznaczał konieczność przyznania się ojcu. Czyli śmierć albo wygnanie. Kurwa.

Kiwając głową z posmakiem goryczy w ustach, odwróciła się na pięcie i położyła dłoń na gałce u drzwi, nadal czując na sobie jego wzrok.

– Panno Vitalio?

Odwróciła się przez ramię i w jego zaborczych oczach ujrzała coś, od czego poczuła mrowienie w żołądku.

– Jesteś moją dłużniczką – powiedział.

Zamrugnęła, kompletnie zdezorientowana.

– Słucham?

Jego niebieskie oczy jeszcze mocniej zapłonęły.

– Jesteś moją dłużniczką – powtórzył.

Wykrzywiła usta.

– A cóż takiego ci zawdzięczam?

– Życie – stwierdził. – Gdybyś trafiła na kogokolwiek innego, już byś nie oddychała.

Zmarszczyła brwi, oszołomiona, ale tylko uśmiechnął się pod nosem, świdrując ją tym dziwnym spojrzeniem.

– Nie jestem dżentelmenem i nie umorzę ci tego długu – powiedział cicho.

Nagle dopadł do niej. Przełknęła ślinę, zaciskając palce na gałce, choć serce waliło jej jak młotem. Odchyliła śmiało głowę, przytrzymując jego spojrzenie. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią z góry, po czym się nachylił, owiewając jej twarz ciepłym oddechem, i w jej nozdrza znów wdarła się jego piżmowa woń.

– I pewnego dnia go odbiorę.

Na te słowa oddech uwiązł jej w gardle.

Wybiegła co tchu z tego ciemnego pokoju.



KONFRONTACJA

Chryste, naprawdę nie powinno jej tu być.

Tyle już razy znajdowała się w podobnych sytuacjach, że to zdanie z powodzeniem mogłoby być tytułem jej autobiografii. Jeśli kiedyś ją napisze, z pewnością długo nie postoi na księgarskich półkach – rozejdzie się jak świeże bułeczki. W końcu nieczęsto się zdarza, by genialna córka szefa mafii ośmieliła się odkryć przed światem szokujące szczegóły swojego życia. To byłby prawdziwy hit – oczywiście gdyby jakimś cudem udało jej się dożyć dnia publikacji. Ale zważywszy na obecny obrót spraw, będzie miała szczęście, jeśli wróci do domu w jednym kawałku.

Na tę myśl serce podeszło jej do gardła, a kolana zmiękły ze strachu, gdy wreszcie dowleкла się do opuszczonego budynku. Może i była geniuszem, ale i skończoną idiotką. Kompletną, skończoną idiotką jakich mało. Która nawet nie zablokowała w telefonie numeru swojego złażdanzonego byłego. Idiotką, która pozwoliła mu zostawić sobie cholerną wiadomość. I która z bezdennie głupiej ciekawości radośnie ją odsłuchiwała.

Gdy zadzwonił telefon, słęczała właśnie przy laptopie, desperacko usiłując odkręcić to, co nieodkręcalne.

W uszach wciąż słyszała spanikowany, pospieszny szept Jacksona, od którego cierpła skóra. Mogłaby jednym tchem wyrecytować całą wiadomość, tyle razy ją sobie odegrała. Bynajmniej nie z tęsknoty za utraconą miłością, ale by obmyślić dalszy plan działania.

Była idiotką.

Jego rozpaczliwe słowa wyryły się jej w mózgu.

„Morano! Morano, błagam, musisz mnie wysłuchać. Potrzebuję twojej pomocy. To sprawa życia i śmierci. Ten kod... twój kod jest... Tak bardzo cię przepraszam. Spotkajmy się na rogu Huntington i Ósmej. Jest tam opuszczony plac budowy. O szóstej wieczorem. Ukryję się w budynku i będę na ciebie czekał. Przysięgam, że wszystko ci wytłumaczę, tylko przyjdź sama. Błagam. Oni mnie zabiją. Kod jest...”

W tym miejscu nagranie się urywało.

Morana przez godzinę wpatrywała się bez ruchu w telefon, rozważając dostępne opcje. Sprawa była dość jasna.

Opcja numer jeden: to pułapka.

Opcja numer dwa: to nie pułapka.

Proste, a jakże skomplikowane zarazem. Jackson był jadowitą zmiją, którą wyhodowała na własnym łonie, nie miała co do tego wątpliwości. Istniała możliwość, że zapłacono mu za nagranie tej wiadomości, tak jak za szpiegowanie. Całymi tygodniami udawał, że ją kocha, więc cóż to dla niego zagrać ściganą zwierzynę? Już raz ją oszukał, ale czy tym razem też próbuje? Czy to mogła być pułapka?

I tu zaczynały się schody. Kto mógłby chcieć zakładać na nią sidła? Klan? Przed tygodniem sama weszła w paszczę tego lwa. Natknęła się na przerażającego Drapieżcę we własnej osobie i wyszła z tego bez najmniejszego szwanku. Nie chcieli rozpętać wojny, to pewne. Inaczej Tristan Caine bez wahania by ją wydał. Ale tego nie zrobił. Puścił ją wolno. Więc zastawianie kolejnej pułapki nie miało najmniejszego sensu.

Ale skoro to nie Klan, któż inny mógłby zmusić Jacksona do tego nowego teatryku? Może to jednak nie była pułapka? Czyżby nabawiła się wreszcie porządnej paranoi? Strach w jego głosie był prawdziwy czy udawany?

Niestety nie miała tego luksusu, by machnąć nań ręką. Jeżeli był naprawdę przerażony i wiedział coś o kodzie, musiała się z nim spotkać. Pociągnąć go za język. I za wszelką cenę odzyskać ten cholerny pendrive.

Nie żeby ostatnia próba jego zdobycia zakończyła się sukcesem.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że wpadła w jego szpony. W szpony osławionego Tristana Caine'a, który nie wiedział, co to litość.

Przygwoździł ją do ściany i przystawił do jej gardła jej własne noże. A potem pozwolił odejść, tak zwyczajnie. I jeszcze wskazał tajne przejście, drogę ucieczki z brzucha bestii. W samym środku eleganckiego przyjęcia.

Wciąż czuła na języku posmak tamtego niedowierzania, gdy w końcu wyszła na drogę, by złapać stopa do hotelu. Niedowierzania, że intuicja mogła tak ją zawieść. Niedowierzania, że się nie udało. Niedowierzania, że w ogóle wyszła z tego cała. I że on wypuścił ją ze swoich szponów.

To spotkanie, choć tak krótkie, zostawiło w jej duszy dziwne, niezatarte wrażenie. Od tamtego przyjęcia minął już tydzień. Tydzień skrzętnego ukrywania prawdy przed ojcem. Gdyby się dowiedział... Gdy się dowie... Dopiero rozpęta się piekło.

Odsuwając od siebie te czarne myśli, Morana ściągnęła łopatki, pokrzepiona dotykiem chłodnego metalu wsuniętej za pasek małej beretty. Wychodząc, zabrała ze sobą tylko telefon, który schowała do kieszeni luźnych spodni, i kluczyki do swojego czerwonego mustanga kabrio. Na wszelki wypadek musiała mieć wolne ręce.

Chcąc pozbyć się wszystkiego, co przypominało jej o tamtej wtopie, przefarbowała swoje blond włosy na kasztanowo. Często zmieniała ich kolor. Skoro tak wiele pozostawało poza jej kontrolą, chciała przynajmniej decydować o swoim wyglądzie. Świeże ciemne loki upięła w wysoki kucyk, a na nos wsunęła okulary. Całości dopełniały „ucieczkowe” baleriny, też na wszelki wypadek.

Powiedziawszy ojcu, że wybiera się do miasta na zakupy, jak zwykle bez trudu wymknęła się jego gorylom. Znow będzie kręcił nosem, ale co tam. I tak bardziej zależy mu na kontroli niż na jej bezpieczeństwie. To była jego obsesja: kontrola nad siepaczami, nad jej ruchami, nad kartą przetargową wroga. Oboje dawno temu przestali przed sobą udawać. A ona dawno temu uodporniła się na gorycz rozczarowania, utknąwszy gdzieś pomiędzy brawurą a lekkomyślnością.

Dokładnie tak jak teraz.

Przechodząc przez żelazną bramę opuszczonego placu budowy, za którą rozciągał się upiorny cień samotnego niedokończonego budynku, Morana rozejrzała się po okolicy. Niebo

nabrało już szarej barwy zmierzchu, czekając na pojawienie się księżyca.

Chłodny wieczorny wiatr wywołał na jej ciele gęsią skórę, ale o ciarki przyprawiało ją co innego.

Orły. Dziesiątki orłów krążyło nad budynkiem i bezustannie się nawoływało – kakofonię ich głosów tłumił trzepot skrzydeł.

W tym zapadającym zmroku ich pojawienie się świadczyło o jednym. Gdzieś w tym budynku leżał trup – a raczej trupy, sądząc po liczebności stada.

Absolutnie nie powinno jej tu być.

Dusząc w zarodku nagły atak paniki, zerknęła na zegarek.

Punkt szósta.

Gdzie ten Jackson, do diabła?

Nagle w jej kieszeni rozdzwonił się telefon – aż podskoczyła. Wypuszczając powietrze dla uspokojenia rozedrganego serca, pospiesznie wyciągnęła aparat i sprawdziła numer. Jackson. Odebrała i przyłożyła telefon do ucha.

– Morana?

Zmarszczyła brwi, słysząc jego znajomy szept. Czemu nie mówił normalnym głosem?

– Gdzie jesteś? – zapytała cicho, wypatrując oznak niebezpieczeństwa. Innych niż te przeklęte ptaszyska.

– Przyszłaś sama? – dopytał.

W jej głowie zapaliła się pierwsza czerwona lampka. Ściągnęła brwi.

– Tak. A teraz mów, co się dzieje.

Zza drzwi budynku wychyliła się jego głowa i machająca ręka.

– Szybko, do środka – rozbrzmiało w słuchawce.

Przeniosła wzrok na odrapany strzelisty budynek w koronie hałaśliwych ptaszysk. Gdyby to był film, skwitowałaby szyderczym parsknięciem taki banał, ale teraz jakoś nie było jej do śmiechu. Coś tu nie gra, i to bardzo.

– Nie ruszę się, dopóki mi się nie wytłumaczysz – upierała się, patrząc w stronę drzwi.

– Morana, do diabła! – wybuchnął mocno już roztrzęsiony Jackson. – Nie chce wejść! – zawołał do kogoś w środku.

Znieruchomiła, uderzona jego powtórnią zdradą jak ciężkim obuchem. Łajdak! A więc to jednak pułapka.

Nie czekając ani chwili, przykucnęła za pobliską stertą gruzu, wyciągnęła broń, pospiesznie ją odbezpieczyła i wyciągnęła ramię gotowa do strzału. Ożywione potężnym zastrzykiem adrenaliny serce waliło jej jak młotem. Grobową ciszę przerywał tylko jej ciężki, urywany oddech i skrzek orłów krążących nad budynkiem cuchnącym śmiercią.

Musi za wszelką cenę dostać się do auta.

Zerknęła na oddaloną o paręset metrów bramę. A niech to. Nie uda jej się do niej dobiec, nie pod ewentualnym ostrzałem.

„Myśl. Myśl!”

– Morana!

Nie wychyliła się na jego wołanie.

– Nie zrobimy ci krzywdy! Chcemy tylko porozmawiać!

Jaasne.

Zacisnęła szczęki, bo w tej chwili z największą rozkoszą rozkwasiłaby mu gębę, wybijając przy okazji parę zębów. Krwi!

– Wiem, jak lubisz gierki, kotku, ale przysięgam, że to nie jedna z nich.

Nie znosiła, nienawidziła, kiedy nazywał ją „kotkiem”. Za bardzo kojarzył się jej z tymi wszystkimi zdzirami z gangsterskich kręgów. Boże, trzeba go było odstrzelić, gdy miała okazję.

– Posłuchaj, wiem... – ciągnął, zbliżając się. – Wiem, że nienawidzisz mnie za kradzież tego kodu, ale zrobiłem to tylko dla pieniędzy, kotku. Naprawdę cię lubiłem. I możemy ci pomóc, jeśli ty pomożesz nam.

Naćpał się czy co?

Zacisnęła palce na spluwie.

Nagle padł wystrzał i ptaki rozproszyły się w dzikiej panice.

Ogłuszona Morana aż podskoczyła z sercem trzepoczącym jak ich rozłożyste skrzydła, nasłuchując głosu Jacksona. Na próżno. Przerazenie ścisnęło jej żołądek.

– Wołałem cię w wersji blond.

Na dźwięk dobiegającego zza pleców głosu oddech uwiązał jej w gardle. Głosu nawiedzającego ją w snach i na jawie, sączącego jej do ucha słodka truciznę, kropelka po kropelce. Głosu jak mocna

whisky i grzech. Podniosła gwałtownie wzrok i zobaczyła wymierzonego w swoją głowę glocka. Powędrowała spojrzeniem do pewnych, silnych palców i odsłoniętych umięśnionych przedramion, podwiniętych rękawów czarnej koszuli i mięśniów zdolnych przygwoździć ją do ściany jak szmacianą lalkę, do wciąż nieogolonej kwadratowej szczęki – i wreszcie do jego oczu. Jego niebieskich, przeraźliwie pustych oczu.

Otrząsnęła się z tych kobiecych tęsknych myśli, momentalnie przypominając sobie, z kim ma do czynienia.

I błyskawicznie wycelowała broń w jego serce, rzucając mu milczące wyzwanie.

Nie odrywając wzroku od jego oczu, powoli się podniosła, przekrzywiając głowę.

– A ja wolałabym cię tu nie widzieć.

Nie zmieniając kamiennego wyrazu twarzy, zmrużył lekko oczy. Po dłuższej chwili tej osobliwej gry nerwów Morana stwierdziła, że to kompletnie bez sensu. Przecież jej nie zabije. Miał już okazję wyprawić ją na tamten świat, i to bez świadków, a jednak tego nie zrobił. Więc tym razem też ją oszczędzi.

– Oboje wiemy, że mnie nie kropniesz, więc schowajmy broń, zgoda? – zaproponowała grzecznie, żeby jednak nie kusić losu.

Jego usta wygięły się w uśmiechu, choć w jego oczach próżno było się doszukiwać wesołości. Opuścił broń, a ona poszła za jego przykładem, mimo wszystko nie spuszczając go z oka. Ale gdy tylko zagrożenie minęło, dopadł do niej i przyłożył lufę między jej piersiami. Ich twarze znów znalazły się centymetry od siebie i owionął ją znajomy zapach wody kolońskiej przemieszanej ze świeżym potem. W zapadającym mroku jego jasne zimne oczy błyszczały.

– Są takie miejsca na twoim ciele... – przemówił cicho, nachylając się jej do ucha. Na króciutką chwilę zaparło jej dech w piersi. Wolną ręką złapał ją niemal brutalnie za kark, przyciskając lufę do jej trzepocącego serca. – Miejsca, o których ci się nie śniło. I które mógłbym z łatwością przestrzelić, nie pozbawiając cię życia. – Przyciągnął ją jeszcze bliżej, owiewając jej skórę cieniem oddechu, gdy odchyliła głowę, by przytrzymać wzrok tego górującego nad nią olbrzyma. – Śmierć nie jest głównym daniem, skarbie. To deser.

Jego oczy skuł lód, podobnie jak głos, i jeszcze mocniej zacisnął palce na jej karku.

– Niech ci się nigdy nie zdaje, że mnie znasz. Bo to może być twój ostatni błąd w życiu.

Mimo że serce trzepotało jej w piersi jak ptak wyrrywający się z klatki, zacisnęła ze złością zęby. Co za bezczelny, arogancki typ! Dlaczego wszyscy mężczyźni z jej otoczenia zachowywali się jak kandydaci do nagrody Dupka Roku?

Przypomniawszy sobie kurs samoobrony, wyprostowała się i instynktownie wyprowadziła cios, jednocześnie podcinając go nogą. Kompletnie zaskoczony padł jak długi u jej stóp, ale ułamek sekundy później z imponującą zwinnością poderwał się na nogi. Ale jeszcze z nim nie skończyła.

Tym razem to ona do niego doskoczyła, zadzierając dumnie głowę.

– A tobie niech się nie zdaje, że mnie przestraszysz – wycedziła lodowatym tonem, dysząc ze złości, przy każdym słowie dźgając go palcem w twardą pierś pod rozchełstaną koszulą.

Atmosfera momentalnie zgęstniała tak, że można ją było kroić nożem. Wpatrywał się w nią z zaciśniętą szczęką, sztywny jak pał.

Nagle ich milczący pojedynek przerwał czyjś głos.

– Muszę przyznać, że rzadko trafia się ktoś, kto nie boi się Tristana. Tym bardziej kobieta.

Morana odwróciła się na pięcie, stając oko w oko z Dantem Maronim. Miał na sobie czarny garnitur pasujący bardziej do eleganckiego przyjęcia, na którym go widziała, niż tego placu budowy. Jego gładko zaczesane ciemne włosy uwydatniały wysokie kości policzkowe, których mógłby mu pozazdrościć każdy supermodel. Był starannie ogolony, a środkowy i serdeczny palec jego prawej dłoni zdobiły srebrne sygnety. Wisienką na torcie była muśnięta słońcem, niezaprzeczalnie śródziemnomorska karnacja i uwodzicielski uśmiech, któremu ani trochę nie dowierzała. Jednym słowem, Dante Maroni był niewątpliwie pięknym mężczyzną.

Wyciągnął do niej szarmancko rękę na powitanie. Mogłaby się założyć o swój dyplom, że to tylko element wyuczonyj pozy.

– Dante Maroni – przedstawił się grzecznie, zamykając jej drobną rączkę w swoich wielkich ciepłych i gładkich dłoniach. Ale

zdradzały go szatańskie iskierki w brązowych oczach. – Miło mi panią poznać, panno Vitalio. Żałuję tylko, że w takich okolicznościach.

– A ja żałuję, że w jakichkolwiek – odparowała, zanim zdążyła ugryźć się w język, motywowana wspomnieniem o wieloletniej rywalizacji między ich rodzinami. Co było nie lada brawurą, zważywszy, że ten śmiertelnie niebezpieczny człowiek prawdopodobnie zastrzelił właśnie Jacksona.

Nie spuszczając z niej swoich mrocznych oczu, błysnął zębami w wilczym uśmiechu.

– Naprawdę jest pani nieustraszona. A to bardzo niebezpieczne.

Powinna to sobie wytatuować na czole. Może wreszcie by do niej dotarło.

Tracąc cierpliwość, rozejrzała się po jak na złość wyludnionej okolicy. Podsumujmy: znalazła się na opuszczonej budowie w towarzystwie dwóch bezlitosnych mafiosów z wrogiego gangu, którzy z niewiadomych przyczyn postanowili ją tu zwabić. Sytuacja daleka od ideału, ale przynajmniej jej nie zabili. Jeszcze. To zawsze coś, prawda?

– Co ja tu robię, panie Maroni? – zapytała w końcu, mając dość tych wszystkich domysłów. – I gdzie jest Jackson?

– Proszę, mów mi Dante – poprawił ją z nieodłącznym uśmiechem.

Tristan Caine wyłonił się zza jej pleców i stanął u boku swego brata krwi z ponurą miną i muskularnymi rękami skrzyżowanymi na piersi. Spod jednego z rękawów wyzierał tatuaż.

Spojrzała na tę bezwzględną, morderczą parkę. Byli niczym ogień i woda. Nie umiała tego nazwać, ale przy mrocznym Tristanie każdy wyglądał jak niewinna owieczka. Gdy tak stał i pożerał ją oczami, nie drgnął mu ani jeden mięsień na przystojnej twarzy.

Z trudem oderwała od niego spojrzenie i przeniosła je na Dantego. W porównaniu z palącym wzrokiem Tristana jego wydawał się wybitnie łagodny.

Wzięła się w garść i zacisnęła zęby.

– Dante.

Westchnął teatralnie, wciąż nie puszczając jej ręki.

– Jackson nie żyje.

Na te słowa poczuła tylko lekki ucisk w trzewiach. I co to o niej mówiło jako człowieku? Chciała nad nim zapłakać, ale nie mogła. Skinęła bez słowa, kompletnie nie wiedząc, co powiedzieć, by nie zdradzić obojętności wobec śmierci swojego byłego chłopaka.

Dante kiwnął głową, biorąc na siebie ciężar rozmowy. Na tego posępnego milczka u jego boku nie było co liczyć. Stał tylko i obserwował ich jak jastrząb.

– Musieliśmy się z tobą zobaczyć bez uruchamiania alarmu – zaczął Dante. – Jedyнным sposobem była przynęta w postaci Jacksona.

– A po co chcieliście się ze mną zobaczyć? – dopytała, starannie unikając wzroku jego kompana.

Dante się zawahał. Wtedy po raz pierwszy od przybycia jego brata krwi pan Caine łaskawie się odezwał. Oschle, bo oschle, ale zawsze.

– Chodzi o kod.

Serce przestało jej na chwilę bić i wreszcie przeniosła na niego wzrok, unosząc brwi.

– Słucham dalej – rzuciła.

Tristan Caine jak gdyby nigdy nic świdrował ją swoimi przenikliwymi jak rentgen oczami.

– Uważasz, że jestem w posiadaniu twojego cennego pendrive'a – stwierdził.

Morana poczuła, jak brwi same się jej ściągają.

– Jestem tego pewna.

– Dlaczego? – przejął pałeczkę Dante. Popatrzyła to na jednego, to na drugiego, zawzięcie mrugając.

– Gdy Jackson mi go ukradł – zaczęła ostrożnie – włamałam się zdalnie na jego telefon i przejrzałam wszystkie połączenia i lokalizacje, odkąd się poznaliśmy. Zaprowadziły mnie do ciebie – zakończyła, wskazując brodą Caine'a.

Na krótką chwilę zapadła martwa cisza.

– I doszłaś do wniosku, że był szpiegiem Tristana?

Morana kiwnęła niepewnie głową.

– To było jedyne logiczne wyjaśnienie.

– Z tym że ja nawet nie wiedziałem o twoim istnieniu – wtrącił sucho Caine.

Kłamca. Wbiła w niego zmrużone oczy, dobrze pamiętając ich rozmowę. Przecież z miejsca ją rozpoznał. To po co teraz zełgał?

Patrzył na nią wyzywająco, jakby tylko czekał, aż przyzna się do swojej wizyty incognito w rezydencji Maronich i ich małego tête-à-tête w tamtej ciemnej sypialni.

Spojrzała na Dantego, zaciskając szczęki i pięść.

– Chcesz powiedzieć, że to nie wy opłaciliście Jacksona?

Dante skinął głową z grobową miną.

– Nie mieliśmy nawet pojęcia o istnieniu tego kodu. To śmiercionośna broń i jeśli wpadnie w niepowołane ręce, obie nasze rodziny będą załatwione. Dlatego tu przylecieliśmy. Musieliśmy się z tobą rozmówić.

– A skąd o nim w ogóle wiesz?

Dante machnął ręką na swojego kompana.

– Tristan powiedział mi o twoim zesłotygodniowym telefonie z żądaniem zwrotu. Stwierdziliśmy, że w tych okolicznościach należałoby złożyć ci wizytę.

Telefon? Z żądaniem zwrotu? Spojrzała na Caine'a, nie mogąc zrozumieć, dlaczego ukrył prawdę przed bratem.

Prychnęła, patrząc na nich obu.

– Naprawdę sądzisz, że w to uwierzę? Po tym, jak zastrzeleś Jacksona?

– Ty żyjesz – wtrącił cicho Tristan, obrzucając ją twardym, groźnym spojrzeniem, od którego przeszły ją ciarki.

„Tristan”. To romantyczne imię kompletnie do niego nie pasowało. Dla niej chyba już zawsze będzie kanciastym „Caine'em”. Ściągnęła łopatki.

– Jeszcze. Jaką mam gwarancję, że tak zostanie?

– Taką, że nie chcemy rozpętać wojny. – Kręcąc głową, Dante wreszcie puścił jej rękę. – Choćbyśmy nie wiem jak się nienawidzili, prawda jest taka, że żadnej z naszych rodzin na to nie stać. Nie teraz, gdy czyhają na nas obce siły. A Jackson musiał zostać uciszony. Był przekonany, że handluje z Tristanem. Z kolei twoje zabójstwo wprowadziłoby tylko niepotrzebne tarcia.

No tak, logiczne. Ale nadal za grosz im nie ufała. Wbiła wzrok w parę świdrujących niebieskich oczu.

– Czyli ktoś zadał sobie tyle trudu tylko po to, by cię wrobić, dobrze wiedząc, że trafię po nitce do kłębka?

Wzruszył swoimi barczystymi ramionami, nie spuszczać z niej wzroku.

– Ja tego nie powiedziałem.

Ciekawe, że przy świadkach praktycznie zapomniał języka w gębie i cała jego morderczo-zbójcka elokwencja wyparowała bez śladu. Czując wzbierającą wściekłość, Morana skrzyżowała ręce na piersi, zerkając kątem oka na rozglądającego się po placu Dantego. Tristan z kolei ani na chwilę nie oderwał od niej oczu.

Z przyzwyczajenia poprawiła okulary na nosie.

– To co teraz? Chcecie połączyć siły czy coś?

– Czy coś – powtórzył niezbyt pomocnie.

Nagle ciszę ustronnego miejsca przerwał dzwonek telefonu. Morana aż podskoczyła. Dante wyciągnął iPhone'a i wymieniwszy spojrzenia ze swoim mrukliwym towarzyszem, odszedł na bok, by odebrać. Gdy tylko zniknął za węglem, Morana odwróciła się na pięcie i ruszyła do auta, które zostawiła za bramą.

– Nie powinnaś odchodzić, nie wysłuchawszy naszej wersji – zawołał za nią Caine.

– Za żadne skarby świata nie zostanę tu ani chwili dłużej – rzuciła przez ramię, nawet nie zwalniając.

Była już przy aucie, gdy nagle coś rzuciło ją na maskę, kompletnie unieruchamiając. Świat zawirował jej przed oczami i następnym, co zobaczyła, była twarz Tristana na tle wieczornego nieba. Jedną ręką przytrzymał jej nadgarstki nad głową, a drugą przycisnął płasko do maski.

Wiła się i szarpała, ale na próżno. Nawet nie drgnął.

Próbując wyrwać ręce z jego żelaznego uścisku, uderzyła plecami o blachę. Kopała i gryzła, wszystko na nic – pozostał nieruchomy jak spiżowy posąg z boleśnie zaciśniętą szczęką.

– Zapewniam, że ja też nie mam ochoty cię dotykać – wycedził przez zęby, owiewając jej twarz ciepłym oddechem i przygważdżając ją spojrzeniem.

– Błagam – rzuciła ociekającym sarkazmem tonem, przewracając oczami. – Właśnie widzę. I widziałam. Mój dotyk

wprost cię obrzydza. Można by pomyśleć, że przypieranie mnie do płaskich powierzchni weszło ci w krew.

Żrenice mu się rozszerzyły, a na ustach zamajaczył złowieszczy uśmiezek, podkreślając bliznę w prawym kąciku.

– W niczym nie przypominasz kobiet, które lubię przypierać. „Obrzydliwe” to ostatnie, co można o nich powiedzieć.

– Nienawidzisz mnie – stwierdziła.

– Nie. – Pokręcił głową, wciągając powietrze, i w jego skutych lodem oczach pojawiło się coś na kształt zdecydowania. – Ja tobą gardzę.

Ściągając brwi, zamrugła zaskoczona jego nienawistnym tonem. Okej, nie zapalali do siebie jakąś wielką sympatią, ale tego się nie spodziewała. Ten człowiek nawet jej nie znał.

– Dlaczego? – wyrzuciła z siebie dręczące ją pytanie.

Zignorował je, nachylając się nad nią. Przeszedł ją dreszcz przerażenia.

– Nie zabiłem cię jeszcze tylko dlatego, że nie chcę tej pieprzonej wojny – wycedził straszonym, niskim głosem, wbijając w nią dwa sople lodu, jakimi były jego oczy. Serce podeszło jej do gardła. – Ale to jeszcze nie znaczy, że nie sprawię ci bólu.

Spojrzała na niego, zaskoczona siłą jego nienawiści.

– Nawet mnie nie znasz!

Przez dłuższą chwilę milczał, wolną ręką wędrując w dół po jej brzuchu. Jej spanikowane serce waliło jak młotem. Zaczęła się wrywać i w końcu zatrzymał się tuż pod pępkiem, pieszcząc ją przez bluzkę bardziej jak namiętny kochanek niż zaprzysięgły wróg.

– Mam własnych ludzi i swoje terytorium. Nigdy nie waż się go naruszać. – Jego dłoń zawisła złowieszczo nad jej biodrem i Morana głośno przełknęła. – Zapamiętaj to sobie – wyszeptał jej do ucha.

Co za bezczel! Oszołomiona, szarpała się i wierzgała, próbując się uwolnić.

– Ty dupku!

Nachylił się niżej, niemal muskał wargami jej ucho.

– Kocica.

Na odgłos kroków Dantego pospiesznie się od niej odsunął i wyprostował, momentalnie przywdziewając swoją kamienną maskę, tak jakby przed chwilą wcale na niej nie leżał. Zdyszana, poderwała

się na drżące nogi i spiorunowała go wzrokiem. Zaciskała pięści, cała się trzęsła. Z wściekłości.

Dante obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

– Wszystko w porządku? – zapytał ze zmarszczonymi brwiami.

Czuła, że drży jej podbródek, a serce trzepocze w piersi. Miała ochotę po prostu wyciągnąć broń i ubić tego bydlaka na miejscu. Kręcąc głową, ściągnęła łopatki, zadarła dumnie brodę i z uśmiechem spojrzała prosto w oczy Dantego.

– Jak dla mnie obaj możecie szesznać w katuszach.

Otwierając drzwi auta, posłała ostatnie spojrzenie człowiekowi, który w mgnieniu oka potrafił doprowadzić ją do takiego stanu i zagroziła:

– Trzymaj się ode mnie z daleka, zwyrodnialcu.

W jego nieruchomych oczach pojawił się jakiś niemal niedostrzegalny błysk i szybko zgasł. Odwróciła się na pięcie, wskoczyła do auta i z piskiem opon wyjechała na szosę, nie oglądając się za siebie. Ściskając kierownicę, wbiła wzrok w przestrzeń, nie pozwoliwszy sobie ani na sekundę dekoncentracji, choć krew wciąż szumiała jej w uszach.

Co się odwlecze, to nie uciecze. Jeszcze się na nim odegra.

Może nie jutro czy pojutrze, ale pewnego dnia... Gotując się ze złości i ściskając kierownicę tak mocno, że aż jej kłykcie pobiełały, poprzysięgła sobie, że pewnego dnia zabije Tristana Caine'a.



WŁÓCZĘGA

Nie było innego wyjścia, musiała powiedzieć ojcu.

Przed sobą zobaczyła otwierającą się powoli bramę rodzinnej posiadłości i górującą w oddali śnieżnobiałą bryłę rezydencji na tle pochmurnego, ołowianego nieba. Ale bez względu na to, ile razy ojciec kazał ją odmalowywać, Morana dobrze wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie zmyć krwi, którą ociekała jej pozornie niewinna fasada i przepastne wnętrza. Należała w końcu do trzeciego pokolenia, które wychowywało się w tym przerośniętym domu, a każde dorzuciło doń swoją przysłowiową i dosłowną cegiełkę.

Jej rodzina była pierwszą mafią, jaka narodziła się w mieście. W tamtych czasach Shadow Port słynęło ze swoich rozrosłych doków; usytuowane w samym sercu zachodniego wybrzeża i połączone z międzynarodowymi wodami przecinającą je na pół rzeką, było i jest tętniącym życiem emporium. Jej przodkowie szybko dostrzegli jego bezcenny potencjał i położyli na nim zbrodniczą łapę, z biegiem lat rozszerzając swoje wpływy na cały region.

Ich siedziba pierwotnie zamykała się w czterech ścianach skromnej hacjendy, którą jej zmarły dziadek, a po nim ojciec, powoli i uparcie rozbudowywali. Teraz ta pokraczna maskara spędzała Moranie sen z powiek. Zwłaszcza dodatkowe skrzydło, w którym jej ojciec załatwiał wszystkie „delikatne” sprawy. Nigdy się tam nie zapuszczała, chyba że w ostateczności. Takiej jak dziś.

Przełykając z trudem, skręciła w podjazd otoczony bujnym zielonym trawnikiem. Wytężyła wzrok, odszukując okno swojej sypialni na pierwszym piętrze. Miała do dyspozycji cały apartament

w komplecie z przytulnym gabinetem, salonikiem i garderobą. To był jej mały świat. Od zawsze.

Nigdy niczego jej nie brakowało, przynajmniej w sensie materialnym. Gdy potrzebowała nowego komputera, wystarczyło słowo i w ciągu godziny stał już na jej biurku. Nowa sukienka? Bardzo proszę, szafa wiecznie pękała w szwach. Kiedyś myślała, że w ten sposób ojciec okazuje jej uczucia: zasypując prezentami i spełniając każdy kaprys. Jednak bardzo szybko wyprowadzono ją z błędu.

Ulokował ją na piętrze tuż nad własnym apartamentem, by mieć ją na oku. Spełniano każde jej życzenie, żeby przypadkiem nie przyszło jej do głowy wyściubić nosa z tej złotej klatki. Gdy to zrozumiała, postanowiła wziąć swój los we własne ręce. A w każdym razie próbowała.

Podjeżdżając pod drzwi pilnowane przez dwóch goryli, zastanawiała się, jak by to było mieć wtedy matkę. Może zamiast w zimnym domiszczu mieszkałaby teraz w prawdziwym rodzinnym domu?

Jej matka odeszła od ojca i tego życia kilka lat po narodzinach Morany. Małżeństwo Alice i Gabriela Vitana zostało zawarte z najstarszego powodu świata: dla pieniędzy.

Ojciec Alice był biznesmenem prowadzącym szemrane interesy z Gabrielem, a ich zwińczenie stanowiło to zaaranżowane małżeństwo. Jej matka próbowała przystosować się do nowego świata, nowego życia, ale wytrzymała tylko dwa lata i po prostu uciekła. Z tego, co słyszała Morana, próbowała zabrać ją ze sobą, jednak ojciec się sprzeciwił i postawił ją przed wyborem: mogła odejść sama albo wcale. Mimo wszystko jej córka jakoś nie dowierzała tej oficjalnej wersji.

I nie miała zbyt wielu wspomnień z wczesnego dzieciństwa. Bez wiedzy ojca próbowała szukać matki, ale ona zapadła się pod ziemię. Ewidentnie nie chciała, by ją odnaleziono, a znając Gabriela Vitana, Morana nie mogła jej za to winić.

Ojciec nigdy tak naprawdę nie próbował ukrywać przed nią gangsterskiej prawdy o sobie, nie roztoczył nad nią dziurawego parasola bezpieczeństwa. Odkąd tylko obudziła się w niej świadomość, poznała wszystkie krwawe poczynania półświatka,

których ojcowie powinni raczej oszczędzać swoim wychuchanym córkom.

Jak na ironię właśnie za to równocześnie go podziwiała i nienawidziła. Dlatego też doskonale wiedziała, że ojciec uzna całą tę aferę z kodem za zdradę i ukarze ją śmiercią, nazywając to miłosierdziem. Wybierze jakiegoś zawodowca i zleci mu bezbolesne zabójstwo. Bądź co bądź każdy zdrajca Gabriela Vitana, bossa Shadow Port, musi zostać ukarany, choćby dla przykładu.

Zaparkowała na wolnym miejscu i wysiadając przy wtórce pioruna uderzającego gdzieś w dali, zadarła głowę, wpatrując się w łukowe drzwi ponad niskimi schodami prowadzące do domu. Westchnęła na widok stojących przy nich goryli i bez słowa weszła do środka. Nie licząc kilku wyjątków, nigdy nie rozmawiała z ludźmi ojca, a już na pewno nie zawracała sobie głowy wymianą uprzejmości. Oni ją ignorowali, więc odpłacała się im tym samym.

Wnętrza były gustownie urządzone, z rozległego holu zwieńczonego szerokimi schodami boczny korytarz prowadził do drugiego skrzydła. Przymknęła oczy ze świadomością, że idzie na rzeź. Ale nie było innego wyjścia. Dalsze trzymanie ojca w niewiedzy mogło skończyć się śmiercią wielu niewinnych ludzi. A przy jego władzy i koneksjach może uda mu się odzyskać ten kod i go zniszczyć.

Powlekała się więc do jedynej części domu, którą rzadko odwiedzała. Uspokajając oddech i skołatane myśli, zacisnęła pięści przy bokach. Cokolwiek się stanie, nie będzie błagać. Ani o życie, ani o kod, ani o cokolwiek innego.

Wróciła pamięcią do niedawnego spotkania na mieście. Urwawszy się gorylom ojca, jak to miała w zwyczaju, pojechała zobaczyć się z dawnym kolegą ze studiów, człowiekiem szalenie inteligentnym, którego chciała poprosić o radę i pomoc w odzyskaniu pendrive'a. Po tygodniu samotnych wysiłków był jej ostatnią deską ratunku.

Nie wchodząc zbytnio w szczegóły, wyłożyła mu więc sprawę, licząc na jakiś cud, wskazanie drogi, której nie dostrzegła. Płonne nadzieje. Z uwagi na naturę kodu stwierdził, że nie będzie w stanie go odzyskać, chyba że znajdzie się w odległość nie większej niż pięćdziesiąt stóp od niego. Co było niemożliwe, gdyż po pierwsze,

nie była w jego posiadaniu, a po drugie, nie miała pojęcia, gdzie jest. Jackson był przekonany, że przejął go Klan. Jednak synowie Maroniego przyszli do niej po pomoc, więc go nie mieli.

A może jednak mieli.

Może Tristan Caine ją oszukał.

Co, jeśli go przejął i z jakiegoś powodu się do tego nie przyznał? Potrafił przecież kłamać bez mrugnięcia okiem, nawet swojemu bratu krwi, no i próbował ją zastraszyć. Co, jeśli samodzielnie zatrudnił Jacksona i specjalnie ściągnął na siebie podejrzenia? Co ona w ogóle o nim wiedziała, by tak szybko uwierzyć mu na słowo? Z tego, co widziała i słyszała, był nie tylko dupkiem, ale i prawdziwym mistrzem mistyfikacji.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że coś było z nim nie tak. Jego groźby miały na celu jedno: jak najszybciej się jej pozbyć, i uciekając, zrobiła dokładnie to, czego chciał. Pytanie brzmi: dlaczego? Dlaczego nie zdemaskował jej na tamtym przyjęciu? Dlaczego odnalazł ją z Dantem tylko po to, by go okłamać i zabić Jacksona? Dlaczego ją przepędził, skoro rzekomo chciał jej pomocy? Co on kombinował? O co mu chodziło? A jeśli, uchowaj Boże, przejął pendrive, czemu udawał, że go nie ma? Czemu kazał im wszystkim, łącznie ze swoim bratem, szukać wiatru w polu? I przede wszystkim do czego był mu potrzebny ten kod?

A nawet przyjmując optymistycznie, że jednak go nie miał, dlaczego próbował się jej pozbyć, skoro była jego najważniejszym sojusznikiem w poszukiwaniach?

Czego on, cholera, chciał?

Do diabła, ten człowiek był pustą księgą zapisaną niewidzialnym atramentem, której nijak nie potrafiła odczytać. Tyle kart, tyle informacji pozornie podanych na tacy, a ona posmakowała tylko frustracji.

Wzdychając, pokręciła głową. Odsunęła na bok myśl o tym wkurzającym numerze jeden na jej liście do odstrzelenia – zajmie się tym później, jeśli w ogóle dożyje tej chwili. Teraz nie miała czasu ani dla niego, ani dla jego dziwnej nienawiści, którą do niej pałał. Miała za to inne sprawy na głowie.

Na przykład zapukanie do gabinetu ojca.

– Niech to się już skończy – mruknęła pod nosem, zbierając się na odwagę. – Nie jesteś tchórzem, tylko geniuszem, który stworzył coś niesamowitego i przerażającego. Przyznaj to wreszcie.

Z zewnątrz rozległ się grzmot, zupełnie jakby niebo się z niej śmiało. Uniósła spoconą dłoń, aby wejść, ale powstrzymały ją dobiegające zza drzwi głosy.

– Ona wie? – zapytał ten z silnym akcentem, który należał do prawej ręki ojca, niejakiego Tomasa.

– Nie – odparł niepodrabialny baryton Gabriela Vitana. – I nigdy się nie dowie.

O kim oni gadają?

– Dla bezpieczeństwa twojej córki, rozumiem...

– To nie jej bezpieczeństwo mnie martwi – przerwał mu władczo jej ojciec – ale nasze.

Aha, czyli rozmawiali o niej. Tylko o czym miała się nie dowiedzieć?

– Co masz na myśli? – uprzedził jej pytanie Tomas.

Zapadła długa cisza.

– Ona nawet nie wie, jak bardzo jest niebezpieczna – przerwał ją w końcu Gabriel. – Najlepiej będzie, jeśli zachowamy to dla siebie.

Tomas musiał chyba przytaknąć, bo po chwili drzwi się otworzyły i mężczyzna stanął twarzą w twarz z nią. Niski, przysadzisty mafioso kiwnął jej na przywitanie głową i oddalił się z gracją seryjnego mordercy.

Morana zajrzała do gabinetu. Ojciec właśnie rozmawiał przez telefon, przechadzając się pod oknem. Był postawnym człowiekiem o wysokim czole, z przyprószoną nobliwą siwizną czarną czupryną (przez którą zresztą zaczęła się farbować) i starannie przystrzyżoną bródką z wąsami. Z daleka wyglądał na trzydzieści parę lat, a jedynym, co świadczyło o tym, że się starzeje, były delikatne zmarszczki wokół oczu.

Podniósł na nią pusty, obojętny wzrok, do którego już dawno przywykła. Tym razem jednak ciekawość wzięła w niej górę.

– Chwila – mruknął z lekkim akcentem do słuchawki, unosząc pytająco brwi w jej stronę.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać – zaczęła niejasno, czując, że trybiki w jej mózgu pracują na zwiększonych obrotach.

Skinał głową.

– Po kolacji. Dziś jemy w Crimson. Stolik zarezerwowany na siódmą trzydzieści, nie spóźnij się – powiedział i wrócił do przerwanej rozmowy.

Nie mogąc zapomnieć o tym, co podsłuchała, Morana zamknęła za sobą drzwi. Zerknęła na zegarek w telefonie. Dochodziła szósta.

Z westchnieniem ruszyła w stronę schodów, by w zaciszu swojego apartamentu ukoić skołatane nerwy.

Co tu się kroi?



Usytuowana w samym sercu miasta Crimson należała do najelegantszych i najbardziej ekskluzywnych restauracji w Shadow Port. Mafia chętnie się w niej stołowała, a jej ojciec wprost za nią przepadał. Luksusowe wnętrze urządzone w odcieniach czerwieni i żółci, a intymną atmosferę tworzyło przyćmione światło.

Morana nie znosiła tego lokalu.

Nie znosiła tu wszystkiego: atmosfery, klienteli i całej reszty. Myślałby kto, że ludzie unurzani we krwi będą mieli serdecznie dość jej barwy w swoim otoczeniu – nic bardziej mylnego. Mało tego: czuli się tu jak ryba w wodzie.

Nienawidziła tego. Nienawidziła, gdy mężczyźni robiący interesy z jej ojcem taksowali ją wzrokiem jak manekina na sklepowej wystawie. Nienawidziła, że oczekiwano od niej, by ładnie wyglądała i trzymała język za zębami. Nieważne, że iloraz inteligencji miała wyższy od nich wszystkich razem wziętych. A ojcu przy tym nawet powieka nie drgnęła.

Przynajmniej nie zmuszano jej do głupkowatego wyszczerzu, gdy wcale nie było jej do śmiechu. Mogła sobie siedzieć przy stoliku naburmuszona i słuchać ich rozmów. Czasami bawiła się telefonem, a czasami obserwowała przez okno rodziny na spacerze albo roześmiane pary trzymające się za ręce.

I w przeciwieństwie do swoich kompanów przy stole, ojciec nigdy nie komentował jej zachowania. Umowa była prosta:

przyjeżdżała własnym autem, siadała i jadła w milczeniu, jak na posłuszną córkę przystało, po czym odjeżdżała, nikt się jej nie naprzykrzał. Przez dwadzieścia cztery lata nie zdarzył się ani jeden wyjątek od tej reguły.

Siedząc teraz przy ich stałym sześciuosobowym stoliku, Morana przymknęła oczy, wsłuchując się w szmer rozmów na sali i hulający za oknem wiatr. Ciężkie burzowe chmury zbierały się od samego rana, ale na razie z żadnej nie spadła nawet kropla deszczu. Tylko ten zimny, porywisty wiatr tak mocno przemawiał do wyobraźni. A ona musiała siedzieć w tej cholernej knajpie z rozkręconą klimatyzacją, od której dostała gęsiej skórki.

Przyjechała pół godziny temu, ubrana w rozkloszowaną błękitną sukienkę midi na ramiączkach, ze skromnym dekoltem i odkrytymi plecami. Całości dopełniała jej ulubiona para cielistych szpilek. A ponieważ nie zależało jej zbytnio na zrobieniu wrażenia na kontrahentach ojca, postawiła na rozpuszczone włosy i minimalny makijaż, zrezygnowała też z kontaktów.

Minęło pół godziny. Restauracja jak zwykle tętniła życiem, ich kompani przy stole jak zawsze przynudzali o interesach. Ale dziś ani na chwilę nie zapomniała o czekającej ją trudnej rozmowie z ojcem.

Wzdychając, rozejrzała się po lokalu, obejmując wzrokiem uwijających się jak w ukropie kelnerów i skupionych na rozmowach gości. Powoli odpływała myślami.

Nagle aż podskoczyła.

Przy stoliku w głębi sali siedział Dante Maroni w towarzystwie dwóch szemranych typów, pewnikiem siepaczy Klanu. Pogrążeni w rozmowie, na szczęście jej nie zauważyli.

Ściągając brwi, pospiesznie odwróciła wzrok. Odkąd zostawiła Dantego i jego brata krwi przy opuszczonej budowie, wcześniej obrzucając ich wyzwiskami, minął już tydzień. Cały tydzień. Co on jeszcze robi w tym mieście? I czy to przypadek, że oboje są dziś w ulubionej restauracji jej ojca?

Krew nabiegła jej do twarzy na wspomnienie jego mrocznego kompana.

Może Tristan Caine też nadal się tu kręci?

Na tę myśl zrobiło jej się słabo.

Wstała od stolika, rzucając jakąś wymyśloną naprędce wymówkę. Ojciec tylko przelotnie na nią spojrzął, po czym wrócił do przerwanej rozmowy.

Usiłując nie ściągać na siebie uwagi, zerknęła ukradkiem na stolik Dantego. Uff, nie zauważyli jej. Albo nie dawali tego po sobie poznać. Upewniła się: żaden z kompanów Maroniego nie był niebieskookim miłośnikiem przyszpilania kobiet do płaskich powierzchni.

Mrużąc oczy, schowała się w zacienionej wnęce z widokiem na całą salę i obserwowała rozwój sytuacji.

Nigdzie ani śladu Caine'a.

Wypuściła powietrze, rozluźniając ciało.

I wtedy serce stanęło jej w piersi.

Zobaczyła go.

Szedł pewnym krokiem do stolika, jakby każdy tutejszy kąt należał do niego. W głębi duszy nie mogła nie podziwiać jego śmiertelnej gracji. Ale rozgrzana do czerwoności lampka alarmowa w jej głowie szybko przysłoniła wszystko inne.

Zajął miejsce po prawicy Dantego.

I momentalnie podniósł na nią wzrok, jakby od początku wiedział, że przyczytała się w tej nieszczęsnej wnęce.

Ale tym razem nie odwróciła oczu.

Nie bała się. Ani jego do bólu intensywnego spojrzenia, ani głośniego bicia własnego serca, ani nawet Dantego i jego dwóch goryli, którzy po kolei wbijali w nią wzrok. Nawet na nich nie spojrzała, kontynuując ten osobliwy pojedynek woli. O nie, nie odda mu pola. Nie mrugnie nawet.

Ściągnawszy łopatki, cicho wróciła do stolika, przy każdym kroku czując na sobie świdrujące spojrzenie rozpartego na krześle zbója. Restauracyjny gwar nagle ucichł.

Tego już za wiele, na co on sobie pozwala! Postanowiła odpłacić mu pięknym za nadobne.

Usiadła, twardo przytrzymując jego wzrok. Były w nim kleszcze zaciskających się na jej nadgarstku palców, ciężar przygniatającego ją twardego ciała, echo lodowatych gróźb, które cedził jej do ucha.

Musiła przywołać do porządku swoją falującą pierś.

Po plecach spłynęła jej strużka zimnego potu, przyprawiając ją o dreszcz. Który najwyraźniej nie umknął jego uwadze, bo gdy tylko zadrżała, w jego oczach zapłonęło coś, czego nie umiała nazwać, coś kompletnie różnego od błysku triumfu czy chępliwości. Jeszcze nikt tak na nią nie patrzył.

Nagle przypomniała sobie, z kim sama biesiaduje. Jeden nieopatrzny ruch z jego albo jej strony i ściany Crimson spłyną krwią.

– Morano.

Wyrwana z zamyślenia, zdała sobie sprawę, że ojciec i jego kompani wstali od stolika, gotowi do wyjścia. Rumieniąc się lekko, poszła w ich ślady, kiwając na pożegnanie tym rozmazanym twarzom i wciąż czując na sobie świdrujące spojrzenie tamtego. Jeden z mężczyzn, na oko trzydziestoparoletni, musnął ustami jej dłoń, wlepiając w nią swoje mdłe oczy.

– Miło mi było panią poznać.

Akurat. Pewnie nie pamięta nawet jej imienia.

Mimo to skinęła mu głową i zabrała rękę, z największym trudem powstrzymując się przed wytarciem jej o sukienkę.

– Do zobaczenia za parę minut w domu – zwróciła się do ojca.

– Ochrona będzie cię eskortować.

Kiwnęła głową na odchodne i całe towarzystwo skierowało się do drzwi – oprócz jednego ochroniarza, który został przy niej. Cane nie spuszczał z niej wzroku. Przytłaczało ją to.

Potrząsnąwszy głową, rzuciła mu ostatnie spojrzenie i sięgnęła po torebkę, ruszając do tylnego wyjścia.

– Panno Vitalio – pożegnał ją z respektem kierownik sali.

Morana odpowiedziała skinieniem; po tylu latach znała tu całą załogę.

Pożegnała się jeszcze z paroma osobami i wyszła przez drzwi prowadzące na tylną uliczkę, gdzie zaparkowała. Gdy tylko przestąpiła próg restauracji, burzowe wieczorne niebo przecięła jasna błyskawica. Ciągnąc za sobą ochroniarza, drobiła pospiesznie w swoich nieszczęsnych szpilkach, by jak najszybciej dostać się do auta. Prawie do niego dotarła, gdy nagle usłyszała za sobą znajome kroki.

Momentalnie przystanęła i powoli się odwróciła. Jej oczom ukazała się sylwetka zbliżającego się Tristana Caine'a w wersji

casualowej, czyli w brązowej skórzanej kurtce i czarnych dżinsach. Widząc, że nadchodzi, miała ochotę rzucić się do ucieczki, ale jakoś się opanowała. Zatrzymał się dopiero parę metrów od niej, gdy jej ochroniarz wyciągnął broń i w niego wymierzył.

– Stać, bo strzelam!

Caine uniósł lekceważąco brew, nie zaszczycając wycelowanej w siebie lufy spojrzeniem. Nagle niemal od niechcienia złapał napastnika za nadgarstek i jednym szybkim ruchem wykręcił mu rękę. Goryl zawył i padł na kolana, oko w oko z własną bronią.

Chyba zrozumiał.

Morana zacisnęła pięści, próbując uspokoić kołatanie serca. Gdy goryl został rozbrojony, padł na nią blady strach. Ona nie miała broni. Kurwa.

Nie odrywała od Caine'a przerażonych oczu, czekając na jego następny ruch. Z sylwetką na wpół spowitą ciemnością tej opuszczonej uliczki wydawał się jeszcze bardziej niebezpieczny, jeśli to w ogóle możliwe.

Tristan Caine wyjął magazynek ze zdobyczej broni i jednym szybkim ciosem znokautował goryla. Nieźle. Gdyby go nie znała, uznałaby to za głupi, niepotrzebny popis. Ale dobrze wiedziała, z kim ma do czynienia. Patrząc, z jaką łatwością poradził sobie z przeciwnikiem, uzmysłowiła sobie, że zabicie jej byłoby dlań błahostką. I ta myśl zdecydowanie się jej nie spodobała.

Skrzyżowała ręce na piersi, przyglądając się mu bez słowa. Niech on przerwie tę nieznośną ciszę.

Caine chyba pomyślał to samo.

Jego poczynania były równie konsternujące jak on sam. Miłością się nie darzyli, mówiąc oględnie, i gdyby tylko mogli, z radością posłaliby drugie na tamten świat.

Nie miała zielonego pojęcia, dlaczego teraz za nimi poszedł i znokautował jej osobistego ochroniarza, ale na pewno nie po to, żeby pogapić się na nią w ciemnej uliczce tuż przed nadciągającą burzą. I nie zamierzała się tego dowiadywać. Jazda w strugach deszczu będzie wystarczającą torturą.

Odwróciła się na pięcie z westchnieniem, ale daleko nie zaszła. Zobaczyła, że alejkę blokuje Dante i dwóch jego ludzi – stali dosyć daleko, ale i tak na ich widok przeszedł ją zimny dreszcz.

– Nie wiedziałem, że ojciec stręczy panią swoim kolegom, panno Vitalio. – Za sobą usłyszała cichy głos Caine’a.

Na sam jego dźwięk poczuła, jak strach ustępuje miejsca dzikiej złości. Ten sam głos jeszcze niedawno szeptał jej do ucha przerażające groźby, aby ją zastraszyć. Z największym trudem udało jej się przełknąć narastającą wściekłość.

– Skąd ta nagła grzeczność, panie Caine? – zapytała chłodno z udawaną uprzejmością. – Dotychczas nie przebierał pan w słowach. I czynach.

Zmrużył lekko oczy, naruszając wreszcie tę swoją kamienną maskę.

– Proszę mi wierzyć, w niczym jeszcze nie przebierałem – odparł tym samym tonem.

W tej samej chwili błyskawica przecięła niebo, rozświetlając uliczkę i ukazując jego sylwetkę w pełnej okazałości.

Morana przyglądała mu się przez chwilę, starając się zachować zimną krew – a wraz z nią obiektywizm. Tristan Caine coś ukrywał. A ona nie spocznie, dopóki nie dowie się co.

Zrobiła krok w jego stronę i stanęła tuż przed jego muskularną klatą. Nawet na obcasach sięgała mu raptem do podbródka. Z sercem walącym jak młotem, zadarła głowę, by pochwycić jego wzrok i dostrzec jakąkolwiek reakcję. Nie było żadnej.

– Ciekawe – odparowała z promiennym uśmiechem przykrywającym dziką złość. – To ma mnie niby przestraszyć?

I wreszcie doczekała się tej upragnionej reakcji – w postaci uniesionej brwi i przebijających ją jak sztylety oczu.

– Byłabyś głupia, gdyby cię nie przestraszyło.

Prychnęła pogardliwie.

– Można mi dużo zarzucić, panie Caine, ale na pewno nie głupotę. I dlatego wiem, że pańskie pogroźki są gównem warte.

Przekrzywił głowę i w jego oczach zapłonęło nagle to samo niezdefiniowane „coś”, co przed chwilą w restauracji, ale milczał jak grób, czekając. Mimowolnie jeszcze bardziej się do niego zbliżyła, zachodząc w głowę, skąd u niej tyle odwagi. Pchała ją ku niemu jakaś tajemnicza siła i o nic już nie dbała. Kark pulsował jej bólem od zadzierania głowy, ale ani na chwilę nie przerwała kontaktu wzrokowego.

– Tak, tak – powiedziała, niemal muskając brodą jego pierś. – Naprawdę myślałeś, że przestraszy mnie ten cały teatrzyk na masce auta pod tytułem „trzymaj się ode mnie z daleka”? Ani trochę. Wprost przeciwnie, podzielał na mnie jak płachta na byka.

Nie odezwał się ani słowem, nie drgnął mu żaden mięsień. Patrzył na nią tylko tymi dziwnymi, płonącymi oczami.

– Na co jeszcze czekasz? – ciągnęła wyzywająco z trzepocącym sercem, przyszpilając go wzrokiem. – Rzuć mnie na ten tu murek czy na auto i „wtargnij w moją przestrzeń”. Albo zrób mi krzywdę, zabij, skoro tak bardzo mnie nienawidzisz. No, dalej – zakończyła ze ściśniętym sercem.

Wysłuchał jej tyrady z kamienną twarzą, nieruchomy jak głaz. Ich ciała niemal się stykały. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią tymi swoimi niemal skutymi lodem oczami, w których jednak coś płonęło. Rozdygotane ze złości serce chciało się wyrwać z jej piersi, jakby próbowało ją zbesztać za słowa, które wypowiedziała. Walczyła o zachowanie pozorów opanowania, dobrze wiedząc, że każdą oznakę słabości Caine natychmiast odczyta jako sygnał do ataku.

Wyciągnął powoli rękę i szeroką dłonią objął jej kark niemal jak kochanek. Morana znieruchomiła, zdjeta nagłym przerażeniem. Co, jeśli to nie był blef? A ona, głupia, obudziła w nim bestię? Mógłby zabić ją jednym palcem w tej ciemnej uliczce i pozbyć się ciała, nikt by się nie dowiedział.

Przytrzymując jej odchyloną głowę, zaczął pieścić szorstkim kciukiem delikatną skórę w okolicy szczęki. Mimowolnie zadrżała pod jego jastrzębim spojrzeniem, a on momentalnie to wychwycił. Jego usta wygięły się lekko w ponurym uśmiechu, wydobywając spod zarostu niewielką bliznę w kąciuku. Zatrzymał kciuk na jej tętnicy szyjnej i jak na zawołanie jej serce zaczęło pompować jeszcze więcej krwi. Więcej, szybciej, mocniej. Zacisnęła usta.

– Serce bije ci potwornie szybko jak na tak nieustraszoną ósóbkę – wyszeptał, owiewając jej twarz lekką wonią szkockiej przemieszanej z wodą kolońską i piżmowym zapachem potu.

Skupiła uwagę na błękitnych obwódkach jego oczu pod długimi rzęsami. Pojedynczym mrugnięciem dał jej znać, że nic nie uszło

jego uwadze.

Nachylił się nad nią groźnie, cedząc oschłe słowa.

– Ostrzegałem, żeby ci się nie zdawało, że mnie choć trochę znasz.

– A ja ostrzegałam, żeby ci się nie zdawało, że mnie choć trochę przestraszysz – przypomniała mu tym samym tonem.

– Nie myśl – zaczął, a jego wzrok stwardniał – że nie zabiję cię przy pierwszej lepszej okazji.

– W tym rzecz, panie Caine. Ona nigdy się nie nadarzy. – Ściągnawszy łopatki, cofnęła się i uwolniła z jego rąk. Zignorowała mrowienie, jakie poczuła, i zacisnęła zęby. – Musi pan zrozumieć, że to moje miasto, moje terytorium, a pan jest tu nieproszonym gościem. Zabieraj się stąd, zanim wylądujesz w szpitalu z połamanymi gnatami.

Znowu przyszpilił ją wzrokiem. W tej samej chwili podmuch wiatru poderwał jej sukienkę.

– Pewnego dnia, panno Vitalio – odezwał się cicho – z największą rozkoszą odbiorę swój dług.

Nachylił się do jej ucha, muskając szorstkim zarostem delikatną skórę. Zacisnęła pięści, by opanować dreszcz.

– I wiesz co? Z przyjemnością go splącisz.

Ze wszystkich...

Ale zanim zdążyła otworzyć usta, odwrócił się na pięcie i pomaszerował do auta, przy którym czekała już jego świta, zostawiając ją samą w ciemnej uliczce.

– Zabieramy się stąd – rzucił do swoich ludzi, pospiesznie wsiadając.

To jeszcze nie koniec. O nie.

Tylko czemu się tu na nią zasadzili? Jeśli chodziło o kod, czemu odjechali bez słowa? A jeśli nie, to po co to wszystko?

Czego, do diabła, ten człowiek od niej chciał?

I czemu ubzdurał sobie, że ma u niego niby-dług? Wciąż był dla niej jak księga zapisana niewidzialnym atramentem, nad którą nie miała najmniejszej ochoty ślęczyć. Co to to nie. Chciała ją spalić, a popioły rozsypać na wietrze. Powyrywać kartki i rozpuścić je w deszczu.

Ale w blasku rozdzierającej niebo błyskawicy raz jeszcze ujrzała jego oczy wpatrujące się w nią z oddali, a w nich dostrzegła ten dziwny płomień.

Z sercem trzepocącymi w piersi jak dziki ptak wrywający się na wolność, na ułamek sekundy zobaczyła w nich jego prawdziwe oblicze.

Drapieżnika w ludzkiej skórze.

I w głębi duszy wiedziała jedno.

To jeszcze nie koniec.



KREW

Morana jęknęła w ekran laptopa, ignorując skurcz karku. Wypróbowała chyba każdą możliwą kombinację i permutację, ale za każdym razem dochodziła do ściany. Przygryzając wargi, pospiesznie wklepała najnowszy kod i wcisnęła klawisz „escape”, trzymając w duchu kciuki.

Ekran poczerniał.

Znowu.

Do diabła!

Sfrustrowana do granic, walnęła otwartymi dłońmi o biurko i odepchnęła się od niego wraz z krzesłem. Wstała, podeszła do okna i ściągnęła okulary z pulsujących skroni. Dochodziła północ, a ona nadal niczego konstruktywnego nie wymyśliła. Choć to nie było jedyne źródło jej frustracji. Przed dwoma dniami umówiła się z ojcem na rozmowę, ale gdy tylko wróciła do domu po kolejnej awanturze z Tristanem Caine’em, jeden z jego ludzi poinformował ją, że pan Vitano musiał pilnie wyjść i nie wiadomo kiedy wróci. Z jednej strony ulżyło jej, że ta trudna rozmowa się odwlecze, ale z drugiej wolałaby mieć ją już z głowy.

Przez dwa długie dni przetykała narastającą frustrację, nijak nie mogąc się dobić do ojca.

Oliwy do ognia dolewały niechciane myśli o Tristanie Caine, pojawiające się w jej głowie znieczeka i w najmniej odpowiedniej porze. To nie jego reputacja czy wygląd przydrożnego rzezimieszka nie dawały jej spokoju, tylko te płonące oczy. Nigdy nie czuła od nikogo tak wścieklej nienawiści i mechanicznie odpowiadała tym samym.

Zacisnęła zęby, odwracając się do okna i obejmując wzrokiem rozciągający się w dole ciemny ogród. Tuż za nim rósł rozłożysty wiąz, odgradzając jej apartament od podjazdu i ciekawskich oczu gości.

Oświetlony niepełną tarczą księżyca na rozgwieżdżonym niebie dom pogrążony był już we śnie, ciszę tu i tam przerywał tylko szum nocnego wiatru.

Była zmęczona. Tak bardzo zmęczona. Konsekwencje jej bezmyślnych czynów niestrudzenie i tak mocno kołatały do drzwi, że te zapewne lada chwila wypadną z hukiem z zawiasów. Zrezygnowana chciała już tylko jak najszybciej przyznać się ojcu i ponieść karę, jakakolwiek będzie. Niech to się wreszcie skończy, by mogła się skupić na odzyskaniu kodu, zanim wpadnie w niepowołane ręce. O ile ujdzie z życiem, bo straszenie złodzieja zza grobu raczej nie było w jej stylu.

Musiała się przyznać z jeszcze jednego powodu. Synowie Klanu też zainteresowali się zawartością pendrive'a; nie wiedziała tylko, czy Tristan Caine ma go w posiadaniu i rznie głupa, czy też naprawdę go poszukuje.

Ten człowiek był jedną wielką maską. Wielowarstwową cebulą. Jednego dnia pomógł jej uciec przed niechybną śmiercią z rąk Klanu, by chwilę później samemu jej nią grozić. W co on grał? Czy facet, który bez mrugnięcia okiem potrafi nałgać bratu krwi, w ogóle wie, co to szczerłość? A nawet gdyby, nie miała żadnych powodów, by mu ufać.

Ale jej rozmiłowany w graniu adwokata diabła umysł już wskazywał inną, jeszcze groźniejszą możliwość. Jeśli Tristan Caine rzeczywiście mówił prawdę, to by oznaczało, że Jacksona wynajął ktoś inny, ktoś najprawdopodobniej spoza Klanu, skoro Dante i Tristan się od wszystkiego odżegnawali. I jeśli jej poczynania nie zainteresowały samego „Ogara”, co było wysoce wątpliwe, nie wyobrażała sobie, by ktoś od nich miał choćby mgliste pojęcie o jej zdolnościach.

To by z kolei sugerowało jakieś tajemnicze obce działania. A to nigdy nie wróży dobrze. Kto pociągał za te sznurki i skąd tyle o niej wiedział?

Gdy tak stała, wpatrując się w nieruchomą tarczę księżyca, przyszła jej do głowy jeszcze jedna ewentualność. A może to ktoś z jej kręgów? Kto szuka pretekstu do wojny i chce posłużyć się nią jak pionkiem w swojej rozgrywce? W jej rodzinie nie brakowało chętnych do rozprawy z Klanem, ale czy naprawdę znalazłby się śmiałek gotowy targnąć się na jej życie?

Nagle ciszę przerwało wibrowanie telefonu. Aż podskoczyła, a z jej gardła wyrwał się żenujący pisk. Z wałącym jak młotem sercem wzięła głęboki wdech, kręcąc głową. Podeszła do stolika, na którym leżał iPhone, i rzuciła okiem na wyświetlacz. Nieznany numer.

Podniosła telefon z wahaniem i odebrała połączenie.

– Panno Vitano – usłyszała po chwili.

Oszołomiona, wciągnęła powietrze, ignorując przechodzący po plecach dreszcz i trzepoczące w piersi serce. Przymknęła oczy i zeszywniała, przypominając sobie pieszczotliwy dotyk jego szorstkiego kciuka. Nienawidziła się za to. Nienawidziła swojego zdradzieckiego ciała i jego reakcji na ten niski, ochryply głos. Nie mogła znieść, że po raz kolejny tak ją zaskoczył.

Ale była twardą zawodniczką i знаła te gierki od kołyski.

– Kto mówi? – zapytała znudzonym, beznamiętnym tonem.

W słuchawce zapadła pełna napięcia cisza. Usiadła przy biurku i pośpiesznie wklepała numer do wyszukiwarki.

– Dobrze słyszeć panią w dawnej formie – odparował równie beznamiętnym, suchym jak wióry tonem.

Szybkie internetowe śledztwo nie przyniosło żadnych rezultatów. Spryciarz.

– Mówi facet wydzwanający w środku nocy – rzuciła z przekąsem, odpalając namierzanie. – Skąd ma pan mój numer?

Do słuchawki po raz pierwszy wkradła się niepewność.

– Ty naprawdę nie wiesz, z kim rozmawiasz, co?

Arogancki dupek. Ale przebiegły, to pewne. Wpatrując się w postępy namierzania, zupełnie zapomniała o pulsującym w skroniach bólu.

– Dzwonię, bo...

Gdyby głosy były procentami, jego można by porównać do stuletniej whisky, palącej przełyk i wdzierającej się w każdą komórkę ciała. Morana przymknęła oczy, bezwiednie upijając łyk tego

upojnego trunku. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że jak gdyby nigdy nic rozmawia sobie w środku nocy z wrogiem, zachłystując się jego głosem. Co, do diabła, było z nią nie tak?!

Rozłączyła się bez słowa i odłożyła telefon, wypuszczając powietrze. Weź się w garść, dziewczyno. To przecież jakiś absurd. Musiała ukrócić jego zapędy, bo zanim się obejrzy, rzuci ją wilkom na pożarcie.

Z transu wyrwał ją alert skończonego namierzania. Otworzyła oczy.

I wstrzymała oddech z przerażenia.

Dzwoniono z terenu posiadłości. A dokładnie spod jej skrzydła. Co on tu, do cholery, robi?!

Nie namyślając się, skoczyła na równe nogi i wyciągnęła z szuflady jeden z tamtych nieszczęsnych noży, które obrócił przeciwko niej. Z telefonem w drugiej ręce podkrađła się ostrożnie do okna, przy którym jeszcze przed chwilą stała. Wytężając wzrok, wyjrzała przez szybę, próbując dojrzeć go w ciemności.

Telefon znów się rozdzwonił. Przygryzając wargi, odebrała z ociąganiem.

– Nigdy więcej mi tego nie rób – zagroził mrocznym głosem.

Przełknęła ślinę, siłąc się na nonszalancki ton.

– Wybacz, wytyczne musiały mi się gdzieś zapodziać. Czyżbym zraniła twoje przerośnięte ego?

Grobowa cisza.

– Mnie też się to nie uśmiecha, ale dzwonię w interesach.

– Odkąd to Klan robi interesy z córkami wroga?

– Odkąd tworzą kody mogące zniszczyć obie rodziny.

Morana zacisnęła zęby ze złości.

– A ty tu po co? Masz mnie zmiękczyć swoją czarującą osobowością? To trzeba było przysłać Dantego.

Na linii leciały już iskry i miała ochotę po prostu rzucić telefonem.

– Możliwe, ale on nie zrobiłby tego, co ja właśnie zamierzam.

I zanim zdążyła mrugnąć, skurczybyk bezczelnie się rozłączył. Marszcząc brwi, schowała telefon do kieszeni piżamowych szortów i ściskając nóż w dłoni, wyjrzała z niepokojem przez okno.

Dostrzegłszy mignięcie znajomej sylwetki, zmrużyła z niedowierzaniem oczy. Nie ma mowy, żeby udało mu się wdrzeć do rezydencji. Pod nieobecność ojca teren patrolowali dodatkowi ochroniarze. Jeśli podniesie alarm, zjawią się u niej w dwie minuty.

Tristan Caine będzie załatwiony.

Ale odwagi nie można było mu odmówić.

Patrzyła, jak się przemyka, zlewając się z ciemnością. Nigdy nie uda mu się dotrzeć do drzwi niezauważonym. Nigdy.

Tyle że najwyraźniej nie miał wcale zamiaru ich forsować. Z niedowierzaniem patrzyła, jak z imponującą zręcznością podkrada się do muru. Co on chce zrobić, przeskoczyć go?! Gdy trzymając się cienia, odbił w prawo, mignął jej przed oczami jego czarny ubiór. Ostłupiała i ze zdziwienia opadła jej szczeka, gdy wskoczył zwinnie na parapet gabinetu na parterze i zaczął się wspinać po biegnącej wzdłuż okna rynnie.

Wspinał się. On. Się. Wspinał.

Nie wyjdzie z tego żywy, to pewne. Tristan Caine spadnie z tej choleralnej rynny i zostanie z niego mokra plama, a to rozpęta cholerną wojnę. Czy on doszczętnie zwariował? A niech sobie nawet rozwali ten tępą łeb, proszę bardzo, ale czy naprawdę nie mógł wybrać innego miejsca? Musiał popełniać samobójstwo akurat pod jej oknem? Aż zaczęła się modlić, żeby strażnicy wzięli go jednak żywcem.

Choć rozum podpowiadał, by ich zaalarmować, język przykleił się jej do podniebienia. Wpatrywała się w Caine'a jak urzeczona. Musiała niechętnie przyznać, że jak na takiego olbrzyma jest diabelnie wysportowany. Nie znosiła go, ale przecież miała oczy.

Złapał się metalowej poręczy na pierwszym piętrze i zawisł w powietrzu. Po chwili dołączył drugą rękę i podciągnął się na balkon z gracją absolutnie niepasującą do tej jego ciężkiej, przerośniętej muskulatury.

Jego skok zbiegł się w czasie z obchodem strażników kompletnie nieświadomych obecności intruza. Przykucnął bezszelestnie, odprowadzając ich wzrokiem. I to ma być najlepsza ochrona w mieście?! Trzeba natychmiast posłać ich w diabły.

Wyjrzała przez szybę, zachodząc w głowę, jak on zamierza się do niej dostać, skoro od balkonu do jej okna rozciągała się pusta,

pozbawiona punktów zaczepienia ściana.

Gdy myślała, że nic jej już nie zdziwi, wskoczył na poręcz ze zwinnością cyrkowego akrobata i podszedł do samej ściany.

I co teraz, panie przemądrzały?

Rozejrzawszy się kontrolnie, wyjął coś z kieszeni swoich czarnych bojówek i zanim zdążyła pomyśleć „bomba”, rozhuśtał tajemniczy przedmiot i zahaczył go o jej parapet. Po chwili zobaczyła palce jego właściciela. Gdy się podciągnął, dzieliła ich już tylko szyba. *Mission Impossible*, nie ma co. Morana przyglądała się całej akcji z równie ściśniętym żołądkiem jak na seansie kinowym i szumiało jej w uszach, jakby to ona właśnie wspięła się na drugie piętro rezydencji.

Całe szczęście, że miała na sobie nieprześwitującą piżamę.

Wskoczył bezszelestnie do środka. Instynktownie się cofnęła, trzymając nóż na wysokości głowy zgodnie ze wskazówkami swojego instruktora samoobrony. Przekoziółkowawszy, poderwał się na równe nogi jak ninja. Dopiero teraz mogła lepiej się przyjrzeć jego ekwipunkowi: na te gościnne występy wybrał czarną koszulkę z długim rękawem opinającą każde ścięgno i każdy mięsień jego muskularnego torsu oraz luźne bojówki wpuszczone w czarne buty wojskowe. Wisienką na torcie była słuchawka Bluetooth w uchu. Przypominał szturmowca gotowego do zdobycia każdej fortecy. Cóż, powinno jej to schlebiać.

Tyle tylko, że w tej samej chwili uzmysłowiła sobie, że w swoim nocnym wdzianku składającym się z cienkich szortów i luźnej, opadającej na ramię koszulki sama nie wygląda zbyt wyjściowo. O braku stanika nie wspominając.

Na tę myśl poczerwieniała, ale pozycji nie zmieniła, w każdej chwili gotowa wyprowadzić cios. Pod jego intensywnym spojrzeniem poczuła dreszcz, ale szybko go stłumiła, zaciskając palce na rękojeści noża. Nie odrywając od niej wzroku, dotknął słuchawki Bluetooth.

– Jestem w środku. Bez odbioru – szepnął.

Cóż za elokwencja.

Rzuciwszy okiem na jej białą broń, wyraźnie się rozluźnił, jakby wcale nie szukał zaczepki. Ale nie z nią takie numery.

Z doświadczenia wiedziała, że w każdej chwili potrafi błyskawicznie przejść do ataku, i nie zamierzała opuszczać gardy.

Nie odezwał się ani słowem, wpatrywał się w nią tylko tymi swoimi niepokojącymi oczami. Miała świadomość, że chce ją tym wytrącić z równowagi. Poskutkowało, ale nie zamierzała tego po sobie pokazać.

– Ta twoja wspinaczka – zaczęła z tak sztuczną swobodą, że sama miała ochotę przewrócić oczami – tylko ostatecznie dowodzi, kim naprawdę jesteś.

Uniósł pytająco brew.

– Gadem – dokończyła z wymuszonym uśmiechem.

Kącik ust z tą przekłętą blizną drgnął – w przeciwieństwie do jego lodowatych oczu.

– Drapieżką.

– Mania wielkości. – Skinęła głową, ignorując jego zapierające dech w piersi oczy. Gdyby była psem, przewróciłaby się teraz na grzbiet, domagając się masażu ciepłego brzuszka. Ale obecnie bardziej przypominała jego damską wersję. I niech tak zostanie. Skup się, dziewczyno. – Czy twój psychiatra wie, że na nią cierpisz?

Zbliżył się o krok. Momentalnie się usztywniła i zasłoniła nożem.

– Odradzam. Jeden mały krok i wyjdiesz stąd z blizną.

Znieruchomiał i oczy mu zapłonęły.

– I to niby ja mam urojenia.

Morana zacisnęła zęby, powstrzymując się od starego dobrego rozkwaszenia mu nosa. Naprawdę, im szybciej się z tym uporają, tym lepiej.

– Widzę, że masz niezły ubaw, ale przecież nie po to tu jesteś – zaczęła, nie spuszczając z niego oka. – Po coś tu przylazł?

Sztywniejąc, zamrugał, w każdej chwili gotowy do ataku.

– Ty włamałaś się do mojego domu, więc wypadało wyrównać rachunki.

Przygryzła wargi, czekając na ciąg dalszy. Krew pulsowała jej w żyłach, skórę miała rozgrzaną do czerwoności, a tętno przyspieszone. Przyływ adrenaliny, nic więcej. Instynkt samozachowawczy w obliczu zagrożenia. Tak, to by wszystko wyjaśniało.

Przekrzywił głowę, nie spuszczać z niej wzroku. Trzeba przyznać, że w przyćmionym świetle lamp wyglądał jeszcze bardziej zabójczo.

– Jak już wspominałem – zaczął tym upojnym głosem stuletniej whisky, od którego znów zakręciło się jej w głowie. Otrząsnęła się w duchu, skupiając się na jego słowach. – Przychodzę w interesach. Z naszej strony tylko ja i Dante wiemy o kodzie. A z waszej, jak rozumiem, tylko ty?

Nie odpowiedziała, więc sam pociągnął temat.

– Chcemy, żeby tak zostało. Nawet prawdziwa informacja w złych rękach może zamienić się w broń.

Prychnęła, unosząc brwi.

– I ja mam kupić, że jesteście ludźmi honoru? Nawet swoich okłamiacie bez mrugnięcia okiem. No, niech mi pan powie, panie Caine, dlaczego miałabym uwierzyć w choćby jedno pańskie słowo?

Oczy na powrót skuły mu się lodem i zrobił kolejny krok w jej stronę. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy ostrzegawczo machnęła przed sobą nożem.

– Nie baw się tym, bo zrobisz sobie krzywdę – wycedził zimnym tonem, od którego przeszedł ją dreszcz.

Ale zanim miała szansę odparować, ich uszu dobiegł szczęk otwieranej bramy i klakson wjeżdżających aut. O tej porze to mogło oznaczać tylko jedno: ojciec wrócił.

Na tę myśl serce zaczęło jej walić jak młotem, ale twardo nie spuszczała oczu z Caine'a. Jeśli ją tu z nim przyłapią, to ona zapłaci za to życiem.

Westchnęła, czując nadciągającą migrenę.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie ty przejąłeś mój kod?

– Nie przejąłem – powiedział po prostu i jego płonące oczy mówiły jej, że to prawda.

– No dobrze. – Skinęła głową. – Przyjmijmy, że go nie masz. Od tygodni próbuję go znaleźć i zniszczyć, ale wszystko na nic – dodała sfrustrowana na wspomnienie swoich daremnych wysiłków. – Byłam tak zdesperowana, że wdarłam się do twojego domu, na miłość boską! Proszę mi wierzyć, panie Caine, trudno o gorszą współniczkę niż ja.

Zmrużył oczy, przyglądając się jej badawczo.

– Nie tobie to oceniać. Ty wciągnęłaś nas w to bagno i ty nas z niego wyciągniesz.

– Albo? – rzuciła wyzywająco, unosząc brwi. Ręka, w której trzymała nóż, zdążyła jej już ścierpnąć.

Kącik jego ust wystrzelił w górę.

– Albo pomaszeruję na dół i powiem o wszystkim twojemu ojcu.

Morana przewróciła oczami, sprawdzając jego blef.

– Nie zrobisz tego. Przed chwilą nie chciałeś, żeby to się rozeszło. A poza tym sama miałam zamiar mu powiedzieć.

– Doprawdy? – wycedził z taką nonszalancją, że aż się w niej zagotowało.

I zanim miała szansę się wyprostować, złapał ją za nadgarstek, wykręcił jej rękę i obrócił ją wokół własnej osi. Nóż upadł z głuchym brzękiem na podłogę. Zdążyła jeszcze zgąć kolano, ale w ostatniej chwili uciekł przed kopniakiem, łapiąc ją za oba nadgarstki i przyciskając jej plecy do swojej twardej klatki. Próbowwała się wyszarpać, ale złapał ją za włosy i odchylił jej głowę, by go widziała.

– Ostrzegalem, żebyś się tym nie bawiła, bo zrobisz sobie krzywdę – wyszeptał jej prosto do ucha, owiewając gorącym oddechem jej obnażone ramię. Będąc tak blisko, nie mógł nie wyczuć dreszczu, który ją momentalnie przeszedł.

Pierś zaczęła jej falować, ale na dźwięk jego protekcjonalnego tonu tylko zacisnęła zęby. Wiedząc, że ma związane ręce, opanowała nerwy i wycelowała potylicą w jego twarz. W ostatniej chwili się uchylił, rozluźniając uścisk. To wystarczyło. Przykucnęła, podcięła mu nogi i sięgnęła po nóż. Gdy tylko zwałił się na podłogę, usiadła okrakiem na jego piersi, unieruchamiając udami ręce i przykładając mu ostrze do gardła.

Spiorunował ją pozbawionym strachu wzrokiem. Ten człowiek w każdej sytuacji umiał zachować zimną krew.

Nachyliła się nad nim z nienawistnym uśmieszkiem i wysyczała:

– Pewnego dnia wykroję ci serce i zachowam je sobie na pamiątkę, przysięgam.

Myślała, że w odpowiedzi zaciśnie po prostu zęby albo odwzajemni się równie zachęcającą obietnicą, ale nic z tych rzeczy.

Tylko zachichotał.

Serio?

– Zbyt optymistycznie zakładasz, że je mam, kocico.

Ale iskierka rozbawienia w jego oczach zgasła równie szybko, co się pojawiła. Leżał tak pod nią, pożerając ją wzrokiem w nieznośnej ciszy. Między obnażonymi udami czuła wyraźne bicie jego serca, a pod własną koszulką – bezwstydnie sterczące sutki. Z pewnością na skutek szamotaniny, bo przecież nie z powodu nagłej bliskości jego muskularnego ciała. Co to to nie.

Teraz, gdy to ona była górą, kompletnie nie wiedziała, co dalej. Nie mogła siedzieć na nim w nieskończoność, choć pokusa była spora. Nie mogła zaciukać go w swoim własnym domu, choć pokusa znów była spora. Nic nie mogła zrobić. A ten łajdak to wiedział. Stąd ten jego luz.

Zniesmaczona i sfrustrowana podniosła się i stanęła pod oknem.

To do niczego nie prowadziło. Przymknęła oczy i podjąwszy decyzję, odwróciła się do niego. Stał już kilka stóp dalej, wbijając w nią ten swój szatański wzrok.

– Podsumowując, chcesz, żebym trzymała buzię na kłódkę i pomogła ci znaleźć kod i go zniszczyć, tak? – zapytała, siląc się na opanowanie.

– Tak – odparł po prostu.

Skinęła głową.

– Jak się do tego zabierzemy?

– Skutecznie – stwierdził nieznośnym sprzeciwu tonem. – Zobaczymy, dokąd zaprowadzi nas trop.

Kiwnęła głową i wzięła głęboki oddech, zaglądając mu badawczo w oczy.

– Pod jednym warunkiem.

Zegar tykał. Światła zamrugały. Słysząc było tylko ich oddechy.

Nie odzywał się, czekając na ciąg dalszy. Nie wiedzieć czemu w pierwszej chwili się zawahała.

– Współpracuję z Dantem, nie z tobą – wyrzuciła z siebie, przełknąwszy ślinę.

Cisza.

W jego oczach zapłonął dziwny płomień, ale pospiesznie go zgasił. Atmosfera w sypialni momentalnie zgęstniała i teraz można

było ją kroić nożem. Z walącym jak młotem sercem i ściśniętym żołądkiem czekała już tylko, aż sufit zwali się jej na głowę.

Z płonącymi oczami, zaciśniętą szczęką i przerażającą, stężoną maską w miejscu twarzy ruszył ku niej niespiesznym, miarowym krokiem drapieżnika i zatrzymał się dopiero, gdy Morana przyłożyła ostrze noża do jego gardła. Ignorując dotyk chłodnego metalu, oparł rękę na framudze na wysokości jej głowy. Przetykając, popatrzył na nią z góry, owiewając jej twarz oddechem zaprawionym mieszanką potu i zwietrzałej woni wody kolońskiej.

Nagle wolną ręką złapał za ostrze i je ścisnął, odsuwając od gardła. Oniemiała patrzyła, jak ciepłe krople krwi spływają mu po nadgarstku, lądują na jej przegubie i suną dalej, aż do łokcia. Przez cały ten czas ani na chwilę nie odwrócił wzroku, nawet gdy przetykając z trudem, próbowała wyszarpać nóż. Ścisnął go w pięści, pozerając ją nacierającymi, płonącymi oczami.

To był punkt zwrotny, którego wagę jej ciało intuicyjnie pojęło szybciej niż rozgorączkowany mózg. Szum w uszach nie ustępował, trzepotanie serca nie zwolniło, falująca pierś nie opadła. Za to kolana się pod nią ugięły i ze ściśniętym żołądkiem poczuła, jak zniewala ją jakaś nieznaną siłą.

Hipnotyzował ją swoim świdrującym spojrzeniem, od którego nie mogła oderwać oczu.

Nagle puścił nóż i wszystko się skończyło.

– Zgoda. – Jej uszu dobiegł oschły, gardłowy głos. Jego właściciel obszedł ją jak posąg w galerii, nie zaszczycając ani jednym spojrzeniem, i zanim zdążyła otworzyć usta, wyskoczył przez okno.

Nie rzuciła się, by odprowadzić wzrokiem jego zaciemnioną sylwetkę, nie ciekawiło jej, czy miał miękkie lądowanie. Stała jak wryta, nie mogąc złapać tchu.

Serce rozszalało się jej w piersi jak wiosenna burza, płuca rozpaczliwie łykały powietrze, jakby właśnie przebiegła maraton. Cała się trzęsa. Z jej drżących dłoni wypadł na podłogę zakrwawiony nóż.

Popatrzyła nań, jakby przeszył jej własne serce, nie mogła zebrać rozbieganych myśli. Logika już dawno ją opuściła. Zostały tylko doszczętnie sparaliżowane nerwy.

Przeniosła wzrok na swoje zakrwawione, drżące ręce i strużkę krwi biegnącą aż do łokcia. Zupełnie jakby jej ciało zapłakało krwawymi łzami.

Krew jej wroga. Krew znienawidzonego człowieka.

Jego krew.

Jej widok powinien sprawić jej satysfakcję. Spełnienie jej warunków także. I fakt, że zmył się tak bezszelestnie, nie wszczynając dzikiej awantury.

Poruszając się na autopilocie, schyliła się i podniosła nóż. Drżała jak samotny liść na wietrze pod naporem niezrozumiałych, nieznanych jej emocji i jeszcze większej kotłowania myśli. Odwróciła się i wyrzuciła do kosza zakrwawione ostrze, patrząc, jak biała papierowa wyściółka nasiąka niepokojącym szkarłatem.

Przez otwarte okno wdarł się powiew przejmującego wiatru, owiewając jej postrzępione nerwy pod nagą, rozgrzaną skórą.

Wśród tego natłoku emocji brakowało tylko jednej.

Satysfakcji.



OCZEKIWANIE

Dante Maroni: Spotkajmy się dziś o ósmej w Cyanide. Będę czekał w sali dla VIP-ów.

Tak się składało, że Cyanide był najpopularniejszym, tętniącym życiem klubem nocnym w mieście. I tak się składało, że należał do Klanu.

Morana nigdy tam nie była.

Teraz przed oczami stanęły jej pierwsze dyskotekowe migawki, które zobaczyła w telewizji, kiedy miała zaledwie dwanaście lat. W tle hipnotyczne światła, wyginające się ciała i głośnie muzyka – a na pierwszym planie dwoje bohaterów, obściskujących się na środku parkietu w tańcu iście godowym. Wystarczyłoby lekko pchnąć, by ich usta zwały się w nieuchronnym pocałunku. To było pouczające doświadczenie. Dowiedziała się bowiem, że to kompletnie nie dla niej.

Już jako dziecko nauczyła się nie marzyć o tym, co było poza jej zasięgiem. W tamtych czasach bała się wszystkiego – ojca, jego wrogów, siebie samej. I zakazanych owoców, po które mogła sięgnąć, gdyby udało jej się wyrwać z tej bańki. Nocne kluby też ją przerażały, a doniesienia o nieprzytomnych dziewczynach, którym podano pigułkę gwałtu, tylko potęgowały jej strach.

Minęło dziesięć lat i oto stała przed lustrem toaletki, przyglądając się swojemu odbiciu. Jej lśniące kasztanowe włosy sływały miękko na ramiona. Skończyła właśnie wkładać kontakty.

Choć nikt raczej nie pisałby o niej natchnionych sonetów, miała naprawdę ładną, okrągłą twarz, foremne usta, na których lśniła

teraz krwistoczerwona szminka, prosty, acz mały nosek, swego czasu ozdobiony kolczykiem, i piwne, nakrapiane zielenią oczy.

Była dość niziutka i wyposażona w przyzwoity biust, jędrną pupę oraz niewielkie boczki, których nijak nie mogła się pozbyć. Wygładzając asymetryczną szmaragdową sukienkę bez ramiączek, którą wybrała na tę okazję, przekrzywiła głowę, zastanawiając się, czy jest podobna do matki. Bo abstrahując od naturalnego kolorów włosów, nie dostrzegała w sobie ani śladu ojca.

To było premierowe wyjście w tej sukience. Sprezentowała ją sobie na urodziny, nie wiedząc nawet, czy kiedykolwiek będzie miała okazję ją włożyć. Do dziś.

Jej miękki, śliski materiał idealnie opinał jej ciało, podkreślając okrągły biust zerkający nieśmiało spod cieniowanych fałd marszczonego dekoltu. Długość do kolan; krój prosty, z głębokim wycięciem na plecach. Do kompletu wybrała czarne sandały na słupku. Nigdy się tak nie ubierała, no, ale to było w końcu jej pierwsze w życiu wyjście do klubu.

Jeszcze raz przeczytała wiadomość od Dantego i zerknęła na zegarek.

Cyanide był klubem nocnym Klanu w mieście jej ojca. Kompletnie tego nie rozumiała.

Ludzie mówili, że dawno temu ich rodziny zawarły przymierze, ale w pewnym momencie coś się zmieniło i zastąpiła je wrogość. I choć teraz obie strony pały do siebie dziką nienawiścią, zawarto ciche, acz chwiejne porozumienie chroniące pozostałości interesów na wrażliwym terytorium. Jedna awantura i wszystko mogło obrócić się w proch.

Tak więc to zaproszenie ją zaskoczyło, delikatnie mówiąc. Jeśli już, spodziewała się kolejnego placu budowy patrolowanego przez stado rozkrzyczanych ptaszysk. Ale tego typu scenografia była najwyraźniej zarezerwowana dla krwawych rozpraw z płótkami pokroju Jacksona. Co za ulga.

Podczas gdy jej wewnętrzna mała dziewczynka skakała z radości, dorosła kobieta, którą się stała, nie opuszczała gardy. Miejsce niby bezpieczne, bo publiczne, ale to wciąż ich klub i nigdy nic nie wiadomo.

Odwróciwszy się od lustra, sięgnęła po telefon i czarną kopertówkę z berettą i wyszła z sypialni, zamykając za sobą drzwi. Nerwy dopadły ją już na schodach w postaci lekko spotniałych dłoni; oprócz przemykających tu i tam strażników jej przepastne skrzydło wiało pustkami. Zważywszy na niedawne nocne zajścia, trzymanie ochrony i tak było bez sensu.

Potrząsając głową, by zdusić w zarodku te rozmyślania, wyszła z domu i ruszyła do zaparkowanego na ciemnym podjeździe auta. Nagle rozdzwonił się jej telefon.

Ojciec.

– Weź ochronę – rzucił od razu suchym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. Żadnego „dokąd się wybierasz?“, „kiedy wrócisz?“ czy nawet „uważaj na siebie“.

Zesztywniała, przystając w pół kroku, i mimowolnie pobiegła wzrokiem ku drugiemu skrzydłu.

– Nie – odparła tym samym beznamiętnym tonem, jakim rozmawiała z nim od lat, przygryzła wargę i szybko się rozłączyła, żeby nie zdążył nic dodać. Nie żeby spodziewała się po nim większej wylewności, co to to nie. W jego słowniku nie było czegoś takiego jak „dyskusja“. Umiał tylko wydawać polecenia. Co oznaczało, że na bank wysze za nią ogon.

Wsiadła za kółko, przekręciła kluczyk w stacyjce i wyprowadziła swoje ukochane mechaniczne maleństwo z podjazdu. Przejeżdżając przez wysoką bramę, zerknęła we wsteczne lusterko. Tak jak przypuszczała, tuż za nią wytoczył się czarny podrasowany wóz.

Ogarnęło ją coś na kształt poirytowania. Od lat uparcie i skutecznie urywała mu się ze smyczy, ale ojciec ani na chwilę nie dał za wygraną i za każdym razem wysyłał za nią obstawę.

Włączyła się do ruchu, płynnie zmieniła pas i wcisnęła gaz do dechy. Wyprzedzała auto za autem, słysząc klaksony ze wszystkich stron. Jej rozgrzaną od adrenaliny skórę chłodziła zbawienna klima. Wiedziała, że ludzie ojca nie poddadzą się tak łatwo i ruszą za nią w pościg. Wiedziała też, że niczego nie wskórają, bo dopędzenie jej, gdy tego nie chciała, graniczyło z cudem.

To był kolejny powód jej nienawiści.

Bo ojciec nigdy nie tracił okazji, by okazać jej swoją wyższość i to, że ma nad nią władzę. W jego rękach wszyscy byli

marionetkami.

Zacisnęła zęby, gdy jej myśli mimowolnie pobiegły ku Tristanowi Caine'owi. Znowu.

A przecież poprzysięgła sobie, że wymaże z pamięci ów nocny incydent sprzed paru dni.

Bo tamta zboczona cudzą krwią kupka nieszczęść na środku pokoju, która bała się nawet pisnąć, to nie była ona. Morana Vitalio nie zachowuje się jak biedna mała dziewczynka, której rzucono kość, i nie okazuje słabości przed kimkolwiek poza samą sobą. Morana Vitalio nie odsłania usługnie tętnicy szyjnej przed krwiożerczym drapieżnikiem.

Wychowała się wśród rekinów. I nauczyła się nie krwawić.

Ale tym razem krwawiła i właśnie za to nienawidziła go najbardziej. Bo udało mu się ją kompletnie rozbroić. Bo zrobił coś nie do pomyślenia: zmusił do reakcji niegodnej Morany Vitalio. A już najgorsza ze wszystkiego była ulga, którą wtedy poczuła. Ulga, że wreszcie może się na chwilę odstąpić. Chciała o tym jak najszybciej zapomnieć, wymazać z życiorysu.

Skrecając w lewo w stronę klubu, potrząsnęła głową, by pozbyć się tej kotłowanej myśli i skupić wyłącznie na zadaniu – oraz pierwszym w życiu wypadzie do nocnego klubu. Nie żeby zamierzała się spać i obłapiać na parkiecie z jakimś przypadkowym fagasem. Nie, chciała tylko poczuć na skórze feerię świateł, pulsującą w skroniach muzykę, dyskotekowe zapachy w nozdrzach.

Po chwili w dali zamajaczyła potężna, szara bryła dawnego magazynu. Ogromny jasnoblękitny szyld powiedział jej, że dobrze trafiła. Odprawiła pracownika klubu, sama zaparkowała w wyznaczonym miejscu i szybkim krokiem ruszyła ku wysokim metalowym drzwiom, zza których dobiegały stłumione dźwięki muzyki.

Gdy tylko podeszła, umięśniony bramkarz niemal trzykrotnie większy niż ona zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Jego na wpół ukrytą za ciemnymi okularami twarz zdobiła długa szrama. Nigdy nie rozumiała, czemu ludzie noszą wieczorami takie szkła.

– Zaproszenie – rzucił szorstko, ani drgnąwszy.

Morana uniosła brwi.

– Jestem Morana Vitalio, gość Dantego Maroniego.

Z kamienną twarzą otworzył drzwi, wpuszczając ją do środka. Jej uszy z miejsca wypełniła ogłuszająca wrzawa. Wstrzymała oddech, słysząc za sobą trzaśnięcie drzwi. Cichy głos z tyłu głowy przypomniawszy jej, że oto znalazła się sama i bezbronna w paszczy lwa, i ciarki przeszły jej po plecach. Szybko się jednak otrząsnęła i stając w progu, objęła wzrokiem salę.

Utrzymane w błękitnej tonacji chromowane wnętrza niemal ginęły w półmroku mrugających lampek, a rozedrgany od basów parkiet zajmował cały dolny poziom starego magazynu. Na jego lewym skraju znajdował się boks DJ-a, wzdłuż prawej ściany ciągnął się zatłoczony bar, a w kątach stali pilnujący porządku goryle.

Rozejrzawszy się pobieżnie i dostrzegłszy wszechobecne kuse spódniczki, Morana stwierdziła, że w porównaniu z tutejszymi bywalczykami wygląda jak skromna pensjonarka. Materiałem jej sukienki z powodzeniem można by obdzielić co najmniej pięć klubowiczek.

Jej usta wygięły się w szerokim uśmiechu, a oczy rozbłysły. Jak dobrze było wyrwać się domu i tego smutnego życia choćby na krótką chwilę! Wciągnęła powietrze, napawając się mieszanką perfum, wody kolońskiej, potu i procentów. Dała się porwać dudniącym hipnotycznie basom i zaczęła mimowolnie wystukiwać stopą rytm.

To była dla niej kompletna nowość.

Podnosząc wzrok, ujrzała nagle zbliżającego się ku niej z gracją Dantego. Był ubrany w czarny casualowy zestaw z najdroższego butiku, do ust miał przyklejony swój nieodłączny uprzejmy uśmieszek i nie spuszczał z niej swoich czarnych oczu. Rozejrzała się kontrolnie, sprawdzając, czy aby na pewno jest sam. I był, ale to jej nie uspokoiło. Podobnie jak jego czarujący uśmiech.

Wskazał brodą zaplecze, gdzie zapewne mieściła się owa sala dla VIP-ów, i otoczywszy ją opiekuńczo ramieniem, przeprowadził przez gęsty tłum. Niechętnie, bo niechętnie, ale dziękowała mu w duchu za ten gest, zwłaszcza że nachalni klubowi obmacywacze nie próżnowali i już krążyli wokół niej jak muchy.

Gdy dotarli do baru, serce waliło jej jak młotem, a w uszach szumiała adrenalina. Przetykając ślinę, pozwoliła się poprowadzić do wydzielonej sali na jego tyłach, gdzie muzyka nie była już tak głośna.

Jej oczom ukazał się cały zestaw ustawionych wzdłuż ścian pluszowych sof i nastrojowych lamp.

Nagle stanęła jak wryta.

Po prawej stronie jedną z sof zajmował Tristan Caine w eleganckiej marynarce i rozchełstanej śnieżnobiałej koszuli. W tym wydaniu kompletnie nie przypominał tamtego nocnego włamywacza sprzed paru dni. Jedyne, co mu z niego zostało, był dyskretny bandaż na dłoni. Prymityw w szatkach cywilizowanego człowieka.

Obok niego siedziała wysoka olśniewająca piękność o kruczoczarnych włosach w srebrnej lejącej sukience. Jej swobodny język ciała wyraźnie mówił, że łączy ich... serdeczna zażyłość.

Morana pospiesznie odwróciła wzrok, żeby się nie gapić.

Dante zaprowadził ją w przeciwległy, stosunkowo pusty kąt sali i gestem wskazał sofkę. Celowo usiadła twarzą do ściany i plecami do Caine'a. Dante zajął miejsce naprzeciw niej.

Czekała, aż poczuje na sobie palący wzrok tamtego, czekała na pierwszą gęsią skórę – i nic. Jakoś nie wwiercał w nią tych swoich świdrujących oczu. I dobrze.

– Jego obecność to czysty przypadek – zaczął Dante. – Poprosiłaś o rozmowę w cztery oczy, więc nie powiedziałem mu, gdzie się spotykamy. Wpadli tylko na chwilę z Amarą – dodał przepaszającym tonem, zerkając ponuro na scenę za jej plecami. Ciekawe, co mu się w niej tak nie spodobało.

Morana odchrząknęła, ściągając na siebie jego spojrzenie. Zamrugał z uprzejmym zainteresowaniem, niechybnie wyuczonym, i jego czarne oczy momentalnie pojaśniały.

– Możemy skupić się na kodzie?

– Oczywiście. – Skinął głową, rozsiadając się na sofie, gdy przy ich stoliku zmaterializował się kelner. – Napijesz się czegoś?

Lekko skrępowana całą tą sytuacją, potrząsnęła głową, krzyżując kostki i splatając dłonie na podołku, jak na ułożoną pensjonarkę przystało. Nagle poczuła mrowienie na karku. A więc jednak. Gapił się.

Wzięła głęboki oddech i cała zeszywniała, by broń Boże się nie zdradzić.

– Będę z tobą szczery, Morano – odezwał się Dante, kładąc wyciągniętą rękę na oparciu sofy. Koszula się napięła na jego

muskularnej piersi. – Nic do ciebie nie mam. Jeśli nie zaszkożysz mi albo któremuś z moich ludzi, możemy bez przeszkód współpracować.

Morana zmrużyła oczy i skinęła głową.

– I vice versa.

– Świetnie.

Gdy się nachylił, by zerknąć na parkę po drugiej stronie pomieszczenia, jego ciemne włosy zaśniły w świetle niebieskich lamp. Teraz już wiedziała: to na nią patrzył, na tę Amarę. I odniosła wrażenie, że w tym spojrzeniu jest coś więcej niż zwykle uznanie dla kobiecego piękna. Dławiąc ukłucie współczucia, przygryzła wargi.

– Jak już mówiłam panu Caine'owi – wycodziła, wciąż czując na sobie ukradkowy wzrok tamtego – jestem w kropce. Stworzyłam ten kod i zanim zdążyłam zainstalować zabezpieczenia, Jackson wykradł pendrive. Samej nigdy nie uda mi się go odzyskać, a bez tego nijak nie zdołam go zniszczyć.

– Tristan mi wspominał – odparł z nagłą powagą godną najstarszego syna Klanu, na którym ciąży nie lada odpowiedzialność. – Stoimy co prawda po dwóch stronach barykady, ale ten kod może być wyrokiem śmierci dla obu naszych rodzin. A nie stać nas na wojnę w chwili, gdy czyhają na nas obce siły.

– Myślisz, że to ktoś z zewnątrz? – wypowiedziała dręczące ją pytanie, opadając na poduszki pod spojrzeniem czyichś niebieskich oczu.

Dante pokręcił głową.

– Nie sądzę. Raczej ktoś z wewnątrz, kto zna cię na tyle, by wiedzieć, nad czym pracowałaś. – Przerwał na chwilę. – Nie mogę też wykluczyć kogoś od nas, skoro chcieli zrobić Tristana.

– Po co ktoś miałby go wrabiać? – dopytała z zaciekawieniem.

Siedzący przed nią mężczyzna wzruszył ramionami z posępną miną.

– Powodów może być mnóstwo. Zazdrość o jego umiejętności, o względy u mojego ojca. Proszę mi wierzyć, w samym Klanie znalazłoby się wielu, którzy z radością by się go pozbyli.

Ścisnęło ją w żołądku na wspomnienie tego, z jaką łatwością Caine okłamał swojego brata krwi. Może to jednak on za tym wszystkim stał, a teatrzyk z Jacksonem był tylko zasłoną dymną.

– Przejrzeliśmy wszystkie transakcje Millera – odezwał się Dante, wyrывая ją z zamyślenia.

Ściągnęła brwi.

– Już mówiłam, prowadzą do Caine'a.

– Owszem, ale gdy się im bliżej przyjrzeć, sprawiają wrażenie... wyrwanych z kontekstu – poinformował ją. – Obecnie sprawdzamy je od góry do dołu, ale ponieważ to twoja specjalność, może miałabyś ochotę nam pomóc?

Dziwne to całe przymierze, ale mimo wszystko skinęła głową, wyciągając dłoń po pendrive'a, który jej wręczył.

– Tu są wszystkie dane, jakie udało nam się dotychczas zebrać.

Schowwała kostkę bezpiecznie do torebki i oboje wstali.

– Dam znać, jeśli coś znajdę – powiedziała cicho, odwdzięczając mu się za uprzejmość.

Dante Maroni przekrzywił lekko głowę, uważnie się jej przyglądając.

– Mogę zapytać, dlaczego nie chcesz współpracować z Tristanem?

Uniosła brew.

– Mogę zapytać, co łączy cię z Amarą?

Stojący przed nią uprzejmy mężczyzna momentalnie zeszywniał i pod jego kulturalną maską dostrzegła błysk gniewu. Zacisnął usta, przypominając jej, że do grzecznych chłopców to on nie należy. To w końcu krew z krwi „Ogara” Maroniego. Obrzucił ją zimnym spojrzeniem i jego oczy znów powędrowały do tamtej. Po chwili na jego ustach zatańczył cień uśmiechu.

– Odwagę od lekkomyślności dzieli cienka granica – odparł cicho, rozglądając się czujnie. – Zapamiętaj to sobie.

Morana się uśmiechnęła. Czyli trafiła w czuły punkt.

– Ty również – odparła tym samym tonem i odwróciła się na pięcie do wyjścia, nikogo nie zaszczycając spojrzeniem. Oczywiście czuła, jak ów „nikt” odprowadza ją wzrokiem, Przełknęła ślinę, gdy kropelka potu spłynęła jej między piersi, ale zatrzymała się dopiero przy barze.

Spragniona, oparła się o ladę, próbując ściągnąć wzrok któregoś z uwijających się za nią barmanów w identycznych czarnych koszulach.

Jeden z nich, na oko trzydziestoparoletni, spojrział na nią momentalnie złowaciałym wzrokiem. Zmarszczyła brwi, kompletnie zbita z tropu.

– Co podać? – zapytał, przekrzykując muzykę.

Dostrzegła w jego oczach „ten” bezczelny błysk i dreszcz przebiegł jej po plecach. To może jednak podziękuje za alkohol.

– Sok pomarańczowy.

Gdy się odwrócił, zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć, skąd go zna. Pustka. Ale może po prostu rozpoznał w niej córkę wroga.

Sięgnęła z westchnieniem po szklaneczkę, którą jej podsunął, odwróciła się w stronę parkietu i jednym haustem wypila niemal całą jej orzeźwiającą zawartość.

– Anton, jack daniel’s z lodem, razy raz. – Z lewej dobiegł ją głos stuletniej whisky i grzechu. Przełknęła głośno, ale ani drgnęła, zaciskając zęby i palce na szklaneczce, ze wzrokiem przyklejonym do wyginających się na parkiecie ciał.

Czuła na sobie jego spojrzenie, ale nawet się nie odwróciła. Niespiesznie sącząc resztkę soku, stała nieruchomo jak posąg, boleśnie świadoma bliskości jego twardego, muskularnego ciała. Jego właściciel jakby jej nie zauważył. No i bardzo dobrze.

Powinna natychmiast się stąd ulotnić. Odstawić szklaneczkę i wyjść bez słowa, spojrzenia czy najmniejszego gestu. Ale z jakiegoś niepojętego powodu to ich spotkanie przy barze zamieniło się w kolejny pojedynek woli, w którym ten, kto zrobi pierwszy ruch, automatycznie przegrywa. I niech ją diabli porwą, jeśli to ona się złamie.

Spowita szczelnym kokonem muzyki, słyszała tylko przyspieszone bicie swojego serca i rozedrganego pulsu. I stała tak, obserwując tańczących niewidzącym wzrokiem. Przez tę bańkę przebijała się tylko nachalna obecność drugiego nieruchomego jak posąg ciała. To wystarczyło.

– Morana Vitalio? – zapytał czyjś damski głos.

W jednej chwili bańka prysła. Trzepocząc lekkimi nagle powiekami, odwróciła się w stronę, skąd dobiegł, i ujrzała kruczowłosą towarzyszkę Caine’a, wpatrującą się w nią najosobliwszymi zielonymi oczami, jakie kiedykolwiek widziała. W tej

szalowej kiecce opinającej apetyczne krągłości i z burzą lśniących czarnych włosów, z bliska robiła jeszcze większe wrażenie.

– Tak – odparła ostrożnie, kompletnie zbita z tropu. Czemu akurat ona ją zaczepiła?

W ciemnozielonych oczach Amary błysnęło coś na kształt współczucia. Ale zanim Morana miała szansę otworzyć usta, tamta rzuciła spojrzenie stojącemu za nią Tristanowi, pokręciła głową i odwróciła się na pięcie. Kompletnie zdezorientowana, Morana odprowadziła ją osłupiałym wzrokiem, zawzięcie mrugając. Co to, do diabła, było?

Nie odwracając się do niego, dopiła drinka.

I zakolysała się, niemal tracąc równowagę.

Co, do stu piorunów?...

Zajrzała w pustą szklaneczkę, ale zobaczyła tylko mroczki przed oczami.

Ktoś dosypał jej czegoś do soku? Tamten dziwny barman?

Nie. Nie. Nie. To się nie działo. Nie tu, nie teraz.

Potrząsając głową, aby wytrzeźwieć, odkleiła się od baru.

Tylko po to, by przy pierwszym kroku prawie się przewrócić.

W ostatniej chwili złapały ją za ramiona czyjeś silne, szorstkie ręce.

Język jej spuchł, a świat zawirował przed oczami. Nogi miała jak z waty, cała się trzęsała, muzyka boleśnie dudniła w jej czaszce. Zamrugła, jej powieki robiły się coraz cięższe. Wtedy padł na nią blady strach: jeśli tu zemdleje, odkryją, kim jest, i żywa stąd nie wyjdzie. Ocucona tą myślą, poczuła, jak mocarne dłonie odwracają ją, i osuwając się na bar, zatonęła w błękicie jego oczu.

Zanim odpłynęła, zdążył jeszcze unieść jej brodę, próbując utrzymać kontakt wzrokowy.

– Kurwa!

Jego wściekłe warknięcie na chwilę ją ocuciło – ale niemal natychmiast się zachwiała pod ciężarem jego nienawistnego spojrzenia. Wiedziała, że na nią patrzy, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób. Czy od samego początku tak to wyglądało? Stąd to mrowienie skóry?

Oddech uwiązał jej w gardle, gdy uświadomiła sobie, że nikt nigdy nie pałał do niej taką nienawiścią jak ten człowiek. Próbowwała

otworzyć usta i zapytać wprost, skąd ta wzdarda, ale wargi odmawiały jej posłuszeństwa.

Zadarł jej brodę, zmuszając, by spojrzała w te jego płonące oczy. Walcząc z ciężkimi powiekami, czuła tylko jego palący dotyk i przyspieszone bicie swego spanikowanego serca.

– Nie mam zamiaru kolejny raz cię ratować – wycedził przez zaciśnięte zęby, zły jak diabli. Wolną ręką wyszarpał z kieszeni telefon, a ją na widok bandaża ścisnęło w żołądku. – Dante – rzucił do słuchawki napiętym, lecz opanowanym głosem. – Dosypali jej coś do drinka.

Zapadła cisza, gdy Dante coś mówił, a potem Morana usłyszała:

– Nie będę bawił się w żadną niańkę. Amara jej przypilnuje.

Zanim zdążyła przełknąć gulę w gardle, zakipiła ze złości – złości, że znalazła się na jego łasce, złości na jego zimną obojętność, na drania, który doprawił jej drinka, złości na całą tę sytuację. Trzymając ją pod rękę, zaciągnął ją z powrotem do salki dla VIP-ów. Z tak bliska dosłownie czuła, jak sam trzęsie się z wściekłości, i zadrżała. Znali się co prawda bardzo krótko, ale jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie.

Co się, do diabła, stało? Co się dzieje? Choć zamieniła się w szmacianką lalkę w jego rękach, jej mózg pracował na przyspieszonych obrotach.

Podeszła do nich ta zmartwiona piękność w srebrnej sukni, Amara.

– Co się stało?

– Nie wiem i nie interesuje mnie to – odparował ostry głos u jej boku. – Muszę lecieć.

I puścił ją, jakby jej dotyk palił mu skórę.

Kolana momentalnie się pod nią ugięły i osunęła się na pluszowe poduszki. Odprowadziła zamglonym wzrokiem jego szerokie plecy. Choć w tym momencie nie była w stanie kiwnąć palcem, miała ochotę po prostu rozkwasić mu nos.

Amara usiadła obok niej i westchnąwszy, zaczęła kojąco masować jej plecy.

– Przepraszam za niego – powiedziała, wlepiając w nią swoje ciepłe zielone oczy.

Morana zamrugnęła nieprzytomnie, przełykając z trudem ślinę. Jej oddech stał się płytki, a pulsowanie w skroniach zwiastowało najgorsze. I rzeczywiście: już po chwili zobaczyła tamte złowróżbne mroczki przed oczami.

– Musisz go zrozumieć...

O, bardzo by chciała. Z jakiegoś pokręconego powodu naprawdę chciała poznać korzenie jego cholernej nienawiści. Głos Amary zaczął odpywać, ołowiane rzęsy przykleiły się jej do policzków i wreszcie opadła bezwładnie na poduszki, nie wiedząc, czy się jeszcze obudzi.



OGON

Z niebytu wyrwało ją szarpnięcie.

Zdezorientowana, uniosła ciężkie powieki. Przed jej piekącymi oczami mignęły pędzące na tle nocnego nieba drzewa. Sekundę wcześniej usłyszała znajomy pomruk silnika i poczuła równie znajomą woń odświeżacza powietrza i miękki dotyk skórzanej tapicerki.

Zawzięcie mrugając, usiadła prosto i od razu zakręciło się jej w głowie, a tępy ból w skroniach dał o sobie znać ze zdwojoną siłą.

Rozejrzała się: kremowy zamsz, breloczek z miniaturową spluwą i okularami na lusterku, najnowszy kryminał w parze z jej dzisiejszą czarną kopertówką na konsoli.

Była w swoim aucie.

A za kółkiem siedziała jakaś kobieta w srebrnej sukience, raz po raz zerkająca na nią zmartwionymi zielonymi oczami. Chyba już gdzieś ją widziała...

– Jak się czujesz? – wychrypiąta cichym, kojącym głosem.

Było w niej coś zdecydowanie znajomego. Morana potrząsnęła na otrzeźwienie głową, taksując kobietę wzrokiem w poszukiwaniu ukrytej broni. Jak się czuje? Dobre pytanie.

– Jak pijana – wybąkała, ściągając brwi. – Kim jesteś?

W oczach kobiety pojawił się błysk niepokoju.

– Amara. Poznałyśmy się przed godziną. W klubie. Nie pamiętasz?

Teraz, gdy o tym wspomniała, elementy układanki zaczęły się powoli do siebie pasować. Spotkanie z Dantem. Pendrive w torebce. Dziwny barman. Kobieta przy barze. I...

Zacisnęła szczękę, wszystko sobie przypominając, i krew zawrzała jej w żyłach. Bo wraz z pamięcią wróciła dzika złość, która prawie nią zatrzęsała. Zwinęła dłonie w pięści, by czegoś nie rozwalić.

Wzięła głęboki wdech na uspokojenie i przyspiliła dziewczynę wzrokiem.

– Co robisz w moim aucie?

Amara zerknęła na nią i pospiesznie wbiła oczy z powrotem w opustoszałą szosę.

– Gdy straciłaś przytomność, zrobiło się trochę niebezpiecznie – odparła kojąco, ale nieco zachrypłym głosem. – Więc cię stamtąd zabrałam.

Morana zmrużyła podejrzliwie oczy, próbując wybadać, czy tamta czegoś nie ukrywa.

– Z dobroci serca?

– Powiedzmy – przytaknęła dziewczyna. – Ale głównie na prośbę Tristana.

Okej.

Gdy tylko te słowa dotarły do mózgu Morany, serce zabiło jej szybciej. Otworzyła usta, ale Amara ponownie się odezwała tym swoim zachrypłym głosem.

– Jedzie za nami.

Że co?!

Odwróciła się gwałtownie, wlepiając wzrok w pustą szosę za nimi. I rzeczywiście: ciemność przecinały jasne reflektory samotnego czarnego SUV-a. I jeszcze coś: jeśli się nie myli, dopiero co ruszyli spod klubu, a do rezydencji było dobrych kilka mil.

– Co z tym człowiekiem jest nie tak? – mruknęła do siebie, kompletnie go nie ogarniając. Wiedziała jedno: ręce aż ją świerzbiły, by mu przywalić. Zacisnęła zęby.

– Nie mnie o tym mówić – odparła Amara, ściągając na siebie uwagę Morany.

– Ale coś chciałaś mi powiedzieć – pociągnęła ją za język. – To znaczy zanim odpłynęłam.

Tamta zacisnęła usta. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Morana westchnęła z rezygnacją.

– Jesteś z rodziny? – zapytała z zerkaniem ciekawością.

Usta Amary wygięły się w lekkim uśmiechu i pokręciła głową.

– Technicznie nie – odparła. – Moja matka była gosposią u Maronich – doprecyzowała po chwili. – Wychowałam się z ich synami, ale do rodziny nigdy nie należałam.

– Adoptowali cię? – dopytywała zaciekawiona Morana.

Amara znów pokręciła głową.

– Nie. Jedynym adopcyjnym dzieckiem był Tristan.

Morana przyjrzała się jej z osobliwie ciężkim sercem.

– Ale jesteś z nimi blisko?

Amara zerknęła na nią chłodnym wzrokiem.

– Owszem. Ale jeśli myślisz, że wyciągniesz ze mnie jakieś sekrety, to grubo się mylisz. Nie pisnęłam słowa, gdy miałam piętnaście lat, nie pisnę i teraz.

Morana uniosła brwi.

– Piętnaście?

Amara zacisnęła usta – oraz palce na kierownicy – by po chwili westchnąć.

– Zostałam kiedyś porwana przez rywalizujący gang. Próbowali coś ze mnie wyciągnąć, a gdy się opierałam, uszkodzili mi struny głosowe.

Morana popatrzyła na nią ze współczuciem, ale i nieskrywanym podziwem. Piętnastolatka, która postawiła się gangsterom, to ewenement na skalę światową. Morana świetnie знаła cenę niezależności w półświatku i choć ta kobieta należała do obozu wroga, w duchu szanowała ją za jej siłę.

– Chłopaki odnaleźli mnie po trzech dniach. Dante odwiózł mnie do domu, a Tristan został, żeby „posprzątać” – ciągnęła niskim głosem. – Strasznie się wściekli. Nie tylko dlatego, że byłam od nich, ale przede wszystkim dlatego, że przemoc wobec kobiet jest dla nich nie do przyjęcia. Obaj zawsze bezwzględnie chronili kobiety i dzieci. I dlatego to, co się dziś stało, było tak niecodzienne.

Przetrawiwszy tę lawinę informacji, Morana prychnęła z powątpiewaniem.

– Chcesz powiedzieć, że Tristan Caine nie jest na co dzień dupkiem?

– Och, jest – potwierdziła bez mrugnięcia okiem Amara. – Ale honorowym. A dzisiejsze zajście obok honoru nawet nie stało.

To dlatego teraz je eskortował? Z jakiegoś pokręconego poczucia honoru?

Nie wierzę w to.

On coś ukrywał. Na pewno. Pytanie tylko co.

– Nie próbuję go bronić czy tłumaczyć, bo... Zresztą, powinnaś usłyszeć to z jego ust.

Amara rzeczywiście umiała trzymać język za zębami, a jej lojalność była doprawdy godna podziwu. Ale tego Morana oczywiście nie dała po sobie poznać.

– To co chciałaś mi powiedzieć? – zapytała, unosząc brwi.

Amara rzuciła na nią okiem.

– Facet, który doprowadził ci drinka, klubowy barman, pracował dla rodziny od dwudziestu lat. Tristan zostawił cię pod moją opieką i poszedł się z nim rozprawić. Zrobiło się... gorąco. Więc wrócił, zaniósł cię do auta i kazał mi odwieźć cię do domu. Ale mamy eskortę. Więcej powiedzieć nie mogę, myśl sobie o tym, co chcesz.

W tym sęk: Morana nie miała zielonego pojęcia, co o nim myśleć.

Z trzepoczącym w piersi sercem, odwróciła się do szyby, zdając sobie sprawę, że już prawie są na miejscu. Nie mogła wracać do domu. Nie na wpół przytomna. Jak zna życie, ojciec z miejsca ją do siebie wezwie, bo przecież urwała się obstawie. Nie. Nie mogła wracać. Jeszcze nie. Najpierw musiała jako tako dojść do siebie.

Przełknąwszy ślinę, wzięła głęboki oddech.

– Zatrzymaj się, proszę.

Amara rzuciła jej zaskoczone spojrzenie.

– Czemu?

Morana uniosła brwi.

– Bo to moje auto i sama poprowadzę.

– Jesteś na dragach – przypomniała jej Amara.

– Już mi przeszło, a poza tym to tylko parę mil – upierała się Morana.

Amara zwolniła, ale się nie zatrzymała. Jej wahanie dosłownie zawisło w powietrzu.

– Zatrzymaj się. – Tym razem to było żądanie.

Amara przygryzła wargi, zjechała na puste pobocze i zgasiła silnik. W jednej chwili auto spowiała martwa, niemal upiorna cisza.

Nawet przydrożne drzewa znieruchomiały jak marmurowe posągi. Morana opanowała nagły dreszcz i uśmiechnęła się do swojej towarzyszki.

– Dziękuję – powiedziała szczerze. – Przede wszystkim za opiekę nad moimi „zwłokami”. Nigdy nie zapomnę twojej dobroci.

Amara odwzajemniła uśmiech, odpinając pasy.

– Wiem, jak się czuje samotna kobieta w jaskini wroga, i nikomu bym tego nie życzyła. Nie dziękuj. Może kiedyś to ja będę potrzebowała pomocy.

Morana skinęła głową, czując prawdziwą nić porozumienia z tą dziewczyną. W innym świecie, w innym życiu, mogłyby się nawet zaprzyjaźnić.

Ale ten świat, to życie, rządziły się swoimi prawami.

I królowała w nich samotność.

Dlatego też wysiadła z auta i stanęła na chwiejnych nogach w bladym świetle księżyca, smagana podmuchami przenikliwego wiatru. Abstrahując od lekkiej ociążałości, wszystko było raczej w porządku. Gdy obeszła maskę, śledzący je czarny SUV wyhamował parę metrów od nich.

Skinęła głową wysiadającej Amarze.

– Trzymaj się, Morano – rzuciła kobieta na odchodne, ruszając do drugiego wozu. Na dźwięk jej zachrypłego, niskiego głosu Moranie ścisnęło się serce. – Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy. W weselszych okolicznościach.

– Ja też – wyszeptała Morana, odprowadzając wzrokiem jej srebrną sukienkę.

Nie rzuciwszy nawet okiem na SUV-a i jego przyciemniane szyby, Morana wskoczyła za kółko, zapięła pasy i poprawiła lusterko. Widziała, jak Amara wsiada tylnymi drzwiami. SUV ruszył, by po chwili zawrócić i odjechać w kierunku, z którego przyjechał.

To tyle, jeśli chodzi o ogony.

To nie ją eskortował, tylko Amarę.

Morana siedziała bez ruchu, ściskając kierownicę. Musiała to sobie wszystko poukładać. Odetchnąć. W samotności.

A więc ktoś dosypał jej czegoś do drinka. Nic dziwnego, zważywszy na to, kim jest i gdzie zawędrowała. Powinna była zachować większą ostrożność. Ten błąd mógł ją kosztować życie.

Ale nie kosztował. Tristan Caine przetransportował ją w bezpieczne miejsce, zostawił pod dobrą opieką. Musiał doskonale wiedzieć, co robi. A sam, jeśli wierzyć Amarze, wrócił „rozprawić się” z barmanem. Potem zrobiło się „gorąco”, więc zaniósł ją do samochodu i kazał Amarze odwieźć jej „zwłoki” do domu.

Tylko dlaczego?

Nadal była na niego zła jak diabli. I jeszcze bardziej skołowana. Nienawidził jej, nie było co do tego wątpliwości. Nie miała pojęcia dlaczego, ale nienawidził jej z całej duszy.

Mógł po prostu podrzucić ją Amarze i umyć ręce. Zwłaszcza że uprzedził Dantego. A mimo to tego nie zrobił. I nie miała zielonego pojęcia dlaczego. Takie rzeczy robi się z dobroci serca, a to określenie pasowało do Caine’a jak pięść do nosa. Bo najpierw trzeba serce posiadać.

„Zbyt optymistycznie zakładasz, że je mam”.

W takim razie dlaczego? Po co zadał sobie tyle trudu, żeby ją stamtąd wynieść? Bo naruszyła ich terytorium? Bo stara śpiewka o unikaniu wojny? Bo... nic więcej nie przychodziło jej do głowy. Wiedziała, że jest dupkiem, ale nie sądziła, że do tego stopnia, by zostawiać ją pod opieką jakiejś obcej baby. To znaczy jej obcej.

Co ona bredzi?! To śmieszne, przecież zapewnienie jej bezpieczeństwa nie należało do jego obowiązków! Ona sama za siebie odpowiadała. Popełniła błąd i mogła stracić życie, a ten człowiek nie był jej nic winien.

Ale ciekawość przemieszana z czymś jeszcze nie dawała jej spokoju. Chciała odpowiedzi, wyjaśnień, których próżno było od niego oczekiwać, a sama nie potrafiła tego rozgryźć. To ją cholernie frustrowało. Zwykle czytała w ludziach jak w otwartej księdze, ale on był dla niej kompletną zagadką.

Z zamyślenia wyrwał ją ryk nadjeżdżającego auta i mimowolnie zerknęła w lusterko.

Z ciemności wyłoniła się potężna sylwetka czarnego SUV-a.

Serce zamarło jej w piersi, by po chwili przemienić się w młot kowalski. Nie spuszczała oczu z auta, którego kierowca zatrzymał je parę metrów za nią i zgasił silnik.

Siedziała jak na szpilkach, czekając nie wiadomo na co.

Gdzieś wśród gałęzi rozległo się melancholijne pohukiwanie nocnego ptaka i odbiło się echem na pustej szosie. Serce trzepotało jej w piersi jak jego spłoszone skrzydła.

Co, do diabła...?

Nie odrywając oczu od lusterka i wpisując „przyciemniane szyby” na mentalną listę spraw do załatwienia, zaczęła liczyć oddechy, usiłując uspokoić rozdygotane serce. Jak tak dalej pójdzie, lada dzień dostanie zawału.

Jeden oddech.

Dwa.

Trzy.

I nic. Drzwi się nie otworzyły, światła nie zapaliły. Nie odrywała oczu od lusterka.

Nagle naszła ją inna myśl.

A może to wcale nie on?

Zerknęła na blachy – numer się zgadzał – ale kto siedział za kółkiem? Możliwe, że po powrocie do klubu oddał wóz komuś innemu.

Jeśli tak było i ten inny kierowca wiedział, gdzie jej szukać, odpalenie silnika mogło okazać się złym pomysłem. Nawet gdyby wcisnęła gaz do dechy, tamten wóz był większy, szybszy i bez trudu mógłby ją skasować. Woląta nie prowokować jego kierowcy.

Ze ściśniętym żołądkiem otworzyła dyskretnie torebkę, w duchu dziękując Amarze, że szukając kluczyków, zostawiła broń. Pospiesznie ją odbezpieczywszy, zablokowała zamki pod kuloodpornymi szybami i przygryzła wargi, zastanawiając się, co dalej.

Coś mówiło jej, że to nie on. Caine nie krył się ze swoją nienawiścią do niej i taka przyczajka kompletnie nie była w jego stylu. Na tyle zdążyła go poznać.

To był ktoś inny i miał ewidentnie paskudne zamiary. Na sekundę oderwała oczy od lusterka, by zerknąć na telefon. Mogła wezwać ochronę, ale wtedy ojciec dowiedziałby się o jej spotkaniu z Klanem, a tego chciała za wszelką cenę uniknąć. Porozumienie między rodzinami i tak wisiało na cienkim włosku. Nie mogła go narażać, nie przez własną głupotę.

Boże, trzeba było pozwolić Amarze się odwieźć.

Ściągnęła łopatki. Nie. Nie czas teraz na żałowanie decyzji. Było, minęło i nie ma sensu płuć sobie w brodę.

Przełknawszy ślinę, wzięła głęboki wdech. Rzuciła ostatnie spojrzenie nieruchomemu SUV-owi i przekręciła kluczyk.

Silnik się uruchomił.

Z sercem w gardle zacisnęła palce na kierownicy, wrzuciła bieg i wyjechała na szosę. SUV ruszył za nią, złowieszczo trzymając się blisko. Przechodziły ją ciarki, a włoski na karku stawały dęba, ale spróbowała chyba każdej sztuczki, by go zgubić. Na próżno.

Podkarmiony adrenaliną mózg gorączkowo szukał jakiegoś wyjścia, serce waliło jej jak młotem, a w uszach dudniło. Nie będzie ściganą zwierzyną. Nic z tego.

Zaciskając zęby, już miała wcisnąć gaz do dechy, gdy nocną ciszę przerwał nagle ryk kolejnego silnika. Spojrzała w lusterko i zobaczyła pędzący za nimi motocykl. Nie chcąc narażać niewinnego człowieka, zjechała na wolniejszy pas, a SUV natychmiast ustawił się za nią.

Motocykl zbliżył się do nich i gdy już myślała, że po prostu ich wyprzedzi, stało się coś nieoczekiwanego: gwałtownie skręcił, wbijając się między nią a jej niechciany ogon.

Co, do...?

To powinno być hasło przewodnie dzisiejszego wieczoru.

Czy on zwariował? To się mogło skończyć tragedią!

Zjechała na skraj drogi i odwróciła się, odliczając sekundy do kraksy.

Do której nie doszło.

Nagle motocyklista wyciągnął pistolet, drugą ręką z imponującą zręcznością manewrując kierownicą. Nawet się nie zachwiał! Mało tego: w ułamku sekundy wykręcił w miejscu o sto osiemdziesiąt stopni i stanął twarzą w twarz z SUV-em. Osłupiała Morana patrzyła, jak wycelowuje w przednią oponę.

Rozległ się strzał, SUV wpadł w poślizg, zahamował z piskiem opon i stanął.

Motocyklista zatrzymał się przed tą mechaniczną bestią jak przyczajony tygrys.

Nie ściągając czarnego kasku, wymierzył ponownie. Morana zatrzymała wzrok na jego białej koszuli opinającej szerokie plecy,

wpuszczonej w czarne dżinsy. Spod podwiniętych rękawów wзираły tatuaże na muskularnych, żyłastych przedramionach.

Ból pulsował jej w karku, ale ani na sekundę nie oderwała przerażonych oczu od tego niezrozumiałego, milczącego pojedynku.

Wszystko zamarło. SUV. Motocykl. Tajemniczy napastnik. Atmosfera zgęstniała do granic wytrzymałości i wybuch mógł nastąpić dosłownie w każdej chwili.

Jedyną oznaką życia była jej falująca pierś. Kimkolwiek był ten motocyklista, trzymała za niego kciuki. Nieruchomy wyglądał jeszcze groźniej niż w ruchu, jeżeli to w ogóle możliwe.

Kierowca SUV-a podkręcił obroty. Motocyklista ani drgnął.

Nagle, ku jej bezbrzeżnemu zdumieniu, wóz zawrócił i odjechał z piskiem opon, mimo kapcia w przednim kole.

Gdyby dostawała dolara za każde „co, do wszystkich diabłów...?”, byłaby już milionerką.

Dopiero gdy SUV zniknął za zakrętem, motocyklista podjechał do niej. Odwróciła się do kierownicy i ruszyła, a on ją eskortował.

Raz po raz zerknęła przez boczną szybę na ogromne mechaniczne bydlę i dosiadającego je mężczyznę, ale nie ośmieliła się ją opuścić. Może i przepędził potencjalnego zabójcę, ale nawet go nie znała. No i wystarczyło jej wrażeń na jedną noc.

Gdy podniósł rękę do kasku, powędrowała wzrokiem do jego umięśnionych, żyłastych przedramion i na widok mgliście znajomych tatuaży serce zatrzepotało jej w piersi.

Zabandażowaną ręką ściągał kask. Wstrzymała oddech.

Poznała ten niewidoczny z daleka biały bandaż. I tatuaże na muskularnych przedramionach. Kurwa.

Spod kasku wyłoniła się para magnetycznych oczu, a ich właściciel odchylił się swobodnie na potężnym motocyklu z taką samą zręcznością, z jaką wspinał się po ścianie jej domu. Stuknął palcem w Bluetooth w uchu i aż podskoczyła na dźwięk wibracji telefonu.

Tłumiąc przerażony pisk, podniosła go i spojrzała na numer, a potem na niego.

Dzwonił do niej zza tej pancерnej szyby. Naprawdę do niej dzwonił. Wlepiła weń wzrok i po karku spłynęła jej pojedyncza kropla potu, łaskocząc jej skórę.

Wciąż trzymał dłoń przy uchu, ale twardo nie odbierała. Wlepił w nią te hipnotycznie błękitne oczy, od których nie mogła oderwać swoich piwnych. Pojedynek na spojrzenia na środku pustej szosy.

Telefon uparcie dzwonił, ona uparcie go ignorowała, zaciskając palce na kierownicy tak mocno, że aż jej kłykcie pobielwały.

Po paru nieznośnych, ciągnących się w nieskończoność chwilach, wreszcie się złamała, nacisnęła ikonkę zielonej słuchawki i przyłożyła telefon do ucha.

Na dźwięk jego oddechu w słuchawce jej własny przyspieszył, a pierś zafalowała. Nabrał powietrza – koszula się na nim napięła – i wypuścił je głośno, prosto do jej ucha. Jeszcze nigdy nie doświadczyła czegoś takiego. To było jak... pieśczoła na odległość. Chciała to zakończyć, czymkolwiek było, wciąż czując bijącą od niego nienawiść, ale nie była w stanie wykrztusić słowa, nie potrafiła przerwać tej ciężkiej ciszy.

A miała tyle dręczących ją pytań! Dlaczego przyszedł na jej spotkanie z Dantem? Dlaczego teraz zainterweniował? Skąd w ogóle wiedział, gdzie ona jest? Musiał się jej wytłumaczyć, i to natychmiast. W niej też się zagotowało.

Mimo to nie była w stanie oderwać od niego oczu i siedziała za kółkiem jak sparaliżowana.

Jej płytki, łapczywy oddech stopniowo się uspokajał, pogłębiał, synchronizując się z jego rytmem.

To ją zdeprymowało.

Zdeprymowało na tyle, by mrugnąć i wreszcie uciec wzrokiem.

Na tyle, by dodać gazu i odjechać.

Na tyle, by wcisnąć ikonkę czerwonej słuchawki.

Nie pojmowała tego. Nie podobało jej się to. Więc uciekła. W jego obecności zawsze traciła grunt pod nogami, a jej mózg przestawał funkcjonować. Poprzysięgła sobie, że nigdy nie odsłoni się przed tym mężczyzną.

Telefon znów zawibrował i spojrzała w lusterko. Jechał tuż za nią.

Odebrała.

– Mówiłem ci, żebyś nigdy więcej się nie rozłączała – rozbrzmiał groźny głos stuletniej whisky.

Czar momentalnie przysł.

– Nie ma sensu słuchanie czyjś obłeśnego dyszenia – odparowała, przetykając ślinę. Na szczęście głos jej nie zadrżał, choć niewiele brakowało.

Cisza. Ale się nie rozłączył.

A może podziękować mu za interwencję, jak nakazuje grzeczność? Nie, pieprzyć grzeczność.

– Kto był w tym SUV-ie? – zapytała cicho.

– Dowiem się po powrocie – odparł równie przyciszonym głosem, który ledwie się przebijał przez szum powietrza.

Mimowolnie zerknęła w lusterko.

– Nie musisz mnie eskortować – rzuciła sucho.

– Już ci mówiłem, że ja się w dżentelmenerię nie bawię – odparł oschle.

– Więc po co to? – dopytywała.

– Po to, żeby cenne dane z twojej torebki bezpiecznie dotarły na miejsce.

No jasne! Kompletnie zapomniała o „dowodach rzeczowych” od Dantego, rzekomo świadczących przeciwko Tristanowi. Oczywiście, że nie chciał, by wpadły w niepowołane ręce. To by wiele wyjaśniało. Ale miała go już dość jak na jeden wieczór, więc się bezczelnie rozłączyła.

Reszta drogi upłynęła jej w ciszy. Telefon już więcej nie zadzwonił, ale on nadal jej towarzyszył. I to prawie do samej bramy.

Gdy przystanęła, podjechał do bocznej szyby.

Odwróciła wzrok, by nie złapał jej znów w swoje hipnotyczne sidła, ale mrowienie na karku mówiło jej, że pożera ją oczami.

Potrząsnęła na otrzeźwienie głową i wjechała przez otwartą bramę, rozluźniając się, dopiero gdy zawrócił i straciła go z oczu. Minąwszy rozległy trawnik, zaparkowała na swoim miejscu i odetchnęła z ulgą.

Zgasiła silnik i wzięła parę oddechów na ukojenie rozdygotanych nerwów.

Ale nie dane jej było dokończyć relaksu, bo telefon znów się rozdzwonił.

Musi chyba częściej uprawiać jogę.

Odebrała. W słuchawce znów rozległ się jego chrapliwy, niski głos. Przymknęła oczy.

– Jechałem za tobą z jeszcze jednego powodu.

Oddech uwiązał jej w gardle, a serce zatrzepotało w ściśniętej piersi.

– Jakiego?

W słuchawce zapadła krótka cisza i po chwili wycedził lodowatym, ociekającym nienawiścią głosem:

– Tylko ja mam prawo cię zabić, panno Vitalio. Ostatnim, co zobaczysz przed śmiercią, będzie moja twarz. Twoje życie należy do mnie.

I po raz pierwszy w ich krótkiej znajomości to on się rozłączył.



PRZECIĄGANIE LINY

Stojący przy masywnych drzwiach goryle obrzucili ją obojętnym spojrzeniem.

Morana ściągnęła łopatki i zadarła brodę, dziękując w duchu swoim nogom, że w tej krytycznej chwili nie odmówiły jej posłuszeństwa. Pamiątką po doprawionym drinku było już tylko bolesne pulsowanie w skroniach zwiastujące potężną migrenę.

Na ścieżce pod jej stopami tańczyły zimne promienie księżyca, splecione w miłosnym uścisku z ciepłą poświatą ogrodowych latarni, tworząc iście magiczny nastrój. Gdyby była kimś innym, poczułaby się jak w najpiękniejszej bajce pełnej elfów, wróżek i gwiazdowego pyłu.

Ale była, kim była. Wiedziała, że te bajeczne kamienie to tylko iluzja skrywająca hektolitry rozlanej krwi, miraż obliczony na imponowanie gościom i przypominanie wtajemniczonym, że w razie potrzeby jest gdzie ukryć ciało. Te ścieżki były wyłożone nie kamieniami, lecz mrocznymi sekretami, tragicznymi historiami tych, którzy nigdy już stąd nie wyszli.

Po chwili skręciła ku swojemu skrzydłu, jedynemu tutaj miejscu, gdzie naprawdę czuła się jak w domu.

Jeden z wartowników dotknął słuchawki w uchu i zatrzymał ją gestem.

– Szefie? – odezwał się opanowanym tonem, wysłuchując krótkiego polecenia. – Ojciec czeka na panią w gabinecie – poinformował ją.

Bosko.

Przewracając oczami, obeszała masywnego goryla i wmaszerowała do środka, stukając głośno obcasami na marmurowej posadzce. O tej porze światła były już przygaszone, nawet w długim, obwieszonym dziełami sztuki korytarzu prowadzącym do gabinetu ojca. Wzięła się w garść i ruszyła pewnym krokiem na spotkanie z niewiadomą. Doprawdy, po dzisiejszych zajściach nic jej już nie ruszy.

Stanąwszy pod drzwiami, zapukała bez najdrobniejszego ziarna strachu w sercu.

– Wejść – odezwał się zza drzwi ojcowski baryton.

Przekręciła gałkę i weszła do przestronnego gabinetu, nie zaszczycając spojrzeniem przepastnej biblioteki, panoramicznych okien z widokiem na ogród czy nawet bronie leżącej na uporządkowanym biurku. Nie. Przystąpiwszy próg, od razu wbiła wzrok w jego nieufne, czarne oczy i usiadła na krześle naprzeciwko niego.

Cisza.

Milczała hardo, dobrze znając te jego psychologiczne gierki, których nie szczędził nawet własnej córce. Za zamkniętymi oknami huczał wiatr. Z lewej pod ścianą bulgotało ogromne akwarium, a masywny zegar stojący złowieszczo tykał, odmierzając sekundy nieznośnego napięcia.

Tik-tak. Tik-tak.

Cisza.

Patrzyli na siebie w grobowym milczeniu.

Wreszcie ojciec rozparł się w fotelu, nabierając powietrza.

– Byłaś dziś w Cyanide – odezwał się chrapliwym głosem, zużyтым wieloma rozmowami ze swoimi ludźmi. Tylko ze swoimi ludźmi. Rozmowy, jakie odbył z nią, mogła policzyć na palcach jednej ręki. Na przestrzeni całego życia.

Nie tracąc animuszu, uniosła brwi.

– Co tam robiłaś?

Postanowiła grać głupią.

– A co cię interesuje?

Zaciskając szczękę, nachylił się nad biurkiem.

– To lokal Klanu.

Morana poczuła, jak ogarnia ją rozbawienie.

– No i?

– Dobrze wiesz, że nie pojawiajemy się otwarcie na ich terenie, a oni na naszym – stwierdził nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Nie wspominając o tym, że bez zaproszenia nie wyszłabyś stamtąd żywa.

Morana milczała, spokojnie mu się przyglądając.

– Nazwisko – zażądał.

Zero reakcji. Zaklął, uderzając pięścią w stół z płonącym wzrokiem.

– Jesteś moją córką i nie pozwolę ci plamić naszego nazwiska. Mów natychmiast, kto z Klanu wytarł sobie nim gębę.

Zacisnęła usta i pięści przy bokach, próbując opanować złość. Rekin. Jej ojciec był rekinem i w żadnym wypadku nie mógł poczuć krwi, ani kropli. A ona, nauczywszy się nie krwawić, opanowała też techniki ataku.

Jej kamienną maskę ożywił jedynie złośliwy uśmieszek.

– Twoi ludzie trzymali się na dystans, co?

Zacisnęła usta i zmrużył złowroźbnie oczy.

– Masz zachować czystość aż do ślubu. Dobrze to wiesz. Taki jest układ. Jeśli z premedytacją złamiesz mój zakaz...

Morana parsknęła śmiechem.

– Co mi zrobisz?

– To ja wybiorę ci męża – odparował lodowatym tonem. – Pamiętaj o tym.

Zgrzytnęła zębami, gryząc się w język. Rozbiła głowę o tę ścianę już tyle razy, że nie miała najmniejszej ochoty na kolejną powtórkę. Nienawidziła tego świata. Nienawidziła, że każdy jego męski mieszkaniec miał się za boga, a kobiety musiały dostosowywać się do woli swojego pana i władcy. Nie znosiła tego świata. A mimo to był jedyną namiastką domu, jaką знаła. Czasami zastanawiała się, dlaczego jeszcze nie uciekła. Miała pieniądze, zawód i całą resztę, ale z jakiegoś niewiadomego powodu nadal w nim tkwiła. I teraz, po tej aferze z kodem, ostatnie drzwi się zatrzasnęły.

– To wszystko, co chciałeś mi powiedzieć? – Odbiła sztywno piłeczkę, siląc się na opanowanie.

– Ta rozmowa jeszcze się nie zakończyła.

- Wprost przeciwnie.
- Nazwisko!
- Nie podam.

Ich osobliwy pojedynek na spojrzenia przerywało tylko przyspieszone bicie jej serca. Zaczęło ją dopadać zmęczenie, ale była twarda. W końcu wstała i odwróciła się w stronę wyjścia.

– Podwajam twoją ochronę. – Głos ojca ją zatrzymał. – Jeśli znów spróbujesz zerwać się ze smyczy, mają polecenie cię zatrzymać.

W pierwszej chwili aż się zatrzęsała ze złości. Smycz? Nie była jakimś psem, do cholery. Ale jak widać, w jego oczach na miano córki nie zasługiwała.

„Twoje życie należy do mnie”.

Na wspomnienie jego ostatnich słów trybiki w jej mózgu zaczęły się obracać. Wciągnęła powietrze.

– Wysyłasz ich na własne ryzyko, ojczy – poinformowała go chłodno. – Niech któryś tylko mnie tknie, to zastrzelę go jak psa.

– Odpowiedzą ogniem – powiedział po chwili wahania.

Przed oczami stanął jej śmiertelnie poważny wzrok człowieka roszcącego sobie prawo do wyprawienia jej z tego świata i już wiedziała, że nikt inny jej nie zabije.

Wzruszyła ramionami.

– No to zginą.

I zanim zdążył otworzyć usta, wymaszerowała z gabinetu i pospiesznie skręciła do swojego skrzydła. Wpadła do sypialni i zamknęła się na cztery spusty.

Odświeżywszy się i przebrawszy, wyjęła z torebki pendrive i schowała go do szuflady nocnej szafki. Skonana i otumaniona, resztką sił zagrzebała się w miękkiej brązowej pościeli i odwróciła z westchnieniem do okna.

Nie po raz pierwszy na tym łez padole zwałił się na nią nieznośny ciężar kompletnego osamotnienia.

Jej ojciec chciał mieć marionetkę, którą mógłby kontrolować i pokazywać światu. Wiedziała, że z tym małżeństwem nie żartował, ale poprzysięgła sobie nigdy nie wyjść za kogoś takiego jak on. Często się zastanawiała, co lepsze: mieć jego miłość i ją utracić czy nigdy jej nie zakosztować. Pamiętała odrzucenie za odrzuceniem,

których doświadczyła w dzieciństwie, pamiętała złożoną sobie przysięgę, że nigdy więcej na to nie pozwoli, pamiętała, jak wcześniej jej serce skuło się lodem. Wychowywała ją armia niań, które zmieniały się za szybko, by mogła nawiązać z nimi jakąkolwiek więź, i zanim weszła w nastoletniość, wiedziała już, że w tym więzieniu to niemożliwe. Z nikim. Zamknęła się więc w świecie komputerów i to na nie przelała całą miłość. Zgodę na studia wywalczyła tylko dzięki argumentowi, że jej zdolności mogą się kiedyś przydać ojcu. Niechętnie ustąpił, ale przyczepił jej ogon, który skutecznie ograniczał jej kontakty ze światem zewnętrznym. I wtedy poznała Jacksona.

Dupka Jacksona, który doprowadził ją do drugiego dupka, Tristana Caine'a.

Wypuściła głośno powietrze i zamrugła. Kompletnie go nie rozumiała i szczerze mówiąc, nie miała ochoty zrozumieć, ale skoro i tak miała na głowie tego wiecznie wyskakującego z pudełka diabła, wypadałoby go rozgryźć. Dla własnego dobra.

Bo Tristan Caine był dla niej prawdziwą enigmą. Owszem, pałał do niej nienawiścią i gadał od rzeczy, grożąc jej śmiercią, jakby stanowiła jakiś jego łup wojenny, ale tych pogróżek było o wiele za dużo, by w nie uwierzyć. A jeśli rzeczywiście chciał ją zabić, to jej to nie ruszało, przecież mieszkała pod jednym dachem z człowiekiem, który bez mrugnięcia okiem wystawiłby ją do odstrzału.

Nie, to nie jego pogróżki-obietnice śmierci ją martwiły, a czyny. Potrafił w jednej chwili ją odepchnąć, by sekundę później rzucić się jej na ratunek; pociąć sobie dłoń na jej oczach jednego dnia, by nazajutrz pojawić się jak gdyby nigdy nic na jej spotkaniu z Dantem.

Ten facet był jak żywe, rozpędzone wahadło nastrojów. I właśnie to najbardziej ją w nim irytowało, bo nigdy nie wiedziała, która wersja Tristana Caine'a się jej trafi. Wkurzające jak diabli.

„Z nim naprawdę jest coś nie tak”, pomyślała, wpatrując się w okno.

I najwyższa pora dowiedzieć się co.



Następny dzień spędziła na analizowaniu zawartości pendrive'a od Dantego. W gąszczu danych najwięcej było fałszywek w postaci adresów IP, które miały prowadzić do Caine'a, więc albo w przebłysku makiawelicznego geniuszu celowo skierował podejrzenia na siebie, by się następnie oczyścić – czego, znając go, wykluczyć nie mogła – albo rzeczywiście był niewinny.

Wpatrując się w ekran, z niechęcią stwierdziła, że to drugie jest bardziej prawdopodobne. Pytanie tylko, czy na tym kończyła się jego niewinność.

Kręcąc głową, wyjęła telefon i zgodnie z obietnicą zadzwoniła do Dantego. Czekając na połączenie, zatrzymała wzrok na tych kilku promieniach słońca, które przebijały przez gęstwinę targanych wiatrem chmur.

– Morana? – odezwał się niskim głosem po trzecim dzwonku. – Znalazłaś coś? – zapytał, przechodząc od razu do rzeczy. Prawidłowo.

– Tak – odparła, przechodząc pomiędzy otwartymi kartami na ekranie i przyglądając się słupkom danych. – Całą listę adresów IP prowadzących do jakichś magazynów w Tenebrae i tu, w Shadow Port. Ale jeden nijak nie daje się namierzyć i ciągle wyskakuje „error”. Wygląda na wirusa z funkcją samozniszczenia.

– Czyli ten, kto za tym stoi, zna się na komputerach na tyle, by stworzyć i zainstalować takiego wirusa? – zapytał cicho Dante.

Morana wzruszyła ramionami.

– Albo zlecił to Jacksonowi. On też się na tym znał.

Dante westchnął.

– Okej. Zadzwonię do Tenebrae i każę komuś to sprawdzić. Wyślij mi adres.

– Okej.

– Aha – dodał. – Czy mogłabyś się ze mną spotkać i oddać mi tego pendrive'a? Nie chcę ryzykować przecieku, a zależy mi na odszyfrowanych danych.

Morana zmarszczyła brwi.

– No dobrze, ale co dalej?

– Potem pogadamy, bo teraz muszę lecieć.

I z tymi słowy się rozłączył, po czym podesłał jej adres nadbrzeżnego apartamentowca w zachodniej dzielnicy. To pewnie

ich tutejsza meta.

W rekordowym czasie wbiła się w szerokie czarne spodnie z całą masą kieszeni, luźny czerwony top i proste wygodne baleriny, a włosy upięła w szybki kucyk. Do przepastnej czarnej torby wrzuciła broń, pendrive i telefon, wzięła kluczyki, wyszła z domu i skierowała się do bramy.

Gdy tylko dotarła do auta, telefon znów się rozdzwonił. Na widok numeru ojca odrzuciła połączenie i wślizgnęła się za kółko swojego czerwonego mustanga. Ruszyła z piskiem opon. Za nią podążyły dwie „pościgówki”. Super.

Zerknąwszy w lusterko, włączyła się do ruchu i po chwili jak zwykle zmieniała pas, dodając gazu. Korków nie było, więc zwinnie przemykała między autami, starając się zgubić ogon.

Myślała, że jej się udało, ale w połowie drogi zorientowała się, że jeden z dwóch wozów nadal ją śledzi. Przecież nie mogła zaprowadzić ludzi ojca prosto do kryjówki Klanu. Kurwa.

Zaciskając zęby, wyciągnęła telefon i wybierając ostatni numer, przełączyła na tryb głośnomówiący. Po paru sygnałach połączenie zostało odrzucone.

Zerkając w lusterko, nie spuszczała oka z auta, które przyczepiło się do niej jak rzep psiego ogona.

Robiło się gorąco, bo za nędzne pięć minut będzie już na miejscu.

Przełykając gorycz porażki, zwolniła i znów wybrała ten sam numer.

Ciągle nie odbierał.

Z frustracji miała ochotę roztrzaskać iPhone'a, ale zamiast tego wzięła głęboki wdech na uspokojenie. Dante nie odbierał. Okej. Pora na środki ostateczne.

Przejrzała kontakty i odnalazła numer, którego szukała, i zawiesiła kciuk nad zieloną słuchawką. Ale jedno zerknięcie na ogon utwierdziło ją w podjętej decyzji.

Poczuła ucisk w żołądku, a serce zaczęło jej walić jak młotem.

Niepojęte. Podczas konfrontacji z ojcem nawet jej powieka nie drgnęła, a teraz przy pierwszym dzwonku jej ciało momentalnie ożyło. Musiała to rozgryźć, dla własnego zdrowia psychicznego. Ale teraz ważniejsze było zgubienie tego cholernego ogona.

– Panno Vitalio.

Ten głos. Przesycony groźbą i zapachem stuletniej whisky. Przełknęła ślinę, wrywając się z transu.

– Panie Caine – odparła z opanowaniem, skupiając wzrok na szosie. – Jadę właśnie na spotkanie z Dantem, ale nie mogę zgubić ochrony. Pański brat nie odbiera.

W duchu już słyszała jego złośliwe docinki, że oto sama Morana Vitano błaga go o pomoc. Ale zamiast nich usłyszała tylko cichy, poważny głos.

– Dantego zatrzymały ważne sprawy. Mielicie się spotkać pod numerem czterysta sześćdziesiąt dwa...

– Tak – przerwała mu pośpiesznie.

Krótką pauza.

– Zjedź na pobocze i się nie rozłączaj.

Z walącym jak młotem sercem bez słowa wykonała polecenie, zachodząc w głowę, skąd u niej takie posłuszeństwo, i czekała. Po paru chwilach usłyszała za sobą znajomy ryk motocykla. A niech to wszyscy diabli. Czaił się jak drapieżnik gotowy do skoku i wcale jej się to nie podobało.

Nagle niebo przecięła błyskawica i do drogowej kakofonii dołączył pobliski grzmot.

– Jedź – rozkazał głos w słuchawce.

Rzuciwszy okiem w lusterko wsteczne, Morana dostrzegła zbliżający się do niej motocykl. Pospiesznie włączyła się do ruchu. To było jak *déjà vu*. Motocykl znów wślizgnął się zwinnie między oba auta. Widziała, że zwalnia, a samochód za nim gwałtownie hamuje, by uniknąć kolizji.

– Gaz do dechy – rzucił szorstko przez telefon.

Adrenalina zrobiła swoje i tym razem się nie zawahała, wyrwała do przodu przy wtórze wycia wiatru. Tuż przed odbiciem w lewo ostatni raz zerknęła w lusterko i zobaczyła w oddali sylwetkę auta oraz wyprzedzający kolejny wozy motocykl.

Morana skręciła i tuż za mostem dostrzegła wysoką bramę, a za nią strzelisty apartamentowiec na tle ołowianego nieba. Wpuszczona przez ochroniarzy, wjechała na podziemny parking i zgasła silnik.

Gdy tylko wysiadła i zamknęła mustanga, na miejsce obok wtoczył się przerośnięty motocykl z zamaskowanym Caine'em.

Miał na sobie jasnobrązowe bojówki i czarną koszulkę, czyli nie oderwała go od żadnych interesów. Jakoś tak się składało, że na spotkaniach z nią zawsze występował w wersji casualowej.

Jednym zwinnym ruchem zsiadł z motoru i ściągnął kask, kłując w oczy swoją imponującą muskulaturą.

Morana zamrugła.

Nie na widok jego zarostu, włosów czy hipnotycznych oczu, ale wyrazu twarzy. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, dostrzegła na niej cień zadowolenia, co jak na człowieka z jego reputacją było prawdziwym gejzerem emocji. Nie odrywał oczu od motoru, więc doszła do wniosku, że to jazda sprawia mu tyle przyjemności. Nie miała pojęcia, skąd u niej zdumienie tym odkryciem, lecz fakt pozostawał faktem.

Ale gdy tylko na nią spojrział, jak zwykle jego oczy skuł lód, a twarz mu stężała.

Przytrzymała jego wzrok przy wtórze walącego serca i uderzających w dali piorunów. Nie rozumiała samej siebie, nie wiedziała, dlaczego to robi. To było jak gra, kolejny pojedynek woli. Którego żadne z nich nie chciało przegrać, odwracając wzrok.

Na opustoszałym parkingu uderzenia pierwszych kropli deszczu zabrzmiały niczym odgłos gradu pocisków lecących z nieba.

Nagle ciszę przerwał dzwonek jej telefonu i się wzdygnęła.

Dante.

– Tak? – odebrała, przenosząc wzrok z powrotem na opartą o motocykl sylwetkę.

Stał tak i patrzył na nią ze skrzyżowanymi na piersi muskularnymi ramionami. Wystające żyły i tatuaże dodawały im brutalności – jeśli to w ogóle możliwe. W tej pozie dla zwykłego przechodnia wyglądałby na rozluźnionego, ale ona widziała coś zgoła innego: czujny wzrok i naprężone ciało, w każdej chwili gotowe do skoku.

– Przepraszam, zatrzymało mnie coś pilnego. Jesteś już? – zapytał Dante.

– Tak. – Ona też znieruchomiała.

– Super. To oddaj pendrive Tristanowi, jest w apartamencie.

Mężczyzna, o którym mówił Dante, intensywnie się w nią wpatrywał.

– Okej, ale następnym razem ja ustawiam spotkanie – powiedziała, na co Dante przystał i się rozłączył.

Wsunęła telefon do kieszeni, przerywając ich wzrokowy pojedynek, by znaleźć pendrive'a w czeluści torby. Wyjąwszy go, wyciągnęła rękę, nie ruszając się z miejsca.

– Dante kazał mi ci go oddać.

Wyciągnął swoją dłoń. Gdy ich palce się musnęły, przeszedł ją niemal elektryczny dreszcz.

Żadne z nich nie cofnęło ręki. W ułamku sekundy zwarli się w kolejnym pojedynku woli, nie chcąc ustąpić pola drugiemu. Wpatrując się w jego enigmatyczne niebieskie oczy, poczuła, że miękną jej kolana. Jego bliskość uderzała jej do głowy jak wino, ale gdyby nie doświadczyła dotyku jego rozgrzanego ciała, mogłaby pomyśleć, że ma do czynienia z cyborgiem. Zimnym, nieczułym robotem.

Ta myśl była jak kubek zimnej wody.

– Dlaczego mnie nienawidzisz? – zadała mu jedyne pytanie, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi, a które dręczyło ją bardziej, niż była skłonna przyznać.

Jego usta minimalnie się zacisnęły i odwrócił oczy.

Przebiegając wzrokiem szeroki parking, nagle zamarł. Zamrugła, wędrując za jego spojrzeniem.

Ale wszystkim, co widziała, były rzędy zaparkowanych aut, a wszystkim, co słyszała – zacinający deszcz i pioruny w dali.

Nagle palce, które muskały jej opuszki, chwyciły ją za rękę i szarpnęły do przodu. Druga ręka błyskawicznie przykryła jej usta, tłumiąc pisk przerażenia. W mgnieniu oka znalazła się za jednym z filarów, zakneblowana i przyciśnięta doń twardym ciałem Caine'a.

Próbowała ugryźć go w rękę, ale tylko obrzucił ją uciszającym spojrzeniem. Miała ochotę tupnąć nogą ze złości, ale dla swojego dobra niechętnie skinęła głową. Zabrał dłoń i wyrzwał zza filaru, omiatając wzrokiem parking. Gdy przy tej okazji otarł się torsem o jej pierś, oboje wstrzymali oddech. Udała, że tego nie zauważyła, ale gwałtowny skok adrenaliny dał się jej we znaki już po raz drugi w ciągu pół godziny. Podniosła wzrok, próbując...

Ruch.

Wyciągnęła szyję, by się przyjrzeć i przyciśnięty do niej mężczyzna podążył za jej spojrzeniem. Zza jednego z aut wyskoczyło trzech osiłków uzbrojonych w noże i rzuciło się do ataku.

Z walącym sercem osłupiała Morana patrzyła, jak w mgnieniu oka Tristan Caine powala jednego z napastników i zabiera się do drugiego. Trzeci oderwał się od grupy i ruszył prosto na nią. Błyskawicznie doszła do wniosku, że na takiego zbója jej podstawowa znajomość technik samoobrony z pewnością nie wystarczy. Na litość boską, była mózgowcem, a nie zakapiorem. Włączyła więc myślenie i błyskawicznie wyciągnęła broń i ją odbezpieczyła. Bez mrugnięcia okiem przestrelała napastnikowi kolano.

Zawył i upadł, trzymając się na nogę, unieszkodliwiony. Odwróciła się do walczących i obok pierwszego – martwego lub nieprzytomnego – powalonego mężczyzny zobaczyła leżącego na plecach Caine'a i stojącego nad nim agresora. Instynktownie uniosła broń, nie zamierzając nikogo oszczędzać. Wróg na zawsze pozostanie wrogiem.

Ale tylko stała z sercem w gardle i patrzyła na szamotaninę. W pewnej chwili napastnik rzucił Caine'a na ziemię z taką siłą, że jej samej chyba połamałby wszystkie żebra. Ale Tristan jednym szybkim ruchem oplótł nogi wokół szyi przeciwnika i ściągnął go do parteru.

– Dla kogo pracujesz?! – ryknął, przyduszając swoją ofiarę. Pierś mu falowała, ale głos miał lodowaty i opanowany, jakby nawet się nie spocił. – Kto cię przysłał?! – zadał mężczyźnie to samo pytanie, co jej na tamtym nieszczęsnym przyjęciu.

Osiłek splunął na ziemię, kręcąc głową. I wtedy Tristan Caine skręcił mu kark.

Śmierć i mordy nie były jej obce – stanowiły zwykłą część ich świata, tak jak podporządkowanie zamieszkujących go kobiet – więc nie wzdrygnęła się, nie wstrzymała oddechu, nie okazała żadnych emocji. Ale serce znów podeszło jej do gardła, a broń zadrżała jej w dłoniach.

Tristan Caine dźwignął się z ziemi i podszedł do postrzelonego.

– Gadaj albo giń.

Oprych wykrzywił usta w paskudnym uśmiešku.

– I tak zginę.

Caine zadął brodę.

– Ale bolesną lub szybką śmiercią. Wybór należy do ciebie.

Napastnik zemdlął.

Stojąca parę stóp dalej Morana nie mogła przestać na niego patrzeć.

– Lepiej stąd znikaj – polecił jej cicho Caine.

Opuszczając broń, skinęła głową i odwróciła się do auta, wypatrując kolejnych czyhających za samochodami nożowników.

Zrobiwszy parę kroków, podniosła wzrok i znieruchomiła.

Jej mustang stał co prawda tam, gdzie go zostawiła – ale miał poprzebijane opony. Wszystkie. Myślała, że się popłacze. Kupiła to auto za swoją krwawicę. Jej pierwszy samochód. To był jej jedyny przyjaciel, który rozumiał jej pragnienie wolności, towarzysz przygód i wspólnik zbrodni. Nikomu nie pozwalała go dotknąć, a wszelkie naprawy wykonywała samodzielnie, poświęcając mu wolne weekendy. Kochała tego mustanga. A ktoś bezczelnie go zbezczeszczył.

Przed chwilą widziała morderstwo i sama postrzeliła człowieka, ale dopiero teraz poczuła, że się rozkleja, i łzy napłynęły jej do oczu.

A przecież nie mogła okazać słabości, nie przy nim.

Ściągnęła więc łopatki i przełknęła łzy.

– Na pewno masz jakieś zapasowe auto, które mogłabym pożyczyć? – zapytała kompletnie neutralnym tonem.

– Tak, ale nie powinnaś prowadzić w taką nawałnicę.

Na te słowa odwróciła się i napotkała jego błękitne oczy. Z przybrudzonym od ziemi policzkiem nie wyglądał najlepiej.

– Troszczysz się o moje bezpieczeństwo? – zapytała z niedowierzaniem.

Uniósł brwi.

– Boję się o swoje auto.

No tak. To była w stanie zrozumieć. Skinęła głową.

– Więc zadzwonię po taksówkę.

Jego brwi lekko się ściągnęły.

– Taksówki się tu nie zapuszczają.

Jakżeby inaczej. Nasłuchując szalejącej na zewnątrz ulewy, przygryzła wargi i zaczęła główkować, co dalej. Do ojca zadzwonić nie mogła, bo to byłaby katastrofa. Jazda w takich warunkach, przy

praktycznie zerowej widoczności, nie wchodziła w grę. Taksówki też odpadały. Chyba właśnie znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

Nagle ją oświeciło. O nie, tylko nie to.

Podniosła gwałtownie wzrok i momentalnie zatonęła w jego hipnotycznych, władczych oczach. Pod tym jego przeszywającym wzrokiem poczuła się nagle całkiem naga i krew zaszumiała jej w uszach.

Przekrzywił głowę, przyglądając się jej niemal badawczo.

– Wygląda na to, że utknęła pani ze mną, panno Vitalio – stwierdził i serce zatrzepotało jej w piersi.



ZWROT

Chwile.

Zaskakujące, niemal nierealne chwile.

Gdyby kilka tygodni temu ktoś powiedział jej, że spędzi noc w apartamencie przyszywanego syna Klanu, chyba dostałby po głowie. Ale z drugiej strony gdyby usłyszała wtedy, że uda jej się przeniknąć do rezydencji Maronich, też by nie uwierzyła. To samo z obietnicą śmierci z rąk wybawiciela.

Czysta abstrakcja.

Dała się zaprowadzić do windy, nadal nie mogąc uwierzyć, że spędzi noc poza domem, i to w apartamencie Tristana Caine'a. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzały. A mimo to szła pewnym, niezdradzającym wewnętrznego wrzenia krokiem, cały czas czujna. Nie mogła się nadziwić, jak tak wielki mężczyzna może się poruszać z taką gracją, zwłaszcza że widziała go już podczas wspinaczki i motocyklowego rajdu. Zaimponował jej i chyba to było najbardziej irytujące.

Kątem oka zerknęła na swoje zdewastowane auto i znów zakipiała w niej złość przemieszana z żądzą zemsty. Ten, kto to zrobił, jeszcze jej za to zapłaci. I to słono.

Caine w tym czasie wbijał kod do drugiej, najwyraźniej prywatnej windy.

Rzucił jej przelotne spojrzenie, ale nic nie potrafiła z niego odczytać. Czy był zły, że musi wpuścić ją do swojego azylu? Bo ona by była. Ale z drugiej strony nie wahał się wdrzeć w środku nocy do jej sypialni, więc byli kwita.

Rozległ się dzwonek i stalowe drzwi windy się rozsunęły. W środku mogło się spokojnie zmieścić z dziesięć osób. Jak przystało na niedźmielną, Tristan Caine wsiadł pierwszy, odwrócił się i wbił w nią wyczekujące spojrzenie.

Zaintrygowana, acz czujna, wzięła głęboki wdech i dołączyła do niego. Wcisnąwszy jedyny guzik, wprowadził drugi kod i drzwi się zasunęły.

Opadła jej szczeka. Bo oto stanęła przed jednym wielkim lustrem.

Ich spojrzenia momentalnie się spotkały i nie wiedzieć czemu jej serce zabiło szybciej. Wreszcie winda ruszyła.

Stał w kącie, oparty o tylną ścianę ze skrzyżowanymi nogami i rękami, nie odrywając od niej zaniepokojonego wzroku. Po jego zwyczajowej nienawiści nie było śladu.

Znieruchomiła z uniesionymi brwiami, próbując opanować dudnienie krwi w uszach.

„Pomyśl o czymś innym, szybko”, upomniała się. Jazda ciasną lustrzaną windą w krzyżowym ogniu jego spojrzeń – to było stanowczo ponad jej siły.

– Kim byli ci ludzie? – zapytała, siłąc się na opanowanie.

Cisza.

– Nie wiem – odparł po chwili. – Wygląda na to, że ktoś na panią poluje, panno Vitano.

– To znaczy oprócz pana? – prychnęła, przewracając oczami.

Przekrzywił głowę, przyglądając się jej badawczo.

– Nie boi się pani śmierci?

Poczuła, że jej usta wyginają w pozbawionym wesołości uśmiechu.

– Można przywyknąć, gdy na co dzień śpi się z nią pod jednym dachem.

Z walącym jak młotem sercem przytrzymała jego przenikliwy wzrok i atmosfera momentalnie zgęstniała.

– Istotnie – rzucił i w tym momencie drzwi się litościwie rozsunęły, wypuszczając ich z tej klatki.

Gdy tylko zobaczyła jego plecy za progiem, wypuściła powietrze, zdając sobie nagle sprawę, że wstrzymywała je przez całą jazdę. Pokręciła w duchu głową, nie mogąc pojąć reakcji

swojego zdradzieckiego ciała. Zupełnie jakby wybudziło się z wieloletniej śpiączki. Musiała jak najszybciej to wszystko zrozumieć i, co ważniejsze, nauczyć się kontrolować. Bo wpływała oto na nieznane wody i nie miała pojęcia, co czeka za horyzontem. A uczciwość nakazywała przyznać się do strachu, choćby przed samą sobą.

Przełknąwszy ślinę, wysiadła z windy i podążyła za nim, patrząc, jak napinają się jego mięśnie pleców. Okazało się, że winda przywiozła ich prosto do apartamentu. Oczom Morany ukazał się iście zapierający dech w piersi widok.

Zewnętrzna ściana olbrzymiego penthouse'u była cała przeszklona. Caluteńka.

Morana zobaczyła ciemne chmury zasłaniające niebo, panoramę miasta po jednej stronie i przestwór morza po drugiej. Jeszcze nigdy nie widziała czegoś tak pięknego, tak tętniącego życiem. Pożerała wygłodniałymi oczami ten pasjonujący pejzaż za przeszkloną ścianą, ale nie ośmieliła się do niej podejść. Bo znów poczuła na sobie jego palący wzrok, śledzący każdy jej ruch.

Ściągając łopatki, z trudem oderwała wzrok od tych olśniewających widoków i rozejrzała się po wnętrzu.

Choć było bardzo przestronne, sprawiało zaskakująco przytulne wrażenie. Nie spodziewała się obszernego salonu zaopatrzonego w dwa zestawy wypoczynkowe i elektryczny kominek. Niepodzielnie królowały tu szarości, błękity oraz chrom i stal, a jedynym jaskrawym akcentem była wisząca nad kominkiem abstrakcja przedstawiająca splecione w erotycznym tańcu pomarańczowo-czerwone płomienie ognia.

Na ekskluzywnych granatowych chodnikach rozłożonych pomiędzy stalowoszarymi i ciemnoniebieskimi siedziskami na metalowych nogach stały szklane stoły i stoliki, a całości dopełniała czarna marmurowa podłoga poprzecinana kontrastującymi złotymi fugami. Przeszklona ściana rozciągała się od kominka w głębi aż do otwartej kuchni z szerokim stołem na sześć osób i wyspą obstawioną hokerami. Dalej, za czarnymi drzwiami, znajdowały się wachlarzowe schody prowadzące na drugi poziom.

Jej oczy wreszcie odnalazły Tristana – wskazał brodą drzwi w głębi apartamentu.

– Tam jest pokój gościnny, do pani dyspozycji – przemówił głosem, od którego przeszedł ją niekontrolowany dreszcz.

I zanim miała szansę otworzyć usta, odwrócił się na pięcie do windy. Odchodzi? Zostawia ją, kobietę, do której pała dziką nienawiścią, samą w swoim apartamencie? Idiota czy jak?

– Czy to na pewno mądre, zostawiać mnie tu samą? – zapytała z niedowierzaniem. – Na swoim terytorium?

Przystanął, ale w końcu wszedł do windy i gdy się odwrócił, jego twarz zdobiła kamienna maska.

– Niczego wartościowego pani nie ukradnie. Proszę się rozgościć, panno Vitalio.

I drzwi się zasunęły.

Rozdarta pomiędzy niedowierzaniem a jakimś dziwnym, nienazwanym odczuciem, rozejrzała się wokół. Znalazła się na terytorium wroga i nie miała zielonego pojęcia, co dalej. Gdzie są kamery? Z tym „rozgoszczeniem się” to było na serio? Nie wiedziała nawet, skąd jej wahanie, skoro on nic sobie nie robił z jej przestrzeni osobistej.

Z zapiętym tchem wpatrywała się w rozdzielane błyskawicami wieczorne niebo i poczuła ukłucie zazdrości. Tristan Caine miał takie widoki na wyciągnięcie ręki.

Wyrywając się z zamyślenia, ruszyła w stronę pokoju gościnnego, z bliska rzucając okiem na apartament, równie zdumiewający i zagadkowy, co jego właściciel.

Otworzyła drzwi i weszła, rozglądając się po wnętrzu. Było dość skromnie urządzone: wygodne podwójne łóżko, szafa z regałem, okno, toaletka. Westchnąwszy, zaczęła przeczesywać szuflady w poszukiwaniu broni. Nie znalazła jej, więc wzięła się za szafę z nadzieją, że znajdzie coś, w co będzie mogła się przebrać. Bez rezultatu.

Weszła do całkiem sporej łazienki, zaopatrzonej we wszystko, co niezbędne: prysznic, wannę, toaletę.

Bez szaleństw.

Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Z wieczornego relaksu i tak nici. Ale teren wypadałoby poznać. Odświeżyła się lekko i wyszła. Po powrocie do salonu jej wzrok przykuły wachlarzowe schody. Ciekawe, co jest na górze.

Wzruszyła ramionami i zaczęła się ostrożnie wspinać, rozglądając się na wszystkie strony. Cholera, dla takich widoków nawet ona mogłaby zabić. Dotarłszy do szczytu schodów, po raz kolejny zamrugła, nie wierząc własnym oczom.

Spodziewała się korytarza z rzędem drzwi, a zamiast niego zobaczyła ogromną sypialnię, prawie jak ukryty loft. Ale to kolorystyka najbardziej ją zdumiała.

Stanowiła przeciwieństwo tej w salonie poziom niżej. Jak okiem sięgnąć – ani plamki szarości. Utrzymany w brązowo-zielonej tonacji pokój był w całości obity drewnem, miał nawet dębowe drzwi prowadzące prawdopodobnie do łazienki. Centralne miejsce zajmowało kuszące miękkością królewskie łoże. Ta sypialnia była urzeczywistnieniem pojęcia przytulność, obietnicą długich leniwych poranków w pościeli.

Kim, do diabła, jest ten człowiek?

Stała u szczytu schodów, pożerając wzrokiem największe łoże, jakie kiedykolwiek widziała: brązowa pościel i potężny kopczyk usypanych poduszek. Czarna marmurowa podłoga podkreślała kawalerski charakter tego miejsca, a całości dopełniała druga przeszklona ściana z niesamowitym widokiem na morze.

„Jest tu tak przytulnie. Po domowemu”, pomyślała z lekką goryczą.

Odwróciła się do zejścia, gdy nagle drzwi w głębi się otworzyły i buchnęła z nich para.

Serce stanęło jej w piersi.

Z łazienki wyłonił się przepasany ręcznikiem w biodrach Tristan Caine. Stanął tyłem, więc na szczęście jej nie widział.

Morana zamrugła, szeroko otworzyła oczy i wlepiała je w niego.

Powinna stąd zniknąć, zanim ją zauważy. Zejść po cichutku na dół i udawać, że niczego nie zobaczyła. Zamknąć oczy i odwrócić się na pięcie.

Ale tego nie zrobiła.

Stała jak wryta, wędrując wzrokiem po jego opalonych, pooranych bliznami plecach i poruszających się mięśniach, gdy otworzył szafkę i zaczął w niej szperać. Na widok ciemnych śladów po przypalaniu papierosem i jasnych szram od dźgnięcia nożem serce jej się ścisnęło.

Nagle znieruchomiał.

Zamarła.

Powoli się odwrócił i wbił w nią te swoje niebieskie oczy.

Oddech uwiązał jej w gardle na widok równie porannego bliznami torsu. Ten człowiek musiał przejść prawdziwe piekło. Gdy tak stał i spokojnie na nią patrzył, wędrowała wzrokiem po jego nieczytelnych z daleka tatuażach, szramach, zarysie idealnie rzeźbionych mięśni, falującej rytmicznie piersi. Przytrzymała jego wzrok, próbując ukryć to dziwne mrowienie w środku, którego bez wątplenia był sprawcą.

Nie spuszczając z niej oka, zrobił niespieszny krok w jej stronę. Nawet nie drgnęła, ani na milimetr nie ustępując pola. Znała już te gierki na wylot i choć stanowczo nie powinna, przyjęła wyzwanie.

Kolejny krok i ręcznik zsunął mu się na biodra, odsłaniając idealny kaloryfer i delikatny meszek znikający pod frotową tkaniną. Spostrzegła to wszystko, stojąc u szczytu schodów z wałącym jak młotem sercem i zaciśniętymi przy bokach pięściami.

Jeszcze jeden krok i znalazł się tuż przy niej. Nagle cały świat przestroniło jego twarde, zuchwałe ciało i wreszcie ujrzała z bliska jego rozszerzone źrenice. Dopiero na ich widok zdała sobie sprawę, że „to”, czymkolwiek było, na niego też działało. Fizjologicznych reakcji nie oszukasz. Nie wiedzieć czemu ta świadomość poprawiła jej humor – jak widać, nie ona jedna miała problem z trzymaniem ich w ryzach.

Jej puls gwałtownie przyspieszył.

Stali tak w nieznośnym milczeniu, mierząc się wzrokiem. Zupełnie jakby znaleźli się nad przepaścią, od której dzielił ich tylko jeden mały krok. Ściśnięty żołądek podszedł jej do gardła, a po dekolcie spłynęła kropelka potu. Jak widać, z rozgrzaną skórą nawet klima nie zawsze sobie poradzi. Dudnienie dobijającego się do okien deszczu mieszało się z szumem krwi w jej uszach. Starła się kontrolować oddech, nie chcąc, by on dostrzegł choćby najmniejszą reakcję jej ciała.

Kolejny krok.

Odchyliła głowę i wygięta w łuk, instynktownie się cofnęła, kompletnie zapominając, że stoi u szczytu schodów. Zachwiała się i wyciągnęła bezradnie ręce, szukając jakiegoś punktu zaczepienia,

ostatniej deski ratunku przed niechybnym upadkiem. I znalazła ją – w postaci ciepłych mięśni jego pewnych rąk. Łapiąc równowagę na krawędzi schodka, poczuła, jak obejmuje ją niemal opiekuńczo za kark i przyciąga do siebie.

Zadarta głowę i spojrzeli sobie w oczy.

Centymetry.

Dzieliły ich dosłownie centymetry.

Krew zaśpiewała jej w żyłach, a pod dotykiem jego pewnych palców przechodziły ją elektryczne dreszcze. Dyszała ciężko, kompletnie zapominając o kontroli oddechu.

Jego pierś falowała w przyspieszonym tempie, czuła woń piżma i drewna.

Nagle z transu wyrwał ją dzwonek telefonu.

Morana zamrugała, momentalnie odzyskując trzeźwość umysłu. Oderwawszy się od niego, sięgnęła do kieszeni. Nawet nie drgnął.

Spojrzała na wyświetlacz i ją zmroziło.

Ojciec.

Krew niemal zakrzepła jej w żyłach i zadrżała z zimna. Doszedłszy do siebie, ściągnęła łopatki i wyswobodziła się z jego ramion. Jego palce po raz ostatni ścisnęły jej kark, zostawiając na skórze palące piętno.

Odwróciła się bez słowa i zbiegła na dół, wreszcie odzyskując kontrolę nad swoim ciałem, którą przy nim zawsze traciła.

Schowawszy się w kuchni, wzięła głęboki oddech i odebrała połączenie.

– Urwałaś się ochronie. – Lodowaty głos ojca rozbrzmiał w słuchawce.

Nie tracąc rezonu, przysiadła sztywno na pobliskim stołku.

– Zgodnie z obietnicą – odparła opanowanym tonem.

– Kim był ten motocyklista? – warknął z ledwo skrywaną złością.

Nie była zaskoczona, że wierne pachołki o wszystkim mu doniosły.

– Jaki motocyklista? – zapytała niewinnie.

Pauza.

– Kiedy wracasz?

– Nie wracam – poinformowała go. – To znaczy dziś. –
A najlepiej nigdy.

Kolejna pauza.

– Z kim jesteś?

Wzięła głęboki oddech.

– Skoro nadal nie rozumiesz, pozwól, że ci to wytłumaczę, ojcze. Nie jestem psem, którego możesz trzymać na smyczy. Jestem niezależną kobietą i kiedy mówię, że nie wracam na noc, to nie wracam. Dobrze wiem, że to nie z troski tak mnie odpytujesz.

– Twoja niezależność to mrzonka, na którą ci pozwalam, Morano – odparł lodowatym głosem. – Dowiem się kto to. I przyniosę ci jego głowę na tacy.

Po raz pierwszy od początku tej rozmowy ogarnęło ją rozbawienie. Nienawidziła Tristana Caine'a, ale w bezpośrednim starciu z tym człowiekiem nie wróżyła ojcu zbytnich sukcesów. Powinna mieć wyrzuty sumienia, że nie trzyma kciuków za własnego rodziciela, ale w miejscu rodzinnej solidarności ziała pustka.

– No to powodzenia, ojcze – rzuciła i się rozłączyła. Gdy tylko odłożyła telefon na blat, zeszło z niej całe powietrze.

Nagle poczuła na sobie znajomy palący wzrok i się odwróciła.

Stał w progu ubrany w luźne dresy i czarną podkoszulkę, przyglądając się jej z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Momentalnie się najeżyła.

– Co? – zapytała, unosząc wyzywająco brwi.

Po krótkiej chwili ruszył bez słowa do ogromnej lodówki.

– Czyli ojciec stręczy cię swoim kolegom i trzyma na smyczy – podsumował z nieskrywaną odrazą. – Uroczy człowiek.

Zacisnęła zęby.

– Przyganiał kociół garnkowi. Już zapomniałeś, jak sam chciałeś mnie na niej uwiązać? – wycedziła z teatralną uprzejmością.

Przystanął w pół kroku.

– W niczym nie przypominam pani ojca, panno Vitalio.

– A nieprawda – stwierdziła. – Obaj chcecie mnie kontrolować i straszycie śmiercią. Gdzie tu różnica?

– Nie chcesz wiedzieć.

Przekrzywiła głowę, mrużąc oczy. W jego zimnym głosie ewidentnie krył się jakiś podtekst, ale ku swojej bezbrzeżnej frustracji nijak nie potrafiła go rozgryźć.

– Tak się składa, że chcę.

Tristan Caine odwrócił się do lodówki i nie wiedzieć czemu pomyślała, że ugryzł się w język.

Okej.

– Dobra, to kto doprawił mi drinka w Cyanide? – zapytała.

– Jeden z barmanów – odparł.

Wyjął z zamrażarki kurczaka i torebkę warzyw, po czym położył wszystko na blacie. Ten człowiek był pełen niespodzianek: w kuchni poruszał się z równą swobodą, co wśród świszczących nad głową kul.

Sięgnął po nóż i deskę do krojenia.

On gotował.

Tristan „Drapieżca” Caine gotował. Ile jeszcze sekretów skrywał?

Ignorując dziwne mrowienie w piersi, skupiła się na swoich pytaniach.

– Dlaczego to zrobił?

Nóż zawisł nad kurczakiem, gdy jego właściciel podniósł wzrok, by na nią spojrzeć. Zacisnął szczękę i w jego oczach na ułamek sekundy pojawił się tamten błysk nienawiści, ale szybko zgasł. Wyglądało na to, że dziś jej odpuści.

Oszołomiona, bawiła się telefonem, czekając na odpowiedź.

Gdy już otwierał usta, drzwi windy nagle się rozsunęły.

Niektórzy to naprawdę nie mają wycucia czasu!

Do środka pewnym krokiem wszedł Dante, jak zwykle elegancki i gładko uczesany. Jego czarne oczy spoczęły na Moranie tylko po to, by sekundę później przenieść się na Caine'a. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Morano. – Podszedł do niej, a ona zeszywniała. – Wybacz, że nie dotarłem na spotkanie. W ostatniej chwili wyskoczyło mi coś pilnego.

Przyjrzała mu się, podejrzliwie mrużąc oczy. Chyba jednak mówił prawdę, więc skinęła głową.

– Nic się nie stało.

– Słyszałem, że was napadnięto. Jesteś cała?

Kompletnie zaskoczona jego troską uniosła brwi. Ale szybko przypomniała sobie słowa Amary o nietykalności kobiet w Klanie.

Ponownie skinęła głową.

– Nic mi nie jest. Ale rano będę potrzebować auta.

Dante się uśmiechnął.

– Tristan już zlecił naprawę.

Brwi podskoczyły jej pod samą linię włosów.

– Serio? – zwróciła się do niego.

Zignorował ją, nie odrywając oczu od brata.

– Mam się zbierać?

– Tak.

Kolejne porozumiewawcze spojrzenie. Tristan skinął głową i obszedł blat, kierując się do schodów. Gdy Dante odwrócił się do niej, w jego czarnych oczach malowała się troska.

– Mój apartament jest dwa piętra niżej. Wiem, że nie chciałaś mieć z nim do czynienia, więc jakby co, możesz się tam przenieść. Nie wracam dziś na noc.

Caine znieruchomiał na schodach i obrzucił brata lodowatym spojrzeniem.

– Ona zostaje tutaj – warknął.

Warknął. Morana zamrugła, kompletnie zaskoczona groźną nutą w jego głosie. Aż ciarki ją przeszły. Myślała, że z radością się jej pozbędzie.

– To lepsze rozwiązanie – odparł Dante, wkładając nonszalancko rękę do kieszeni. – Ty tu wracasz, a ja nie. U mnie będzie miała spokój do samego rana.

Tristanowi nawet powieka nie drgnęła, gdy po raz enty wymienili ewidentnie porozumiewawcze spojrzenia.

– Tristan... – odezwał się Dante lekko zaniepokojonym głosem. – Ty nie...

Caine wbił w nią nieznoszący sprzeciwu wzrok. Momentalnie uszło z niej powietrze.

– Nie spotka cię tu dziś żadna krzywda – oznajmił z absolutnym przekonaniem. – Zostań.

I zanim zdążyła otworzyć usta czy nawet przetrwać jego słowa, już go nie było.

A ona siedziała na tym stołku, jak siedziała, kompletnie skołowana.



Deszcz. Krople uderzające w szybę w harmonijnym, melancholijnym rytmie. W melodii deszczu naprawdę było coś chwytającego za serce.

Morana leżała na boku, zwinięta w kłębek, wsłuchując się w symfonię dudniących o szybę kropli i bardzo pragnąc ich dotknąć, poczuć na skórze, posmakować.

Była całkiem sama. W tym ciemnym pokoju, w tym mieszkaniu, na świecie.

Przełykając ślinę, podniosła się z łóżka i z duszą na ramieniu podkradła do drzwi. Otworzyła je i zajrzała do tonącego w mroku salonu. Podeszła na palcach do przyzywającej ją szklanej ściany.

Mrugające światełka wielkiego miasta wdzierały się do środka, tworząc iście magiczny nastrój. Stała przy szybie, patrząc, jak krople deszczu jedna po drugiej rozbijają się o nią, by spłynąć jak łzy.

Jej oddech owiewał przelotną mgiełką to chłodne szkło, za którym u góry rozpościerało się zachmurzone nocne niebo, w dole – wzburzone, spienione morze, a w dali mrugały światełka wieżowców niczym połyskliwe kawałki obsydianu.

Stała tak ze ściśniętym gardłem, napawając się tą panoramą.

Jeszcze nigdy nie widziała takiego deszczu, nigdy nie zakosztowała takiej wolności. Widoki z jej okna kończyły się na wypiełgnowanych trawnikach i wysokich ogrodzeniach, zza których nic nie przebijało. Mimowolnie wyciągnęła rękę po coś niezdefiniowanego, niedosiętego. Do tej chwili nie zdawała sobie nawet sprawy, czego tak bardzo jej brakuje.

Palce zdrząły jej centymetr od szklanej tafli i z krwawiącym sercem powoli je doń przycisnęła. Była taka chłodna! I w tamtej chwili tylko ona dzieliła ją od pewnej śmierci. Czuła się tak, jakby po raz pierwszy zobaczyła miasto, które choć się w nim wychowała, nadal było jej obce.

Jej dłonie ześlizgnęły się po szybie, gdy opadła na podłogę i krzyżując nogi, niemal przykleiła do niej nos, raz po raz tworząc na

niej mgiełkę oddechu.

Nagle nocne niebo przecięła jasna błyskawica, na ułamek sekundy rozświetlając miejski pejzaż. Krople uderzały rytmicznie o szkło niczym kule, które nie mogły jej dotrzeć. Siedziała, niemal wtulona w szybę, rozpaczliwie pragnąc poczuć je na skórze. Metafora jej życia! Wiecznie odseparowana od najskrytszych pragnień niewidzialną szybą. Mogła je tylko oglądać jak na sklepowej wystawie, nigdy dotknąć. Bo rozbicie szyby oznaczałoby niechybną śmierć.

I ostatnio coraz bardziej ją kusilo, by roztrzaskać to szkło w drobny mak.

Przyklejone do tafli dłonie zadrżały na widok płaczącego, pokonanego nieba i po policzku spłynęła jej pojedyncza łza.

Nagle wyczuła w pokoju jego obecność.

Powinna się teraz odwrócić i wstać. Drapieżnikowi pod żadnym pozorem nie wolno pokazywać pleców. Ale w tamtej chwili nie była w stanie oderwać od szyby ani oczu, ani dłoni. Nawet nie zeszywniała.

Była zmęczona. Tak bardzo zmęczona.

A poza tym zagwarantował jej dziś nietykalność. Naoglądała się w życiu dość kłamców, by wiedzieć, że jemu może wierzyć na słowo. To pokręcone, ale potwierdzała to nawet ta jawna nienawiść, której jakoś jej dziś oszczędził.

Więc nie zeszywniała, nie odwróciła się – czekała po prostu, aż sobie pójdzie.

Ale mrowienie karku nie ustępowało i nagle wyczuła jego ruch. Nie miała pojęcia, jakim sposobem, bo bezszelestność to chyba drugie imię tego człowieka, a jednak.

Ani drgnęła, kątem oka dostrzegając jego stopy.

Nie podniosła wzroku. On nie spojrzał w dół. Panowała kompletna cisza.

Z walącym jak młotem sercem nadal się wpatrywała w spadające krople, gdy krzyżując nogi, usiadł tuż obok ze wzrokiem wbitym w dal.

Gdy oparł się na wyciągniętych za plecami dłoniach, kątem oka dostrzegła jego rozchełstaną koszulę i widoczną spod niej niewielką bliznę. Bolejąc nad dolą kobiet w ich świecie, nigdy tak naprawdę nie

pochyliła się nad losem mężczyzn. Wiedziała oczywiście, że kieruje nimi żądza władzy i instynkt przetrwania, ale nigdy nie zastanawiała się nad ceną, jaką za to płać. Czy te blizny to dla niego chleb powszedni, czy też anomalia, taka jak on w rodzinie? Czy to cena za bycie tą anomalią wśród tych, którzy są unurzani we krwi? Ile z tych blizn to sprawka wrogów? Ilu wpadło w ręce Klanu? Czy to cena, jaką przyszło mu zapłacić za swoją pozycję? Jakie piętno odciskało to na tych mężczyznach? Czy byli tacy zimni i niedostępni, bo tylko tak umieli radzić sobie z bólem? Czy to samo spotkało jej ojca? Wyzbył się wszelkich emocji, bo tylko to gwarantowało mu utrzymanie władzy?

Wszystkie te pytania przemieszały się teraz z migawkami jego poranego bliznami torsu. Może i go nienawidziła, ale siła wzbudzała w niej respekt. I zdała sobie sprawę, że jego ciało było czymś więcej niż bronią. Było świątynią siły. Strażnikiem legend – legend o jego przetrwaniu, o niewyobrażalnych okropnościach tego brudnego świata.

Przypomniała sobie Amareę i gehennę, jaką zgotowali jej wrogowie. Nagle uświadomiła sobie, jaką sama jest szczęściarą. Nigdy jej nie porwano, nie torturowano, nie skrzywdzono, w przeciwieństwie do tak wielu kobiet z ich kręgów. I zaczęła się zastanawiać: dlaczego? Dzięki jej ojcu? Czy z jakiegoś innego powodu?

Z zamyślenia wyrwał ją cichy, chrapliwy głos.

– Moja siostra kochała deszcz.

Po raz pierwszy podzielił się z nią czymś tak głęboko osobistym, ale najbardziej zaskoczyła ją bezbrzeżna czułość w tonie jego wypowiedzi. Nigdy nie posądziłaby go o zdolność do miłości – i właśnie to tak ją zszokowało. Mimo wszystko nie oderwała wzroku od szyby, by na niego spojrzeć nawet kątem oka, on zresztą też nie.

– Nie wiedziałam, że masz siostrę – odparła równie cicho, przełknąwszy ślinę.

Cisza.

– Już nie.

I jak na zawołanie beznamiętny ton powrócił. Ale ona mu nie dowierzała. Wyraźnie słyszała tamtą czułą, ciepłą nutę, której nijak nie wymaże. Nawet on nie był aż tak zręcznym manipulatorem. Ale

nie wiedzieć czemu tym razem postanowiła mu odpuścić. Siedzieli tak w kompletnych ciemnościach i milczeli, wpatrzeni w rozciągające się pod nimi miasto w szponach żywiołów, a krople deszczu uderzały o szybę w rytm bicia ich serc. Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

– Moja matka też kochała deszcz – wyrwało jej się mimowolnie.

Pauza.

– Myślałem, że nadal ją masz.

W gardle stanęła jej znajoma gula.

– Już nie.

Wtedy dopiero poczuła na sobie jego wzrok i wreszcie na niego spojrzała – tylko po to, by zatonać w błękanie jego oczu. Nagle pojawił się w nich jakiś mroczny błysk i natychmiast zgasł, a on pospiesznie odwrócił wzrok.

Morana przełknęła.

– Czemu chciałeś, żebym tu została?

Siedział nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, i milczał.

– Dante miał rację. Tam byłabym bezpieczna – powiedziała cicho.

– Tu też jesteś – odparł równie cicho, acz z naciskiem.

– Dziś.

– Dziś.

Wbiła wzrok z powrotem w szybę, śledząc trajektorię głośnych kropel.

Milczeli tak, siedząc ramię w ramię, świadomi, że to osobliwe zawieszenie broni, do którego nigdy by się głośno nie przyznali, zakończy się wraz ze wschodem słońca. Ale ona wiedziała, że nigdy nie zapomni tych skradzionych wspólnych chwil niemal w deszczu.

Zapamięta je dobrze, bo właśnie wtedy zaszła w niej wielka, nieodwracalna zmiana. Właśnie wtedy wróg, człowiek, który nienawidził jej całym sercem, zrobił coś, na co nikt inny się nie zdobył.

Właśnie wtedy ten, który rościł sobie prawa do jej śmierci, nieświadomie pokazał jej skrawek życia.

Właśnie wtedy wróg zrobił coś, czego nie zrobił dla niej nigdy żaden przyjaciel.

Sprawił, że poczuła się odrobinę mniej samotna.
Gdy wstanie słońce, wszystko wyparuje.
Ale w tamtej magicznej chwili coś w niej głośno pękło.



W OSACZENIU

Ten stan zawieszenia był dobijający.

Ojciec już nie zadzwonił.

Kompletna cisza w eterze.

Nie miała pojęcia dlaczego, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś się szykuje. Coś, co bardzo się jej nie spodoba. Po tym człowieku można było się spodziewać wszystkiego najgorszego.

Otrząsnąwszy się z tych czarnych myśli, wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi pokoju gościnnego i rażnym krokiem weszła do salonu.

Gdyby była przeciętną dziewczyną rodem z normalnego świata, nie miałaby zielonego pojęcia, czego się spodziewać po ubiegłej nocy. Ale nie była przeciętną dziewczyną i nie żyła w normalnym świecie, więc dokładnie wiedziała, co zastanie.

A raczej kogo. Nie musiała sprawdzać wszystkich kątów, by mieć pewność, że jest sama. Wyszedł wraz ze wschodem słońca, a ona na te parę godzin niespokojnego odpoczynku zaszyła się w pokoju gościnnym.

Nie zamienili więcej ani słowa, ale w drodze do kuchni towarzyszyła jej teraz świadomość, że tamto kruche zawieszenie broni wyparowało wraz z nocnym deszczem. Promienie triumfującego słońca wdzierają się śmiało przez przeszkloną ścianę, zalewając światłem calusieńki apartament, podobnie jak rozpościerający się poniżej miejski pejzaż.

Wskoczyła na stół, na którym wczoraj siedziała, rozważając zaparzenie sobie kawy, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu.

Zawieszenie broni dobiegło końca, a poza tym na terytorium Klanu już raz dosypano jej czegoś do drinka i nie chciała kusić losu.

Na dźwięk rozsuwających się drzwi windy instynktownie położyła dłoń na torebce, w której trzymała broń, ale na widok Amary rozluźniła chwyt. Kruczowłosa piękność występowała dziś w wersji nieco bardziej casualowej, miała na sobie jasnobrązowe cygaretki, czerwony top i zieloną jedwabną apaszkę. Całości dopełniał nieśmiały uśmiech.

– Dzień dobry, Morano – przywitała się. Jej ciemnozielone oczy błyszcząły.

Rozluźniona Morana skinęła jej głową.

– Amaro.

Amara uśmiechnęła się i jak gdyby nigdy nic zajrzała do lodówki. Nie wiedzieć czemu Morana poczuła dziwne ukłucie na widok swobody, z jaką zaczęła się krzątać po kuchni, otwierając szafki, wyjmując szklaneczki i tak dalej. Zaciśnęła zęby, wlepiając wzrok w panoramę za ścianą-oknem.

– Soku pomarańczowego?

Morana odwróciła się gwałtownie i ujrzała ją stojącą z kartonem soku w ręce i pytająco przekrzywioną głową. Widząc jej wahanie, Amara się uśmiechnęła.

– Zapewniam, że jest bez „dodatków”.

Przywołując się w duchu do porządku, Morana kiwnęła głową.

– Ale po tym, co się stało w klubie, wcale ci się nie dziwię – ciągnęła Amara, nalewając orzeźwiający sok do dwu wysokich szklaneczek. Jej głos miał ten sam tembr, który Morana zapamiętała, i serce znów jej się ścisnęło, a w głowie zaroilo od pytań o tę tajemniczą kobietę, która okazała jej samą dobroć. Jak to jest wiedzieć, że do końca życia jest się skazanym na niewiele więcej niż szept? Czy podnoszenie głosu sprawiało jej ból? Czy nosiła też fizyczne blizny? Jak straszne były tortury, które je zaserwowano?

Zamrugnęła, odsuwając je od siebie, bo na jej usta cisnęły się pilniejsze.

– Tamtej nocy wróciłaś bezpiecznie do klubu? – zapytała, gdy kruczowłosa piękność usiadła naprzeciwko niej, kładąc łokcie na stole.

– Tak – odparła ze swoją charakterystyczną chrypką. – Tristan tam był, więc nic mi nie groziło.

To proste zdanie z ust torturowanej w młodości dziewczyny mówiło naprawdę dużo. Ale na razie zapisała je sobie tylko w pamięci i ciągnęła „przesłuchanie”.

– Wiesz może, kto przejął SUV-a po waszym powrocie?

Amara ściągnęła lekko brwi i zacisnęła usta.

– Nie. A coś się stało?

Morana westchnęła, kręcąc głową. Nie było sensu się jej spowiadać, skoro on niczego nie zdradził. Ciekawe, czy Dantemu też nic nie powiedział.

– Chociaż – odezwała się Amara, ewidentnie przeczesując pamięć. – Teraz, gdy o tym wspomniałaś, przypomniałam sobie, że na widok odjeżdżającego SUV-a Tristan wybiegł z klubu.

Odczekawszy, aż Amara weźmie pierwszy łyk, Morana się rozluźniła i sięgnęła po swoją szklaneczkę. Słodki, chłodny płyn był jak balsam na jej spieczone gardło. Usiadła prosto i spojrzała na swoją rozmówczynię.

– Wiesz, jesteś niesamowicie dzielna – wyszeptała z uśmiechem Amara.

Morana zamrugnęła, kompletnie zaskoczona, i poczuła, że się rumieni.

– Ee... dzięki.

Amara skwitowała jej skrępowaną odpowiedź cichym parsknięciem, które momentalnie rozładowało atmosferę przy stole.

– Tristan może przerażać, nawet jak ma dobry dzień, a dla ciebie mocno się postarał. Fakt, że odważyłaś się spędzić samotnie noc w jego domu, dużo mi o tobie mówi. Chociaż będąc jedynym dzieckiem człowieka o takiej reputacji jak twój ojciec... Nie powinno mnie to dziwić. Jesteś silna. Podziwiam to w tobie.

Czując, że tym razem czerwieni się na potęgę, Morana odchrząknęła. Dotychczas „podziwiano” w niej tylko inteligencję, więc komplement na temat czegoś tak zakorzonego w osobowości człowieka jak jego siła kompletnie zbił ją z pantałyku.

Wzięła głęboki oddech, by szybko zmienić temat.

– Mieszkasz tu? – palnęła.

Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Amara aż zakrztusiła się sokiem i robiąc wielkie oczy, parsknęła perlistym śmiechem.

– Z Tristanem? Uchowaj Boże!

Nie wiedzieć czemu ta odpowiedź ją uspokoiła – i była tym przerażona.

Amara dalej chichotała.

– Ten człowiek nikogo nie wpuści na swój teren. Nikogo. Kiedyś weszłam do jego pokoju bez pukania i gdyby wzrok mógł zabijać...

Ta informacja dosłownie zatkała Moranę.

Sama weszła wczoraj do jego sypialni bez zaproszenia. I została przyłapana. Ale nawet nie łypnął na nią okiem; wprost przeciwnie. Momentalnie przypomniała sobie jego słowa sprzed paru tygodni.

„Mam swoje terytorium. Nigdy nie waż się go naruszać”.

Czy to były tylko słowa mające ją ustawić, czy kryło się za nimi coś więcej?

Z zamyślenia wyrwał ją głos Amary.

– Tristan nikogo nie wpuszcza do swojej samotni. Wiedzą o tym wszyscy, którzy go znają.

Morana zamrugła, bo w głowie momentalnie zaroilo jej się od pytań o tego człowieka zagadkę.

– To dlaczego wpuścił akurat mnie? – Czemu uparł się, by została? Czemu zawarczał tak na Dantego i jego nieśmiałe zaproszenie?

W oczach uśmiechniętej Amary pojawił się błysk plotkarskiego zaintrygowania.

– Interesujące, prawda?

Morana nic nie powiedziała i w końcu jej rozmówczyni pokręciła głową.

– Odpowiadając na twoje pytanie: nie, nie mieszkam tu. Ale mam niedaleko.

To obudziło ciekawość Morany.

– Nie mieszkasz w Tenebrae?

Oczy Amary przesłonił jakiś cień i odwróciła wzrok, wpatrując się w przestrzeń. Po chwili zamyślenia z jej gardła wyrwało się ciężkie, głębokie westchnienie.

– Mogę odwiedzać rodzinę, ale nie pozwalają mi zostać.

Ciekawy dobór słów.

– Dlaczego? – zapytała Morana, zamiast ugryźć się w język.

Amara przeniosła na nią zbolące oczy, uśmiechając się smutno.

– Niektóre sprawy lepiej zostawić w spokoju, Morano. Tam jest mój dom. Moja mama nadal pracuje w rezydencji Maronich. Moje korzenie, wszystko, co kocham, jest w Tenebrae. Ale zostać mi tam nie wolno.

Morana zamrugnęła. Serce krwawiło jej na myśl o tej dziewczynie. Amara miała kochający dom, do którego zakazano jej wstępu. Morana miała miejsce zamieszkania, ale nie dom. I w tamtej chwili dokładnie wiedziała, co czuje jej rozmówczynie.

Mimowolnie wyciągnęła rękę i ścisnęła lekko dłoń Amary.

– Tak mi przykro.

W oczach Amary pojawił się błysk zaskoczenia tym nieoczekiwanym gestem i z wdzięcznością odwzajemniła uścisk.

– Po prostu czasami tęsknię za domem. – Wzruszyła ramionami. – Dlatego każda wizyta Tristana i Dantego tak mnie cieszy.

– Ale na pewno masz tu przyjaciół – badała Morana.

– Niespecjalnie. – Amara spuściła wzrok. – Jestem tu głównie „służbowo”. A poza tym to nie moje miasto.

Morana chciała powiedzieć jej, że w każdej chwili może do niej przekręcić, bo ona też nikogo nie ma. A nie wyobrażała sobie lepszego materiału na przyjaciółkę niż Amara.

Ale milczała.

Miała te słowa na końcu języka, a w sercu ciche marzenie o tej jednej powiernicy, kimś, komu mogłaby się zwierzać i ufać. Ale to mogłoby nieść ze sobą bardzo poważne konsekwencje, nie tylko dla niej, ale i dla Amary, która już i tak przebywała na zesłaniu. Nie mogła jej jeszcze bardziej narażać.

Przygryzła więc wargi i cofnęła rękę, odchrząkując i wbijając wzrok w niedosięgly pejzaż za cienką szybą.

Niezręczną ciszę przerwał na szczęście dźwięk rozsuwających się drzwi windy.

Kilka sekund później do kuchni weszli Dante i Tristan, obaj wysocy, muskularni i oszałamiająco przystojni. Na widok Amary ten

pierwszy przystanął w progu, ale Caine nawet nie zwolnił kroku, z miejsca ściągnął wzrok Morany. Znowu.

Gdy ich oczy się spotkały, ściśnięty żołądek podszedł jej do gardła. W pełnym świetle dnia jego muskulatura, obciążona skromnym T-shirtem i bojówkami, prezentowała się po prostu niezmiernie.

– Widzę, że rozgościłaś się w mojej kuchni, Amaro – odezwał się tym swoim upojnym głosem stuletniej whisky, nie spuszczać oczu z Morany.

– Tylko w kuchni – odparowała chrapliwie.

Dante podszedł do przeszklonej ściany i wkładając ręce do kieszeni, wbił wzrok w panoramę miasta, kompletnie ignorując całe towarzystwo. Morana zerknęła nań ukradkiem, wyczuwając napięcie między nim a Amarą. Tak samo jak wtedy w klubie.

Zaciekawiona, rzuciła okiem na szperającego w szafce Tristana, momentalnie ściągnął na siebie jego wzrok.

Spojrzał na nią.

Serce zamarło jej w piersi.

Odwrócił wzrok.

Serce znów zabiło.

Przymykając oczy, by zbesztać się w duchu, odchrząknęła i spojrzała na przyklejonego do szyby Dantego.

– Znaleźliście coś w tych magazynach?

– W tutejszym nic – odparł głośno, nie odwracając wzroku. – Ale w Tenebrae natknęliśmy się na pewne... odstęstwa od reguły.

– Odstęstwa? – Zaciekawiona nachyliła się nad stołem.

– Tamtejszy magazyn należał do jednego z naszych dawnych lokalnych rywali – poinformował ją, ukazując skąpany w słońcu profil. – Tyle tylko, że sprzęt znaleziony tam przez moich ludzi należy do zupełnie innego gangu. Więc jeszcze nie ustaliliśmy, kto faktycznie korzystał z miejscówki.

Morana zmrużyła oczy i trybiki w jej mózgu zaczęły się obracać.

– Czym skończyłoby się dla wrobionego pana Caine'a użycie mojego kodu?

Dante wreszcie się odwrócił, wbijając w nią swoje zimne oczy.

– Śmiercią, Morano.

W takim razie mogła go już skreślić z listy podejrzanych. Chyba że facet miał skłonności samobójcze.

– Będę cię informował na bieżąco – obiecał Dante.

Skinęła głową, starannie unikając wzroku tamtego.

Amara odchrząknęła.

– Tak w ogóle to wpadłam tylko, żeby ci to oddać, Morano.

Morana spojrzała na blat, na którym leżały kluczyki do jej ukochanego autka. A więc już naprawione. Jej oczy same powędrowały do Tristana, ale nawet na nią nie spojrzał.

Serce zabiło jej mocniej i skinąwszy głową, zeskoczyła ze stołka i zgarnęła torbę.

– To ja już sobie pójdę – wybąkała, rozglądając się po kuchni.

Dante skinął grzecznie głową, potwierdzając, że będą w kontakcie.

Amara uśmiechnęła się do niej.

– Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, Morano.

Morana przełknęła.

– Ja też.

Odwróciła się na pięcie i bez słowa pożegnania z gospodarzem, bez najmniejszego spojrzenia czy wyrazu wdzięczności, pomaszerowała prosto do windy. Na odchodne rzuciła tylko ostatnie spojrzenie na magiczną panoramę miasta za szkłem, chcąc wyryć ją sobie w pamięci, tak jak tę noc.

Nikt się nie odezwał, nikt za nią nie zawołał. Usztywniona i spocona jak mysz wsiadła do windy, ale gdy się odwróciła, by wcisnąć guzik, napotkała wpatrujące się w nią hipnotycznie błękitne oczy.

Wcisnęła guzik i drzwi się zasunęły, wyławiając ją z ich toni.



Coś było nie tak.

Gdy tylko przekroczyła próg rezydencji, opanowały ją jakieś złe przeczucia.

Nie trzeba było wracać. Powinna była wskoczyć do swojego ukochanego autka i gdzieś się zadekować. Ale tego nie zrobiła. Bo o Moranie Vitalio można było powiedzieć dużo, ale nie to, że jest tchórzem. I jeśli miała umrzeć, zejdzie z tego świata, patrząc w oczy swojemu oprawcy.

Zaciskając zęby, zaparkowała na swojej stałej miejscówce i wysiadła, podziwiając nowe opony. Jak mu się udało tak szybko je wymienić, i to w deszczową noc? Miał aż tak dobre kontakty?

Potrząsając głową, by wyrzucić z myśli tego człowieka zagadkę, objęła wzrokiem przepiękne, skąpiane w słońcu trawniki, bajeczny podjazd i imponującą bryłę rezydencji.

Złe przeczucia tylko się wzmogły.

Obiecała sobie, że ucieknie. Gdy tylko odzyskają ten kod, odwróci się na pięcie i pobiegnie, nie oglądając się za siebie. Zniknie, zmieni tożsamość i zacznie nowe życie, tak jak zawsze marzyła. Zaszyje się gdzieś daleko, gdzie znajdzie prawdziwych przyjaciół, pozna wspaniałych mężczyzn i rzuci się w wir zabawy. Gdzieś hen, za horyzontem, gdzie cień śmierci już nigdy nad nią nie zawiśnie.

Gdy tylko kod pójdzie na przemiał, rzuci wszystko i zniknie bez śladu.

Pokrzepiona tą decyzją, ruszyła pewnym krokiem do swojego skrzydła pod czujnym okiem ochroniarzy, gdy nagle jej oczom ukazała się altanka, a w niej ojciec w towarzystwie dwóch starszych jegomości, na oko szemranych biznesmenów.

Zauważywszy córkę, przywołał ją lekceważącym gestem jak byle kelnera, co zawsze ją strasznie irytowało. Miała ochotę pokazać mu środkowy palec i pomaszerować prosto do siebie, ale nie był sam i wiedziała, że takie jawne nieposłuszeństwo, zwłaszcza po wczorajszym, mogłoby ją drogo kosztować.

Więc zaciskając zęby po raz enty, powlekła się pod rozłożysty bambusowy baldachim.

Ojciec spojrzał na nią pustym jak wyschnięta studnia wzrokiem.

– Jemy dziś kolację w Crimson. Ubierz się stosownie.

Skinęła głową, czekając na dalsze instrukcje, ale uniósł tylko brwi i odprawił ją kolejnym lekceważącym gestem.

Zaciskając pięści przy bokach, odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do swojej sypialni. Zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Usiadła na łóżku i zaczęła myśleć.

Coś tu nie grało. Spodziewała się wybuchu gniewu albo chociaż złośliwego szyderstwa. Ale to... To pachniało manipulacją. To jego stoickie opanowanie zamiast natychmiastowego wymierzenia kary nie dawało jej spokoju. Było w nim coś złowieszczonego. Poczwała, że jej żołądek zawiązał się w supeł.

„Twoja niezależność to mrzonka, na którą ci pozwalam”.

Wziąwszy głęboki wdech, wstała i poszła do łazienki z jeszcze bardziej zaciśniętym żołądkiem.



Crimson. Karmazyn.

Taki kolor miały jej usta. I krew pulsująca w jej żyłach. A także ta, która trysnęłaby z nosa tego gościa, gdyby mu go teraz rozkwasiała.

Zaciskając szczękę, siedziała przy stoliku ojca w kącie sali, ubrana „stosownie” w czarną rozkloszowaną sukienkę na ramiączkach i z odkrytymi plecami. Jedynym pazurem było proste rozcięcie z boku. Poza ojcem przy stoliku było jeszcze czterech mężczyzn.

Przez cały dzień ojciec nie odezwał się do niej ani słowem. Samo w sobie nie było to niczym niezwykłym, ale po tym, co odwaliła poprzedniej nocy – mogło wzbudzać podejrzenia. Zwłaszcza że wbrew niepisanej umowie tym razem nie pozwolono jej przyjechać na kolację własnym autem. Ojciec uparł się, by zabrać ją swoim. Gdy tylko otworzyła usta, żeby zaprotestować, rzucił jej uciszające spojrzenie.

– To ważne, byśmy pojawili się razem – oznajmił.

Morana ugryzła się więc w język i posłusznie wsiadła do limuzyny.

Oświeciło ją dopiero przy stoliku. To nie była zwyczajna kolacja. To było upokorzenie.

Posadzono ją obok jakiegoś przystojniaka po trzydziestce, który beczelnie pchał jej łapy pod spódnicę. Za pierwszym razem myślała, że to przypadkowe muśnięcie. Za drugim – stanowczym ruchem odsunęła jego rękę, posyłając jej właścicielowi ostrzegawcze spojrzenie. Ale za trzecim już nie wytrzymała.

Złapała go za nadgarstek i wykręciła mu palce.

– Jeszcze raz mnie dotknij, a połamię ci te paluchy.

Na takie dictum przy stoliku zapadła grobowa cisza. Ojciec spojrzał na nią spod uniesionych brwi, ale nic nie powiedział, pospiesznie wciągając w rozmowę resztę towarzystwa, jakby facet o dziesięć lat od niej starszy wcale nie próbował jej właśnie obłapić pod stołem.

Odsunęła z obrzydzeniem jego rękę i odchyliła się w krzesło, biorąc głęboki oddech na uspokojenie. Ale z odmętów wściekłości wyrwały ją dopiero słowa jednego z biesiadników, faceta w średnim wieku. Trzy krótkie słowa.

– Klan tu jest.

Ojciec kiwnął tylko głową.

– Wiem. Ochrona czuwa.

Morana po raz pierwszy tego wieczoru rozejrzała się po sali. Ojciec mówił prawdę. W całej restauracji roilo się od goryli z obu stron barykady. Siedzieli sztywno przy stolikach, z bronią ukrytą pod marynarkami. Istna beczka prochu. Zwyczajni klienci lokalu chyba zorientowali się w sytuacji, bo jeszcze bardziej usztywnieni pospiesznie kończyli kolację. Nerwowa obsługa chodziła na palcach między stolikami.

Wyteżając wzrok, Morana przeczesywała salę w poszukiwaniu stolika Klanu, ale nigdzie nie dostrzegła żadnego z braci.

Mimo to mrowienie karku nie ustępowało.

Czuła na sobie czyjś wygłodniały wzrok.

Jego wygłodniały wzrok.

Oddech uwiązał jej w gardle. Nie miała pojęcia dlaczego, ale była pewna, że to on. Nie chciała się w to zagłębiać, ale po prostu wiedziała. To był ten sam wzrok, który śledził ją na jego terytorium. Dokładnie ten sam.

Zasłaniając się kieliszkiem wina, jeszcze raz rozejrzała się po restauracji, ale znów bez skutku. To znaczyło tylko jedno: ulokował się gdzieś za jej plecami.

Nie odwróciła się, żeby przypadkiem się nie zdradzić, również przed ojcem.

Ale na odsłoniętych plecach ciągle czuła jego wzrok i gdy wyobraziła sobie, jak pożera ją nim z cienia, przeszedł ją gorący dreszcz. Pewnie ma na sobie jeden z tych garniturów, w których już go widziała. Ukrył pod nim te wszystkie blizny i swoją imponującą muskulaturę. Na samą myśl zrobiło się jej gorąco. Przełknęła ślinę, twardo nie podnosząc wzroku.

Nie powinna o nim w ogóle myśleć.

Ale to było silniejsze od niej. Dużo silniejsze.

Przymknęła oczy i biorąc głęboki wdech, wyciągnęła ukradkiem telefon i położyła go sobie na kolanach. Wystukawszy wiadomość, zawiesiła dłoń nad wyświetlaczem.

Widział ją. Jak na dłoni. Miał więc dużą przewagę. Serce waliło jej jak młotem. Kiwnęła głową i nie do końca wiedząc, co czyni, wcisnęła „wyślij”.

Przestań się gapić.

Odpowiedź przyszła błyskawicznie. Otworzyła ją z duszą na ramieniu.

Tristan Caine: Nie.

Jedno krótkie „nie”? Cóż za elokwencja!

Ja: No to szykuj się do pogrzebu. Jak mój ojciec cię przyłapie, to mogiła.

Kolejna błyskawiczna odpowiedź:

Tristan Caine: Szczerze wątpię.

Ja: Tak? A to niby czemu?

Tristan Caine: Skoro nawet nie zwrócił uwagi na tego fiutka, który cię obmacywał, to za gapienie się tym bardziej nic mi nie grozi.

Poczuła, jak wraz z rumieńcem upokorzenia zalewa ją złość, ale niestety miał rację. Dla ojca była tylko własnością, każdy mógł jej dotknąć i rozebrać wzrokiem. Zaciśnęła zęby, trzęsąc się ze złości.

Ja: To jego gość, w przeciwieństwie do ciebie.
Pauza.

Tristan Caine: Czyli on może cię dotykać, a ja nie?

Serce zamarło jej w piersi, by ułamek sekundy później zabić z dziką furją. Nigdy tak do niej nie mówił.

Ja: Ta rozmowa dobiegła końca.

Zablokowała telefon. I znów go odblokowała.
Nowa wiadomość. Przełknęła ślinę.

Tristan Caine: Tchórz.

Zszokowana zamrugła, czując wzbierającą wściekłość. „Tchórz”?! Za kogo on się, do cholery, uważał? To była ewidentna prowokacja, ale nie z nią takie numery.

Zanim zdążyła zablokować telefon, w skrzynce pojawiła się kolejna wiadomość.

Tristan Caine: Wyzywam cię.

Nie daj się w to wciągnąć, powtarzała sobie w myślach.

Ja: A konkretnie?

Długa pauza. Czekala z trzepoczącym sercem, siląc się na obojętną minę.

Tristan Caine: Nie odważysz się pokazać mu pazurków.

Pospiesznie zablokowała telefon. Nie da sobą manipulować, o nie. Nie złapie się na tę przynętę. W końcu jest dorosłą kobietą, nie jakimś tam przedszkolakiem. A w okolicy było za dużo spluw gotowych w każdej chwili rozpętać piekło i nie zamierzała ich prowokować.

Ale mrowienie na karku uparcie nie ustępowało.

Nie połknę przynęty. Nie połknę przynęty. Nie połknę przynęty.

I wtedy ten dupek, jej sąsiad, znowu zaczął pchać się z łapami.

Cała nagromadzona frustracja, złość i napięcie nagle wybuchły i zanim się zorientowała, jej palce zacisnęły się na jego nadgarstku, wykręcając go jednym szybkim ruchem, aż strzyknęło.

– Ty suko! – zawył z wykrzywioną twarzą, przyciskając kontuzjowaną rękę do piersi.

W restauracji zapadła grobowa cisza. Poczwała na sobie kilkanaście par oczu i parę wycelowanych luf. Ignorując wszystkich, wstała od stolika.

– Morano – wycedził surowo jej ojciec.

– Kazałam mu trzymać łapy przy sobie – powiedziała głośno, czując, jak skacze jej ciśnienie. – Nie posłuchał.

Cisza. Pełna napięcia cisza.

– Ona ma w sobie ogień, Gabrielu – stwierdził z aprobatą jeden z towarzyszy ojca, ślizgając się wzrokiem po jej nagiej skórze. – Chętnie bym się sparzył.

– Mogę pana nawet zamienić w kupkę popiołu, jeśli wola – odparowała.

– Idź ochłonać – uciął ojciec, przywołując ją do porządku.

Z grymasem nieskrywanej odrazy zgarnęła torebkę i pomaszerowała do toalety, nie zaszczycając nikogo spojrzeniem.

Oprócz jednego osobnika.

Zwolniła kroku, obrzucając go wzrokiem. Siedział przy jednym ze stolików w rozchełstanej na piersi koszuli i czarnej marynarce, wbijając w nią lodowate oczy. Ale gdy tylko na jej twarzy odmalowała się odraza, momentalnie zapłonęły one dziwnym blaskiem. Pospiesznie odwróciła wzrok i schowała się w pustej toalecie.

Oparła dłonie o marmurową umywalkę i spojrzała w lustro.

Co ona robiła w tej restauracji? Co robiła ze swoim życiem? Równie dobrze mogła machnąć na to wszystko ręką, bo nie

obchodziła nawet własnego ojca. Nikogo nie obchodziła. I to budziło w niej złość.

Złość, że jakiś obcy człowiek obmacywał ją na oczach ojca, a jemu nawet powieka nie drgnęła. Złość, że napisała do faceta, którego nienawidziła, i dała mu się sprowokować. Złość, że nadal nie odkleiła się od tamtej szklanej ściany, za którą padał deszcz.

Złość.

Którą widziała teraz w lustrze na zarumienionej twarzy, rozgrzanej skórze i w rozedrganych mięśniach.

Była zła. Tak strasznie zła.

Nagle drzwi się otworzyły i szybko spuściła wzrok, bo nie miała najmniejszej ochoty na żadne gadki szmatki z obcą babą.

Umyła ręce i opłukała twarz, czekając na jakiś ruch za plecami. Na próżno.

Momentalnie zapaliła się jej czerwona lampka. Znieruchomiła i powoli podniosła wzrok – tylko po to, by natrafić na hipnotyczne spojrzenie znajomych niebieskich oczu.

Wlazł za nią do damskiej toalety w restauracji pękającej w szwach od uzbrojonych goryli z obu stron barykady. Czy on kompletnie oszalał?!

Gotując się ze złości, odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi, ale błyskawicznie zastąpił jej drogę.

– Zejdź mi z oczu – warknęła, nie mając najmniejszej ochoty się z nim szarpać.

– Żebyś mogła wrócić do ojca i tamtego kutasa? – szydził tym swoim niepokojąco upojnym głosem.

Zaciskając zęby, próbowała go ominąć, ale nic z tego. Jeszcze bardziej się w niej zagotowało.

– Zejdź. Mi. Z. Oczu – wycodziła lodowato.

Ani drgnął.

I nie wytrzymała.

W ułamku sekundy złapała go za szyję i z impetem ruszyła wprost na niego. Cofnął się o krok, ale nie pod naporem jej ciała (była na tyle przytomna, by wiedzieć, że kobieca siła nie robi na nim najmniejszego wrażenia), lecz z własnej woli. Z błyskiem w oku odchylił wyzywająco głowę, jakby nie dbał o to, czy go własnoręcznie udusi. Zaciskając palce na tych ciepłych, twardych mięśniach,

poczuła, że ogarnia ją żądza zemsty. Miała ochotę po prostu się na nim wyżyć. Bo on z jakiegoś powodu nie ukrywał nienawiści do niej. W tej chwili była mu nawet wdzięczna za tę szczerość, potrzebowała jej.

Ale jej opanowanie od dawna wisało na włosku. Dopiero teraz zdała sobie sprawę jak cienkim.

– Prosiłam o jedną prostą rzecz – wycedziła drżącymi wargami. – Miałeś się trzymać ode mnie z daleka. Obiecałeś mi to. Dałeś słowo. To dlaczego na każdym kroku się na ciebie natykam? Ostrzegam, że jeszcze chwila i oleję ten cały kod i możecie sobie wszyscy zdychać, nie obchodzi mnie to. Trzymaj. Się. Ode. Mnie. Z. Daleka. Do. Cholery.

W mgnieniu oka uderzyła przodem o drzwi, z jedną ręką przyciśniętą do drewna, a drugą mocno, lecz bezboleśnie wykręconą. Przycisnął tors do jej kompletnie nagich pleców – przy każdym jego oddechu wrzynały się w nie guziki jego białej koszuli. Momentalnie poczuła znajomą piżmową woń jego ciała. Zadrżała, gdy obrócił na bok jej twarz, muskając czoło szorstkim zarostem, i nachylił się do jej ucha.

Jej serce chciało się wyrwać z piersi, a w uszach jej dudniło. Jego zapach, dotyk i wywołane tym zmysłowe doznania uderzyły jej do głowy jak szampan, niemal ścinając ją z nóg.

– Wyjaśnijmy sobie jedno, panno Vitalio – wyszeptał jej prosto do ucha, wypełniając ją tym swoim głosem stuletniej whisky i grzechu.

Gdy musnął wargami delikatną małżowinę, zaczęła łapać powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Jediną barierą między nimi a gwarną restauracją były te cienkie drewniane drzwi. Gdyby jej ojciec ich teraz zobaczył, żadne z nich nie wyszłoby stąd żywe.

Na tę myśl wstrząsnął nią dreszcz. Myśl, że przy tym mężczyźnie przeobrażała się nagle w niebezpieczną kobietę. Myśl, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu on nie pozwoli nikomu innemu jej zabić. Więc pozwalała mu przyciskać się do tych drzwi bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Liczył się tylko ten dreszcz.

– Trzymam się z daleka, kiedy mam na to ochotę – wyszeptał. – A nie dlatego, że ktoś mi każe. Ale nigdy nie wziąłem kobiety siłą i teraz też nie zamierzam.

Morana przygryzła wargi, zdając sobie sprawę, że rzeczywiście trzyma przysłowiowe łapy przy sobie, i znów się w niej zagotowało.

– Od początku byliśmy ze sobą szczerzy, panno Vitalio – wymruczał. – I teraz też będę. Gardzę tobą i jednocześnie cię pragnę. Cholernie. I muszę się z ciebie wyleczyć.

Ordynarny, prymitywny sposób, w jaki to ujął, momentalnie podniósł jej ciśnienie.

– Ludzie twojego ojca są tuż za tymi drzwiami – ciągnął. – Powiedz tylko słowo, a cię wypuszczę.

Morana zamarta, przyciskając do drewna falującą pierś.

– Czekam na decyzję.

O kurwa. Tylko jak ona ma cokolwiek postanowić, skoro jej mózg zaliczył właśnie krótkie spięcie? Co prawda raz uprawiała seks z Jacksonem, ale to był głównie przejaw buntu i nie bardzo miała ochotę na powtórkę. Z drugiej strony w spojrzeniu tego człowieka było dwa razy więcej zmysłowości i ognia niż u szczytującego Jacksona. Jeszcze nigdy nie była tak upojona własną zwierzęcą żądzą.

I w tym tkwił cały problem. Nienawidziła go, nienawidziła wszystkiego, co robił, i każdego słowa, które padło z jego ust. Marzyła, że pewnego dnia sama go zabije. Ale jej ciało go pożądało. Ona też musiała się z niego wyleczyć. I to jak najszybciej.

Jej ojciec był tuż obok. Jego ludzie byli tuż obok. Siepacze Klanu byli tuż obok.

Ale to z Tristanem Caine'em była tu zamknięta.

Chciała poczuć go w sobie.

Przymknęła oczy i sięgnęła wolną ręką do rygla w prawym górnym rogu drzwi i je zablokowała.

Decyzja została podjęta.



KNEBEL

Oddech. Słyszała jego oddech, czuła go na karku. Owiewał delikatnie jej ucho, ogrzewał skórę i przyprawiał o mrowienie, wzniecając coraz większy, nieznany płomień. Serce trzepotało jej w piersi. Wpiła palce w drzwi, próbując oswobodzić unieruchomioną rękę. Opuszki palców wrywały się do skóry, ciepłego ciała napierającego na nią samca.

Odwróciła doń głowę.

Oddech.

Upajająca mieszanka szkockiej i czekolady, którą zapagnęła poczuć na wargach. Jej oczy powędrowały do jego pełnych ust, w które tak bardzo chciała wbić zęby, zakosztować ich miękkości, ich dojrzałej słodyczy. Jej język wrywał się do tej niepozornej blizny w ich kąciku, wyzierającej teraz spod parodniowego zarostu. Ciekawe – jest miękki czy szorstki? Połaskocze jej skórę czy ją podrażni, zostawiając czerwoną i obrzmiałą na dowód jego dzikiej, nieposkromionej żądzy?

Nie, nie może zostać żaden dowód.

Pożądała go, ale jeszcze bardziej pragnęła się z niego wyleczyć. Obiecała sobie, że to jednorazowa przygoda, którą wymaże z pamięci, gdy tylko zamkną się za nią te drzwi. Niech odzyskają wreszcie te kody, żeby miała go raz na zawsze z głowy. To tylko chwila szaleństwa, nic więcej.

Podniosła wzrok i zatonała w jego pociemniałych oczach. Był podniecony, bardzo podniecony. Oddychał głęboko, choć zaskakująco miarowo, jego oczy płonęły pożądaniem

przemieszanym z nienawiścią, która przestała już na niej robić wrażenie.

– Trzymaj usta z daleka ode mnie – ostrzegła go cichym głosem.

Jego kamienną maskę ożywiła jedynie uniesiona brew.

– Wcale nie zamierzam ich do ciebie zbliżać.

Resztką dogasającej złości zacisnęła zęby, nie bardzo wiedząc, za co się tu obrażać, skoro przed chwilą sama to zaproponowała. Ale i tak była urażona i znów się w niej zagotowało. To tylko szybki numerek, powtarzała sobie. Nie ma potrzeby niczego komplikować.

– W takim razie tylko penis – poinstruowała go bezwstydnie, płonąc na równi z żądy i wściekłości, których nie potrafiła już rozsupłać.

Mrużąc oczy, puścił jej rękę, ale się nie poruszył.

– Masz jakieś doświadczenie?

Tym pytaniem dolał jeszcze oliwy do ognia. Jeśli sądził, że radośnie streści mu całe swoje życie intymne, to miał bardziej nie po kolei w głowie, niż sądziła. Mimowolnie zaciskając pięści przy bokach, wyprostowała się jak struna.

– A ty masz ochotę oberwać? – wycodziła zniżonym głosem.

Bez słowa przekrzywił głowę, wbijając w nią płonące pożądaniem i nienawiścią oczy osadzone w tej kamiennej masce zwanej twarzą.

Jedno złe słowo, krzywe spojrzenie, jeden nieprzemyślany ruch i udusi go gołymi rękoma, była tak bliska wybuchu.

Ale się nie doczekała.

Patrzył na nią tylko zmrużonymi oczami.

I to wystarczyło, by pękła.

– Pierdol się – warknęła i upokorzona odwróciła się, sięgając do klamki.

Była cała rozedrgana, jakby straciła resztki władzy nad ciałem. Rozedrgana jak bomba z opóźnionym zapłonem, która lada chwila eksploduje, siejąc spustoszenie i śmierć. A jej pierwszą ofiarą mógłby paść on. Albo jej ojciec. I tamten oblech przy stoliku. Kolejka była długa. Klasyk.

Ale gdy już niemal sięgnęła klamki, nastąpił nagły zwrot akcji.

Złapał ją oburącz w pasie i podniósł, jakby była lekka jak piórko. Serce momentalnie podeszło jej do gardła i zanim zdążyła krzyknąć, posadził ją na granitowym blacie pod lustrem.

Gdy rozgrzana skóra pod zwiniętą sukienką zetknęła się z chłodnym kamieniem, z jej gardła wyrwało się syknięcie i zadrżała z zimna. Zabrał ręce i instynktownie oparła się dłońmi o śliski blat za plecami, łapiąc równowagę, przez co siedziała teraz przed nim nie tylko w lekkim rozkroku i z podkasaną kiecką, ale i naturalnie wypiętą piersią. Na myśl o tym oblał ją rumieniec wstydu; jeszcze nigdy nie zaprezentowała się mężczyźnie w tak „zapraszającej” pozie.

Cofnął się o krok, niespiesznie wędrując wzrokiem po jej ciele. Dekolt, falujący biust, uda, nogi. Poczwała, jak jej piersi robią się ciężkie, sutki bezwstydnie twardnieją, a oddech przyspiesza.

Odplacając mu pięknym za nadobne, wbiła wzrok w tę jego męską, szeroką klatę, którą jeszcze przed chwilą przyciskał ją do drzwi w słabym świetle toalety, a którą nie tak dawno widziała w całej okazałości. Miała ochotę powędrować językiem od jej marmurowych mięśni aż po pulsującą na szyi żyłkę i dalej, do podbródka, blizny w kącie ust i wreszcie – tych jego mięsistych warg. Boże, czemu nie mógł być jakimś paskudnym, podstarzałym, brzuchatym dziadem o brzydkim oddechu i jeszcze brzydszym zapachu, oczkach jak paciorki i piskliwym głosem? Ale wyglądał, jak wyglądał, i nie mogła oderwać od niego oczu, schodząc coraz niżej i niżej, aż do krocza.

Na którego widok zaparło jej dech w piersi.

Gdyż bezwstydnie wybrzuszenie w „tym” miejscu pod napiętym materiałem spodni przypominało nawet nie namiot, a nabrzmiąły balon. Facet naprawdę miał się czym pochwalić. Jackson mógł się przy nim schować.

I wtedy dopiero padł na nią blady strach. Cholera, w co ona się wplątała? Nigdy nie uprawiała seksu w tej pozycji, nie miała doświadczenia, a on był wielki i pałał do niej nienawiścią.

Podniosła nań przerażone oczy, ale zanim zdążyła otworzyć usta, przypadł do niej i rozwierając jej uda, ulokował się między nimi. Jego twarz znalazła się nagle parę centymetrów od jej twarzy, a oczy nadal płonęły mieszanką pożądania i mętnej nienawiści. Może do

samego siebie? Może nienawidził się za to, że jej pragnie? Bo ona właśnie za to nienawidziła w tej chwili samej siebie.

Wpił się w jej wargi, podnosząc jej sukienkę jeszcze wyżej. Oddech uwiązał jej w gardle. Ale jedynym, co czuła, była jego twarda męskość, napierająca słodko na jej łechtaczkę. Momentalnie zrobiła się mokra, z każdym jego ruchem coraz bardziej i bardziej ociekała wilgocią. Jak tak dalej pójdzie, zostawi mu na rozporku koszmarną mokrą plamę.

Nagle naszała ją otrzeźwiająca myśl.

– Masz gumkę, prawda? – wyrzuciła z siebie, zanim zdążyła ugryźć się w język. Choć brała pigułki i mogła go dosiadać do woli, ani trochę mu nie ufała i nie chciała, żeby w niej trysnął.

Znieruchomiał i oczy zapłonęły mu gniewem.

Zaciskając zęby, wpiła palce w zimny granit.

– Niech ci się nie zdaje, że pozwolę ci dojść w środku bez niej.

W odpowiedzi złapał ją jedną ręką za szyję – może nie brutalnie, ale na pewno ostrzegawczo – tak jak ona jego przed chwilą. Gdy odchylił jej głowę swoją szeroką, szorstką dłonią, przeszedł ją dreszcz strachu. Cóż to dla niego za problem, skrócić jej teraz kark. Sama nieraz widziała go w akcji. Mógłby zabić ją tu i teraz, w toalecie najekskluzywniejszej restauracji w mieście, i nie byłaby w stanie się obronić.

Zagotowało się w niej.

– Masz czy nie? – nie ustępowała, przełykając strach. Nawet jej powieka nie drgnęła pod jego hipnotycznym wzrokiem.

– Jesteś dziewczicą? – zapytał cichym, śmiertelnie groźnym głosem z nutą stuletniej whisky, który z miejsca uderzył jej do głowy. To było chyba jedyne rozsądne pytanie, jakie jej kiedykolwiek zadał.

– Nie – odparła, unosząc wyzywająco brwi.

Nie odezwał się ani słowem.

Ale bez ceregieli włożył jej drugą rękę między nogi i odsuwając paseczek materiału, dostał się jej do majtek.

Wygięła się w łuk, wstrząsana dreszczem własnego pożądania, którego zapach dotarł do jej nozdrzy, sprawiając, że zrobiła się jeszcze bardziej mokra.

Patrzając jej prosto w oczy, jedną ręką przytrzymał ją za szyję, a drugą pieścił wprawnie jej szparkę.

Dopiero wtedy dotarło do niej, jak wielką miał nad nią władzę, jak wiele sama mu jej oddała, i zalała ją świeża fala złości i nienawiści. Ciało mogło ją zdradzić, umysł – absolutnie nie.

Oderwała dłoń od blatu i przenosząc ciężar ciała na drugą rękę, złapała go za krocze tak samo jak on ją za szyję, mocno ściskając. Jak na zawołanie naparł na nią udami, a w jego oczach zapłonęła złość. Dobrze wiedział, co robiła. Odpłaciła mu pięknym za nadobne. Bingo.

Ani razu nie wsuwając palca do środka i starannie omijając łechtaczkę, pieścił kolistym ruchem jej falbanki. Ale to wystarczyło, by całe jej ciało zapłonęło dziką żądzą, i gdyby to był ktokolwiek inny, błagałaby o spełnienie. Już i tak musiała przygryźć wargi, by nie dać mu tej satysfakcji i nie jęknąć z rozkoszy.

W odpowiedzi zacisnęła palce na jego przyrodzeniu i z gardła wyrwał mu się niemal niedosłyszalny pomruk. Godne podziwu opanowanie jak na zaprzysięgłego wroga. Był tak twardy i nabrzmiały, że ledwie mieścił się jej w ręce i poczuła, jak jej ścianki kurczą się z pragnienia, by ją wypełnił. Serce waliło jej jak oszałałe i zaczęła ciężko dyszeć, tracąc resztki kontroli nad ciałem.

Nagle przerwał.

Cofnął dłonie.

I z jej szyi, i z falbanek.

W takiej chwili?! Miała ochotę go zabić.

Lśniącymi od jej soków palcami wyjął z kieszeni portfel. Na widok tego dowodu własnego podniecenia, świadomości, że w niej były, zalała ją świeża fala gorąca. Jak tak dalej pójdzie, spali się na popiół, zanim w ogóle dojdzie do zbliżenia.

Wyciągnął prezerwatywę i rozerwał zębami folijkę. Nie ośmieliła się spojrzeć na jego rozporek, gdy go rozpinał. On też nawet nie zerknął w dół.

I zanim zdążyła nabrać powietrza, złapał ją za kark jak wtedy w penthousie, drugą dłonią opierając się o granitowy blat.

Poczuła, jak ociera się koniuszkiem penisa o jej łechtaczkę, i zaczęła łykać powietrze, wiedząc, że nie ma już odwrotu. Na myśl, że za chwilę naprawdę to zrobi, i to właśnie z nim, przeszedł ją dreszcz wstydliwego podniecenia. Pragnęła go. I zarazem

nienawidziła siebie, że poddaje się temu pragnieniu. Ale tak bardzo tego potrzebowała.

Marzyła, by się w nią wbił i doprowadził do eksplozji – nie bomby, lecz zmysłów. Boże, chciała krzyczeć na całe gardło, gdy będzie ją rznął, spełniając milczącą obietnicę swoich oczu, którą składał jej, odkąd się poznali. Chciała, by obudził w niej nieokiełznaną rozpustnicę – i za to też się nienawidziła. A jego nienawidziła za przeobrażenie jej w to ogarnięte chucią zwierzę.

Uderzenie rozdygotanego serca.

I nagle wszedł w nią jednym szybkim ruchem po samą nasadę długiego, twardego penisa.

Z ust wyrwał się jej krzyk, a potem oddech uwiązł jej w gardle. Przyjęła go całego, śliskiego od jej własnych soków, ale zanim wypełnił ją po brzegi, wyszedł i nie czekając nawet, aż złapie oddech, pchnął z całej siły. Tym razem przygryzła mocno wargi, dławiąc krzyk rozkoszy, gdy wszystkie jej zmysły zapłonęły, a piersi podskoczyły od jego bezlitosnego pchnięcia.

Nie zdążyła nawet przywyknąć do jego rozmiaru, gdy znów z niej wyszedł, pochylając głowę, by nie widziała jego twarzy.

Przymknęła oczy, nie chcąc zapamiętać jej wyrazu w chwili, gdy trzymała go w szponach swoich skurczonych mięśni. Nie chciała widzieć malującego się na niej triumfu, złośliwego uśmiešku lub jeszcze gorzej – czystej rozkoszy. Chciała rozpadać się na kawałeczki w całkowitej ciemności.

Kolejne pchnięcie.

Dreszcze przechodziły ją na wskroś, oddech przyspieszał, serce waliło jak szalone. Toaleta błyskawicznie zapachniała seksem i jego piżmową wonią. Przy każdym pchnięciu robiła się coraz bardziej mokra, bardziej niż kiedykolwiek, bardziej, niż powinna. Przygryzała wargi, tłumiąc jęki rozkoszy, a jej ciało osiągało stan nirwany.

Ciszę przerywało tylko ich dyszenie i ledwie dławione pomruki. Krew dudniła jej w uszach, dłonie bolały od przyciskania do tego twardego granitu, a plecy od wygięcia w łuk, które tylko się pogłębiło, gdy podciągnął jej biodra, łapiąc rytm i przyspieszając. Oprócz wdzierającego się bezlitośnie penisa i obejmującej ją za kark dłoni, starannie unikał kontaktu z jej ciałem.

Nagle z tego upojnego zamroczenia wyrwało ją pukanie.

Kurwa.

Otworzyła oczy, wbijając wzrok w drzwi, a on po raz pierwszy znieruchomiał z pulsującym penisem w środku. Jej ścianki skurczyły się wokół niego niczym pochwa na wymiar jego miecza.

Gdy pukanie rozległo się ponownie, zamrugła, uzmysławiając sobie, gdzie jest – czyli w restauracji pełnej uzbrojonych po zęby gangsterów, nie wyłączając jej ojca z obstawą. Wszyscy oni dosłownie czekali za tymi cienkimi drzwiami. A za progiem ona jak gdyby nigdy nic uprawiała sobie dziki seks z Tristanem Caine'em i jego pulsującym penisem.

O matko.

– Panno Vitalio? – Dobiegł zza drzwi jakiś męski głos i jej oczy zrobiły się okrągłe. – Ojciec panią woła.

Chryste.

Była blisko.

Tak blisko.

Tak jak te drzwi...

Aaa...

Spojrzała na kamienną maskę Caine'a, którą ożywiły jedynie uniesione brwi. Gdyby ktoś go teraz zobaczył do pasa w górę, nigdy by nie zgadł, że trzyma w niej penisa na skraju orgazmu. Czy ten człowiek to robot?!

Wskazując brodą drzwi, nakazał jej odpowiedzieć.

Wzięła głęboki oddech, mimowolnie zaciskając ścianki pochwy, i w tej samej chwili eksplodowała.

Błyskawicznie wyciągnął penisa i pchnął jeszcze mocniej.

Święci pańscy!

Instynktownie rozwarła usta, by krzyknąć, ale momentalnie przykrył jej usta wolną dłonią. Oczy nieomal wyszły jej z orbit.

Czy on ją właśnie zakneblował? Bezczelnie zakneblował?

Tuż za drzwiami stał człowiek jej ojca, czekając na jej odpowiedź. Czy ten cały Tristan Caine oszalał?

Odpowiedziało jej mocne pchnięcie i koniuszek penisa uderzający w najczulszy punkt. Gałki niemal się jej wywróciły w oczodołach, a krzyk, który wyrwał się jej z gardła, w ostatniej chwili stłumiła jego szeroka dłoń. Jego pchnięcia nabrały nagle

zatrważającego, niemal nieludzkiego tempa. Wchodził i wychodził, zanim ona zdążyła nabrać powietrza.

Jeśli wcześniej ją zamroczyło, teraz była już bliska utraty przytomności. Jego bezlitosne pchnięcia, napór bioder jak tarany, knebel, a nawet sama świadomość uprawiania seksu niemal pod nosem ojcowskiego siepacza – wszystko to sprawiało, że krew zawrzała jej w żyłach.

Bezwiednie oderwała dłonie od blatu, objęła go za ramiona, zdając się na niego tak jak wtedy w penthousie, i wbiła paznokcie w jego twarde jak skała mięśnie.

Zaprzagnęła dotrzymać mu tempa, ale nie była w stanie. Mogła tylko pozwolić, by raz za razem nadziewał ją na siebie, dyktując warunki. Jedynym, na co starczało jej sił, było rozpaczliwe łapanie powietrza i skurcze zgłodniałych delikatnych ścianek wokół jego oszalałego penisa.

Zamienił się w dzikie zwierzę.

Dziką, nieujarzmioną bestię.

A ona mogła tylko poddać się jego chuci.

Jej zbolące, ocierające się o materiał sukienki sutki tak bardzo łaknęły dotyku. Miała ochotę złapać go za ręce i je do nich przycisnąć. Chciała zedrzeć z siebie tę sukienkę i zmusić go, by je ssał. Chciała poczuć na skórze jego zwiny szorstki język, chciała poczuć jego wilgoć, gdy napierał tak na nią biodrami niczym zaprogramowany robot.

Ale nie była w stanie. Wbiła więc tylko paznokcie jeszcze głębiej w jego skórę.

Boże, jak ona go nienawidziła! Ale umiejętności nie można mu było odmówić. I to jakich!

Pukanie rozległo się ponownie, dobijając się do jej świadomości, i po podskakujących piersiach spłynęła jej pojedyncza kropla potu. Zacisnęła palce na jego ramionach, a on w odpowiedzi – na jej karku.

Nagle zgiął kolana i nadział ją na siebie jednym mocnym pchnięciem, aż zobaczyła mroczyki przed oczami. Był jak szpikulec. Zacisnęła zęby, czując, jak wrzątek niemal rozsadza ją od środka, rozlewając się po całym ciele. Ale nie miała wyjścia, musiała przyjmować pchnięcie za pchnięciem. Jeszcze jedno – i wreszcie

nastąpił wybuch. Płomienie lizały od środka jej sparaliżowane ciało, kończynami zawładnęły spazmatyczne drgawki i odrzucając bezwładnie głowę, rozwarła usta w bezgłośnym krzyku i wygięła się w łuk, ścigając orgazm. Nie przerwał ani na chwilę, raz za razem uderzając koniuszkiem penisa w najczulszy punkt.

Tego było za wiele. Próbowła potrząsnąć głową wbrew rozdygotanemu ciału, ale jego ręce skutecznie ją unieruchamiały.

On nie przerywał.

Ona płonęła.

I zanim była w stanie się powstrzymać, wbiła zęby w jego dłoń, szukając ujścia dla wstrząsających nią niewyobrażalnych doznań. Łkając i skomląc jak kociak, wgrzyła się w jego skórę. Do szkarłatnej krwi.

Pukanie rozległo się po raz trzeci.

Poczuła w ustach posmak miedzi i rdzy. Nie cofnął ręki. Ona nie oderwała zębów.

Ostatnie pchnięcie i znieruchomiał, pęczniejąc w niej i odnajdując własne spełnienie pośród jej spazmatycznych skurczów. Gdy tryskał, wypełniając ją swoim nasieniem, zdążył jeszcze tylko zacisnąć palce na jej karku przy wtórze pojedynczego gardłowego pomruku. Po chwili jego oddech stał się tak płytki jak ostatnie rozpaczliwe pchnięcia. Ona łapała powietrze z jeszcze większym trudem.

Miała dość. Serdecznie dość.

Nie czuła rąk i nóg. Nie czuła twarzy, zębów, niczego.

Jeszcze nigdy czegoś takiego nie doświadczyła.

Nie otwierała oczu, czując, jak powoli w niej mięknie.

– Morano? – Do jej przegrzanego mózgu dobijał się głos ojca.

I momentalnie ją zmroziło.

– Przestań się dąsać jak dziecko i w tej chwili wyjdź – nakazał zza drzwi. – Siedzisz tam stanowczo za długo.

Zacisnęła zęby, by nie jęknąć, gdy Tristan z niej wyszedł i się odsunął. Zerknąwszy na drzwi, wyrzucił zużytą gumkę i odwrócił się do niej plecami, wkładając koszulę w spodnie. W końcu i ona jakoś się pozbięrała i ześlizgnęła z blatu. Nogi miała jak z waty, kolana się pod nią ugięły, a delikatna skóra ud piekła. W środku była jeszcze

bardziej obolała. Wykorzystał ją, zbrukał, a teraz rzucił na pastwę wilków czających się za drzwiami.

Ściągając łopatki, odwróciła się do lustra – i wstrzymała oddech. Jej fryzura i makijaż nadal były nienagane. Na szyi – ani śladu palców. Gdyby nie rumieniec i kiecka w nieładzie, można by przypuszczać, że używała tej toalety najzupełniej zgodnie z przeznaczeniem.

Mrugając błyszczącymi, okrągłymi oczami, starannie wygładziła sukienkę, by nie została nawet zmarszczka, i wzięła głęboki wdech na otrzeźwienie. Nagle poczuła na karku znajome mrowienie, spojrzała w lustro i napotkała jego wzrok. Po nim też nie było nic widać, normalnie niewiniątko. Przetykając, poczuła w ustach resztkę posmaku miedzi i rdzy.

Powędrowała wzrokiem do jego pogryzionej ręki i z przerażeniem dostrzegła, że to ta sama, w którą zraniła go nożem. Nie zdążyła się jeszcze zagoić, a tu kolejna kontuzja.

Przełknęła słowa przeprosin, które mimowolnie cisnęły się jej na usta, i zaciskając zęby, wyprostowała dumnie plecy.

– Panno Vitalio – odezwał się zza drzwi teraz już podniesiony głos ojcowskiego goryla. – Szef każe pani wracać do stolika.

A niech diabli porwą ten stolik i wszystkich, którzy się przy nim rozsiadli.

Nie odpowiedziała i odwróciła się do Caine'a z obojętną miną.

– Doświadczenia tyle, co kot napłakał – wyszeptał niemal niedosłyszalnie.

Na te słowa zalała ją świeża fala złości, na niego i na siebie samą. Pozwoliła mu się rzucić na blat w toalecie, na litość boską. W publicznej toalecie. W restauracji rojącej się od wrogów. Pozwoliła mu na szybki, niemal brutalny numer. Pozwoliła się zakneblować, by nie usłyszeli jej stojący tuż za drzwiami ludzie ojca. Pozwoliła mu wywindować się na sam szczyt rozkoszy.

I było jej dobrze. Pragnęła tego. Każdej. Sekundy. Każdego. Pchnięcia. Pragnęła tego i nie chciała, by kończył. Gdyby nie zakrył jej ust dłonią, krzyczałaby wniebogłosy. A przecież jej nie dotknął. Nawet kiecki nie wymiął. Ona zresztą też nie miała najmniejszej ochoty go dotykać.

Boże, co ona plecie?

To była jednorazówka.

Żadnych powtórek.

Finito. Kurtyna. Niech jej lepiej zejdzie z oczu. Chciała jak najszybciej wymazać z pamięci tę koszmarną chwilę słabości. To było popaprane, niewyobrażalnie popaprane.

Wszystkim, co jej zostało, był trawiący żal, złość i nienawiść do samej siebie.

Których odbicie zobaczyła teraz w jego oczach, zanim pospiesznie odwrócił wzrok.

On też pałał do siebie nienawiścią. On też tego żałował. On też był zły.

I dobrze.

A najgorsze, że obok nich płonęło coś jeszcze: nienasycony głód, równie silny jak wtedy, gdy przekraczała ten próg. Jaki to wszystko miało sens, skoro i tak nie znalazła zaspokojenia?

Odwróciła się bez słowa ku drzwiom i zrobiła pierwszy krok.

Przy którym prawie ścięło ją z nóg. Była taka obolała. Wystarczył jeden krok, by ból natychmiast przypomniał jej o jego zwierzęcej wizycie tam w środku. Jeden jedyny krok.

I jak ona ma teraz stąd wyjść?

Tak samo jak codziennie z domu.

Z tą otrzeźwiającą myślą ściągnęła łopatki i pospiesznie go minęła, ignorując wspomnienia obolałego, a mimo to wciąż niezaspokojonego ciała.

Złapał ją za rękę, ale tylko rzuciła nań okiem spod uniesionych brwi.

– Następnym razem złam mu rękę – powiedział cicho, wbijając w nią te swoje niesamowite oczy, i serce zatrzepotało jej w piersi.

Dotarło.

Wyrwała rękę, wykrzywiając usta w brzydkim grymasie.

– Jeszcze raz mnie tknij, a złamię twoją.

– Jeden raz to aż nadto, panno Vitalio.

Najeżyła się.

– Powiedz to mojej księdze podbojów, panie Caine.

I nie czekając na odpowiedź, pomaszerowała do drzwi. Nie obchodziło jej, jak wyślizgnie się niezauważony z damskiej toalety. Wszedł, to i wyjdzie.

Odblokowała drzwi i gdy je otworzyła, jej oczom ukazało się dwóch goryli ojca czekających na końcu korytarza. Zadarła dumnie głowę i pomaszerowała ku nim. Ale przy każdym kroku obolałe ciało przypominało jej, co zrobiła i co pozwoliła sobie zrobić, przypominało o sprawcy i chcianej-niechcianej rozkoszy, którą jej dał. Krok za krokiem. Pulsowanie między nogami świadczyło o budzącym się na powrót głodzie. Jej ciało dosłownie przed chwilą dostało w prezencie nieziemski orgazm, a już domagało się więcej. Co było z nią nie tak, do diabła?

Uzbrojeni po zęby goryle pozwolili, by ich wyprzedziła, i ruszyli tuż za nią, czujnie ubezpieczając tyły.

Gdy weszła na salę, w pierwszej kolejności powędrowała wzrokiem do narożnego stolika Klanu, od razu napotykając oczy Dantego. Wiedział. Jego spojrzenie mówiło jej, że wiedział dokładnie, co robiła i gdzie podział się jego brat krwi. Ale w jego oczach nie dostrzegła wyrzutu, złości czy politowania. Jedynie zmęczenie.

Odwrócił pospiesznie wzrok, by nie wzbudzać podejrzeń, a tymczasem ona dotarła do stolika ojca. Ten krótki spacer zdziałał cuda dla jej skołatanych nerwów.

Nie zaszczycając spojrzeniem nikogo z towarzystwa, usiadła sztywno na swoim krześle, ściskając uda w daremnej próbie pozbycia się tego natrętnego pulsowania między nimi. Czując na sobie wzrok ojca, spojrzała nań wyzywająco. Stolikowy oblech skorzystał z okazji, by łypnąć na nią okiem.

Nagle jej telefon zawibrował.

Przerywając ten osobliwy pojedynek na spojrzenia, zerknęła na wyświetlacz.

Tristan Caine: To ile w sumie było tych podbojów?

Szczęka prawie jej opadła. Co za bezczelny typ. Jak on śmiał?

Pospiesznie wystukała odpowiedź, walcząc z zalewającą ją falą świeżej złości i obrazów tamtych chwil uniesienia.

Ja: Od dziś o jeden więcej. Aha, i najważniejsze...

Tristan Caine: Tak?

Ja: Wpisy do księgi są jednorazowe, więc nawet nie licz na powtórkę.

Czekała na odpowiedź, ale nie nadeszła.

Zamiast tego poczuła znajome mrowienie na karku. Patrzył na nią. Przeróżające *déjà vu*.

Znalazła się dokładnie w tym samym miejscu, między tymi samymi ludźmi, wśród tych samych rozmów, co przed godziną. Z jedną małą różnicą.

Ona była już kim innym.

Nie chciała się do tego przyznać nawet przed samą sobą, ale taka była prawda. W ciągu tych krótkich sześćdziesięciu minut zaszła w niej jakaś niemal niezauważalna, acz znamiennej zmiana, która uświadomiła jej własne żądze, pchnęła do zablokowania tych nieszczęsnych drzwi, do rozłożenia przed nim nóg. Smutna prawda, ale prawda. I prędzej umrze, niż pozwoli, by ktoś ją poznał. A już na pewno nie on.

W końcu goście zaczęli się rozchodzić i stolik opustoszał. Ona również wstała i ignorując pulsowanie tam na dole, wyprostowała się i sięgnęła po torebkę.

Zanim się zorientowała, oblech złapał jej rękę i podniósł ją do ust, przyprawiając ją o jeszcze większe ciarki niż wtedy, gdy próbował ją obmacywać. Na pozór był to tylko kurtuazyjny gest dżentelmena żegnającego się z damą, ale dotyk jego warg na skórze wzbudził w niej niewysłowione obrzydzenie.

Co gorsza, od samego początku tej godnej pożalowania sceny czuła na sobie palący wzrok tego, który jeszcze przed chwilą zerznął ją do nieprzytomności w miejscowej toalecie. Lizał językami ognia jej obnażone plecy, kark, ramiona.

„Następnym razem złam mu rękę”.

Z palącego jego wzrok stał się parzący. Próbowwała wyrwać rękę, ale tamten nie puszczał.

Jej ojciec rozejrzał się po sali, ale on ani na sekundę nie oderwał od niej oczu. Chciał rozpętać cholerną wojnę czy co? W tej chwili przestań!

Gdy ojciec wraz z obstawą ruszył w końcu do drzwi, atmosfera w restauracji momentalnie zgęstniała i niejedna dłoń sięgnęła pod

marynarkę, gdzie czekała już naładowana broń.

Oblech wreszcie puścił jej rękę. Natychmiast sięgnęła po serwetkę i demonstracyjnie wytarła dłoń.

– Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy – poinformował ją oblech.

– Naturalnie, skoro tak bardzo pan marzy, by trafić do szpitala z połamanymi gnatami – odparowała podniesionym głosem i parę okolicznych osób zeszywniało.

On nie odrywał od niej wzroku. Jej ciało pulsowało.

Ruszyła do drzwi w ślad za grupą, starannie odwracając oczy od stolika w rogu, skąd obserwował każdy jej ruch niczym pantera upatrzoną gołębicę – nieruchomy, milczący, cierpliwy.

Telefon zawibrował jej w dłoni i zerknęła nań ukradkiem.

Na widok tych kilku prostych słów wszystko nagle wróciło – złość, pożądanie, nienawiść, żal – tym razem połączone w iście wybuchowej mieszance. Wystarczyła jedna iskra i...

Oddech uwiązał jej w gardle.

Ciało zaśpiewało na wspomnienie jego szorstkich dłoni, napierających bioder, które nadal czuła na swoich, wpatrzonych w nią oczu, w których błysnęło odbicie takich samych emocji.

Na widok tych kilku prostych słów rozdygotane serce podeszło jej do gardła.

Tristan Caine: Chyba jednak się z ciebie nie wyleczyłem, panno Vitalio.

Zanim zdążyły do niej dotrzeć, ojciec wbił w nią swoje zimne czarne oczy.

Tym razem żołądek podszedł jej do gardła, i to z zupełnie innego powodu.

– Co robiłaś z Tristanem Caine'em?



UPADEK

Atak paniki był nie do odparcia.

Serce zamarło jej w piersi, by po sekundzie zacząć walić jak szalone, wprawiając resztę ciała w rytmiczne drżenie.

Trzymając się zębami i pazurami swojej kamiennej maski, by nie odkryć przed sokolim wzrokiem ojca najmniejszego choćby śladu wewnętrznego chaosu, Morana uniosła powoli brew.

– Kim jest Tristan Caine? – zapytała opanowanym głosem przeczącym trzęsawce w środku.

Ale zanim ojciec zdążył odpowiedzieć, drugie drzwi restauracji przy końcu uliczki nagle się otworzyły, ściągając na siebie jego wzrok. Nie wychodząc z roli, powędrowała za nim spojrzeniem i ujrzała wysypujących się ludzi Klanu. Przednią straż stanowiło czterech rosnących goryli, a tuż za nimi wyszedł Dante, którego w tym półmroku rozpoznała głównie po atletycznej sylwetce. Odwrócił się i zauważył jej ojca – ten nie bardzo mogąc zrobić cokolwiek innego, skinął mu głową. Dante odpowiedział tym samym, ale w jego geście było coś, co bardziej przypominało pokazanie środkowego palca.

Morana nie mogła powstrzymać ukradkowego uśmiechu na widok czerwonej ze złości twarzy ojca.

Nagle stało się coś zdumiewającego – Dante przeniósł wzrok na nią i ją również pozdrowił niemal niedostrzegalnym skinieniem. Nie odpowiedziała, przygnębiona świadomością, że nawet wróg traktuje ją z większym szacunkiem niż jej własny ojciec.

Dante odsunął się od drzwi, przez które wyszedł Tristan Caine, ten dzikus w szatkach cywilizowanego elegancika, ciągnąc za sobą jeszcze czterech goryli. Przystanął, by zamienić słowo z Dantem,

i bezwiednie zaprezentował jej swój profil. Ani na chwilę nie zapominając o obecności ojca i jego sokolich oczach, wbiła wzrok w telefon, udając, że go przegląda. Byle tylko nie usłyszał, jak wali jej serce. Wszystko w niej pulsowało, ona pulsowała.

I wtedy na nią spojrział.

Znowu. Kurwa.

W ostatniej chwili stłumiła dreszcz.

A potem jak gdyby nigdy nic jego oczy się z niej ześlizgnęły.

Wstrzymując oddech, spojrzała na ojca – który przyglądał się Caine'owi groźnie zmrużonymi oczami.

Zaintrygowana, powędrowała za jego wzrokiem do mężczyzny, który przed paroma minutami był w niej, i zamrugła zdumiona.

Tristan Caine przytrzymał złowrogi wzrok jej ojca, wykrzywiając usta w uśmiechu równie fałszywym, co jej brytyjski akcent. Co on wyprawiał?

Odpowiedź dostała sekundę później i wszystko zrozumiała. To była gra o dominację. Caine wtargnął bezczelnie na terytorium jej ojca i nie zamierzał się nigdzie ruszać. A Morana dobrze wiedziała, że owym terytorium była ona sama.

Jeszcze nigdy tak mocno nie czuła, że żyje, a zarazem chciała po prostu umrzeć.

– Wsiadaj – rzucił gniewnie ojciec, popychając ją w stronę auta.

Przy każdej innej okazji zapierałaby się rękami i nogami, ale nie tym razem. Teraz dosłownie wskoczyła do limuzyny, nie oglądając się za siebie. Atmosfera zgęstniała do granic wytrzymałości i musiała jak najszybciej uciec spod jego płonących oczu.

Ojciec wsiadł za nią i zatrzaskując drzwi, kazał szoferowi ruszać.

Morana zacisnęła zęby i odwróciła się do szyby, walcząc z pokusą, by nie zacząć młócić pięściami. W końcu tętno powoli się jej uspokoiło, roztrzęsienie minęło i znów zamknęła się w sobie. Znała ojca nie od dziś i umiała z nim postępować. Ignorując trawiącą ją gorączkę i odsuwając na bok dręczące ją myśli o nim, usiadła prosto i wbiła wzrok w przemykający za szybą krajobraz – istne uosobienie godności i opanowania.

Przez całą drogę ojciec nie odezwał się ani słowem. Nie żeby to było jakieś zaskoczenie. Przecież nie pozwoliłby sobie stracić

nerwów – i tym samym reputacji – na oczach swoich ludzi. Co to to nie. Wybuch nastąpi, gdy będą już sami.

Droga z restauracji do rezydencji zwykle nie zajmowała wiele czasu. Ale dziś ciągnęła się w nieskończoność.

Gdy tylko limuzyna przejechała przez kutą bramę i zaparkowała, Morana pospiesznie wysiadła i ruszyła w stronę potwornego domu pełnego broni, która w każdej chwili mogła się obrócić przeciw niej.

Dotarła pod schody prowadzące do jej skrzydła, gdy nagle usłyszała za sobą tubalny głos ojca.

– Nie mógł oderwać od ciebie oczu.

Te oskarżycielskie słowa i wspomnienie wzroku pieszczącego jej nagie plecy zatrzymały ją na trzecim stopniu, ale zdążyła się opanować, zanim cokolwiek zauważył.

– A nie dlatego każesz mi się pindrzyć? – zapytała z nagromadzoną przez lata goryczą.

– Zniknął z sali w tym samym czasie, co ty. A gdy wrócił, nie odrywał od ciebie oczu.

Ignorując tę suchą relację przywołującą tak wiele sugestywnych obrazów zza kulis, wspinała się dalej po schodach.

– Co robiłaś z Tristanem Caine’em?

Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, ojciec ruszył w ślad za nią. Nigdy nie zachodził do jej skrzydła. Zawsze po nią posyłał.

Dotarłszy na półpiętro, odwróciła się do niego z zaciśniętymi zębami. Zagotowała się ze złości, ale trybiki w jej mózgu pracowały na zdwojonych obrotach.

– Uprawiałam seks – rzuciła wyzywająco spod uniesionych brwi.

Jego ręka podniosła się, by ją uderzyć, ale w ostatniej chwili zawisła w powietrzu, by zaraz opaść.

Skute lodem serce waliło jej jak młotem, a po plecach spływał zimny pot, ale nawet nie drgnęła.

– Mów prawdę – wycedził przez zaciśnięte zęby, tocząc wokół dzikim wzrokiem.

– Już mówiłam – upierała się przy swoim, sondując go. – Uprawiałam z nim szalony seks w toalecie tuż pod twoim nosem.

Westchnął.

– Nieprawda. Ty nie jesteś taka. Lepiej cię wychowałem.

Na te słowa prychnęła szyderczo.

– Nie przyłożyłeś ręki do mojego wychowania. – Była dokładnie „taka”. Serce córki – dziewczynki, której nigdy nie udało się zdobyć jego miłości i aprobaty – ścisnęło się jej w piersi, ale szybko przywołała je do porządku.

Ojciec zmrużył oczy.

– A tamten na motorze? Kto to był?

Morana uśmiechnęła się półgębkiem.

– Och, z nim też się przespałam.

Technicznie rzecz biorąc, była to prawda.

– Dość! – ryknął ojciec. Gniew wydobył z jego głosu niemal zapomniany akcent. – Jeśli myślisz, że nie sprowadzę lekarza, żeby cię zbadał, to się grubo mylisz.

Jak on śmiał?!

Jak?!

Krew zagotowała się jej w żyłach.

– Tylko spróbuj – odparowała wyzywająco, wykrzywając usta w strasznym uśmiechu. – Jeśli ten twój lekarz choćby mnie tknie, wpakuję kulkę jemu i każdemu, kto się do mnie zbliży.

– Dawałem ci za dużo swobody – wycedził z pociemniałymi złością oczami. – O wiele za dużo. Pora to ukrócić.

– Trzymaj mnie pod kluczem – zaczęła złowieszczo niższym głosem, piorunując wzrokiem człowieka, który ją spłodził – a bez wahania podam cię na tacy FBI, razem z deserem w postaci góry dowodów.

Ojciec zgrzytnął zębami.

– Owszem, ja też umrę, ale przedtem pociągnę cię ze sobą na dno – dodała obojętna na śmierć. – Nie wtykaj nosa w moje sprawy, to ja nie wetknę swojego w twoje. A tego byś nie chciał, tatusiu.

Nie dało się nie zauważyć, że to ostanie słowo wprost ociekało sarkazmem. Nie dało się nie zauważyć złowroźnie gęstniejącej na tych schodach atmosfery. Nie dało się nie zauważyć gniewu, którym dosłownie kipiał.

– Powinnaś była zdechnąć – wypluł z siebie słowa jak sztylety.

Że co? O czym on mówił? Nie śmiała zapytać.

Odwróciła się, chcąc odejść, ale złapał ją mocno za rękę i obrócił.

– Jeszcze nie skończyłem!

Gwałtowne szarpnięcie zachwiało nią i zanim zdążyła mrugnąć, w prawej kostce jej chrupnęło, a lewa ześlizgnęła się z najwyższego stopnia. To było jak déjà vu, tak samo prawie spadła ze schodów tam u Caine'a, który złapał ją w ostatniej chwili. Tak jak teraz ojciec.

Wszystko stało się w ułamku sekundy.

W którym poznała najdobitniejszą różnicę pomiędzy nim a Tristanem.

Rozluźnił uchwyt. Celowo.

A ona runęła ze schodów. Spadała i spadała, aż wreszcie zabrakło stopni.

Wszystko trwało dosłownie kilka sekund.

I skończyło się, zanim na dobre się zaczęło.

A wtedy przyszło najgorsze.

Każda kość w jej ciele, każde ścięgno, każdy mięsień zapłonął bólem.

Leżała na zimnej marmurowej podłodze, tak zimnej jak ten cały dom, jak stojący na półpiętrze człowiek z kamienną twarzą wykrzywioną czymś na kształt wyrzutów sumienia. Nie wiedziała, czy w tej chwili boli ją bardziej ciało, czy serce na widok swych wielkich nadziei roztrzaskanych na tej kamiennej posadzce. Ale ten akt zdrady w najgorszym możliwym wydaniu zadał ostateczny cios tamtej małej wewnętrznej dziewczynce i uświadomił jej, że nie ma już nadziei. Na swój sposób było to zbawienne.

Dławiąc krzyk bólu protestujących żeber, powoli usiadła, ściągnęła szpilki i odrzuciła je na bok.

Drżącą ręką sięgnęła po kopertówkę, która spadła za nią, i przygryzając z bólu wargi, dźwignęła się na obolałe nogi. Zebrawszy resztki godności, odwróciła się bez słowa i ruszyła do drzwi, nie oglądając się za siebie.

Ból był tak rozdzierający, jakby stąpała po ostrzu noża. Pieczenie tam na dole po wieczornych igraszkach z Caine'em to było przy tym nic wielkiego.

Poobijana i poturbowana, wyszła z domu boso i z wyprostowanymi dumnie plecami, nie zaszczycając nikogo spojrzeniem, choć całe jej ciało wyło z bólu przy każdym kroku, błagając ją, by się położyła.

Nie zrobiła tego.

Stłumiła jego wycie, pozwalając, by skóra pokryła się fioletowymi siniakami, które błyskawicznie pojawiały na rękach, nogach i plecach. Żwir wbijał się jej w bose stopy, ale szła dalej, byle jak najszybciej dotrzeć do auta, jej jedyne przyjaciela w tym świecie. Wyciągnęła kluczyki z torebki, dziękując niebiosom, że nigdy się z nimi nie rozstaje.

Rzuciła torebkę i telefon na fotel pasażera i wsiadła za kółko, boleśnie zapoznając się z mięśniami, o których istnieniu nie miała dotąd pojęcia.

Po zdartej skórze policzków spływały piekące łzy, a w uszach jej szumiało, ale zacisnęła zęby i ruszyła w noc, zostawiając za sobą ten przeklęty dom. Księżyc oświetlał jej obsadzoną drzewami szosę, gdy tak uciekała, uciekała jak najdalej, nie mogąc dłużej powstrzymać potoku łez.

Z gardła wyrwał się jej szloch, a potem kolejny i kolejny, aż wreszcie ciszę w aucie na dobre zastąpiło niekontrolowane łkanie i zlało się ze znajomym pomrukiem silnika.

Prowadziła na autopilocie, próbując odsunąć od siebie nawałnicę skłębionych myśli, bo wiedziała, że gdy tylko się im podda, załamanie ma jak w banku. Nie wiedziała, dokąd pojechać, gdzie szukać schronienia. Nie miała przyjaciół, nikogo, komu mogłoby na niej zależeć, żadnego awaryjnego azylu. Mogłaby pojechać do hotelu, ale siniaki i porwane ciuchy najpewniej ściągnęłyby policję, a to byłaby totalna katastrofa. Miejsca publiczne odpadały, nawet szpital.

Dziś nikt jej nie śledził, bo i z jakiej racji? Ojciec umył ręce. A co, gdyby skręciła sobie kark? Gdyby umarła? Czy naprawdę była aż tak nieistotna?

Dopiero po kilku minutach tych gorzkich rozważań zdała sobie sprawę, że kieruje się w stronę penthouse'u Caine'a. Tylko dlaczego? To było ostatnie miejsce, w którym powinna się znaleźć. Zwłaszcza po dzisiejszym. Zwłaszcza w tym stanie.

A mimo to nie wcisnęła hamulca.

Zamiast tego przejechała przez most, od którego miała już tylko dwie minuty do celu.

Co to mogło oznaczać? Jechała do niego. Napisał, że jeszcze się z niej nie wyleczył – i prawdę mówiąc, ona z niego też nie. Ale

oboje nadal byli tym, kim byli, a ich wzajemna nienawiść nigdzie nie wyparowała.

Przypomniała sobie tamte szklane ściany i jednoczesne zawieszenie broni, gdy siedział u jej boku niemal jak przyzwoity człowiek. Może uda się je wskrzesić? Czy w ogóle ośmieli się o to poprosić? Bo bądź co bądź nie była w najlepszym stanie, ani fizycznym, ani emocjonalnym. Mimo to wjechała na parking. Ochroniarze bez problemu ją wpuścili, najwyraźniej ją pamiętali. Zgasła silnik.

Pokrzepiająco znajomy zapach autka i dźwięk własnego oddechu odrobinę ukoił jej nerwy.

Ale nie wysiadła.

Nie była w stanie.

Chciała się ruszyć, otworzyć drzwi, wyjść – ale nie mogła.

Ocierając łzy, siedziała nieruchomo w ciemnym aucie, wstrząsana niemożliwym do zdławienia łkaniem. Płakała nad dziewczynką, która dziś w niej umarła, płakała nad złudnymi nadziejami, którymi przez tyle lat się karmiła, i nad utraconymi marzeniami. Płakała w samotności, bo nie miała ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć. Płakała, bo jedynymi objęciami, na jakie mogła liczyć, były jej własne. Płakała osamotniona na podziemnym parkingu w paszczy lwa.

Na dźwięk zjeżdżającej windy pospiesznie otarła łzy. Nie chciała, by ktokolwiek ją zobaczył, choć w głębi ducha za niczym innym tak nie tęskniła.

Przełykając ślinę, patrzyła, jak z windy wysiada Dante z telefonem przy uchu i w tym samym garniturze, w którym był w restauracji. Ruszył do stojącego dwa miejsca dalej czarnego SUV-a. Dostrzegłszy jej na pozór niewinne autko, momentalnie znieruchomiał.

– Morana?

Cholera.

Otworzyła cicho drzwi, nie śmiąc nawet spojrzeć w lusterko na swoją poobijaną twarz. Wysiadła i zatrzasnęła drzwi, pozwalając mu się obejrzeć od stóp do głów. Oczy zrobiły mu się okrągłe i pojawił się w nich błysk nieskrywanego niepokoju.

– Oddzwonię – warknął do słuchawki, wkurzony jak diabli.

Przypomniała sobie słowa Amary o chronieniu kobiet przez obu braci i to, jak Dante zaoferował jej bezpieczny nocleg tamtego wieczora. Na wspomnienie jego troski, tak jej obcej, łzy znów stanęły jej w oczach.

Zrobił krok w jej stronę, nadal zachowując odpowiedni dystans, ale przystojną twarz miał wykrzywioną gniewem.

– Kto ci to zrobił?

Trafił w czułą strunę. Był jej wrogiem, a mimo to był gotów pomścić jej krzywdę. Trafił w najczulszą strunę.

Przełknęła głośno.

– Spadłam ze schodów – oznajmiła cicho drżącym głosem. Miała wielką, naprawdę wielką nadzieję, że nie zapyta, co tu robi. Bo nie miała odpowiedzi.

Zajrzał jej w oczy i po chwili jego własne złagodniały.

– Wychodzę na całą noc. Możesz odpocząć na górze, Morano.

Poczuła, jak jej palce zaciskają się na klamce auta, a wargi zaczynają drżeć. Pokręciła głową.

– Nie, nie trzeba. Prześpię się u przyjaciół.

Tym, że nie powiedział „sprawdzam”, choć musiał się zorientować, że nie byłoby jej tu, gdyby miała tych „przyjaciół”, bardzo u niej zapunktował.

Powtórnie pokręciła głową, a on zaklął.

– Tristan jest na górze.

Podniosła nań wzrok i nie wiedzieć czemu serce zabiło jej szybciej. Ale równie szybko do głosu doszła świeża złość.

No i co z tego, do diabła? Czemu na tę wieść żołądek podszedł jej do gardła? I czemu w ogóle tu przyjechała, właśnie tu?

– Posłuchaj. – Przez natłok myśli przedarł się jego łagodny głos. – Przekręcę do Amary, okej? Przenocuj u niej, skoro pod moim dachem nie będziesz się czuć komfortowo. Jesteś cała poobijana, ale u niej nic ci nie grozi.

Czuła, jak po każdym kolejnym jego troskliwym słowie coraz bardziej się rozkleja.

Wargi jej drżały, ale pokręciła głową. Choć propozycja była kusząca, nie mogła wciągać w to bagno niewinnej, bezbronnej dziewczyny. Może właśnie dlatego tu przyjechała. Bo wiedziała, że

on umie się bronić i z własnej woli wdepnął w tę historię. W pewnym sensie.

– Nie trzeba – powtórzyła, otwierając auto gotowa, by odjechać. – Byłabym wdzięczna, gdybyś nie mówił nikomu... jemu... że tu byłam.

Popatrzył na nią bez słowa, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył do windy z soczystym „pieprzyć to!” na ustach.

Wybałuszyła oczy, gdy wklepał kod, wskazując jej brodą otwartą windę.

– Na górę.

Stała jak wryta, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

– Morano, nie mam całej nocy, a w tym stanie cię nie zostawię – powiedział cicho, patrząc błagalnie. – Proszę, wjedź na górę i odpocznij.

Była wrogiem. Kobieta, której jego brat krwi z jakiegoś znanego tylko sobie powodu szczerze nienawidził.

A mimo to...

Przełykając ślinę, zamknęła auto i z trzepocącym sercem ruszyła na chwiejnych nogach do windy.

– Dziękuję – szepnęła drżącymi wargami, nieśmiało podnosząc na niego wzrok.

Skinął głową.

Weszła do znajomej windy i nacisnęła guzik. Drzwi się zasunęły i jego postać zastąpiły lustra.

Na widok swojego odbicia wstrzymała oddech.

Sukienka zwisała jej z ramion, włosy przykleiły się do twarzy, policzki miała podrapane, kolana zdarte, skórę na dłoniach, nogach i barkach fioletową jak śliwka, wargi obrzękłe od przygryzania, a oczy czerwone i napuchnięte od płaczu.

Istny obraz nędzy i rozpaczy. Nic dziwnego, że ją wpuścił.

A Tristan Caine był na górze.

I właśnie do niego jechała.

Co ona miała w głowie, do diabła?!

Poczuła nadciągający atak paniki.

Nie. Nie. Nie.

On nie może jej zobaczyć w takim stanie. Nie na jego własnym terytorium.

Z walącym jak młotem sercem i palcami zaciśniętymi na telefonie, uniosła rękę, zawieszając ją nad guzikiem z napisem „parking”, gotowa wcisnąć go, gdy tylko winda się zatrzyma. Wróci z podkulonym ogonem do auta i w ostateczności przenocuje w jakimś podrzędnym motelu. Ale za nic w świecie nie pokaże mu się w takim...

Winda stanęła i drzwi cicho się rozsunęły.

A w progu czekał on.

Wcisnęła pośpiesznie guzik, modląc się, by jej nie zauważył.

Drzwi zaczęły się zasuwać.

Serce waliło jej jak młotem.

Wcisnęła guzik jeszcze raz.

Drzwi dalej się zasuwały.

Już prawie.

W ostatniej chwili w szparze pojawiła się dłoń. Jego dłoń.

Przygryzła spuchniętą wargę i łykając powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg, przykleiła się do tylnej ściany. Zapomniane pulsowanie między nogami przypomniało o sobie, gdy go zobaczyła. Nie mogła oderwać oczu od szerokiej dłoni, która bez trudu rozwarła drzwi. Widziała odciski na jego długich palcach, bruzdy i zgrubienia, widziała bandaż, którego po dzisiejszym jeszcze długo nie zdejmie.

Na ten widok serce zabiło jej szybciej.

I wtedy drzwi się rozsunęły.

Zaciskając zęby z bólu, wyprostowała się jak struna, by zyskać choć parę centymetrów.

Stanął przed nią w całej swej okazałości. I bez koszuli.

Przełknęła głośno ślinę.

Błękit. Błękit wpatrzonych w nią oczu. Wstrzymała oddech, gdy ześlizgnęły się na jej policzki i niżej, na szyję, piersi, ręce i nogi, aż po bosa stopy. Ale w jego wzroku nie było już złości – zastąpiła ją dzika wściekłość. Skończywszy oględziny, spojrzał jej w oczy.

Była kompletnie zbита z tropu. Zdążyła już przywyknąć do jego wzgardy, ale to było coś ze znacznie wyższej półki. Wędrowała wzrokiem po jego nagim, muskularnym torsie pokrytym znajomymi bliznami i tatuażami, które teraz robiły jeszcze większe wrażenie. Niezapięte džinsy, w które, jak widać, pośpiesznie się wbił,

dowodziły, że telefon Dantego wyrwał go ze snu. I jeszcze coś: sypiał nago.

Na widok wściekłości płonącej w jego niebieskich oczach poczuła, jak schodzą z niej resztki powietrza, i poratowała się głębokim wdechem.

Z rozszerzonymi nozdrzami i zaciśniętymi ustami, zablokował ciałem drzwi, robiąc jej przejście.

Przełykając gulę w gardle, weszła do ciemnego salonu, oświetlanego jedynie blaskiem okrągłego księżycyca i zachwycającej panoramy miasta za przeszkloną ścianą.

Usłyszała za sobą odgłos zamykającej się windy i zeszywniała, uświadamiając sobie grozę sytuacji.

Byli sami.

Zupełnie sami.

Stała w jego salonie, a on czał się gdzieś za jej plecami.

Co robić? Nie mogła go przekląć, nie mogła mu podziękować, i ten stan zawieszenia ją dobijał.

Wstrzymała oddech, czekając na jego ruch.

I ruszył. W stronę pokoju gościnnego.

Odprowadziła wzrokiem jego naprężoną, drapieżną sylwetkę, która w innych okolicznościach niechybnie zaparłaby jej dech w piersiach. Ale była zbyt obolała i udręczona, by podziwiać dziś męską urodę.

Nie było go dłuższą chwilę, a ona stała tak, jakby przygwożdżona do podłogi, nie wiedząc, co robić. W końcu wyszedł i unikając jej wzroku, ruszył ku wachlarzowym schodom prowadzącym do jego sypialni. I zniknął.

Gdy z piętorka dobiegły pierwsze wściekłe trzaśnięcia drzwi, kuśtykając powlekła się do pokoju gościnnego.

Okej, najgościnniejszym gospodarzem to on nie był. Żadna rewelacja. Ale przynajmniej jej nie odprawił. Bo kolejnego upokorzenia chybaby nie zniosła.

Gdy tylko przekroczyła próg, stanęła jak wryta. Łóżko było pościelone, drzwi do łazienki otwarte, z wypełnionej wodą wanny buchała gorąca para, a na krześle wisiał czarny przepastny T-shirt i spodnie dresowe ze ściągaczem.

Zamrugnęła, przetykając cisnące się do oczu łzy. Ten człowiek naprawdę był dla niej jedną wielką zagadką. Nienawidził jej, nie było co do tego wątpliwości. Rościł sobie prawo do jej śmierci, po czym ją przeleciał, żeby się z niej „wyleczyć”. Nie powiedział do niej ani słowa, nawet na nią nie spojrzął, a mimo to miała oto przed oczami dowody jego dobroci, tak bardzo kłócacej się z wszystkim, co o nim wiedziała.

Zacisnąwszy usta, zgarnęła ciuchy i weszła do dużej, kuszącej łazienki, zamykając za sobą drzwi. Tylko kluczyka nie było. Kręcąc głową, rozejrzała się po kojących, kremowo-brązowych kafelkach, zatrzymała wzrok na mahoniowej skrzyni z granitową wanną i pobliskim wieszaku z ręcznikami. Ściągnąwszy z trudem sukienkę i bieliznę, stanęła bokiem przed lustrem nad umywalką.

Żebra miała potłuczone, a tułów poprzecinany sinymi i fioletowymi pręgami. To była dzieło jej ojca. Ukarzał ją, nie podnosząc na nią ręki. A ona pobiegła z płaczem do kogoś takiego jak Tristan Caine. Czy jej życie mogło być bardziej popaprane?

Przymykając oczy, zanurzyła stopę w idealnie ciepłej wodzie i trzymając się brzegów wanny, powoli usiadła.

Gdy tylko zanurzyła się cała w tej boskiej kąpieli, z ust wyrwał się jej jęk rozkoszy, a po policzkach spłynęły łzy ulgi. Położyła się wygodnie z zamkniętymi oczami, zapominając na chwilę o całym bożym świecie.

Ciszę przerwało wibrowanie telefonu, który zostawiła przy wannie.

Unosząc powiekę, kliknęła w wiadomość i zamrugnęła, kompletnie zszokowana.

Tristan Caine: Potrzebujesz lekarza?

Czemu nie zapytał osobiście?

Zdumiona, wystukała odpowiedź.

Ja: Nie. Rano będziesz miał mnie z głowy.

Czekała, aż odpisze, ale nadaremno.

Wzruszyła ramionami i postanowiła nie wychodzić z tej wanny, dopóki woda całkiem nie wystygnie.

Mijały długie minuty i w końcu dźwignęła się z ociąganiem. Ciało bolało ją jeszcze bardziej niż wcześniej, choć gorąca kąpiel działała cuda dla jej napiętych mięśni. Szybko się osuszyła i przebrała w pożyczone ciuchy. T-shirt wisiał na jej drobnej sylwetce, spowijając ją zwietrzałą piżmową wonią.

Gdy wyszła z łazienki, zza drzwi jej uszu dobiegły jakieś głosy. Rozmawiano w otwartej na salon kuchni.

– Za godzinę masz samolot do Tenebrae, Tristanie – mówił Dante.

Ścisnęło ją w żołądku. Nie miała pojęcia dlaczego i była na siebie zła. Co ją to w ogóle obchodziło?

Caine milczał. Co z nim jest?

Do jej uszu dotarło ciężkie westchnienie Dantego.

– Posłuchaj, poleciałbym sam, ale ojciec wyraźnie poprosił o ciebie. A gdy on wzywa...

– Nie jestem jego psem – warknął Tristan.

– Ja też nie – przerwał mu twardo Dante. – Ale mogą ucierpieć niewinni. Jedź do Tenebrae, a ja zajmę się tutejszymi sprawami.

Tristan nie odpowiedział, więc oderwała się do drzwi i wślizgnęła do wygodnego łóżka, gasząc po drodze światło.

Telefon znów zawibrował.

Tristan Caine: Ile usłyszałaś?

Przełknęła ślinę.

Ja: Tyle, by wiedzieć, że wyjeżdżasz.

Tristan Caine: Ulżyło ci, co?

Ja: Jest mi to obojętne.

Pauza. I następna wiadomość:

Tristan Caine: W szufladzie są proszki przeciwbólowe.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ekran telefonu i w końcu zasnęła z lekkim sercem. Gdyby zabił ją teraz we śnie,

wyświadczyłby jej tylko przysługę.



Rano obudził ją jakiś straszny łomot.

Poderwała się z poduszki i aż jęknęła, gdy zbolełe ciało przypomniało o sobie ze zdwojoną mocą. Jak długo spała?

Spojrzała na zegarek przy łóżku i zamrugła. Osiem godzin. Spała bite osiem godzin.

Drzwi jej sypialni nagle się otworzyły i w progu stanął Tristan Caine w eleganckim wydaniu, wściekły jak diabli. Na widok jego płonących oczu zadrżała z przerażenia. Nie miał przypadkiem lecieć do Tenebrae?

– Daj mi kluczyki – warknął.

Zamrugła, instynktownie sięgając po torebkę, ale szybko opuściła rękę.

– Po co ci one? – zapytała podejrzliwie.

– Bo twoje auto ma cholerny nadajnik i twój ojciec właśnie je namierza.

Szczęka jej opadła. Zerwała się z łóżka – nawet na nią nie spojrzał, stojąc nieruchomo ze sztywno wyciągniętą ręką.

Kluczyki.

Przełknąwszy ślinę, podała mu je ze ściśniętym żołądkiem, gryząc się w język, by nie zapytać, co zamierza z nimi zrobić. Odwrócił się bez słowa i przekazał kluczyki równie spiętemu Dantemu, który tylko rzucił na nią okiem i się ulotnił. Stała bezradna i patrzyła na Caine'a wykonującego co chwilę połączenia telefoniczne. Tak jak wczoraj, nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem.

W głowie kłębiły się jej miliony myśli. Czy Klan skorzysta z okazji i zainstaluje jej w aucie własny nadajnik? Może nią też zamierzają się posłużyć?

Potrząsnęła głową. Gdyby naprawdę chcieli to zrobić, podrzuciliby jej pluskwę już przy wymianie opon. A poza tym obaj synowie Klanu wyglądali na autentycznie zszokowanych jej

wczorajszym wyglądem. Nadal była cała obolała i dużo wody upłynie, zanim wydobrzeje.

Tylko co Caine robił jeszcze w Shadow Port? Przecież miał lecieć do Tenebrae.

No i musiała uciekać. Z tego apartamentu, od dawnego życia. Miała już dość. Niech diabli porwą kod, pora wiać stąd jak najdalej.

Ale do tego potrzebny jej był samochód. Cholera.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek jego telefonu.

– Tak? – rzucił suchym, zimnym głosem, tak niepodobnym do podnieconych pomruków, które wyrywały mu się z gardła, gdy nadziewał ją na siebie w tamtej toalecie.

Wzięła głęboki oddech, uzmysławiając sobie, że między nogami też jest obolała.

– Kurwa! Zatrzymaj go. Już jadę.

I wybiegł, zanim zdążyła otworzyć usta.

Zamrugnęła, podeszła do okna i spojrzała w dół. Na końcu drogi dostrzegła kilka aut, po chwili dołączyły do nich trzy kolejne, które wcześniej ruszyły spod apartamentowca.

– Morano.

Usłyszała nagle głos Amary. Nawet nie zauważyła jej wejścia.

– Amaro. – Skinęła głową, gdy kruczowłosa piękność objęła ją współczującym wzrokiem.

– Tak mi przykro.

Morana przełknęła, odwracając się z powrotem do okna.

– Co się dzieje? – zapytała z mieszkanką ciekawości i niepokoju.

Amara wzięła głęboki oddech.

– Twój ojciec cię szukał. Nadajnik go tu doprowadził.

Na te słowa zadrżała z przerażenia, bo dopiero teraz ją oświeciło.

To była zasadzka.

A ona była tylko pionkiem na ojcowskiej szachownicy.

Testował ją, sprawdzał, dokąd pojedzie. To dlatego uparł się, że zabierze ją swoim autem na kolację, to dlatego nie przyczepił jej ogona. Powinna była coś podejrzewać, ale zaślepiło ją uzalanie się nad sobą. I zaprowadziła go prosto do Tristana. Do tajemniczego motocyklisty. Kurwa.

Patrząc na zatrzymujące się na drodze auta obu rodzin, uderzyło ją coś jeszcze. Nie stała po żadnej stronie tej barykady. Ani u boku ojca, ani tym bardziej u boku człowieka, który był znany jako drapieżca.

Co ona robiła?

Poczuła nadciągający atak paniki. Nie mogła tu zostać.

– Amaro, przyjechałaś samochodem? – zapytała cicho, czując na sobie jej wzrok.

– Tak.

– Czy mogłabym go pożyczyć?

– Po co?

– Muszę się stąd wydostać. – Zacisnęła pięści, walcząc z falą paniki. – Natychmiast.

Amara zamrugnęła ze zrozumieniem.

– Nie mogę cię puścić, Morano. Zwłaszcza teraz, gdy wszystko wisi na włosku i w każdej chwili może być jatka. No i Tristan nigdy by mi nie wybaczył.

To ostatnie przyciągnęło jej uwagę. Wbiła wzrok w Amarę.

– Ty wiesz, dlaczego on mnie nienawidzi, prawda?

Amara skinęła głową.

– Tak, ale nie mogę o tym mówić.

– A co możesz mi powiedzieć? – zapytała bez ogródek.

Amara przekrzywiła głowę.

– Co wiesz o czasach zmierzchu Przymierza?

Morana ściągnęła brwi, przeczesując pamięć.

– Niewiele.

– To zasięgnij języka. Tylko tyle mogę powiedzieć.

Morana westchnęła, dobrze wiedząc, że nic więcej z niej nie wyciągnie. Nawet ją za to podziwiała.

Tymczasem wozy zawróciły i ruszyły pod apartamentowiec. Ściągnęła łopatki i sięgnęła po telefon.

Ja: Potrzebuję auta.

Tristan Caine: Po co?

Uniosła brwi i pospiesznie wystukała odpowiedź:

Ja: Bo wyjeżdżam.

Tristan Caine: Niby dokąd?

Nie miała zielonego pojęcia, ale tego mu przecież nie powie.

Ja: Chcę odwiedzić przyjaciela.

Tristan Caine: Nie ma mowy. Dopóki tu jestem, masz siedzieć na tyłku.

Zacisnęła zęby, gotując się ze złości.

Ja: Nie panu o tym decydować, panie Caine.

Weszła do salonu i klapnęła na sofie, łypiąc na wibrujący telefon.

Tristan Caine: Mamy pewne niedokończone sprawy, panno Vitalio. Jeszcze się z pani nie wyleczyłem.

Wbiło ją w sofę. To było raptem wczoraj, a miała wrażenie, że minęła cała wieczność. Udając, że nie rozumie, wystukała szybką odpowiedź:

Ja: Mam w nosie ten kod.

On ewidentnie nie, bo jeśli uda im się go zrobić, niechybnie zapłaci głową.

Drzwi windy rozsunęły się jednocześnie z sygnałem nadejścia wiadomości w telefonie. Podniosła wzrok i napotkała jego płonące, hipnotyczne oczy. Wszedł swobodnie do skąpanego w słońcu salonu, wypełniając go niemal po brzegi swoją twardą muskulaturą.

Wzięła głęboki wdech i z trudem oderwała od niego wzrok, spoglądając na ekran telefonu.

Tristan Caine: Nie mówiłem o kodzie.

Tristan Caine: Tylko o nas.

Serce zabiło jej szybciej i nie ośmieliła się podnieść oczu, choć stał tuż obok i rozmawiał z Amarą. To ostatnie, co było jej teraz potrzebne.

Ja: Nie ma żadnych nas. Mój ojciec się wyniósł?

Tristan Caine: Z buźką bardziej posiniaczoną od twojej.

Podniosła gwałtownie wzrok, napotykając jego spojrzenie.

Uderzył jej ojca?! Czy ten człowiek oszalał?!

I co ona wyprawiała? Drapieżniki wyczuwają ranną zwierzynę i wtedy atakują. On zaatakował jej ojca.

A ona niczym ranna gazela siedziała sobie spokojnie w jaskini najgroźniejszego z nich, który nieraz rościł sobie prawo do jej śmierci. I nigdy nie czuła się bezpiecznie.

Ogarnęła ją panika.



UCIECZKA

Morana Vitalio nie była kobietą, którą łatwo przestraszyć.

Bądź co bądź dorastała w kłębowisku żmij i obserwowała te śliskie kreatury, jeszcze zanim nauczyła się chodzić. I nigdy nie czuła strachu. Ani na widok ich nieodłącznych spluw, ani krwawych jatek, których nieraz była świadkiem w dzieciństwie. Zbryzgane krwią śnieżnobiałe ściany to w końcu jej chleb powszedni.

Nie bała się, gdy za sprawą tego nieszczęsnego kodu gra toczyła się o jej własne życie; nie bała się, gdy ojciec pozwolił jej spaść ze schodów i prawie skręciła kark.

Nie. Morana Vitalio nie bała się śmierci.

Ale bała się Tristana Caine'a, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

Patrzyła, jak krząta się po kuchni z naturalną gracją drapieżnika – gibki, silny i pewny siebie. Czarną marynarkę powiesił na krześle i podwinąwszy rękawy, pichcił w samej koszuli, która napinała się mu na plecach, gdy jedną ręką manipulował patelnią, drugą dodając przyprawy. Siedziała na tym samym stołku, co podczas swojej ostatniej wizyty w penthousie. Od tamtego czasu minęło raptem parę dni, ale mogłoby się zdawać, że upłynęła cała wieczność.

Wtedy też widziała to ciało w ruchu i nie umiała zdusić w sobie naturalnego podziwu dla jego męskiej urody. Teraz wszelkie tamy puściły. Bo aż za dobrze pamiętała, jak poruszało się i pulsowało w niej samej.

Stop. Na więcej nie mogła sobie pozwolić. Ale z jakiegoś niepojętego powodu to tylko wzmagало jej głód.

Patrzyła na jego napięte mięśnie pleców, zastanawiając się, jak by to było mieć go na sobie. Patrzyła, jak zręcznie porusza patelnię, wyobrażając sobie te dłonie pieszczące jej ciało, wędrujące po skórze. Patrzyła na jego jędrny tyłeczek, pragnąc wpić się weń zębami.

Od tych wszystkich erotycznych myśli znowu zrobiło się jej gorąco. Poprawiając się niezgrabnie na stołku, przeniosła wzrok na Dantego i Amarę, pozostających podejrzenie daleko od siebie. Ona przeglądała telefon parę stołków od Morany, a on podziwiał olśniewający zachód słońca za przeszkloną ścianą.

Atmosfera w kuchni była tak gęsta, że można ją było kroić nożem. No i ta niezręczna cisza – to jasne, że ta trójka musiała pilnie porozmawiać, a ona była tylko piątym kołem u wozu. Nie wspominając o tym, że Dante i Amara ewidentnie mieli jakieś niedokończone sprawy i pozostała dwójka o tym wiedziała. Z kolei oni wiedzieli o niedokończonych sprawach między nią a jego wysokością.

Zrobiło się naprawdę dziwnie – z nutą osobliwej zażyłości.

– Co mam powiedzieć ojcu?

Ciszę przeciął jak bicz niski głos Dantego, który oderwał swoje czarne oczy od szyby i wbił je w plecy brata krwi.

Tristan Caine wyłączył kuchenkę i w powietrzu uniósł się pikantny aromat jakiejś ostrej potrawy, od którego ślinka napłynęła do ust Morany. Jej sokoli wzrok nie dostrzegł najmniejszej reakcji z jego strony.

Dłońmi, którymi jeszcze nie tak dawno przyłożył jej nóż do gardła, spokojnie przekładał jedzenie do dużej misy do serwowania, jakby to kuchnia była jego prawdziwym żywiołem. Amara wstała, by wyjąć szklaneczki. Nakryli wspólnie do stołu, jakby robili to już setki razy.

Morana poczuła ukłucie zazdrości, które pospiesznie stłumiła.

Przez cały ten czas musiał czuć na sobie jej wzrok, ale odkąd wrócił, ani razu na nią nie spojrzał.

Nie powinna się tym w ogóle przejąć – a jednak było inaczej. Męczyło ją to niemiłosiernie.

Wreszcie usiadł przy stole i zaczął nakładać kurczaka na cztery talerze. Jak miło, że jej również nie pominął. Niespotykane

zaproszenie, ale jednak zaproszenie. „Zawsze to coś”, pomyślała.

Zsunęła się ze stołka przy wtórze protestów obolałych mięśni i pokuśtykała na najdalsze krzesło i usiadła obok Dantego. Tristan zerknął na nią ukradkiem i bez słowa zabrał się do jedzenia. Sięgnęła po widelec, idąc w jego ślady.

Ale na widok jego podskakującej grdyki, gdy przełykał kolejny kęs, prawie upuściła sztucce. To było tak niespodziewanie erotyczne, że aż krew uderzyła jej do głowy. Co było z nią nie tak, do diabła ciężkiego?! Nie minął dzień od ich igraszek w restauracyjnej toalecie i jej ciało nie powinno tak reagować. Było na to dużo za wcześnie.

Odrywając z trudem wzrok od jego umięśnionej szyi, podniosła widelec do ust.

I niemal jęknęła.

Istna eksplozja smaków atakujących zmysły jak w pięciogwiazdkowej restauracji. Gdyby na własne oczy nie widziała go przy pracy, nigdy by nie pomyślała, że przygotowanie potrawy zajęło mu niespełna godzinę. A więc gotować też umiał. Czemu ją to dziwiło.

Robiąc dobrą minę do złej gry, wzięła kolejny kęs, dopiero teraz uzmysławiając sobie, że od wczoraj nie miała nic w ustach.

Była już w połowie posiłku, gdy Tristan postanowił wreszcie odpowiedzieć bratu.

– O czym? – zapytał, spoglądając na niego.

Dante przełknął kęs, zerknął na Moranę i Amarę, by wreszcie przenieść wzrok na swego rozmówcę.

– O wszystkim.

Caine nawet nie mrugnął.

– Powiedz mu, co tam sobie chcesz.

Dante upuścił widelec, splótł palce, biorąc głęboki wdech na uspokojenie.

Morana patrzyła z zafascynowaniem na tę wymianę zdań.

– Ona nie może tu zostać – oznajmił cicho i bez cienia skruchy Dante.

Tristan tylko uniósł brew.

– Wiesz, co mam na myśli. Ukrywanie jej tutaj jest niebezpieczne dla nas wszystkich. – Dante znów na nią spojrzał

z błyskiem żalu w ciemnych oczach. – Rozumiem wczorajszą awaryjną sytuację i sam nie wypuściłbym jej stąd w takim stanie. Ale jest już środek dnia. Mało mamy problemów w domu i z tym całym kodem, żeby jeszcze użerać się z Vitaliem i jego oskarżeniami o wprowadzenie mu córki?

Oddech uwiązał jej w gardle. Dante miał rację. Nie pomyślała nawet o burzy, jaką rozpęta jej ojciec. Burzy i wojnie. Z jej imieniem na ustach.

– Nie wie, że ona tu jest – rzucił nad stołem Tristan. – Namierzył jej wóz, ale nie ma dowodów.

Dante prychnął.

– A to jego podbite oko? Dobrze wiesz, co ojciec na to powie.

Tristan wzruszył ramionami.

– Wlazł bez zaproszenia na nasz teren. Zna zasady.

Dante westchnął.

– Możemy ją zadekować w kryjówce, ale tu nie może zostać.

Rozmowa przybrała niebezpieczny kierunek. Bardzo niebezpieczny. Morana bała się nawet spojrzeć na Caine'a, by nie zobaczyć czegoś, co jej się zdecydowanie nie spodoba.

Przełykając ślinę, postanowiła włączyć się do dyskusji.

– Słuchaj, oddajcie mi auto i już mnie nie...

– Ona tu zostaje – przerwał cicho Caine. Za cicho.

Dante znów westchnął.

– Tristanie, to czyste szaleństwo. Nie możesz tak tu jej sobie trzymać. Musisz jej powiedzieć.

– Czas na ciebie.

Na dźwięk jego ostrego jak brzytwa głosu podniosła gwałtownie głowę. Przywdziawszy kamienną maskę, Tristan nadal na nią nie patrzył. Nie odrywał oczu od swojego brata krwi. Dante przyglądał mu się z równym opanowaniem i nagle przeszły ją ciarki, bo to wyglądało na niepokojącą rozmowę bez słów – której ona była przedmiotem. Starli się o nią i nie miała zielonego pojęcia dlaczego. Co takiego Caine miał jej powiedzieć? I co tu się, do diabła, dzieje?

Miała ochotę zasypać ich tymi pytaniami, ale poziom testosteronu w tej kuchni był już nie do przebicia. Kompletnie zapomniawszy o jedzeniu, z walącym jak młotem sercem

przyglądała się bacznie ich milczącemu pojedynkowi. Ale nie potrafiła niczego zeń wyczytać.

Napięcie wciąż narastało.

Dopóki ciężkiej ciszy nie przerwał zachrypły głos Amary.

– Dante.

Gdy Morana na nią zerknęła, kruczowłosa piękność kończyła właśnie kręcić ostrzegawczo głową. A więc oboje wiedzieli.

Dante zerwał się od stołu i pomaszerował do windy. Amara wstała i ruszyła za nim. Położyła jeszcze Caine'owi rękę na ramieniu i rzuciła:

– On częściowo ma rację, Tristanie.

Podniósł oczy i wymienili przelotne, porozumiewawcze spojrzenia.

– Tak jak ja.

Amara uśmiechnęła się do niego smutno i przeniosła ciepłe spojrzenie na Moranę.

– Tristan ma mój numer. Dzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Morana posłała jej niepewny uśmiech i odprowadziła ją wzrokiem, kompletnie skołowana. Amara dołączyła do czekającego przy windzie Dantego.

Co tu się, do cholery, działo?

Słońce już schowało się za widnokręgiem i miasto spowił mrok, odpalając feerię mrugających światełek. Morana wzięła głęboki wdech i wbiła wzrok w talerz, niespiesznie sięgając po widelec. Gdy zostali sami, wreszcie poczuła na sobie jego oczy. Pieściły każdy najmniejszy skrawek jej obnażonej skóry, przyprawiając ją o gorące dreszcze.

W końcu nie wytrzymała, rzuciła widelec i podniosła wzrok – tylko po to, by napotkać jego płonące, paraliżujące spojrzenie, którym dosłownie wbijał ją w krzesło.

Nie podobało jej się to. Bardzo. Powinna natychmiast wstać od stołu i zaszyć się w pokoju gościnnym. Musiała uciec od tego człowieka.

Bo się go bała. Nic o nim nie wiedziała. Zupełnie nic. Nie znała jego przeszłości, teraźniejszości, przyszłości. Nie miała zielonego

pojęcia o jego motywacji i to czyniło go zagadką. Nieobliczalną niewiadomą.

I właśnie to ją przerażało.

Nie wiedziała, czy lada chwila jej nie zabije, czy może przeciwnie – uratuje.

W powietrzu wisiało zbyt wiele dokończonych i niedokończonych spraw. Uderzył jej ojca. Nie wrócił do Tenebrae, gdy go wezwano. Ukrywał ją u siebie w domu, choć, jak słusznie zauważył Dante, było to bardzo, bardzo niebezpieczne. A z drugiej strony niejednokrotnie słyszała z jego ust zapewnienie, że to on odbierze jej życie.

Zamrugnęła, ale uparcie nie odrywał od niej oczu. Dopiero teraz zauważyła, że jego zaciśniętą szczękę ocienia dwudniowy już zarost.

Pod jego nienawistnym, drapieżnym wzrokiem czuła się jak przystawka, na którą zaraz się rzuci.

Kurwa. Powinna mieć to już z głowy. Czy nie po to oddała mu się wtedy w restauracji? A mimo to nadal pożerał ją tymi przerażająco wygłodniałymi oczami. Nikt nigdy tak na nią nie patrzył. Nie budził takiego palącego pragnienia.

Musi to natychmiast przerwać, zamknąć mu te oczy.

„Co robić”, zastanawiała się gorączkowo.

Nagle przypomniała sobie niedawne słowa Amary i postanowiła przerwać ciszę.

– Kiedy upadło Przymierze?

Podziałało. Jego oczy zapłonęły mglistą mieszaniną bólu i nienawiści – a potem spojrzał na nią nieznośnie pustym, wyzutym z wszelkich emocji wzrokiem.

Nie była pewna, czy tak jest lepiej.

– Dwadzieścia lat temu – odparł cicho, przyglądając się jej.

Milczenie.

– Aha – odparła tępo i się przymknęła, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć.

Zmrużył lekko oczy, odchylając się na krześle ze skrzyżowanymi na piersi muskularnymi rękami. Materiał śnieżnobiałej koszuli napiął mu się na bicepsach, a spod rękawów wyzierały tatuaże.

Zapadła nieznośna cisza. Udręczona zajściami ostatnich dwudziestu czterech godzin, zebrała się w końcu na odwagę, wstała od stołu i zaniósła naczynia do zlewu. Pospieszenie je opłukała, wstawiła do chromowanej zmywarki i osuszywszy dłonie ręcznikiem, odwróciła się. Znowu napotkała jego wzrok.

Miała tak wiele pytań, tyle chciała się dowiedzieć. Ale wczorajszy dzień dał jej w kość jak nigdy i po prostu nie miała siły na kolejną konfrontację. Regeneracja – oto co było jej teraz potrzebne.

– Dziękuję za obiad, panie Caine – powiedziała i nie dając mu szansy na odpowiedź, odwróciła się do wyjścia.

Nie powiedział ani słowa. Przekrzywił tylko głowę.

Wytracona z równowagi, wybiegła i zamknęła się w pokoju, opierając się o drzwi. Serce chciało jej się wyrwać z piersi, krew dudniła w uszach. Dlaczego właśnie teraz zapragnęła uciec, po tylu latach apatii? Dlaczego pozwalała mu się z taką łatwością zagnieździć w swojej duszy?

Odsuwając od siebie te myśli, przekręciła cicho klucz i usiadła na łóżku, wbijając wzrok w drewnianą podłogę.

Dante miał rację. Nie mogła tu dłużej zostać. Do diabła z kodem, do diabła z ojcem. Do diabła z tym wszystkim.

Miała dość.

Od dawna. I musiała się stąd wydostać.

Bo im dłużej tu była, tym bardziej stawało się jasne, że jej plan spalił na panewce. Wcale się z niego nie wyleczyła. Wprost przeciwnie: czuła, jak wbija szpony coraz głębiej w jej skórę.

A to było jeszcze bardziej przerażające niż nadciągająca wojna gangów.



Ściskając w dłoni telefon, siedziała nieruchomo na łóżku ze wzrokiem wbitym w drzwi. Czekwała, aż on zaśnie, zanim w ogóle odważy się wyściubić nos z sypialni. Pozostanie w tym mieszkaniu, w tym mieście, w tym kraju – było czystą głupotą. Nie miała pojęcia, co pomyślał sobie jej ojciec – może stwierdził, że przeszła na stronę

wroga, a może nie – ale nic jej to nie obchodziło. Ani on, ani jego sekrety. Nie obchodziły jej już płonne dziewczęce nadzieje, nie obchodził ten nieszczęsny kod. Wiedziała, że z jej strony to straszny egoizm, ale po prostu dalej tak nie mogła.

Przezornie z tajnego konta bankowego kupiła sobie bilet w jedną stronę na drugą stronę globu, gdzie mogła być całkowicie anonimowa. Musiała się stąd wyrwać, wyrwać się ze szponów tego świata, swojego ojca, mafii, z jego szponów. Musiała zniknąć, dać sobie szansę na nowe, lepsze życie, na znalezienie szczęścia. Kogoś, do kogo szybciej zabije jej serce, a krew zakipi w żyłach. Kogoś, kto będzie rozumiał ją bez słów i otoczy opieką z własnej nieprzymuszonej woli. Kogoś, kto będzie dla niej wyzwaniem i kto będzie ją traktował jak równą partnerkę.

Jęknęła do swoich myśli i potrząsnęła głową, próbując nie myśleć o śpiącym na górze mężczyźnie. Bo była pewna, że już śpi. Była druga w nocy i od ponad godziny dom tonął w kompletnej ciszy.

Pora ruszać.

Powoli wstała, podeszła na palcach do drzwi i wzięła głęboki wdech. Przekręciła cicho klucz i weszła do ciemnego salonu. Pobiegła wzrokiem do feerii mrugających za szybą światła miasta.

Poczuła ukłucie w sercu. Dziwnie było odchodzić ze świadomością, że już nigdy tu nie wróci. Zwłaszcza że spędziła tu tylko dwie noce. Taka tęsknota nie towarzyszyła jej nawet podczas ucieczki z domu, w którym mieszkała przez ponad dwadzieścia lat. Ale to miejsce we wspomnieniu połączy się z człowiekiem, którego pragnęła i nienawidziła zarazem. Będzie to wspomnienie krańca samotności.

Dławiąc w zarodku to uczucie, ze ściśniętym sercem ruszyła na palcach w stronę windy, zachowując czujność, pomimo bólu, który ciągle czuła. Słyszeć było tylko jej nerwowy oddech i miarowy szum klimatyzatora.

Wstuknęła zapamiętany kod i z boleśnie ściśniętym gardłem czekała, aż drzwi windy się rozsuna. Oto porzucała wszystko, co znajome – to miejsce, ten świątek, nawet swoje ukochane auto. Boże, jakże będzie za nim tęsknić! Przez tyle lat było jej wiernym przyjacielem. A gdy najbardziej tego potrzebowała, przywiozło ją tu, w bezpieczne miejsce.

Drzwi windy się rozsunęły. Napotykając w lustrze swój własny wzrok, ze zbolałym sercem uświadomiła sobie, że pomimo wszystko Tristan Caine już dwukrotnie zapewnił jej bezpieczeństwo pod swoim dachem, i to w chwili, gdy najbardziej tego potrzebowała. A przecież z łatwością mógł wykorzystać jej bezbronność. Oddać ją ojcu albo po prostu odprawić z kwitkiem. Ale tego nie zrobił. Za pierwszym razem – siedział z nią w milczeniu, obserwując deszcz. Za drugim – przygotował jej kąpiel, ubrał i nakarmił. Załatwił naprawę jej auta i odmówił powrotu do Tenebrae. A na deser przywalił jej ojcu.

Nie poznawała go.

Ani siebie przy nim.

Ale to i tak było bez znaczenia, bo decyzja o ucieczce zapadła. A jednak sumienie nie pozwalało jej zniknąć tak zupełnie bez słowa.

Wiedziała, że nie może stanąć z nim oko w oko, bo on nigdy jej nie wypuści, a i ona straci ochotę na jakiegokolwiek eskapady. Dlatego też odblokowała telefon i odszukała ich ostatnią konwersację.

Tristan Caine: Mamy pewne niedokończone sprawy, panno Vitalio.

Owszem. I tak pozostanie.

Pospiesznie wystukała odpowiedź i błyskawicznie wcisnęła „wyslij”, żeby się nie rozmyślić.

Ja: Panie Caine, dziękuję za wszystko.

Odsuwając od siebie wszelkie wątpliwości, wsiadła do windy i wcisnęła guzik zamykania. Drzwi cicho się zasunęły i zobaczyła w nich swoje odbicie. Rozczochrane włosy upięte w niedbały kucyk, workowaty biały T-shirt, czarne legginsy i miękkie baleriny od Amary. Jedynymi jej rzeczami, jakie jej zostały, były telefon i portfel. Co prawda nie miała planu „B” na dotarcia do lotniska, jeśli na parkingu nie znajdzie swojego auta, ale nie rozpaczła. Będzie improwizować. Może po prostu przejdzie pieszo przez most i złapie taksówkę – chociaż po wczorajszym upadku trochę wątpiła w swoje siły.

Nie zwracając uwagi na podchodzący do gardła żołądek i spotniałe dłonie, czekała z zapartym tchem, aż drzwi się rozsuną. Winda wreszcie się zatrzymała i Morana wysiadła, obejmując

wzrokiem ciemny parking. Wcisnęła guzik pilota i mrok rozświetliły dwa mrugające reflektory.

Rozejrzała się i na widok potężnego motocykla Caine'a serce podeszło jej do gardła, ale szybko odwróciła wzrok i ruszyła cichutko do auta.

Nie zdążyła zrobić dwóch kroków, gdy ciszę przepastnej hali rozdarł niczym huk wystrzału łomot otwieranych z impetem drzwi. Aż podskoczyła.

Drzwi klatki schodowej.

Stał w nich wielki, groźny i wściekły Tristan Caine.

W wersji półnagiej, tak jak wczoraj, gdy przyszpilił ją do podłogi tymi swoimi obłądnie niebieskimi oczami.

Momentalnie zalała ją fala adrenaliny i przerażenia przemieszanego z podnieceniem, a po jej plecach przeszedł dreszcz.

Miała dosłownie chwilę na dokonanie wyboru: walka lub ucieczka. Dobrze wiedziała, że nie ma z nim najmniejszych szans, nie w takim stanie. Zostawała ucieczka.

W mgnieniu oka odwróciła się na pięcie i ruszyła biegiem do auta, nie oglądając się za siebie. Ciężki oddech i krew dudniąca w uszach tłumiły wszelkie inne dźwięki – na przykład biegnących stóp – ani na chwilę nie zwolniła, by złapać oddech. Biegła przed siebie ile sił w nogach. Mięśnie bolały ją od tego gwałtownego wysiłku, a serce łomotało w piersi, próbując za nimi nadążyć. Biegła tak, jakby od tego zależało jej życie. Bo tak właśnie było.

Jeszcze tylko trzy auta.

Nagle oplotły ją silne ręce i przycisnęły do nagiej, ciepłej piersi. Zaczęła wierzgać, próbując wyrwać się z tych żelaznych kajdan, ale na nic się to zdało.

– Puszczaj! – wrzasnęła, odwracając głowę, by wbić zęby w jego twarde jak skała biceps. Małe, ale zawsze zwycięstwo.

Usłyszała, że wstrzymuje oddech, i poczuła, że jego penis, podniecony jej wierzganiem, obudził się do życia. Jego właściciel nachylił się jej do ucha, łechcąc zarostem delikatną małżowinę.

– Dziękujesz mi za wszystko, tak? – wymruczał, niemal muskając wargami jej skórę. Zawyla w środku, błagając o ich

dotyk. – Nie wiesz, że przed drapieżnikami się nie ucieka, kotku? My kochamy polować.

Na te słowa zakazana rozkosz ścisnęła ją w dołku, na wpół paraliżując.

– Więc jeśli nie chcesz, żebym rzucił cię na tę cholerną maskę i zerznął, w tej chwili przestań się ruszać.

Zdyszana, posłusznie znieruchomiła, choć kusilo ją, by prowokacyjnie pokręcić biodrami.

Nie, nie może dopuścić do powtórki. Przenigdy.

Skołowana, przełknęła gulę w gardle.

– Puść mnie – powtórzyła cicho.

Trącił nosem jej głowę, zaciągając się jej zapachem.

– Już mówiłem, mamy niedokończone sprawy.

– Nie obchodzi mnie to – wycodziła przez zaciśnięte zęby na przekór burzy hormonów, która zdążyła się w niej rozpętać.

Pół sekundy wahania z jego strony.

– Od początku byliśmy ze sobą szczerzy, panno Vitalio. Nie zmieniamy tej tradycji – wymruczał tym swoim głębokim głosem stuletniej whisky i grzechu.

Lizał jej skórę niczym namiętny kochanek i zapagnęła przymknąć oczy, wtulając się w niego. Ale w ostatniej chwili zacisnęła szczękę i odwróciła głowę, wbijając zęby w najbliższy biceps. Znowu.

Zanim zdążyła pisnąć, jednym szybkim ruchem obrócił ją i przycisnął do siebie, zamykając w niemal czułym uścisku. Jej falująca pierś oparła się o jego męską klatkę, brzuch dźgał twardy penis, a te cudownie błękitne oczy wwiercały się w nią niemal kojąco, jakby chciał ją uspokoić.

Nie mówiąc ani słowa, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią z zaciśniętą szczęką, owiewając jej twarz gorącym oddechem, który spowijał ją niczym piżmowy kokon.

Powoli podniósł prawą rękę i oplatając mocarnymi palcami podbródek, odchylił jej głowę i przybliżył usta do jej rozchylonych warg. Serce waliło jej w piersi jak szalone, bo wiedziała, że od zguby dzieliły ją już tylko centymetry. Zacisnęła pięści przy bokach, by choć trochę opanować swoje drżące, rozdygotane ciało.

– Pilnuj tego swojego języczka, kocico – ostrzegł niskim, groźnym głosem, niemal dotykając wargami jej ust. To tylko jeszcze bardziej pobudziło jej zmysły. – I nie prowokuj mnie, bym wprawił w ruch swój. A ty tego nie chcesz, prawda? – dodał, ani na sekundę nie odrywając od niej tych hipnotycznych oczu.

Pierś gwałtownie jej zafalowała, a oddech uwiązł w gardle.

– To nie był żaden cholerny pocałunek. Ugryzłam cię.

Jego oczy zapłonęły, a kącik ust nieoczekiwanie się uniósł.

– Bez różnicy. Ale gdy raz skosztujesz moich warg, już nigdy nie będziesz taka sama.

Nachylił się jeszcze niżej i zawisł wargami tuż nad nią. Dłonią przytrzymał jej podbródek, uniemożliwiając cofnięcie głowy.

– Wybierz mądrze, panno Vitalio.

I zanim zdążyła mrugnąć, cofnął się zwinnie o krok, zabierając rękę, i bez słowa wskazał brodą otwartą windę. Czekał na jej decyzję, jak wtedy w restauracji.

W tamtej chwili pojęła, że bez względu na to, jak bardzo tego pragnie, ucieczka jest niemożliwa. Po same uszy tkwiła w chaosie, który sama wywołała, i nawet gdyby udało jej się wyrwać na wolność, sumienie nigdy nie dałoby jej spokoju. Było jeszcze coś, co nie pozwalało jej odejść: dręcząca pokusa, ciekawość tego czegoś, co niezaprzeczalnie ich połączyło. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale przy nim po raz pierwszy w życiu poczuła się naprawdę bezpieczna – choć przecież nieraz twierdził, że ją zabije.

Zresztą, daleko by nie uciekła.

On jej na to nie pozwoli. Jeszcze nie.

Mówił jej to jego czujny, podniecająco drapieżny wzrok, gdy wreszcie skapitulowała i ze zdradziecko lekkim sercem powlekła się z powrotem do windy. Może wysłała mu tę wiadomość, bo podświadomie wiedziała, że ją zatrzyma? Bo tego pragnęła?

Nie znalazła odpowiedzi.

Dlatego właśnie Tristan Caine tak ją przerażał. Bo naprawdę ją zabijał – zabijał w niej dawną Moranę, którą znała całe życie.

Oto prawda, przed którą nie było już ucieczki w tej windzie, wiozącej ich teraz z powrotem na górę.

Tristan Caine ją przerażał, lecz nie dlatego, że się bała, iż pewnego pięknego dnia spełni swoją groźbę i pozbawi ją życia.

Nie. To życia się bała.



WIĘŻ

„Im więcej wiesz, tym mniej robisz”.

Przypomniała sobie cytata, który kiedyś gdzieś przeczytała. Choć wówczas był dla niej niezrozumiały, mocno utkwiał jej w pamięci. Jako „dyplomowany” geniusz, od zawsze wierzyła w potęgę wiedzy; to właśnie jej żądza dodawała Moranie odwagi przy każdym wyjściu poza przysłowiowe ramy, to ona pchała ją do niestrudzonej pracy nad sobą, której owocem, jak na ironię, stał się ten nieszczęsny kod.

Wiedza była orężem, ale w niepowołanych rękach zamieniała się w niebezpieczną broń.

Przymierze umarło ponad dwadzieścia lat temu. Dokładniej: dwadzieścia dwa lata temu. A dwa dni po tej żalösnej próbie ucieczki, po czterdziestu ośmiu godzinach spędzonych w pokoju gościnnym, w którym rzeczywiście czuła się jak gość, a nie jakieś piąte koło u wozu, targająca nią kotłowanina rozgorączkowanych emocji wreszcie się uspokoiła.

I po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, poczuła, że odzyskuje kontrolę. Jasność myślenia wróciła, emocje poszły w odstawkę – bez różnicy, czy to dzięki konfrontacji z prawdą o sobie, czy z powodu wiecznej nieobecności Caine’a, który przez te dwa dni robił Bóg wie co, Bóg wie gdzie. Najważniejsze, że głowa wyrwała się spod dyktatu zdradzieckiego ciała i wróciła na kark, czyli tam, gdzie jej miejsce.

Choć ta jego ciągła nieobecność i ewidentne uniki były odrobinę frapujące, nauczyła się nie przykładac zbytniej wagi do jego poczynań bądź ich braku. Fakty pozostawały niezmiennie. Była córką Gabriela Vitalia, która wyrwawszy się z więzienia zwanego domem

rodzinnym, znalazła schronienie u śmiertelnego wroga. Rzeczony wróg rozkwaśił jej ojcu nos na oczach jego własnych ludzi i odmówił powrotu na swój teren.

Niepokoił ją też brak reakcji ojca na to wszystko. To było do niego kompletnie niepodobne. Ojciec nigdy nie wahał się przed wymierzeniem „sprawiedliwości” i na pewno nie odpuści Caine’owi. I właśnie dlatego ta cisza przed niechybnie nadciągającą burzą przyprawiała ją teraz o ciarki. A w ich świecie mogło to oznaczać wszystko, od trupa w rynsztoku po pełnoskalową wojnę gangów. Ciarki były zatem najbardziej adekwatną reakcją.

Zagadką pozostawał natomiast Lorenzo Maroni. Ciekawe, jak on zareaguje. Z tego, co słyszała, miał jeszcze więcej krwi na rękach niż jej ojciec. W dodatku Dante był ewidentnie podenerwowany. Z drugiej strony co ona mogła o nich wiedzieć? Może odmowa stawienia się na wezwanie była normalką w relacji łączącej Caine’a i Maroniego. Zdawało się, że Tristan tym się nie przejmuje, więc Morana doszła do wniosku, że ona też nie będzie.

Zamiast tego skupiła się na dwóch najważniejszych – i namacalnych – sprawach: odzyskaniu kodu i odkryciu przyczyn nagłego zgonu Przymierza.

Korzystając z niezmaconego spokoju swojej tymczasowej samotni z zapierającymi dech w piersi widokami, snuła nowe szatańskie plany. Dotychczas skupili się na odzyskaniu kodu w celu jego natychmiastowego zniszczenia, ale szło im jak po grudzie.

Samowolnie zmieniła więc cały plan, postanawiając napisać zupełnie nowy kod i stworzyć program neutralizujący pierwotny, gdy tylko zostanie odpalony. Co prawda jeszcze nie bardzo wiedziała, jak się do tego zabrać, ale bezwarunkowo wierzyła w swojej zdolności i kreatywność. A ponieważ Tristan Caine zamienił się w ducha we własnym domu, po pobudce zadzwoniła do Dantego, by to z nim przedyskutować.

Siedząc zwinięta w kłębek na pluszowej sofie w świeżych ciuchach, w które zaopatrzyła ją wczoraj Amara, wpatrywała się jak zaczarowana w skąpane w słońcu wierzchołki drapaczy chmur. Przedzierające się przez nie promienie wlewały się przez szybę, ogrzewając i rozjaśniając cały apartament, dzięki czemu panowała w nim idealna atmosfera do rozmyślań.

O Przymierzu. A raczej jego upadku.

Utrzymywało się przez tyle lat, przynosząc obu rodzinom same korzyści – czemu więc nie przetrwało? Co takiego zdarzyło się dwadzieścia dwa lata temu, przynosząc kres najlucracyjniejszej współpracy w dziejach mafii? Bo na pewno nie wojna gangów, sprawdziła. Ostatnia krwawa rozprawa między dwoma rodzinami miała miejsce ponad pięćdziesiąt lat temu. I to właśnie na jej zgliszczach narodziło się Przymierze, które przez kolejne trzydzieści lat z powodzeniem funkcjonowało.

Więc co się stało?

I najważniejsze: jaki to miało związek z nienawiścią Caine'a do jej skromnej osoby? Jak to jest, że wszyscy coś o tym wiedzą, tylko nie ona? O samym Przymierzu też nie miała zbyt wielkiego pojęcia, co było dość dziwne jak na córę jednej z zainteresowanych stron. W domu nasłuchiwała się o Klanie i innych kluczowych graczach w rejonie, ale o Przymierzu nikt się słowem nie zająknął. Czyżby celowo trzymali to przed nią w tajemnicy? A może to tylko jej wyobraźnia? Czemu ojciec miałby ukrywać źródło wrażliwej nienawiści do niej?

Sięgnęła po telefon i zalogowała się do wyszukiwarki, wracając do dawno rozpoczętego researchu. Modliła się o jakiś wartościowy trop.

Od pracy oderwał ją dźwięk rozsuwających się drzwi. Pospiesznie zablokowała telefon i podniosła oczy. Zobaczyła wysoką sylwetkę wysiadającego z windy Dantego. Jak zwykle miał na sobie jeden z tych nienaganych czarnych garniturów, z którymi zaczął się jej kojarzyć. Przekrzywiła głowę, przyglądając mu się ciepło. Chyba za szybko go oceniła, ulegając zakorzenionym uprzedzeniom.

Podobnie jak Tristan Caine i ona sama ten człowiek nosił maskę. Spędziwszy z nim kilka dni i pamiętając jego reakcję na jej obrażenia po upadku ze schodów, a przede wszystkim to, że wyciągnął do niej pomocną dłoń, powoli się do niego przekonywała. Choć nie przestał być wrogiem, to na razie doświadczyła od niego jedynie dobroci. Czego nie mogła powiedzieć o własnym ojcu.

Odsuwając od siebie te myśli, pomachała do niego, gdy podszedł i usiadł w fotelu naprzeciwko niej. Jego usta jak zwykle

zdobił uprzejmy uśmiech, ale czarne oczy sprawiały wrażenie nieco mniej podejrzliwych. On chyba też zaczął się do niej przekonywać.

– Co takiego chciałaś ze mną przedyskutować, Morano? – zapytał tym samym serdecznym tonem, którym zawsze się do niej zwracał.

Bawiąc się telefonem, odparła pytaniem, na które znała już odpowiedź:

– Mamy jakiś świeży trop w sprawie kodu?

Pokręcił głową.

– Nie. Mieliśmy mały pożar w Tenebrae i wszyscy rzucili się do gaszenia.

Zmarszczyła brwi.

– Pożar z fałszywymi dilerami udającymi ludzi Klanu?

– Tak.

Trybiki w jej mózgu zaczęły się szybciej kręcić.

– Myślisz, że to ma jakiś związek?

Dante ściągnął brwi, zdezorientowany.

– Co ma związek?

Z gardła wyrwało jej się westchnienie zniecierpliwienia, pochyliła się i oparła się na łokciach. Kropki powoli zaczęły się łączyć.

– Wszystko! Nie sądzisz, że to trochę dziwne? Tyle zbiegów okoliczności? Ktoś podszywa się pod pana Caine'a i wykrada mi kod, żeby go zrobić na wypadek odpalenia programu. I żeby za moim pośrednictwem ściągnąć na niego uwagę mojej rodziny, choć tu się przeliczył. A potem ktoś podszywa się pod ludzi Klanu na waszym starym terenie i spokojnie zgarnia zyski, zwalając na was cały bajzel. Przypadek, serio?

Jak mogła tego wcześniej nie zauważyć! Schemat był widoczny jak na dłoni. Za tym wszystkim stała ta sama szajka – albo jeden człowiek, mózg całej operacji. Tylko kogo chcieli zrobić: Tristana Caine'a czy ogólnie Klan? To było coś osobistego czy jakaś grubsza sprawa? I gdzie na tej szachownicy stała ona?

Dantemu na całą minutę odebrało mowę. Wiedziała, jak dopasowuje kolejne elementy układanki i dostrzega wynikające z tego tragiczne konsekwencje. Czuła to, choć na twarzy nie drgnął mu ani jeden mięsień. Pod tym względem byli z Caine'em jak bliźniaki.

– Czy to może być twój ojciec? – przerwał wreszcie ciszę, zadając najbardziej oczywiste pytanie.

Morana pokręciła głową.

– Nie. Gdyby to był on, kazałby mi po prostu oddać kod i nie zawracałby sobie głowy żadnym Jacksonem. Zwłaszcza że to mogło pokrzyżować jego plany wydania mnie za jakiegoś dupka żadnego niepokalanej mafijnej dziewczicy.

Usta Dantego zacisnęły się w prostą linię, a oczy lekko zamglily.

– Takie prawa rządzą tym światem, Morano. Żałuję, ale tak właśnie jest. I niestety nic z tym nie zrobimy. Miałaś ogromne szczęście, że zdołałaś się wyrwać. Nie wszystkim się to udaje.

Spojrzała na niego ze współczuciem, przypominając sobie podobne słowa Amary.

Ale zanim zdążyła otworzyć usta, wziął głęboki wdech, chwytając palcami grzbiet nosa, i zmienił temat.

– Okej, czyli musimy wziąć pod uwagę możliwość, dość prawdopodobną, że te wszystkie sprawy są ze sobą powiązane. Dzięki, że otworzyłaś mi oczy. Coś jeszcze?

Otrząsnąwszy się z własnych ponurych myśli, nabrała powietrza.

– Tak. Skoro nadal nie udało nam się odzyskać pierwotnego kodu, chcę napisać nowy, blokujący program. W zamierzeniu zadziała automatycznie.

Dante uniósł brwi.

– A zadziała?

– W teorii już działa. Ale napisanie go zajmie trochę czasu.

Skinął głową.

– Super. Jeśli to wypali, wszyscy będziemy spać spokojniej.

Przygryzła wargi, w duchu kręcąc palcami młynek.

– Ale do tego będę potrzebować swojego sprzętu. To znaczy laptopa i twardych dysków. Które, tak na marginesie, nadal leżą w moim gabinecie. Domowym gabinecie.

Dante skinął głową, wstając.

– Załatwione. Jakies inne potrzeby?

Pokręciła głową.

– Dzięki, to wszystko.

– Dobrze. Zadzwoń, gdyby coś jeszcze ci się przypomniało.

I rzuciwszy jej ostatnie grzeczne skinięcie, ruszył do windy. Drzwi kabiny rozsunęły się jak na zawołanie i stanął w nich Tristan Caine w garniturze bez krawata. Na widok Dantego zatrzymał się w pół kroku.

Czyli po tamtym katastrofalnym lunchu lód między nimi jeszcze nie stopniał. Dobrze wiedzieć.

Siedziała nieruchomo jak na szpilkach, starając się nie ściągnąć na siebie jego uwagi, a za nią wzroku. Znow zamąciłby jej w głowie, a nie zamierzała się żegnać ze świeżo odzyskaną jasnością myślenia. Bo przy tym człowieku chciało jej się wyć jak potępieniec na haju, co było niezbyt zachęcającą perspektywą, mówiąc oględnie.

W obecnej sytuacji pomocne było również to, że a) przez dwa dni uparcie jej unikał i b) w towarzystwie osób trzecich prawie nigdy się do niej bezpośrednio nie zwracał. Więc jeśli wytrzyma te parę wspólnych chwil, jej zdolność logicznego rozumowania powinna wyjść z tego w miarę nietknięta.

– Tristan, musimy porozmawiać.

Zabrzmiało to niezbyt zachęcająco, ale przynajmniej głos Dantego przerwał wreszcie ciężką ciszę. Podniosła nieśmiało wzrok, zerkając na dwóch śmiertelnie niebezpiecznych półbogów.

– Owszem – odparował Caine z ostrzegawczą nutą w głosie.

Czytaj: „ani słowa przy niej”. Przewróciła oczami i wbiła wzrok w telefon, a oni bezszelestnie się zmyli. Odetchnęła z ulgą, dopiero gdy drzwi windy się za nimi zasunęły.

Skoro praca nad nowym kodem musiała zaczekać na sprzęt, odblokowała telefon i wróciła do researchu na temat zagadkowego zerwania Przymierza przed dwudziestoma dwoma laty.



Ze snu wyrwał ją ostry ból w usztywnionym karku. Wyglądało na to, że zasnęła na tej sofie w pozycji na preclą, z rozrzuconymi włosami i telefonem w ręku. Masując ściernięte mięśnie, powędrowała wzrokiem do panoramy miasta w promieniach zachodzącego słońca.

Migoczące drapacze chmur odpływały powoli w aksamitne ramiona nocy, usypiane miarowym kołysaniem morskich fal w dole.

Te olśniewające widoki towarzyszyły jej nieprzerwanie od tamtej deszczowej nocy i powoli wrastały w nią jak jej ukochane autko. Nie wyobrażała sobie, by mogły jej kiedykolwiek spowszednieć. Nie chodziło tylko o ich niezaprzeczalne piękno, ale i wspomnienie chwil, kiedy po raz pierwszy w życiu nie czuła się taka samotna.

Czy bez niego patrzyłaby przez tę szybę z takim samym uczuciem? Bo koniec końców to były zwykłe okna, takie same jak w jej domu. A jednak za każdym razem, gdy patrzyła na to miasto i morze, niebo i gwiazdy, oddech wiązał jej w gardle.

Tak jak teraz.

Otrząsnąwszy się z resztek snu, rozejrzała się wokół.

Światło było zgaszone, a półmrok rozjaśniała jedynie nastrojowa poświata miasta – wdierała się przez szybę, by porwać rozstawione po kątach cienie do uwodzicielskiego tańca. Jedynym zaś dźwiękiem był jej własny przyspieszony oddech.

Ale wiedziała, że nie jest sama.

Był gdzieś tu, ukryty w cieniu. I ją obserwował.

Nie wiedziała, skąd dokładnie, nie odwróciła się, by odnaleźć go w plątaninie uwiedzionych cieni. Siedziała bez ruchu, pozwalając mu na siebie patrzeć, napawając się jego ukradkowym, wygłodzonym wzrokiem. To było pokręcone, złe do szpiku kości. A mimo wszystko zdumiewająco naturalne.

Tego właśnie nie rozumiała, ani w sobie, ani w nim; tego nieodpartego pragnienia przyciągania i zwracania uwagi, którym oboje tak gardzili. Podniecenia, które nigdy nie powinno mu towarzyszyć. Ciała wyczulonego na jego obecność, którą wyłapywało każdą swoją komórką.

Czy było tak już od tamtej pierwszej nocy w Tenebrae? Czy zaczęło się później? Kiedy, na Boga, straciła swoje ciało i zmysły, składając mu je w ofierze? Odkąd to bycie przedmiotem obserwacji z ukrycia podniecało, zamiast przerażać? Zwłaszcza że gdyby to był ktokolwiek inny, chyba umarłaby ze strachu.

Serce biło jej jak szalone, nerwy napięły się jak postronki i bała się oddychać, ale nawet nie drgnęła, mimo że zamknięte w ciasnym staniku sutki zdradziecko stwardniały, a między nogami zrobiło się

nagle gorąco. Dobry Boże, lada chwila stanie w płomieniach, a nawet go nie widziała. I nie miała pojęcia, czy na niego też tak działa. Ale to się zaraz zmieni, już ona tego dopilnuje. Nie spłonie sama, o nie. Skoro zaszczepił w niej tę szaloną żądzę, odpłaci mu pięknym za nadobne. Choć tyle mogła zrobić.

Lubił podglądać? No to niech zapnie pasy, bo czeka go jazda bez trzymanki.

Ufając instynktowi, który jeszcze nigdy jej nie zawiódł, niespiesznie rozprostowała ścierpnięte kończyny, wyginając się w kuscielski łuk. Nagły przyptyw krwi do zdętwiałych nóg wydobył z jej gardła mimowolny jęk i momentalnie zeszywniała. W tej grobowej ciszy był niczym krzyk, ale ku jej zaskoczeniu, zamiast rozładować napięcie, tylko je spotęgował.

Wyraźnie czuła, jak powoli wędruje po jej ciele rozognionym wzrokiem, oglądając każdy centymetr skóry jakby przez teleskop. To powinno ją chociażby zdeprymować, ale nic z tych rzeczy.

Przejmująca cisza wisiała nad nią jak ciężka burzowa chmura i wstrzymała oddech, czekając, aż błyskawica rozświetli wreszcie mrok, porażając ich oboje.

Czekała.

Nagle się poruszył, nie odrywając od niej oczu. Zbliżał się czy oddalał? Poczucie na skórze jego oddech czy pustą pieszczotę zelektryzowanego powietrza?

Jej napięte jak postronki nerwy były już u kresu wytrzymałości. I wtedy porzucony na kolanach telefon zawibrował, prawie przyprawiając ją o zawał. Drżącymi dłońmi podniosła go pod nieprzerwanym spojrzeniem Caine'a i zamrugła, odblokowując wyświetlacz.

Tristan Caine: Za pięć minut na parkingu.

Mogła się odezwać, zapytać „po co?”. Ale nie chciała przerywać „ich” ciszy, psuć tej magicznej chwili, podczas której ona siedziała samotnie w ciemności, a on patrzył na nią z jeszcze głębszego cienia.

Ja: Chcesz, żebym się od ciebie wreszcie odczepiła, panie Caine?

Tristan Caine: Wprost przeciwnie: chcę, żebyś się we mnie wczepiła, panno Vitalio. Pięć minut.

Gdy wstrzymała oddech, by odczytać drugą wiadomość, martwą ciszę przerwał cichy dzwonek windy i po chwili została sama. Przyłożywszy sobie dłoń do łomoczącego w piersi serca, wzięła parę głębokich wdechów na uspokojenie, zastanawiając się, co robić.

Czyżby chciał powtórki z rozrywki? Tamto zbliżenie w restauracyjnej toalecie miało ich z siebie wyleczyć i proszę, jak się skończyło. Czy tym razem „kuracja” zakończy się sukcesem? Ma mu się znowu oddać? I za jaką cenę? Nie była aż tak głupia, by nie wiedzieć, że seks tylko wzmocni to dziwne coś, co ich połączyło. Zaryzykować czy nie? A może niepotrzebnie się martwi, może raz na zawsze się z siebie wyleczą i będzie się mogła wreszcie skupić na pracy.

Tę rozkminę przerwało nadejście nowego esemesa.

Tristan Caine: Jeśli się boisz...

Zarzucał przynętę. Po co?

Ja: Czego?

Tristan Caine: Przyjdź i sama zobacz.

A co, paradował po parkingu w majtkach z bitej śmietany?

Ja: Ciągle przestawiasz mnie z kąta w kąt, zauważyłeś?

Tristan Caine: Myślałem, że kobiety to lubią.

Prychnęła, odsuwając od siebie obraz ukazujący jego w erotycznym uścisku z jakąś obcą babą. Nie żeby to ją ruszało. Niedoczekanie.

Wstała, poprawiła ciuchy i z balerinami w dłoni ruszyła do windy, po drodze wystukując odpowiedź.

Ja: Naprawdę pozwalasz im na wyrażenie opinii? Nigdy bym cię o to nie posądziła.

Drzwi się rozsunęły, wsiadła do windy i przejrzała się w lustrze. Z potarganymi włosami, w czarnym, zsuwającym się na ramię topie i przydługich podwiniętych dżinsach wyglądała jak mała przypadkowa hipsterka z teledysku.

Prychając, schowała telefon do kieszeni, wygładziła bluzeczkę i wymaszerowała z windy. Tristan stał przy swoim motocyklu, rozmawiając ściszym głosem z Dantem. Nie widziała go od popołudnia i ku jej zaskoczeniu w międzyczasie zdążył zamienić garnitur na sprane, wybitnie seksowne dżinsy i znajomą skórzaną kurtkę. Była zdumiona, bo to oznaczało, że przebywał w mieszkaniu dłużej, niż sądziła, i zapewne starał się jej nie obudzić. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

Na jej widok Dante skinął głową i oddalił się do auta z telefonem przy uchu.

A Caine jak gdyby nigdy nic dosiadł swego mechanicznego rumaka. Kolana znów się pod nią ugięły z uznania dla jego męskiej urody. Sięgnął po kask i wreszcie na nią spojrzął tymi swoimi przeszywającymi oczyma. Dopiero teraz dostrzegła drugi kask na siodelku. Mniejszy i chyba damski.

O kurwa.

Zabierał ją na przejażdżkę? Swoim motorem? Tą świętą, nietykalną krową? Swoją ukochaną maszyną?

– Pozbieraj szczękę z podłogi, bo czas goni, panno Vitalio. – Jego chrapliwy, szorstki głos wyrwał ją z letargu.

Przełykając ślinę, podeszła do chromowanej czarno-czerwonej bestii z mieszaniną lęku i podekscytowania. Siodelko sięgało jej prawie pod pachy. Niby jak miała się na nie wspiąć?!

Czując na sobie jego wzrok, sięgnęła po kask. Był ewidentnie damski – i używany. Do kogo należał? A może to dyżurne nakrycie głowy dla wszystkich bab, które w swej łaskawości zabierał na przejażdżkę? Ta myśl jakoś jej się nie spodobała.

– Czyje to? – wyrwało się jej, zanim zdążyła ugryźć się w język, i natychmiast zbeształa się w duchu.

Tristan uniósł brew, ale nic nie powiedział i nagle nasza ją straszna myśl. A może się do kogoś spieszył? Błyskawicznie ją od siebie odsunęła. Nie. Znała go co prawda krótko, ale zdążyła się już przekonać, że w kwestiach dotyczący kobiet Tristan Caine kieruje się honorem. Ona była najlepszym tego przykładem: pomimo nienawiści, jaką do niej żywił, udzielił jej schronienia w potrzebie.

Gdyby miał inną, nie zaproponowałby jej seksu, tego była pewna.

I właśnie dlatego nabrała powietrza i włożyła kask, a gdy podniosła wzrok, napotkała spojrzenie jego nieprzeniknionych oczu.

– Proponuję zdjąć okulary – rzucił przez zaciśnięte usta.

Bez słowa wykonała polecenie i nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić, zahaczyła je sobie o bluzeczkę. Od razu zaczął się jej bezwstydnie gapić w pogłębiony dekolot, a potem niespiesznie powędrował wzrokiem do szyi, ust i wreszcie – oczu.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, po czym odwrócił się z powrotem do kierownicy, jednym zdecydowanym ruchem uruchamiając ryczący silnik.

Na jego dźwięk załała ją fala nieznanego podniecenia.

Jeszcze nigdy nie siedziała na motorze. Przemieszczała się wyłącznie autem, własnym albo ojca.

Jej pierwsza motocyklowa przejażdżka, i to z Tristanem Caine'em.

Wzięła głęboki wdech i postawiwszy stopę na podpórce, przerzuciła nogę, przytrzymując się tych jego muskularnych ramion. Usiadła z szeroko rozstawionymi udami, z konieczności obejmując jego biodra. Mechaniczna bestia ryczała pod nią, wprawiając jej ciało w rozkoszne wibracje. Przygryzła wargi, żeby nie jęknąć.

– Musisz się mnie porządnie złapać, jeśli nie chcesz spaść. – Jego gardłowy głos przebił się przez ryk silnika.

Nie chciała.

A zarazem chciała.

W końcu objęła go z wahaniem. Przez tę jego skórzaną kurtkę poczuła naprężone, ciepłe mięśnie.

– I trzymaj prawą stopę z dala od tej dużej czerwonej rury.

Tyle sama się domyśliła.

Zanim jednak zdążyła skinąć głową, motocykl wyrwał do przodu. Przykleiła się do szerokich pleców jego właściciela.

Dobry Boże, jak ona to wytrzyma?

Zsunął szybkę kasku i dodając gazu, wyjechał z parkingu i skręcił na most – pokonali go w mgnieniu oka.

Wiatr rozwiewał jej włosy na wszystkie strony świata, gdy tak mknęli przez rozmyte nagle miasto, nabierając coraz większej prędkości. Wczepiła się w niego kurczowo, przyciskając pierś do płaskowyzu jego pleców, a motocykl mruczał pod nią niczym zadowolony zwierz głaskany przez swego opiekuna.

Trzeba przyznać, że Tristan Caine naprawdę umiał jeździć. Na zatłoczonych ulicach lawirował między samochodami z podziwu godną swobodą, a na otwartej szosie znacznie przyspieszył, zachowując jednak pełną kontrolę nad mechaniczną bestią. Choć pędzili już autostradą na złamanie karku, ani przez chwilę nie zadrżała o życie. Nie zaczęła się też martwić całą sytuacją, gdy w pewnym momencie wyczuła spluwę w jego tylnej kieszeni.

Po prostu zachłysnęła się wolnością.

Uderzyła jej do głowy jak najlepszy szampan.

Czy tak właśnie się czuł, ilekroć dosiadał swej mechanicznej bestii? To na jej grzbiecie odnajdywał wolność, której próżno było szukać w ich świecie?

Odchyliła głowę, by poczuć na skórze każde smagnięcie wiatru, odpowiadając na zew, którego sama nie pojmowała, poddając się mu całkowicie i bezwarunkowo.

Oderwała dłonie od jego brzucha i ściskając go biodrami, uniosła ręce nad głowę. Coś w niej pękło. Wiedziała, że on nie pozwoli jej spaść. Zresztą, miał już wiele okazji, by wyprawić ją na tamten świat, i tego nie zrobił. Ta chwila kiedyś nadejdzie, ale jeszcze nie dziś. Dziś po raz pierwszy była zwykłą dziewczyną na motocyklu, bez przeszłości i terażniejszości, a jedynym, co się przed nią rozciągało, była ta niekończąca się szosa.

Z gardła wyrwał jej się dziki okrzyk radości oznajmiający światu – i wiozącemu ją mężczyźnie – to nieopisane, obłędne szczęście. I wcale się go nie wstydziła.

Przymknawszy oczy, rozrzuciła ręce, przyjmując smagnięcia wiatru i zaciskając uda wokół bioder Caine'a.

Krzyknęła jeszcze głośniejsze – bez żenady, bez wstydu, bez hamulców.

To był tylko motocykl. To była tylko przejażdżka. To był tylko facet.

Ale za to jaki.



Rzeczywistość zaskrzeczała niespełna godzinę później.

Tristan skręcił z szosy w polną drogę, którą znała na pamięć, i po raz pierwszy, odkąd wsiadła na motor, serce załomotało jej w piersi. Na widok wyłaniającej się zza zakrętu masywnej bryły rodzinnej rezydencji za kutą bramą wpiła palce w jego rzeźbiony brzuch.

Co, do diabła?...

Zwolnił i zaparkował w gęstych zaroślach na wysokości jej skrzydła.

Nagła cisza pod jej udami kontrastowała przerażająco z szumem przesyconej adrenaliną krwi i dalekim pohukiwaniem nocnych żyłatek.

Powoli zabrała ręce i się odsunęła, by mógł zsiąść. Przerzucił nogę przez siodło z gracją jednego z *Synów Anarchii* i zeskoczył. Poczekał na nią.

Ściągnęła kask i mu go oddała, po czym włożyła na nos okulary, mrugając oczami. Odzyskawszy ostrość widzenia, przełożyła nogę i zeskoczyła z motocykla pod baczynym spojrzeniem Caine'a.

I to był błąd.

W nagłym zetknięciu z twardym podłożem nogi się pod nią ugięły – od niechybnego upadku uratowała Moranę para silnych rąk, które złapały ją w pasie i postawiły.

– Podobało ci się – wyszeptał jej niemal w usta.

Zapatrzyła się w grę księżycowych cieni na jego twarzy. Policzki niknęły pod szorstkim zarostem, ale jego oczy wydawały się jeszcze

bardziej błękitne, gdy tak jej się przyglądał z nieskrywanym zadowoleniem.

– Tobie też – wypaliła równie cicho.

Usta mu zadrgały i wbił spragniony wzrok w jej wargi, by po chwili przywdziać tę swoją kamienną maskę i powoli się odsunąć.

Wyciągnął telefon i przyłożył go do ucha.

– Teraz – rzucił i się rozłączył.

Morana uniosła brwi. Cóż za elokwencja.

Chwilę później kamienne drzwi w murze się otworzyły i stanął w nich brodaty mężczyzna w uniformie strażnika. Przywitał Caine'a słuźalczym skinieniem głowy.

Miał szpiegów w domu jej ojca?!

Jakżeby inaczej.

Zagadka włamu sprzed paru tygodni rozwiązana. Boże, to było tak dawno temu! A ona była wtedy kompletnie inną kobietą.

Nagle spojrzała na niego zupełnie inaczej, uświadamiając sobie, ile zmian zawdzięcza właśnie temu człowiekowi.

– Czysto? – zapytał lodowatym tonem strażnika.

Tamten skinął głową.

– Tak jest. Droga wolna. Nikt pana nie zatrzyma.

O cholera... A to nowość. Kolejna.

Zszokowana patrzyła, jak Tristan wchodzi na teren posiadłości i przywołuje ją wzrokiem.

Włamywał się do domu jej ojca.

Ona włamywała się do domu swojego ojca.

Najniebezpieczniejszego człowieka w tej części kraju.

„Nie teraz”, obsztorcował ją wewnętrzny głos, gdy zerknęła na mężczyznę u swego boku. Poruszał się z charakterystyczną dla siebie gracją. Strażnik gdzieś zniknął, teren rozjaśniał jedynie blask księżyca.

Serce łomotało jej w piersi. Nigdy nie sądziła, że przyjdzie jej zrobić coś takiego. A jednak skradała się oto za śmiertelnym wrogiem, który wdarł się do posiadłości rodziny Vitalio, by odzyskać jej własność. I obserwując jego poczynania, uzmysłowiła sobie, że on zna ten teren dużo lepiej niż ona. Ciekawe, czy ojciec cokolwiek podejrzewa.

Parę minut później stanęli pod jej oknem. O nie, tylko nie wspinaaczka! Co jak co, ale latać jeszcze nie umiała, a już na pewno nie miała ochoty zawisnąć piętnaście stóp nad ziemią, przytrzymywana przez właściciela znajomych bicepsów. Lęk wysokości też nie był jej obcy, o czym on nie mógł się dowiedzieć, bo realizując obietnicę pozbawienia jej życia, pewnego pięknego dnia mógłby ją zwyczajnie zepchnąć z najbliższego klifu. Już wołała kulkę w łeb.

Otrząsając się z tych ponurych myśli, przełknęła ślinę i instynktownie położyła swoją spotniałą dłoń na jego plecach.

Momentalnie znieruchomiał i powoli się odwrócił, przyszpilając ją tymi niesamowitymi oczami błyszczącymi w świetle księżyca. Oboje stanęli w miejscu.

Tristan Caine w ruchu był piękny. Ale Tristan Caine w bezruchu był nie do opisanego.

Nawet tego nie próbowała.

– Jak wejdziemy do środka? – wyszeptała, przerażona wizją przyłapania i podwójnej egzekucji na miejscu.

– Drzwiami.

I zanim zdążyła otworzyć usta, jego silne palce oplótły jej nadgarstek. Ciągnąc ją za sobą, przebiegł bezszelestnie przez wąski trawnik. Na tym skrawku otwartej przestrzeni byli całkowicie odstępni.

Biegła z sercem w gardle, a jedynym, co powstrzymywało ją przed potykaniami się w ciemności, była jego silna ręka.

W końcu dotarli do bocznych drzwi prowadzących do jej skrzydła. Caine otworzył je bezszelestnie i jednym szybkim ruchem wciągnął ją do środka. Znaleźli się w ciemnym korytarzu zakończonym schodami. Tymi samymi, z których ojciec praktycznie ją zepchnął.

Na to bolesne wspomnienie zatrzymała się gwałtownie u ich podnóża. Dopiero co w obozie wroga doszła do siebie po upadku, w którym z łatwością mogła skrócić sobie kark. Ojcu nawet powieka nie drgnęła, gdy puszczał jej rękę – a na koniec zastawił pułapkę, w którą ona, w stanie kompletnego rozbitcia, dała się złapać.

Już nie była rozbita. O nie. Teraz zachowywała zimną krew i kierowała się logiką.

Nie wiedzieć czemu o niebo głębsze emocje niż schody budził w niej człowiek, z którym tu przyszła; to jemu zawdzięczała ten swój spokój ducha. I po raz pierwszy wypełniła ją wdzięczność. Nie chciała, by to widział, by zobaczył jej jeszcze większą słabość.

Bez słowa wbiegła bezszelestnie po schodach. Wiedziała, że on podąży za nią, chociaż go nie słyszała. Nie sądziła, że jeszcze kiedyś postawi tu stopę, a już na pewno nie w środku nocy, i to u boku człowieka, który poprzysiągł ją zabić – starała się sobie o tym przypominać, bo czuła, że coś się w niej zmienia. Złożył jej tę obietnicę nie bez powodu i dopóki nie dowie się, o co chodzi, nie może opuścić gardy.

Dotarłszy na palcach do swojego apartamentu, otworzyła drzwi i ignorując ukłucie nostalgii za swoim małym rajem, skierowała się prosto do gabinetu, gdzie trzymała cały sprzęt. Otworzyła drzwi i stanęła w progu, rozglądając się po skrawku nieba, który wykroiła sobie w tym piekle. Przypomniała sobie wszystkie te bezsenne, pracowite noce, które w nim spędziła, wszystkie marzenia o ucieczce, jakie tu snuła.

Teraz ta dziewczyna, którą była, wydała się jej obca. Ona miała marzenia, nadzieje i zapał, by je spełniać.

Dziś sama nie wiedziała już, kim jest. Gdzie podział się tamten zapał, tamten żar?

– Bierz to, czego potrzebujesz.

Whisky i grzech. Płynna lawa i tańczące płomienie.

Nie, jeszcze nie straciła tamtego ognia. Przez wiele lat pozostawał po prostu w uśpieniu. Najtrudniejsze pytanie brzmiało: dlaczego on? Dlaczego nie Jackson, dlaczego nie którykolwiek z ludzi ojca czy nawet Dante? Dlaczego właśnie ten mężczyzna o grzesznym głosie i ciele grzesznika? Nie wiedzieć czemu tylko on potrafił w jednej chwili wzniecić w niej ten ogień.

Skinęła posłusznie głową, podbiegła do biurka i zgarnęła zeń laptopa. Otworzyła dolną szufladę, wyciągnęła twarde dyski i wrzuciła je do plecaczka, który leżał w pobliżu. Upewniwszy się, że niczego nie brakuje, przełykając gulę w gardle, ostatni raz obrzuciła spojrzeniem pokój, chcąc wyryc sobie ten obraz w pamięci.

On patrzył na nią i musiała zachować zimną krew.

Nabrała powietrza i odwróciła się do niego. Stał oparty swobodnie o drzwi, jakby to on był tu gospodarzem, z kamienną twarzą świdrując ją nieprzeniknionym wzrokiem. Jak zawsze pod jego spojrzeniem serce zatrzepotało jej w piersi, krew zawrzała w żyłach i ogień objął każdą komórkę jej ciała.

Ale to nie był ani czas, ani miejsce na takie porywy. Nie w domu jej ojca.

– Gotowa? – zapytał cicho opanowanym, acz gorącym głosem, i jej ciało momentalnie odpowiedziało na jego zew.

Skinęła rozgorączkowana głową i zarzuciwszy plecak na ramię, wyszła za nim na korytarz. To nie czas ani miejsce, powtarzała sobie w duchu. Rezydencja tonęła w ciszy i ciemnościach. Ciekawe, czy ojciec jest na mieście, czy u siebie, zastanawiała się na schodach. Zresztą, nie robiło jej różnicy.

Caine otworzył boczne drzwi i trzymając się cienia, pociągnął ją za sobą ku linii drzew.

Nagle zza węgła wyłoniła się grupka rozgadanych strażników z bronią niedbale przewieszoną przez ramiona.

Przystanęła w pół kroku i blada jak płótno odwróciła się na pięcie, gotowa do ucieczki, ale w tej samej chwili szarpnęła ją mocarna dłoń i bezpardonowo wepchnęła do pobliskiej wnęki w murze. Krew się w niej zagotowała, ale przygnieciona rozbrajającą wonią skóry i piżma momentalnie znieruchomiła. Próbowała rozeznaczyć się w sytuacji.

Przycisnął ją mocno do ściany z dłońmi opartymi płasko przy jej głowie, jakby chciał zasłonić ją szczelnie swoim ciałem. Ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest w tym więcej instynktu terytorialnego niż opiekuńczego. Pochyliwszy głowę, by jeszcze bardziej zlać się z ciemnością, owionął oddechem jej ucho, muskając zarostem delikatną skórę szyi.

Ale to jego mocarne, twarde ciało drapieżnika, którym przywarł do jej kruchych pleców, sprawiło, że kolana się pod nią ugięły.

Oddech uwiązał jej w gardle.

Nie poruszył się.

Jego sztywny penis wrzynał się jej w plecy.

Nie poruszył się.

Głosy strażników ucichły.

Nie poruszył się.

Zrobiło jej się gorąco najpierw w podbrzuszu, a potem między nogami i instynktownie wygięła się w łuk, ocierając się o niego.

I wtedy się poruszył.

Ściągnął na ziemię jej plecak, przy okazji obnażając ramię aż po łokieć, i powędrował spękany palcem po jedwabistej, gładkiej skórze. Wstrzymała oddech i przymknęła oczy, rozkoszując się jego szorstkim dotykiem, który jak nic innego potrafił przyprawić ją o gęsią skórę. Sutki stwardniały jej na spragnionych pieszczoty piersiach, a ogień między nogami na dobre rozgorzał.

Ostatnim razem jej tak nie dotykał. Nie dyszał w kark, nie ocierał się brodą o bark, jednocześnie trzymając usta z dala od niej. Przesunął dłoń na jej szyję, starannie omijając poszkodowane piersi, tak bardzo spragnione jego pieszczot. Marzyła, by dotykał jej sutków, dając tę soczystą rozkosz, na którą czekało jej rozdygotane ciało. Chciała ocierać się nimi o jego kciuk i poczuć słodkie pulsowanie tam, na dole.

Chciała jego dłoni na piersiach.

Ale zamiast tego zacisnęła się pewnie na jej karku, a usta zbliżyły się do ucha.

– Czulaś mnie w środku nazajutrz? – wyszeptał i whisky w jego głosie momentalnie uderzyła jej do głowy. Na samo wspomnienie tamtego szybkiego, ostrego seksu w restauracyjnej toalecie jej ścianki mimowolnie się zacisnęły.

W odpowiedzi przygryzła wargi, napierając na niego biodrami. Stała na palcach i gdy jego penis wsunął się między jej pośladki, poczuła się jak kotka w rui.

Pożegnawszy resztki wstydu i wyrzutów sumienia, oparła głowę na jego barku, beczelnie się o niego ocierając.

Jego dłoń zacisnęła się mocniej na jej szyi i napierając na nią biodrami, drugą włożył jej w dżinsy i majtki, odnajdując łechtaczkę. A gdy wsunął palce do środka, zaczęła dyszeć, jakby właśnie przebiegła maraton.

– Jesteś dla mnie taka mokra – wymruczał jej do ucha, wbijając biodra w jej tyłek. Jego palce wędrowały po jej tułowiu, twarde cegły ocierały się o piersi i sutki, a jej ścianki zaciskały na tych ruchliwych palcach, gdy pieścił kciukiem łechtaczkę. – Staje mi przy tobie na

baczność – warknął nienawistnie pożądlwym głosem, przelewając w nią swoje podniecenie. Jej skóra pulsowała pod jego dotykiem. Jego zapach, jego ciepło, jego zaborcze dłonie zniewoliły ją bez reszty, zamieniając w tykającą bombę.

Poruszał się za nią, w niej, przy niej, osaczając ze wszystkich stron. Przygryzła wargi, by nie pisnąć ze słodkiej bezradności, tłumiąc elektryzujące mrowienie, które przechodziło po jej grzbiecie, karku, ramionach.

Niemal bezwiednie i na przekór sobie wsunęła rękę za plecy, złapała go za nabrzmiałe krocze i mocno ścisnęła.

– Nie... tutaj... – syknął jej do ucha, podkrecając tempo.

Zasłaniając jej usta wolną ręką, przyszczypnął jej łechtaczkę, doprowadzając do błyskawicznego orgazmu. Doszła w jego dłoni, łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg, wstrząsana spazmatycznymi dreszczami.

Pulsowała. Tętniła. Dygotała. Kipiła.

Nie spieszył się z zabraniem palców, ścierając jej soki do ostatniej kropli. Wreszcie wyjął rękę z jej majtek i wytarłszy ją o dżinsy, sięgnął po porzucony plecak, rozglądając się kontrolnie po okolicy.

A ona stała jak wryta ze wzrokiem wbitym w ścianę.

Ścianę domu jej ojca. W samym sercu jego terytorium.

Pozwoliła Tristanowi Caine'owi doprowadzić się do orgazmu przy tym ceglanym murze patrolowanym przez strażników. Jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

Kurwa. Kurwa.

Co było z nią nie tak, do cholery? I co było nie tak z nim?

A więc jednak, powtórka z restauracji, tylko znacznie bardziej pokręcona. Okej, technicznie rzecz biorąc, nie uprawiali seksu, ale to był szybki numerek co się zowie.

A najgorsze ze wszystkiego? Nie miała ani krzty wyrzutów sumienia.

Ścisnął ją za rękę, odwracając do siebie i wbijając w nią ten wygłodniały wzrok polującego drapieżnika, którym na nowo ją rozpałił. Samymi oczami.

Nachylił się do jej ucha, owiewając wonnym oddechem policzek.

– Następnym razem sprawdzę, jak głośno krzyczysz, panno Vitalio. I kiedy z tobą skończę, nie będzie wiadomo, co masz bardziej obolałe: gardło czy cipkę.

Naprawdę, temu facetowi trzeba porządnie wyszorować jego brudne usta.

Przewróciła oczami, ale serce zatrzepotało jej w piersi, bo mimo wszystko jego słowa padły na podatny grunt jej zdradzieckiego, rozpalonego ciała.

– Już tak sobie nie schlebiaj.

– Powtórz to, gdy twój zapach zwietrzeje mi z palców.

Wedle życzenia. Ale nie odpowiedziała, tylko przygryzła wargi, żałując, że z nich dwojga to ona zawsze traci nad sobą kontrolę.

Ściągnęła łopatki i zrzucając plecak na ramię, postąpiła mu chłodne spojrzenie.

– Idziemy czy nie?

Zmrużył lekko oczy, przyglądając się jej przez dłuższą chwilę. W końcu skinął głową, rozluźnił uchwyt, odwrócił się na pięcie i pociągnął ją bez słowa ku linii drzew.

Byli już niemal przy murze, gdy w jej kieszeni nagle zawibrował telefon.

Ignorując esemesa, przyspieszyła kroku, by jak najszybciej dotrzeć do tajnego przejścia, przy którym czekał tamten przekupiony strażnik. Tristan Caine zamienił z nim parę słów, a ona ruszyła prosto do zaparkowanego motocykla, odsuwając od siebie myśl o tym, co właśnie zaszło.

Zamiast tego skupiła się na zapachu ziemi i bryle straszego dworu skąpanego w bladej księżycowej poświacie. Przypomniawszy sobie o czekającym w skrzynce esemesie, wyciągnęła telefon i go odblokowała.

Nieznany numer.

Marszcząc brwi, otworzyła wiadomość zawierającą jakieś plik graficzny, nie było w niej ani linijki tekstu. Kliknęła w obrazek i wyteżyła wzrok. Wyglądał na skan starego artykułu prasowego. Mrużąc oczy, powiększyła go, by odczytać drobny druk.

**LICZBA ZAGINIONYCH DZIEWCZYNEK
WZROSŁA DO DWUDZIESTU PIĘCIU**

Tenebrae, 8 lipca 1989 r.: Według najnowszych, zatrważających doniesień w ciągu ostatnich dwóch lat w naszym mieście przepadło bez wieści dwadzieścia pięć dziewczynek w wieku od dziewięciu do czternastu lat. Ale to tylko wierzchołek góry lodowej, nasze policyjne źródła twierdzą, że niezgłoszonych zaginięć może być znacznie więcej.

Ostatnio zaginęła sześciolatka Stacey Hopkins (zdj. u góry), wydarzyło się to w biały dzień, gdy jej matka skręciła za róg w Madison Avenue i na chwilę straciła ją z oczu. Nie wiadomo, czy dziewczynki padają ofiarą porywaczy. Niektórzy uważają, że porywają je zorganizowane grupy przestępcze, ale nie brak też głosów obwiniających o to najróżniejsze sekty. Większość dziewczynek zniknęła niemal spod oka opiekunów...

Morana przeczytała mrożący krew w żyłach artykuł od deski do deski, kompletnie nie rozumiejąc, dlaczego ktoś jej go wysłał. Kim był nadawca? Jakie kierowały nim motywy? Może to jakaś pomyłka? Chyba tak.

Wstrząśnięta tym, co właśnie przeczytała, podniosła wzrok na zbliżającego się Tristana. Już miała zablokować telefon, gdy jej wzrok przykuła odręczna notatka w rogu artykułu.

Zerknij na tekst z 5 lipca 1998 r.

Dokładnie sprzed dwudziestu dwóch lat.



DECYZJA

Morana nie była w stanie orzec, czy jest bardzo, ale to bardzo odważna, czy po prostu bardzo, ale to bardzo głupia.

Może i jedno, i drugie.

Bywały chwile, kiedy nie była z siebie szczególnie dumna, mimo że miała wówczas ochotę unieść pięść w geście triumfu i podskoczyć z radości. Powód tego był prosty: w swej lekkomyślności zdarzało jej się robić rzeczy, których naprawdę nie powinna, ale gdy już jej wychodziły, dosłownie pękała z dumy.

To była właśnie jedna z takich chwil.

Ale powstrzymała się przed gestem triumfu. Ledwie.

Dowód na jej lekkomyślność i jednocześnie odwagę znajdował się pięć aut przed nią, za kółkiem olbrzymiego czarnego SUV-a, którego nie dało się przeoczyć. Nie najlepszy wybór na tajną operację. Ale skoro wszystko działało, nie miała nic przeciwko.

Po powrocie z wycieczki po sprzęt zamknęła się w pokoju gościnnym i zabrała do pracy nad nowym programem. Przy okazji sprawdziła ten dziwny artykuł sprzed ponad trzydziestu lat, którego skan otrzymała od tajemniczego nadawcy. Liczne nieudane próby wyśledzenia, kto jej go wysłał, przyniosły ważną informację: on – lub ona – znał się na komputerach. I to naprawdę świetnie.

Do tego stopnia, że zaczęła się zastanawiać, czy nie miał czegoś wspólnego z kradzieżą oryginalnego kodu.

Podczas pracy roztrząsała chyba wszystkie możliwe ewentualności, dzięki Bogu niemolestowana przez właściciela penthouse'u. Przez te trzydzieści godzin, odkąd się tu zamknęła, nie zajrzał do niej ani razu.

Zero. Posucha.

I prawdę mówiąc, w tych okolicznościach była mu za to wdzięczna. Bo jak widać, w tle działało się coś, o czym nie miała bladego pojęcia, i zanim wdepnie jeszcze głębiej, potrzebowała paru odpowiedzi. W drodze powrotnej chyba to wyczuł i się wycofał.

Te trzydzieści godzin poświęciła pracy nad kodami bazowymi i wszystko szło jak z płatka – dopóki nie wzięła na tapet tamtego zagadkowego artykułu.

Śledztwo w sprawie Przymierza spełzło na niczym, ale o serii porwań w Tenebrae sprzed trzydziestu laty znalazła aż nadto informacji.

Okazało się, że w ciągu dziesięciu lat w tajemniczych okolicznościach zginęło łącznie czterdzieści pięć dziewczynek, których nigdy nie odnaleziono. Ani jednej. A ponieważ porwania zdarzały się sporadycznie na przestrzeni dekady, policji nie udało się zgromadzić dość materiału dowodowego, by je powiązać.

Morana była jednak na tyle inteligentna, by zacząć łączyć kropki, ale nadal nie miała pojęcia, jak w tę układankę wpasowywało się Przymierze. Może w ogóle nie było tu żadnego wspólnego mianownika, a nadawca mógł być jakimś szaleńcem albo głupim dowcipnisiem.

Ale intuicja podpowiadała jej, że związek istnieje.

Czuła tak od samego początku. A odręczna notatka na skanie artykułu zaprowadziła ją do ostatniego artykułu o zaginięciu małej Jane Doe.

Złapawszy trochę snu, próbowała porozmawiać o wszystkim z Amarą. W końcu to kruczowłosa piękność naprowadziła ją na ten trop. Ale gdy tylko wspomniała o porwaniach i Przymierzu, Amara zeszywniała i nabrała wody w usta. Morana wiedziała, że kierowała nią lojalność wobec Dantego i Tristana, ale ją to jeszcze bardziej sfrustrowało. Dantego też nie było sensu wypytywać, a nagabywanie Tristana najpewniej skończyłoby się rzuceniem na najbliższą płaską powierzchnię albo nawet śmiercią.

A ona chciała odpowiedzi. Nie jego brutalnych pieszczot czy noża rozcinającego jej skórę.

Tylko odpowiedzi.

Trudne czasy wymagają trudnych decyzji, więc odrzuciwszy wszystkie możliwe ewentualności (z wyłączeniem porwania przez UFO), ukuła diaboliczny plan. I w teorii bardzo prosty: znaleźć coś na Tristana Caine'a (bo jego szafa na bank pękła w szwach od przysłowiowych i dosłownych trupów), a następnie szantażem wymusić zeznania.

Albo pożegnać się z życiem. Ale przynajmniej ze świadomością, że umiera dla prawdy.

W teorii plan był dobry. W praktyce – lekkomyślny i brawurowy.

Z tego też względu z samego rana szybko się ubrała i z niecierpliwością czekała w swojej samotni, aż Tristan wyjdzie – by go śledzić. Z radością wskoczyła do swojego ukochanego autka i zełgawszy strażnikowi przy wyjściu, że czegoś zapomniała, wcisnęła gaz do dechy i pomknęła jak strzała za Caine'em.

Jechała za nim dobrą godzinę, trzymając się w bezpiecznej odległości od niego, by nie zauważył jej w lusterku wstecznym. Co chwilę podziwiała jego umiejętności za kółkiem. Manewrował tym wielkim czarnym SUV-em niemal tak samo swobodnie jak swoim przerośniętym motocyklem, który zresztą, nie wiedzieć czemu, zdążył już zająć specjalne miejsce w jej sercu.

Wyjechali za roгатki w promieniach gorącego słońca, miejskie krajobrazy stopniowo ustępowały wiejskim pejzażom.

Po dziesięciu minutach skręcił w jakąś polną drogę i zniknął za szpalerem drzew.

Zatrzymała auto w promieniach prażącego słońca, na które nawet rozkręcona na maksa klima nie była w stanie pomóc, i przygryzając wargi, czekała, aż SUV oddali się na bezpieczny dystans. Kiedy straciła go z oczu, poczuła niepokój.

Spotniałą dłonią uruchomiła silnik, panicznie bała się zdemaskowania. Ale było już za późno, by zawrócić. Jak lekkomyślnie powiedziało się „a”, trzeba powiedzieć „b”. No i potrzebowała odpowiedzi.

Gdy tylko SUV zamienił się w kropkę na horyzoncie, ruszyła za nim w iście ślimaczym tempie, podskakując na każdym wyboju. Już wiedziała, dlaczego wziął akurat to auto. Tylko skąd tak dobrze znał tutejszą okolicę? A może po prostu korzystał z GPS-a?

Zacisnęła zęby i zachowując bezpieczną odległość od niego, pokonywała kolejne wertepy, uciekając przed gmatwaniną myśli.

Po pięciu minutach tej ślimaczej jazdy zobaczyła opuszczoną stodołę otoczoną zagajnikiem.

SUV zatrzymał się przed nią i Morana pospiesznie zjechała na pobocze, aby schować się za przydrożnymi drzewami. Wyjęła broń z torebki, umieściła ją za paskiem dżinsów, wysiadła z auta i przykucnęła za drzewem.

Z SUV-a wyłoniła się muskularna sylwetka Tristana Caine'a. Nie ściągając czarnych okularów, zdjął marynarkę i rzucił ją na fotel kierowcy. W tej swojej śnieżnobiałej koszuli wyglądał na jeszcze większego mięśniaka, jeżeli to w ogóle możliwe. Trzasnął drzwiami i wszedł do stodoły.

Morana pochylona ruszyła ku stodołę, raz po raz rozglądając się na boki. Adrenalina buzowała w jej krwi.

Drzwi stodoły były uchylone.

Wślizgnęła się cichaczem do środka, mrugając zawzięcie, by przyzwyczaić się do ciemności. Nagle jej uszu dobiegły ściszone głosy.

Wskoczyła za najbliższy drewniany filar i ostrożnie wyjrzała. Przez szpary w deskach wdzierały się pojedyncze promienie słońca, stanowiące jedyne źródło światła w przepastnym wnętrzu.

W któregoś środka stał Tristan Caine w otoczeniu czterech wysokich mężczyzn, których głosy odbijały się echem od wysokich ścian.

Ściskając drewniany filar, nadstawiła uszu.

– Z tego, co wiem, Doug dał nogę za ocean, nie posprzątał swojego bałaganu. Gdzie teraz jest? – zapytał Tristan głosem tak spokojnym, że aż przeszły ją ciarki. Zachowywał się tak, jakby tamte zakapiory wcale nie były uzbrojone po zęby. On nie miał nawet scyzoryka.

Jeden z drabów się roześmiał, kręcąc głową.

– A czego chcesz od Douga?

– To moja sprawa – odparł tym samym tonem, nie spuszczając z nich czujnego wzroku.

– Po co odgrzebywać stare sprawy, Caine – powiedział ten, który wyglądał na herszta stada. – Krążą o tobie plotki. O tobie i tych

zaginionych dziewczynkach.

Morana wstrzymała oddech.

Tristan Caine westchnął.

Westchnął.

– Jeśli chcecie stąd wyjść, gadajcie, gdzie jest Doug – poinformował ich.

Niespiesznie odpiął mankiety i podwinął rękawy, ukazując tatuaże. Jeszcze ich nie widziała w pełnej krasie.

Dwóch stojących za nim mężczyzn wymieniło porozumiewawcze spojrzenia. Wyciągnęli noże i rzucili nimi prosto w jego plecy.

Zastłoniła usta, by nie krzyknąć, z niedowierzaniem i duszą na ramieniu przyglądając się temu, co nastąpiło.

Nie oglądając się za siebie, jakby doskonale wiedział, co się dzieje za jego plecami, Caine błyskawicznie przykucnął, unikając zranienia. Noże upadły z brzękiem na klepisko.

I zanim tamci się zorientowali, poderwał się na równe nogi i jednym szybkim ciosem w gardło znokautował pierwszego z mężczyzn. Coś chrupnęło. Z drugim załatwił się równie szybko potężnym kopniakiem.

Dwaj pozostali rzucili się na niego. Jeden z nich miał pistolet – Caine wykręcił mu rękę i jednocześnie przydusił drugiego napastnika przedramieniem tak skutecznie, że ten stracił przytomność. Następnie przejął broń mężczyzny, którego rękę trzymał, wycelował i przestrzelił mu oba kolana. Echo wystrzałów poniosło się po pustej stodole.

Morana patrzyła, jak przykuca, przechyliła głowę i przygląda się krwawiącemu zbirowi.

– Gdzie Doug? – powtórzył spokojnie pytanie.

Tamten zaklął, plując krwią.

– Nie wiem, do diabła.

Caine bez wahania wwiercił lufę pistoletu w jego ranę i gość zawył z bólu. Morana aż się skuliła.

– Nie mam pojęcia, przysięgam! – wybełkotał. – Wiem tylko, że w soboty przesiaduje na zapleczu w Saturnie. To wszystko, przysięgam.

Dziś była sobota.

Tristan Caine zajął mu bez słowa w oczy, by po chwili skinąć głową i wstać. Rzucił broń na klepisko.

I jak gdyby nigdy nic ruszył do wyjścia, mijając ukrytą za filarem Moranę. Oniemiała odprowadziła go wzrokiem. Bo dopiero teraz, gdy bez kawałka scyzoryka rozprawił się z tymi czterema zbirami i nonszalancko porzucił broń, dotarło do niej, kim naprawdę jest.

Drapieżnikiem.

Zawsze łowcą, nigdy zwierzyną. Nie dało się na niego zapolować, nie dało się go ujarzmić ani zniszczyć. I właśnie ta jego niezwyciężona aura najmocniej na nią działała.

Powinna być przerażona. Zdegustowana. Odstęczona. Ale zamiast tego była urzeczona. Bo dobrze pamiętała jatki urządzone przez swojego ojca. Krew lała się strumieniami, obryzgując ściany i jego samego, gdy torturował swoją ofiarę. W ich świetle takie widoki były na porządku dziennym i to nie rozlew krwi zrobił na niej takie wrażenie.

Najbardziej przeraziło ją to, że Caine wyszedł stąd w równie śnieżnobiałej koszuli, w jakiej wszedł.

Zerkając z ukrycia, jak rozmawia ściszym głosem przez telefon, nie mogła się nadziwić, że jego szorstkie dłonie, które nie tak dawno dawały jej rozkosz, po tej krwawej łaźni pozostały czyste.



Saturn.

Słyszała oczywiście o tym lokalu, ale nigdy go nie widziała. I nie chciała widzieć.

Było to ulubione kasyno gangsterów we wschodniej dzielnicy; coś na kształt neutralnego gruntu negocjacyjnego dla różnych rodzin na terenie jej ojca. Z tego, co wiedziała, każde miasto miało takie kasyno, które służyło tylko jednemu celowi: spotkaniom bez rozlewu krwi. Na pozór jednak przypominało każdą inną tandetną jaskinię hazardu dla niewinnych turystów i szukających szczęścia cywili.

Wiedząc już, gdzie szukać Caine'a, Morana wstąpiła po drodze do najbliższego butiku i kupiła pierwszą z brzegu krzykliwą kieckę –

srebrną mini odkrywającą o wiele więcej, niż kiedykolwiek chciałyby pokazać. Ale czas gonił, więc szybko wbiła się w nią w przymierzalni i wskoczyła do auto, rzucając na fotel srebrne szpilki do kompletu.

Ruszyła z piskiem opon, przeklinając się w duchu za wybór wdzianka bez kawałka schowka na broń. A w jaskini lwa bez broni ani rusz. Ona nawet sypiała z bronią pod poduszką – przynajmniej wtedy, gdy akurat nie bawiła z wizytą u zaprzysięgłych wrogów.

Wjechała na parking lokalu. Wzięła głęboki wdech, widząc stojącego w pobliżu czarnego SUV-a.

Zapadał już zmrok i słońce powoli ustępowało miejsca księżycowi. Chłodne wieczorne powietrze przyprawiało o dreszcze. Zresztą nie tylko ono.

Na jej widok bramkarz przy drzwiach aż wybałuszył oczy, ewidentnie ją rozpoznając. Ojciec i ci jego koledzy od kielicha, ech. To ostatnie, czego teraz potrzebowała. Ściągnęła łopatki i zacisnąwszy zęby, minęła goryla, po raz enty plując sobie w brodę, że zamiast broni skitrała w staniku mały nóż motylkowy.

Pospiesznie odsunęła od siebie te myśli, skupiając się na zadaniu numer jeden: dostać się na zaplecze i trochę powęszyc.

Gdy tylko przekroczyła próg, jej zmysły zaatakowała feeria oślepiających świateł i barw oraz głośna muzyka, wybuchy śmiechu, nawoływania krupierów i dzwonienie automatów do gier.

Stała w drzwiach z zaciśniętymi przy bokach pięściami i rozejrzała się po gwarnej sali. Nie nawykła do takich tłumów, jej doświadczenia z dużą liczbą ludzi nie należały do najlepszych. Zdecydowanie bardziej wolała swoją komputerową samotnię lub towarzystwo jedynie kilku osób.

„Kolacja w penthousie z Dantem, Amarą i Tristanem była miła”, szepnął jej jakiś wewnętrzny głos. Trochę niezręczna, ale miła.

Uciszyła głos, nie chcąc go słuchać, i ruszyła w kierunku zaplecza ogromnej zatłoczonej sali. W pewnej chwili dostrzegła w głębi wąski korytarz z pojedynczą czerwoną zasłoną na końcu.

Zakładając, że za nią kryło się zaplecze, o którym mówił tamten zbir, rozejrzała się kontrolnie i wślizgnęła w korytarz, wyężdżając słuch. Ale zza zasłonki nie dobiegał żaden szmer. Odsunęła ją niepewnie i jej oczom ukazały się proste drewniane drzwi zaopatrzone w niewielki panel z klawiaturą.

Bingo.

Zasunęła za sobą zasłonkę, obrzucając go wzrokiem. Znała zabezpieczenia w lokalach ojca, bo wiele z nich własnoręcznie zainstalowała, i wiedziała, że jeśli złamie kod, nie uruchomi się żaden alarm. Operacja była skomplikowana, ale do zrobienia.

Przygryzając usta, skupiła się na panelu i w kilka sekund się z tym uporała.

W chwili, gdy zamek się odblokował, złapała ją od tyłu czyjaś szorstka dłoń.

Instynktownie sięgnęła do stanika po ukryty nóż, ale nagle poczuła na plecach twardą lufę i znieruchomiła.

Powoli się odwróciła i w półmroku przedsionka zobaczyła starszego mężczyznę swojego wzrostu. Jego usta zdobił podły, szyderczy uśmiezek.

– Co tu robisz? – zapytał ostro, potrząsając nią. Siniaki murowane.

Otworzyła usta, żeby jakoś się wykpić, gdy nagle jego wzrok padł na odblokowany zamek. Cholera.

– Proszę, proszę. – Spojrzał na nią z zaintrygowaniem. – Chciałabyś wejść, mała? No to wejdźmy.

Nie odrywając lufy od jej boku, wepchnął ją brutalnie do środka. Nie opierała się, dobrze wiedząc, czym to się może skończyć. Tu potrzeba sprytu.

Kurwa.

Tonące w półmroku zaplecze gdzieśgdzie rozjaśniały światełka we wszystkich kolorach tęczy, które zapewne w zamysle dekoratorów miały nadawać mu efektowny wygląd, ale jakoś nie nadawały. Pierwszym, co zauważyła, był brak damskiej obsługi. W ogóle nie było tu kobiet. To świadczyło o jednym: to, co się tu odbywało, miało charakter wysoce poufny i bardzo ważny. W ich świecie tylko w takich sytuacjach kobiety nie miały gdzieś wstępu.

No dobra.

Rozejrzała się po sali. Na środku stał wielki okrągły stół, wokół którego siedzieli jacyś groźni ważniacy. A na nim, w samym centrum, leżał rewolwer.

Na wprost wejścia, w miejscu, z którego było widać całą salę i wszystkich, którzy pojawiali się w drzwiach, siedział Tristan Caine

we własnej osobie.

Gdy tamten szarpnął ją za rękę, Caine wbił w nią te swoje niebieskie oczy. Serce zatrzepotało jej w piersi. Została przyłapana i nie miała pojęcia, jak on zareaguje – zwłaszcza że ewidentnie przeszkodziła mu w jakiejś cholernie ważnej sprawie.

Ale nawet nie mrugnął.

W tych jego obłądnie błękitnych oczach nie zapłonęła najdrobniejsza isierka, na twarzy nie drgnął żaden mięsień, ciało nie zdradziło się najmniejszym ruchem.

Najmniejszym.

A mimo to czuła na sobie ciężar jego wzroku na każdym centymetrze swojej nagiej skóry. Wędrował po jej kusej sukience, po dekolcie, by zatrzymać się na zaciśniętej na jej ręce męskiej dłoni.

Boże, cóż za niebywała samokontrola. Można tylko pozazdrościć.

Idąc za jego przykładem, sama przywdziała kamienną maskę, modląc się o jej szczelność. Na szczęście nikt jej tu nie znał, więc ten teatrzyk miał szansę powodzenia.

Oderwała od niego niby obojętny wzrok i omiotła nim salę (co powinna była zrobić w pierwszej kolejności, ale zamącił jej w głowie). Prócz niego było obecnych jeszcze pięciu mężczyzn, wszyscy wyfiokowani, w drogich garniakach i z luksusowymi cygarami w ustach. Wiek: czterdzieści–pięćdziesiąt lat.

Był tu najmłodszy, a jednak to od niego emanowało największe zagrożenie, nawet w tej nieruchomej wersji. A może zwłaszcza w niej.

Jej „towarzysz” szarpnął ją za rękę. Zaciśnęła zęby, żeby nie walnąć go z liścia.

– Kręciła się pod drzwiami – warknął w przestrzeń. – Zna ją ktoś?

Nikt się nie odezwał.

Wszyscy się gapili.

Morana przygryzła wargi i czekała.

Podstarzały knypek odwrócił ją do siebie.

– Co tam robiłaś, dziewczyno?

Milczała.

– Jak się nazywasz, kurwa? – wycedził.

Łypnęła nań za tę próbę zastraszenia. Pod żadnym pozorem nie może się zdradzić, nie w tej paszczy lwa. Tristan Caine nie bez powodu milczał jak zakłęty.

– Stacy – rzuciła pierwsze imię, jakie przyszło jej do głowy.

Pokurcz uniósł z powątpiewaniem brew.

– Stacy?...

– Summers – doprecyzowała ze słodyczą w głosie.

– Cóż, panno Summers – warknął szyderczo. – Rozejrzałaś się po sali? Tu się gra. Ale nie o pieniądze, a o informację.

Aha, teraz to nabiera sensu.

– I wychodzi się stąd tylko na jeden z dwóch sposobów. – Wyszczrzył przebarwione tytoniem zęby w diabolicznym uśmiechu. – Jako zwycięzca albo pokonany... z kulką w głowie.

Żywy albo martwy. No ładnie. I bardzo po gangstersku.

Uniosła brew, rzucając znaczące spojrzenie na leżącą na stole broni, gorączkowo kombinując. Nie miała pojęcia, co to za gra, ale wiedziała, że jeśli odmówi udziału, wrzynająca się w jej plecy spluwa natychmiast wystrzeli. A poza tym tutejszą stawką była informacja, której łaknęła jak kania dżdżu.

– Zagram – poinformowała go przestodżonym głósikiem, trzymając nerwy na wodzy.

Na twarzy tamtego odmalowało się niedowierzanie, ale szybko doszedł do siebie i pchnął ją na puste krzesło dokładnie vis-à-vis Tristana. I plecami do drzwi, co było wyjątkowo niebezpieczne. Każdy mógł wejść i wpakować jej kulkę.

Ale gdy podniosła wzrok, dostrzegła, że on obserwuje drzwi i wszystkich obecnych, i trochę się uspokoiła. Jeśli jest na tym świecie coś pewnego, to tym czymś była jego obietnica, że nikomu innemu nie pozwoli jej zabić. Jej śmierć należała do niego i tylko do niego. Patrząc na niego teraz, widziała nie Tristana Caine'a, a Drapieżcę, i wierzyła w każde jego słowo. Dlatego też nie mogła się rozluźnić. Nie знаła tego człowieka. Spotkała go tylko raz, tamtego wieczora na przyjęciu w Tenebrae, gdy przyłożył jej nóż do gardła, i od tamtej pory widywała tylko jego przebłyski.

Dziś jednak był w swoim żywiole, z kolei Tristan Caine, który zabrał ją na motocyklową przejażdżkę, udzielił jej schronienia,

gotował posiłki – teraz kompletnie zniknął.

W tamtej chwili zdała sobie sprawę, jak słabo zna tego rozpartego na krześle gangstera, w każdej chwili gotowego rzucić się do gardła swojej ofierze.

Na pewno już się domyślił, skąd się tu wzięła. Na tę myśl ścisnęło ją w żołądku. Nie miała pojęcia, jak zareaguje – ukatrupi ją na miejscu czy przedtem trochę się nad nią poznęca.

Serce waliło jej jak młotem, ale ściągnęła łopatki i patrzyła mu śmiało w oczy. W tej dżungli drapieżników nie miała prawa ani na chwilę stracić czujności, zwłaszcza wobec najgroźniejszego z nich.

Oblech, który ją tu przywłókł, podniósł rewolwer ze stołu i włożył do bębena jedną kulę, po czym odłożył broń na miejsce i cofnął się o krok.

I wtedy ją oświeciło. Jedna kula w bębenu.

Już wiedziała, co to za gra.

Żołądek podszedł jej do gardła.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Już była trupem. Zimnym trupem. Nie miała najmniejszych szans, by wyjść z tego żywa.

– Zasady są proste, panno Summers – poinformował ją pokurcz. – Bierze pani broń i zadaje pytanie. Jeśli jego adresat nie odpowie, pociąga pani za spust. Pusta komora oznacza, że wtedy on ma prawo zadać swoje pytanie i jeśli pani nie odpowie, on pociąga za spust.

Morana знаła tę grę. Słyszała, jak ojciec gra w nią w domu ze swoimi ludźmi. W dzieciństwie nieraz ich podglądała. W bębenu jest sześć komór i tyle samo pytań na parę. Gdyby udało jej się przeżyć wszystkie „pustaki”, nabyłaby prawo do zadania innych pytań. I jej przeciwnik także.

Siedzący obok niej oblech podniósł broń i wycelował ją w wiekowego gangstera z cygarem.

– Dokąd idzie następna dostawa? – zapytał z naciskiem. Starzec milczał, wypuszczając dym w górę.

Morana poczuła, jak kropla potu spływa jej po plecach.

Bez ceregieli oblech pociągnął za spust. Komora była pusta. Jego przeciwnik zgasił cygaro w popielniczce i sięgnął po broń.

– Kiedy zostałeś sługusem Wielkiego J.?

Pokurcz zacisnął usta i starzec wycelował w jego pierś.

W sali rozległ się ogłuszający huk i tylko wieloletnie obcowanie z odgłosem strzałów ocaliło Moranę przed zawałem. Krztusząc się krwią, ofiara po chwili zeszywniała.

O Boże.

W tej grze zamiast kart liczono strzały. W tym pierwszym była całkiem dobra, ale o drugim nie miała bladego pojęcia. Zerkając kątem oka na rozluźnionego Caine'a, nabrała pewności, że to dla niego nie pierwszozna. Do diabła, byłaby zdziwiona, gdyby kiedykolwiek ośmielono się zadać mu pytanie. A to, że tu siedział, było najlepszym dowodem, że nigdy nie przegrał.

Nie chciała w to grać. Ale wiedziała też, że lepsza okazja, by wyciągnąć z niego informacje, już się nie trafi.

Wbiła wzrok w odłożony na środek stołu rewolwer. Żołądek podszedł jej do gardła, ale szybko się opanowała.

Nie była tchórzem, do stu diabłów.

Przełknawszy ślinę, nachyliła się nad stolikiem, sięgając po broń. Dała sobie chwilę, by zapoznać się z jej kształtem i wagą, po czym wycelowała w nieruchomego Caine'a.

Wszyscy jak jeden mąż wstrzymali oddech i w sali zapadła martwa cisza. To tylko potwierdzało jej przypuszczenia: jeszcze nikt nie ośmielił się rzucić wyzwania Tristanowi Caine'owi. No cóż, podobnie jak ocierać się o jego krocze pod domem jej ojca.

Choć pod stolikiem drżały jej kolana, przywdziała kamienną maskę, zbierając się na odwagę, by zadać mu pytanie, na które nie wiedziała, czy dostanie odpowiedź. W tym momencie nie chciała nawet myśleć o konsekwencjach pociągnięcia za spust.

– Opowiedz mi o Przymierzu.

Przyspilił ją tymi swoimi obłądnie niebieskimi oczami, ale nawet mu powieka nie drgnęła. Siedział rozparty na krześle, istne wcielenie luzu i nonszalancji w rozchełstanej koszuli. Zapatrzyła się w pulsującą miarowo żyłkę na jego szyi – nawet ona nie zdradzała najmniejszego śladu stresu. Więcej: wydawało się, że jej jedynym zadaniem jest kuszenie Morany.

– Upadło przed dwudziesty dwu laty – odparł cichym, beznamiętnym głosem, jakby mówił o pogodzie.

Morana zacisnęła zęby, wiedząc, że odpowiedź padła, więc nie może pociągnąć za spust. Spryciarz nie powiedział jej nic nowego.

Położyła broń na stół i w tej samej chwili on sięgnął po nią, muskając palcami jej dłoń i przyprawiając ją o mrowienie. Zanim się odchylił, obrzucił wzrokiem siniaki, które zostawił jej na skórze tamten obleśny pokurcz. W końcu przysunął do siebie rewolwer, nie podnosząc go jednak ze stolika. Nieraz widziała go w akcji i miała świadomość, że na oddanie celnego strzału wystarczyłby mu ułamek sekundy. Ten drapieżnik lubił usypiać czujność swojej ofiary.

– Po co tu przyszłaś? – zapytał tym samym beznamiętnym tonem.

Uśmiechnęła się do siebie w duchu. Nie tylko on zna się na grze słów.

Uniosła brwi, przekrzywiając głowę.

– Po informacje.

Jedna z brwi minimalnie mu drgnęła, ale przesunął broń w jej stronę, opierając dłonie o poręcze krzesła.

Morana podniosła rewolwer i wycelowwała w niego. Śledziły ją oczy rozemocjonowanych gangsterów.

– Dlaczego upadło? – zapytała, nie mogąc opędzić się od obleśnych męskich spojrzeń. Jeszcze chwila i zaczną zaglądać jej pod spódniczkę.

– Wspólne interesy przestały być takie wspólne – odpowiedział Tristan, nie spuszczając z niej oczu.

Serio?

Nie po to ryzykowała życie, by wysłuchiwać takich banałów. Musiał dać jej coś więcej.

Myśląc gorączkowo nad kolejnym pytaniem, przesunęła spluwę w jego stronę. Przykrył ją lekko swoją szeroką dłonią.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę i w końcu przekrzywił głowę, wyginając usta w podłym uśmieszku.

– Jak lubisz być rżnięta, panno Summers?

Oddech uwiązał jej w gardle, a wszystkie oblechy na sali zarechotały. Czerwona jak cegła, zacisnęła pięści pod stołem, gotując się ze złości.

Ale zanim pociemniało jej w oczach, zdążyła dostrzec jego wzrok.

Pusty, beznamiętny, bez najmniejszego śladu nienawiści czy szyderstwa.

Jego twarz była wykrzywiona w podłym grymasie. Któremu oczy kompletnie przeczyły.

Momentalnie otrzeźwiała. Chciał ją sprowokować, skutecznie zasznurować jej usta, by sama oddała mu broń i wystawiła się na strzał.

Zamrugła, biorąc głęboki oddech na uspokojenie i wyginając usta w bliźniaczym uśmiechu. Przełknęła ślinę na wspomnienie jego penetrujących palców, oddechu owiewającego jej szyję, penisu napierającego na plecy.

Strzelając spod rzęs rozognionymi oczami, wymruczała ociekającym seksem głosem:

– Tak bym czuła to przy każdym kroku.

Jego oczy rozbłysły, by w jednej chwili zgasnąć. Gdyby mrugnęła, nawet by tego nie zauważyła. Ale nie mrugnęła. Dostrzegła ten błysk i wiedziała, że przypomina sobie pytanie, które zadał jej wtedy tam, pod murem domu jej ojca. To, na które mu nie odpowiedziała.

Jeden ze starszych bywalców o sumiastych wąsach gwizdnął cicho.

– Zapraszam do mnie, kotku. Masz to jak w banku.

Całe towarzystwo zarechotało. „Pieprzony dupek”. Bo w tej chwili był tylko kolejnym palantem. Ignorując swoich „kolegów”, przesunął spluwę w jej stronę.

Sześć strzałów. Sześć pytań. Zostało jej ostatnie.

Musiała je starannie przemyśleć.

– Dlaczego doszło do zerwania Przymierza? – zapytała wreszcie.

Powinna była się domyślić, że nie odpowie, jeśli nie zechce.

– Strony się poróżniły, ale nie chciały wojny, więc po prostu zerwały współpracę.

Wypuściła powietrze, przymykając oczy. Straciła jedyną szansę, by coś z niego wyciągnąć, przy okazji pokazując swoje karty.

Oddała mu broń i serce załomotało jej w piersi, bo nagle coś zrozumiała.

To był jego ostatni strzał. Ostatnie pytanie. I coś jej mówiło, że go nie zmarnuje.

Tym razem podniósł broń i wycelował, rozwalając się na krześle, jakby to był dla niego chleb powszedni.

Wymierzona prosto w serce lufa mówiła jej jasno, że nie zawaha się pociągnąć za spust, jeśli jej odpowiedź mu się nie spodoba.

Zacisnęła zęby i splotła drżące dłonie, tonąc w błękicie jego oczu.

– Co wiesz o mojej przeszłości i Przymierzu?

Ścisnęło ją w gardle.

I już wiedziała.

Boże, wiedziała.

Jego siostra była jedną z tych zaginionych dziewczynek.

To prosta matematyka: dwadzieścia dwa lata temu miał jakieś osiem lat. Tylko jak to wszystko wpisywało się Przymierze?

Ale gdy na niego spojrzała, gdy rozejrzała się po twarzach tych starszych facetów, niczego nieświadomych i czujących respekt przed Drapieżką w świecie, gdzie reputacja znaczyła więcej niż życie, serce ścisnęło się jej w piersi.

Tamtej deszczowej nocy podzielił się z nią wspomnieniem o siostrze. W krótkiej chwili wytchnienia od walki, samotny mężczyzna zwierzył się samotnej kobiecie z drugiej strony barykady.

Świdrując ją zimnym, wypranym z emocji wzrokiem, celował jej prosto w serce, ale Morana wiedziała, że nie może umrzeć ze świadomością, że zdradziła jedyne piękne wspomnienie tamtej nocy. Podarował jej duszy najcudowniejszy prezent, za który będzie mu dogonnie wdzięczna, i nie mogła sprofanować go teraz dla własnych korzyści, nie mogła odpłacić mu zdradą za dobroć.

Zapalił dla niej małą iskierkę. Nie mogła jej zgasić.

Podjąwszy ostateczną decyzję, wstrzymała oddech i zamknęła oczy.

Cisza.

W sali zapadła grobowa cisza.

Słyszała jedynie dudnienie krwi w uszach, a pod przymkniętymi powiekami widziała tylko ciemność.

Wszyscy jak jeden mąż wstrzymali oddech, czekając w napięciu na kulę, która przeszyje jej serce. I znalazłszy się nagle w obliczu

śmierci, która jeszcze parę dni temu wydawała się jej czystą abstrakcją, zdała sobie sprawę, że nie chce umierać. Nie gdy wreszcie zaczęła naprawdę żyć – dzięki temu samemu mężczyźnie, który teraz trzymał ją na muszce.

Serce trzepotało jej jak szalone, jakby chciało wycisnąć swoje ostatnie chwile jak cytrynę. Złana zimnym potem, złapała się drżącymi dłońmi poręczy krzesła.

Raz.

Dwa.

Trzy.

Nagle ciszę przeciął głośny huk i serce zamarło jej w piersi...

...ułamek sekundy później otworzyła oczy, wciągając powietrze i zaciskając zęby z bólu. To pieczenie było nie do wytrzymania.

Spojrzała w dół, ale pierś była nietknięta – to po ręce spływała jej strużka krwi.

Drasnął ją w rękę. Trafił idealnie w świeży siniak.

Nie zabił jej. Ani nawet ciężko nie zranił.

Spojrzała w te jego rozżarzone, nieprzeniknione oczy, zalane mieszanką gniewu, nienawiści i czegoś jeszcze, jakiegoś ognia, którego nie potrafiła nazwać. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od początku miał wszystko pod absolutną kontrolą. I tama wreszcie pękła.

Zniewolił ją tym dzikim, drapieżnym spojrzeniem, ani myśląc wypuszczać jej ze swoich szponów. Na myśl, że przecież celował prosto w jej serce, oddech uwiązał jej w gardle. A on nie pudłował.

Zasady były proste: odpowiedź albo śmierć. Jednak ona wyszła z tego ledwie draśnięta. I teraz jeden z tych mężczyzn dokończy dzieła, bo po tym wszystkim nie mogła wyjść stąd żywa.

A mimo to wiedziała, że nic jej nie grozi. Bo on postanowił darować jej życie. Oddał swój strzał, więc reszta nie miała nic do gadania.

Wpatrywali się tak w siebie przy tym stole, on z bronią w rozluźnionej dłoni, ona – przyciskając palce do zakrwawionej skóry.

Powinna być zła. Powinna się poczuć oszukana. Powinna pałać nienawiścią.

Powinna dziękować niebiosom za ocalenie. Powinna być cała roztrzęsiona. Powinna umierać ze strachu, co dalej.

Powinna...

Ale siedząc bez słowa w tej jaskini lwa i nie mogąc oderwać oczu od najgroźniejszego spośród tutejszym drapieżników, nie odczuwała żadnej z tych emocji.

Usta same prawie wygięły się jej w uśmiechu.

Prawie.

Jedynym, co poczuła, była jakaś dziwna zmiana.

W chwili, gdy podjęła decyzję, by milczeć, wahadło odchyliło się w drugą stronę. Złożyła życie w jego rękach, a on je jej darował. Coś między nimi pękło, tak jak tamtej deszczowej nocy.

Czy tego chcieli, czy nie, połączyła ich więź spleciona z garści niepozornych nitczek, które razem były nie do przerwania.

Postanowiła nie zdradzić go przed tymi ludźmi. On postanowił darować jej życie.

Nie chciała tego roztrząsać. Nie chciała myśleć o konsekwencjach. Nie chciała nazwać tych rewolucyjnych zmian i umacniającej się więzi.

I zdała sobie sprawę, że nie tylko ona jest w tej parze lekkomyślna.

Tej nocy wszystko zostało po staremu, a zarazem zmieniło się na zawsze. Bo oboje tak zdecydowali.



NAGOŚĆ

Krwawiła.

Szkarłatna kropla spłynęła jej po ręce.

Odwróciła głowę i patrzyła z zafascynowaniem, jak zakręca na łokciu, zostawiając karmazynową smugę na skórze. Kropla kontynuując wędrówkę, dotarła do dłoni i palca serdecznego, a potem zawisała na opuszku w nierównej walce z grawitacją.

Przegrała.

Biedna kropelka przegrała walkę z dużo potężniejszą siłą, której nawet nie pojmowała. Spadła i rozbryznięta się na śnieżnobiałej podłodze windy.

Jej miejsce zajęła kolejna – tylko po to, by podzielić los swojej poprzedniczki.

I jeszcze jedna.

Morana wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. Stopniowo docierał do niej piekący ból, a także wydarzenia oraz konsekwencje tego wieczoru.

Samo to, że wyszła żywa z kasyna, zakrawało na cud. To, że wyszła zeń ledwie draśnięta, zakrawało na cud jeszcze większy.

Teraz, w zaciszu windy, gdy poziom adrenaliny wreszcie opadł, a jej miejsce przejęła logika, Morana przełknęła ślinę. Bo przy tamtym stole w ciemnym kasynie dokonała wyboru, który zaskoczył ją samą. A jej wybór z kolei wymusił decyzję na człowieku, który zdążył stać się jej przekleństwem. Gdyby zdołała zachować ten wybór dla siebie, nie przejęłaby się aż tak bardzo. Jasne, byłoby to niepokojące, ale czułaby się dużo spokojniejsza ze świadomością, że nikt inny o tym nie wie.

Ale stało się inaczej, on wiedział i nie wyobrażała sobie, że jest tym faktem zachwycony. Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

Drzwi windy się rozsunęły, wrywając ją z zamyślenia. Wzięła głęboki wdech i weszła do salonu. Światła wielkiego miasta połyskiwały za przeszkloną ścianą niczym kolorowe diamenty. Trzymając rękę w górze, by zatamować strumyk krwi, poszła prosto do kuchni i porzuciwszy na blacie torebkę z telefonem, oderwała kawałek papierowego ręcznika i zmoczyła go pod kranem. Sycząc z bólu, obmyła sobie rękę i zrobiła prowizoryczny opatrunek.

Zaciskając zęby, głęboko oddychała, czekając, aż ból zelżeje.

Uciskając ręcznikiem kontuzjowaną rękę, wyjrzała przez panoramiczne okno i powędrowała myślami do chwil tuż po wystrale, gdy przy ogólnej aprobacie mężczyzna, który ją wprowadził, głośno zaprotestował przeciwko niezgodnemu z przyjętymi zasadami wynikowi pojedynku.

Przypomniała sobie, jak rozparty na krześle Tristan tylko na niego popatrzył z uniesioną brwią. W sali zaległa napięta cisza. Wstrzymała oddech, nie wiedząc, czy ci mężczyźni w ogóle ją stamtąd wypuszczą.

I wtedy przemówił Caine, nie spuszczając oka z tamtego.

– Wyjdź.

Dopiero po chwili dotarło do Morany, że to do niej. I tym razem nie zamierzała z nim dyskutować. Nie odrywając oczu od czujnego Drapieży, który wbijał ostrzegawczy wzrok we wszystkich oprócz niej, zgarnęła kluczyki i odsunęła się z krzesłem.

Nikt nie drgnął.

Z duszą na ramieniu wyslizgnęła się z sali i popędziła do auta, uciekając przed kotłowaną myślą. Jazda do apartamentu zleciała jak z bicza strzełił i stojąc teraz w jego bezpiecznych ścianach, zastanawiała się, co dalej.

Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co działo się po jej wyjściu. Ciekawe, czy tamtych sześciu odważyło się na konfrontację z kimś takim jak Tristan Caine.

Słyszeć o czymś a widzieć coś to były dwie zupełnie różne rzeczy. I dopiero dostrzegłszy strach w oczach tych starszych

mężczyzn, wreszcie – wreszcie – zdała sobie sprawę, z kim tak naprawdę ma do czynienia.

I ciarki przeszły jej po plecach.

Ci ludzie z kasyna, którzy zjedli zęby na gangsterce, drżeli przed Tristanem Caine'em. Bała się nawet myśleć, czym zapracował sobie na taką reputację w tak młodym wieku.

Sięgając pamięcią do początków ich znajomości, nie mogła wprost uwierzyć, jak była głupia, próbując go zabić. A po swoim dzisiejszym wybryku mogła się spodziewać wszystkiego najgorszego, począwszy od mogiły, a skończywszy na bezzwłocznym zwrocie jej osoby nadawcy, czytaj: ojcu.

Chryste, porwała się z motyką na słońce.

I teraz mogła tylko siedzieć i obgryzać paznokcie ze strachu.

Ciszę przeciął dzwonek windy. Aż podskoczyła, serce podeszło jej do gardła.

Wrócił.

Z najwyższym trudem powstrzymała się przed pobiegnięciem do pokoju gościnnego i zabarykadowaniem drzwi. Po raz pierwszy w życiu panika niemal wzięła nad nią górę, ale jakoś wzięła się w garść i odwróciła z krzesłem do windy.

I oddech momentalnie uwiązał jej w gardle.

Tristan Caine stał nieruchomo w półmroku salonu, bez marynarki i z podwiniętymi do łokci rękawami koszuli. Nogi miał lekko rozstawione, a na jego surowej twarzy tańczyły cienie z gry świateł pochodzących zza przeszklonej ściany.

Ale nie to zaparło jej dech w piersi.

Tylko jego oczy.

Obłądne i niebieskie.

Płonące oczy.

Przeszedł ją dziwny dreszcz i przyprawił o gęsią skórkę. Serce zamarło jej w piersi, a dłoń przytrzymująca ręczniczek bezwładnie opadła. Nie była w stanie oderwać od niego wzroku, nie mogła nawet zerknąć na swoją ranę.

Patrzyła na niego w zupełnym bezruchu.

On patrzył na nią w zupełnym bezruchu.

Cisza.

I wtedy zrobił pierwszy krok. Mimowolnie się cofnęła.

Oczy zapłonęły mu gniewem i następny postawił już w boleśnie zwolnionym tempie.

Serce waliło jej jak młotem i po raz pierwszy, odkąd się poznali, kompletnie straciła grunt pod nogami.

I całą nad nimi władzę, zupełnie jakby pierwotny instynkt samozachowawczy nakazywał jej ucieczkę przed zbliżającym się drapieżnikiem.

Przyszpilając ją wzrokiem, zaczął napierać jeszcze agresywniej, jakby do reszty zrzucił szatki cywilizowanego człowieka.

Wszystko w jej duszy krzyczało w proteście przed tym jawnie przedmiotowym traktowaniem, ale nogi już dawno odmówiły jej posłuszeństwa. Ręce jej się trzęsły, pierś falowała, a w gardle stanęła gęstwa skotłowanych emocji.

Cofała się przed nim, aż zatrzymał ją chłodny granitowy blat oddzielający kuchnię od aneksu jadalnego. Zadrżała na równi z zimna i ze złości, ale zaciskając zęby, nie odrywała od niego oczu.

„Teraz się zatrzyma”.

Ale się nie zatrzymał, napierał na nią ze złowieszczą swobodą, jakby robił to całe życie.

Przywarła do blatu.

On musi się zatrzymać.

Nic z tego.

A ona nie mogła wydobyć z siebie słowa, zahipnotyzowana jego świdrującym wzrokiem, który wwiercał się jej w duszę, odslaniając rzeczy, o których istnieniu nie miała pojęcia.

Był już tak blisko, że musiała zadrzeć głowę, by nie przerwać kontaktu wzrokowego, tak blisko, że ocierała się koniuszkami piersi o jego twardy tors. Wstrząsana dreszczem, wciągnęła powietrze, niemal kładąc się na białce.

Jego oczy błyszczały w półmroku, a cienie tańczyły na surowej twarzy, nadając mu jeszcze groźniejszy wygląd. Ale przerażająco rozszerzone źrenice mówiły jej, że wreszcie stracił nad sobą kontrolę.

Boże, potrzebowała kontroli. Potrzebowała powietrza.

Skupiając się rozpaczliwie na tępych pulsowaniu w ręce, z najwyższym trudem odwróciła wzrok, a wraz z nim głowę.

W ułamku sekundy przycisnął dłonie do blatu po jej bokach, zamykając ją w kleszczach swoich ramion. Owiewał oddechem czubek jej głowy. Napierający, gorący tors przyprawiał ją o zawrót głowy, boleśnie kontrastując z chłodnym granitem za plecami.

Serce i puls trzepotały jej jak skrzydła przerażonego ptaka, palce zacisnęły się na blacie, byle tylko nie wpić się w twardą, męską pierś, i zawładnęło nią nagłe pragnienie, by poczuć na języku ten jego piżmowy smak.

Boże, chyba straciła resztki rozumu, by myśleć o tym w takiej chwili. Owszem, raz po raz podawała mu się na tacy, ale nigdy z wyboru, zawsze zmuszona przez okoliczności. Nie dziś.

Jej serce wszczęło bunt.

Nagle poczuła na szyi jego dłoń, która przesunęła się gładko na podbródek, zmuszając ją, by na niego spojrzała.

Centymetry.

Ostatnie centymetry.

Owionął ją oddechem i na powrót zatonęła w jego rozognionych oczach, pchana jakimś wewnętrznym przymusem, którego nie mogła pojąć. Tak jak dychotomii zakorzenionej w tym człowieku, irytującej i fascynującej zarazem.

Odchylając do końca jej głowę, zniwelował resztki dystansu między ich ciałami. Jego twarda męskość wwierała się jej w brzuch, a tors rozgniatał jej falującą pierś. Sutki momentalnie jej stwardniały i instynktownie wygięła się w łuk. Zacisnęła spragnione usta, resztką sił trzymając ręce przy sobie. Nie ugnie się, nie przerwie pierwsza tej ciszy.

Ale to wcale nie był pojedynek, bo po chwili ją wyręczył, owiewając jej usta upojnym oddechem.

– Nie wiem, czy mam skrócić ci kark, czy zerznąć do nieprzytomności – wymruczał tym swoim głosem stuletniej whisky.

Miała ochotę wyrzucić oczami i rozłożyć się przed nim na tym blacie. Tak na nią działał.

Wyciągnęła się jak struna, by poczuć każde zgrubienie, każdą brzdę jego budzącej grozę muskulatury.

Mrużąc oczy, łypnęła na niego na równi ze złością i podnieceniem.

– Chce mnie pan dotknąć, panie Caine? – zapytała niskim głosem. – Mów prawdę.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cała jego złość wyparowały, a twarz stężała, przemieniając się w znajomą kamienną maskę. Wpatrując się w nią przytomniejszym wzrokiem, zacisnął dłoń na jej podbródku, unosząc ją lekko na palce.

Gdy się nad nią nachylił, ujrzała boleśnie napiętą szczękę i skute lodem oczy.

– Nigdy. Nie. Próbuje. Mnie. Kurwa. Kontrolować – wycedził przerażającym głosem.

Zadrżała ze strachu, żałując, że nie ugryzła się w język. Nie miała absolutnie żadnego argumentu. Błędem było sądzić, że jego żądza przemówi na jej korzyść. Koszmarnym błędem było sądzić, że jego żądza przemówi na jej korzyść.

Nikt nie miał nad tym człowiekiem takiej władzy, by go do czegoś zmusić.

Czy ktoś w ogóle odważył się spróbować? Jego natychmiastowa ostra reakcja świadczyła, że najwyraźniej tak.

Ale jako że zabawa ogniem stała się ostatnimi czasy jej ulubionym hobby, uśmiechnęła się tylko chytrze i z premedytacją przywarła do niego biodrami. Odpowiedź była błyskawiczna: owiewając oddechem jej usta, z całej siły dźgnął ją w brzuch penisem. Momentalnie zrobiło jej się mokro tam, na dole.

Zapłonęła, wgniatając sutki w jego gorący, twardy jak skała tors, i walcząc o resztki kontroli, z figlarnym uśmiechem trąciła nosem jego nos.

– W takim razie sam się kontroluj, kotku.

Kącik ust uniósł mu się nieznacznie nad tą jego rozkoszną blizną i dźgnął ją biodrami po raz ostatni, wycofał się nagle na środek pokoju, skąd przyglądał się jej z bezwstydnie nabrzmiętym kroczem.

Skołowana jego zachowaniem i sprzecznymi sygnałami, poczuła się tak, jakby właśnie przegrała grę, o której nie miała pojęcia.

Przełknęła ślinę i odwróciwszy się na pięcie, szybkim krokiem pomaszerowała do pokoju gościnnego. Biec nie chciała, żeby nie pomyślał sobie, że ucieka – choć tak właśnie było.

Odprowadził ją palącym wzrokiem do samych drzwi, które jak na złość nie były zaopatrzone w zamek. Ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się wtargnąć bez zaproszenia, więc i tym razem była spokojna. Przy całym swoim despotyzmie bezwzględnie szanował jej prywatność, za co była mu niewymownie wdzięczna.

Wydobyła się z sukienki, która opadła z szelestem na podłogę, i stanęła przed lustrem, oglądając sobie rękę.

Krwawienie ustało, podobnie jak ból. Zostało tylko lekkie pulsowanie w zasklepionej ranie; nic, czego nie załatwiłoby parę opatrunków i regenerujący sen. Ale najpierw szybki prysznic. W przytulnej łazience odkręciła wodę i weszła do przeszklonej kabiny. Pilnując, by nie zamoczyć kontuzjowanego miejsca, czuła, jak ciepła woda zmywa niechciany pot i brud, a wraz z nim całe zmęczenie dniem. Odchyliła głowę i z przymkniętymi oczami poddała się relaksującemu ją strumieniowi, wypuszczając powietrze, które, zdawałoby się, trzymała w płucach przez wiele godzin. Wracając myślami do zajścia w kuchni, zastanawiała się, czego tak naprawdę w ostatniej chwili uniknęła.

Widziała go. Jego płonące oczy, drżące ciało kontrolowane resztkami siły woli, skupioną na sobie agresywną fizyczność. Widziała go i jak zawsze coś w głębi niej odpowiadało na ten dziki, zwierzęcy zew. Z tą różnicą, że dużo głośniejszy, dużo żarliwiejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Nagle w tej gorącej saunie ciarki przeszły jej po plecach.

I już wiedziała.

Patrzył na nią.

Znieruchomiła i serce załomotało jej w piersi pod spojrzeniem błękitnych oczu za szybą.

Należących do mężczyzny, który nigdy wcześniej nie ośmielił się naruszyć jej azylu. Stał oparty swobodnie o drzwi kabiny, nie spuszczać z niej wzroku niczym pantera szykująca się do skoku. Był bosy, lecz nadal ubrany.

Dopiero na widok jego stóp zdała sobie sprawę, że jest naga. Kompletnie naga. I nie wiedzieć czemu jej zdradzieckie sutki momentalnie stwardniały. Po raz pierwszy w życiu stała przed nim jak ją Pan Bóg stworzył.

I wcale jej się to nie podobało.

Poczuła się obnażona.

Odsłonięta.

Jak ranna gazela.

A on wpatrywał się w nią nieruchomo, jakby poczuł krew.

Kazała mu się kontrolować, a mimo to nie mógł jej odpuścić.

A jego nabrzmiałe krocze mówiło jej, że znów jest podniecony.

Przygryzając policzek, wciągnęła powietrze i zadarła głowę, by spojrzeć nań chłodno spod uniesionych brwi.

O-o.

Oderwał się od szkła, by jednym szybkim ruchem odsunąć drzwi i wejść do zaparowanej kabiny. Wypełnił sobą całą niewielką pozostałą przestrzeń. Urzeczona patrzyła, jak cienka wilgotna koszula przywiera mu do rzeźbionego ciała, a tuż obok tamtej ponętnej żyłki na szyi spływa pojedyncza kropla wody.

I po raz pierwszy z tak bliska zobaczyła cienie tatuaży oplatających jego liczne blizny.

Nie ma mowy, żeby stała przed nim golusieńka, podczas gdy on był nadal w pełnym rynsztunku. Co to to nie.

Zanim zdążył zrobić kolejny ruch, złapała go oburącz za mokry kołnierz i zerwała zeń koszulę. Gdy poodrywane guziki rozpięzły się po kątach, jej oczom ukazał się obnażony tors. Chwycił ją mocno za nadgarstki, wbijając w nią płonące oczy.

I ot tak cała jego kontrola w jednej chwili wyparowała.

Wszedł pod strumień i odwracając ją jednym szybkim ruchem, przycisnął przodem do ściany kabiny, tak jak wtedy przed domem jej ojca.

Serce waliło jej jak młotem, krew dudniła w uszach, a przecież nawet do niej nie przywarł. Wisiał nad nią tylko niczym długi, mroczny cień. Był tak blisko, że wystarczyło się odrobinę odchylić, by dotknąć jego skóry. Walcząc z tą przemożną pokusą, przykleiła dłonie do ściany i znieruchomiła.

I wtedy po raz pierwszy poczuła jego dłonie na swej nagiej skórze.

Jego szerokie, szorstkie dłonie.

Wciągnąwszy powietrze, poczuła, jak jedna z nich łapie ją za kark, a druga gładzi jej plecy, próbując wpędzić w fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Ale efekt był odwrotny i Morana jeszcze bardziej

zesztywniała, smagana bezlitosnym strumieniem gorącej wody. To cud, że ranka nadal się nie zamoczyła.

Wiedziała, że w każdej chwili może to przerwać. Tyle tylko, że wcale tego nie chciała.

Gdzieś po drodze tak bardzo oswoiła się ze swoją żądzą, że nie miała już nawet ochoty się okłamywać. Wciąż się za to nienawidziła, ale nic nie przeszkadzało jej łaknąć pieszczot jego szerokich, szorstkich dłoni.

Nagle poczuła, jak jego dłoń wędruje coraz niżej, lądując na pupie. Nachylił się i musnął wargami jej delikatne ucho.

– To ciało należy do mnie, panno Vitalio – wymruczał tym gardłowym głosem stuletniej whisky i grzechu, od którego momentalnie ścisnął się jej żołądek.

Oparła głowę na jego szerokim barku.

– To ciało należy do mnie – odparowała, nie poznając swojego ociekającego seksem głosu.

Kompletnie ją ignorując, ścisnął mocno jej oba pośladki.

– Jestem zwierzęciem terytorialnym. A twoje ciało stało się moim terenem z chwilą, gdy z własnej woli zamknęłaś drzwi tamtej toalety.

– To był tylko ten jeden raz – poinformowała go, choć wiedziała, że już nic nie jest w stanie ich powstrzymać.

– A teraz będzie drugi.

Poczuła za sobą jego narastający gniew w rozedrganym ciele, jakby znów żegnał się z resztkami samokontroli. Włożył jej rękę między nogi i pocierając falbanki, jednym zdecydowanym ruchem wsunął palce do środka. Przymknęła oczy, czując, jak robi się jeszcze bardziej mokra.

Usłyszała dźwięk rozsuwanego rozporoka i szelest folijki, a potem rozwarł nogą jej uda. Położył rękę u nasady jej pleców i przycisnął, zmuszając do wypchnięcia bioder i przeniesienia ciężaru ciała na przyklejone do ściany dłonie.

Owiewając przyspieszonym oddechem mleczone szkło, zelektryzowana czekała na ciąg dalszy.

Zamknął ją pomiędzy swoimi ramionami, tak jak wtedy w kuchni, opierając dłonie tuż nad jej palcami. Znajdowały się tak blisko, a zarazem tak daleko. Spojrzała na nie, porównując podobieństwa

i różnice. Obie pary były ekspertami w swoich dziedzinach, ale jego były ciemne, szorstkie i żylaste, z długimi i szerokimi palcami porośniętymi delikatnym meszkiem i zakończonymi króciutkimi paznokciami. Jej były dużo bledsze, drobniejsze i gładkie jak jedwab, z paznokciami pociągniętymi jasnozielonym lakierem.

Na widok mocarnych przedramion tuż przy jej kruchych nadgarstkach, poczuła dziwny ucisk w brzuchu.

Nie. To jej się nie podobało.

Zupełnie.

Przymknęła oczy, ale nijak nie mogła pozbyć się tego obrazu. Zalała ją złość na siebie i zacisnęła zęby, wypychając prowokacyjnie biodra, żeby mieć to już za sobą.

Czując u wejścia koniuszek jego penisa, wessała powietrze i serce zatrzepotało jej w piersi pod tym bezlitosnym strumieniem gorącej wody.

Wszedł w nią jak w masło, centymetr po centymetrze, nigdzie się nie spiesząc. Zdumiona jego rozmiarem wstrzymała oddech. Cholera, już zapomniała, jak to jest mieć go w środku. Wypełniał ją po brzegi, rozciągając jej delikatne ścianki do granic wytrzymałości. Wygięła się w łuk, by wszedł w nią jednym szybkim pchnięciem jak w tamtej restauracji.

Ale się przeliczyła.

Zamiast tego wysunął się odrobinę i pchnął w boleśnie zwolnionym tempie, by poczuła każdy centymetr jego penisa.

Trzymając się ściany, zwiesiła głowę i wspierała się na palce, napierając na niego biodrami.

Wszedł w nią po samą nasadę, sięgając pod tym dzikim kątem punktów, o jakich nie miała pojęcia, aż zobaczyła mroczyki przed oczami, mimowolnie się wokół niego zaciskając.

Przez cały ten czas ani na chwilę nie otworzyła oczu, przyjmując jego dźgnięcia. I bardzo dobrze, że jej nie dotykał.

Bo w tamtej restauracji łatwo było wytłumaczyć to sobie jako akt buntu wobec czekającego niemal za drzwiami ojca. Ale teraz byli tu tylko we dwoje i za swoje żądze mogła winić jedynie siebie.

Nagle jednym szybkim ruchem wyszedł z niej do samego końca i pchnął z całej siły, zapominając o wszelkiej delikatności. Drżące

kolana ugięły się pod nią i wciągnęła powietrze, zaciskając dłonie w pięści.

– Zrób tak jeszcze raz, a poślę ci kulkę prosto w serce – wychrypiała gardłowo. Przeszedł ją dreszcz przerażenia i rozkoszy.

– To ja zdecyduję, kiedy ty umrzesz.

Morana parsknęła śmiechem.

– Jesteś chory.

Podkręcił tempo, wchodząc w nią szybkimi, bezlitosnymi pchnięciami. Przygryzła wargi, żeby zdusić jęk. Pot wystąpił jej na czoło, pierś falowała, a mokre włosy przyklejały się do pleców.

– Nawet nie wiesz jak bardzo.

Próbowała uciekać, ale jej delikatne ścianki zaciskały się na jego penisie za każdym razem, gdy uderzał w czuły punkt. Nie przerwał ani na chwilę, ani na moment nie zwolnił, i w końcu poczuła w brzuchu zaciskające się kleszcze niczym sidła wyciskające życie ze swej bezradnej ofiary.

Wstrząsana spazmatycznymi dreszczami, mogła tylko przygryźć nabrzmiałe już wargi, by nie krzyknąć.

Za pierwszym i drugim razem zakrył jej usta dłonią, nie pozwalając nawet na stłumione jęki.

Ale teraz nie było żadnego knebla, który mógłby je zdławić, gdy dźgał ją raz za razem, raz za razem, wprawiając w ruch całe jej rozdygotane ciało.

Nagle zgiął kolana, zmieniając kąt penetracji. Z gardłowym pomrukiem pchnął z taką siłą, że z rozwartych ust wyrwał się jej głośny jęk, gdy tracąc resztki kontroli, zobaczyła mroczyki przed oczami. Drżenie jej ciała momentalnie się wzmogło, a wraz z nim jego agresywne, gorączkowe pchnięcia. Brakowało tylko jednego: dotyku.

Tak bardzo chciała oprzeć się na jego torsie, by nie upaść, poczuć na piersiach jego dłonie, jego usta na szyi. Pragnęła każdego skubnięcia, każdego liźnięcia, każdego szeptanego do ucha sprośnego słowa.

Wpiła palce w ścianę, by o to nie błagać, wstrząsana spazmatycznymi dreszczami wzbierającej rozkoszy. Dysząc i nie zważając na jej krzyki, napierał z bezlitosną siłą na jej słodki guziczek, dopóki nie opadła bezwładnie na ścianę, osiągając szczyt.

Serce waliło jej jak młotem, zalewając krwią każdą komórkę rozedrganego ciała, a ścianki zacisnęły się na jego penisie, który dźgnął po raz ostatni i znieruchomiał.

I stali tak, ona niemal omdlała, on wsparty o ścianę po obu jej bokach.

Pierwszym, co przedarło się do jej mózgu, był szum ciągle lecącej wody.

Stała o własnych siłach, wciąż czując go w środku. Jej ciało zostało zaspokojone, ale w głębi nadal panoszył się jakiś dziwny, nienasycony głód, wobec którego była kompletnie bezradna. Czy nigdy nie będzie miała dość?

Dopiero gdy powoli z niej wyszedł i jej rozdygotane serce trochę się uspokoiło, zdała sobie sprawę, że smagająca ją po plecach woda zdążyła ostygnąć.

Boleśnie świadoma jego obecności, nie poruszyła się ani o milimetr. Nie była nawet w stanie się odwrócić i spojrzeć mu w oczy. To było ich pierwsze w pełni intymne zbliżenie, bez czających się za węglem oczu, a miała nieodparte wrażenie, że dystans między nimi tylko się powiększył.

Na tę myśl poczuła dziwny ucisk w sercu, ale szybko wzięła się w garść. I bardzo dobrze, dystans był pożądany.

Otworzyła oczy i ujrzała jego pięści na ścianie, zaciśnięte do bólu.

– Dlaczego?

Jedno słowo.

Wypowiedziane roztrzęsionym, gardłowym głosem słowo, w którym kryło się tyle pytań. Niektóre z nich zrozumiała.

Dlaczego go nie „sprzedała”, gdy miała okazję? Dlaczego nadal nie mógł się z niej wyleczyć? Dlaczego ta dzika żądza wciąż się tliła, skoro ciała zostały już zaspokojone? Dlaczego go śledziła? Dlaczego...

W tym jednym słowie kryło się też wiele innych pytań, których nie potrafiła odczytać, których on sam nie był świadomy.

Dlaczego?

Dlaczego właśnie on? Dlaczego czuła więź z jedynym mężczyzną, przed którym powinna uciekać ile sił w nogach?

Dlaczego tylko przy nim ożywała, skoro obiecał jej śmierć? Dlaczego jeszcze jej nie zabił?

Dlaczego?

Dlaczego?

Spojrzała na jego zaciśnięte pięści i przetykając gulę nagłych emocji, odpowiedziała cicho pojedynczym słowem:

– Dlaczego?

Cisza.

Przez długą, długą chwilę czuła tylko jego oddech na karku, wpatrzona w jego dłonie – tak bliskie, a zarazem tak dalekie.

Nagle uderzył pięścią w ścianę tuż nad jej dłonią.

– Do diabła!

Zamarła, przerażona jego reakcją.

Drugi cios. I trzeci.

– Kurwa!

Jego głos ociekał frustracją. I niewypowiedzianym bólem.

Rzucal przekleństwo za przekleństwem i walił pięścią w ścianę, dopóki nie zdarł kłykci.

Ale od początku swojego ataku furii ani razu jej nie tknął. Pomimo tej całej złości, pomimo chęci wyprawienia jej na tamten świat.

– Skurwysyn!

Wtem nastąpił koniec, uspokoił się równie nagle, jak wcześniej wybuchnął.

Zanim zdążyła mrugnąć, nie było jego rąk, nie było ich właściciela.

Stała sama nieruchomo, wpatrzona w smugę krwi na śnieżnobiałej, teraz popękanej ścianie.

Przełknęła, odprowadzając wzrokiem spływającą kroplę szkarłatu.

On też krwawił.



DRŻENIE

Po wyjściu spod prysznicza zrobiła sobie prowizoryczny opatrunek i wreszcie się położyła. Roztrząsała najnowsze wydarzenia, gdy nagle z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu.

Esemes od nieznanego numeru z załącznikiem. Serce zabiło jej szybciej; to był ten sam nieuchwytny ktoś, kto podesłał jej tamten artykuł o zaginionych dziewczynkach.

Nie wiedząc, czego tym razem się spodziewać, wzięła głęboki oddech i kliknęła w załącznik. Jej oczom ukazał się folder podpisany „Luna Evelyn Caine”.

Oddech uwiązł jej w gardle. Drżącymi palcami kliknęła w ikonkę i wreszcie się dowiedziała, dlaczego on krwawi.



Nie mogła przestać się trząść.

Coś się w niej obudziło, poruszyło, zadrżało i równie szybko umarło, pozostawiając po sobie ziejącą dziurę.

Zamknęła za sobą drzwi sypialni i weszła do salonu zalanego bladym światłem wschodzącego słońca. Na horyzoncie zbierały się ciężkie chmury i sunęły ku majestatycznemu miastu po ołowianym niebie przy wtórze spienionych w dole fal.

Była dopiero czwarta rano, całą noc nie zmrużyła oka. Nawet nie próbowała.

I to nie przez kontuzjowaną rękę.

Tylko przez to, co odkryła.

Nie wiedziała, kim jest tajemniczy nadawca, ale jedno było pewne: dotarł do źródeł, o których istnieniu nawet ona nie miała pojęcia.

Prywatnych źródeł.

Do rzeczy, od których ścisnęło w żołądku, a żółć podchodziła do gardła.

Folder o nazwie „Luna Evelyn Caine” okazał się prawdziwą studnią informacji – i łączących się nagle kropek.

Dotychczas wiedziała tylko, że przed około dwudziestu laty w Tenebrae i okolicach zaginęły małe dziewczynki, że nigdy nie udało się ich odnaleźć oraz że jedną z nich była młodsza siostra Tristana.

Nie знаła jednak żadnych szczegółów na temat tych porwań. O tym, kto i dlaczego znalazł się w orbicie podejrzeń policji, dowiedziała się dopiero z folderu od anonimowego nadawcy. I naprawdę było co czytać. Z tych informacji wyłonił się obraz potężnej grupy przestępczej, która z sobie tylko znanych powodów wzięła na cel małe dziewczynki. A najdziwniejsze było to, że nigdy nie pojawiły się żadne żądania okupu.

Mrożących krew w żyłach rzeczy było tyle, że każdemu mogło się zrobić słabo, ale ostateczny cios jej kruchym nerwom zadało co innego.

Szokująca informacja, że sama była jedną z ofiar.

Na widok jednego ze zdjęć, na którym siedziała zapłakana z dwoma innymi dziewczynkami, serce zamarło jej w piersi.

A jedną z jej towarzyszek niedoli była właśnie Luna Caine, na oko niewiele starsza od niej. Czarne pukle, różane usteczka, załzawione zielone oczęta. Między nimi siedział jeszcze jeden berbec.

Trzy dziewczynki na jednym zdjęciu.

Dwadzieścia pięć zaginionych.

Wśród których Morana była jedyną odnalezioną.

Jak? Dlaczego tylko ona wróciła?

Powlekała się na drżących nogach do kuchni i opadła na stół. Wpatrując się w panoramę za szybą, zaczęła przeczesywać odmęty pamięci.

Pustka.

Całymi godzinami próbowała przypomnieć sobie cokolwiek, co mogło łączyć się z porwaniem, ale nabawiła się tylko bólu głowy. Czy to dlatego, że miała wtedy jedynie trzy lata? A może po prostu wyparła te traumatyczne wspomnienia? To w ogóle możliwe? I czy właśnie dlatego Tristan tak bardzo jej nienawidził? Bo ona wróciła, a jego siostra nie? Bo żyła, a Luna najprawdopodobniej nie?

Ręce się jej trzęsły. Trzęsły się przez całą noc i nie była w stanie ich uspokoić.

Czy to początki załamania nerwowego?

Dlaczego ojciec nigdy jej o tym nie mówił? Mimo że tych porwań była cała seria? Dlaczego nikt słowem się nie zająknął na ten temat? Przymierze upadło mniej więcej w tamtym czasie, a teraz ktoś podszyła jej te wszystkie rewelacje?

Głowa jej pękała.

Z zamyślenia wyrwało ją nagle głośnie chrząknięcie. Aż podskoczyła. U podnóża schodów stał Tristan Caine, bez koszuli i w rozpiętych dżinsach. Jego twarz jak zwykle była kamienną maską, oczy miał przekrwione, a włosy wyglądały tak, jakby przez całą noc bez przerwy je przeczesywał.

Albo płakał, albo on też nie zmrużył oka.

Mogłaby się założyć o swój dyplom, że to drugie.

Zerknął na jej drżące ręce i wbił w nią wzrok.

Boże, dłużej tego nie wytrzyma. Tych wiecznych pojedynków na spojrzenia. Miała ochotę krzyczeć – ale nie ze strachu, rozpacz czy nawet frustracji. Jednak głos uwiązł jej w gardle od kotłowania tych wszystkich emocji.

Odwróciła się z powrotem do okna.

– Zrobiłem ci krzywdę? – zapytał tym swoim niskim, chrapliwym głosem, kompletnie zbijając ją z tropu.

Prychnęła i splotła dłonie na podołku, nie odrywając oczu od szyby.

– Jakby cię to obchodziło.

Cisza.

Nie ruszył się z miejsca. Była już tak wyczulona na jego obecność, że mimowolnie się usztywniła, ściągając łopatki.

– Zrobiłem ci krzywdę?

Nisko. Ochryple. Znowu.

– Postrzelileś mnie – przypomniała mu z lekkością, której nie czuła.

W mgnieniu oka dopadł do niej i unosząc szorstkimi, mocarnymi palcami jej podbródek, zmusił, by spojrzała w te jego zamglone, niedospane oczy. Owionął ją znajomy piżmowy zapach i zamrugła, gdy wbił w nią jak zwykle świdrujący wzrok, przetykając ślinę.

– Zrobiłem ci krzywdę? – powtórzył szeptem, zaglądając jej w oczy.

Wiedziała, o co pyta. Pod tym prysznicem nie zrobił jej fizycznej krzywdy i dobrze o tym wiedział. Pytał o zupełnie inny rodzaj krzywdy, o którym w natłoku najświeższych rewelacji nawet nie pomyślała.

Więc zrobiła to teraz, zmuszając go do czekania. Przypomniała sobie, jak się czuła, gdy zobaczył ją nagą i gdy przyciągnęła go do siebie, gdy wziął ją w posiadanie, jakby była jego własnością.

Jak się wtedy czuła? Był zaskakująco zaborczy i jak zwykle zagniewany. W świetle dnia rozumiała dlaczego. Nie żeby zgadzała się z tym, co gadał, ale tę jego złość mogła zrozumieć. Złość i ból.

Ale czy ją skrzywdził?

Miała na to zbyt grubą skórę.

– Nie – odparła cicho.

Zamrugał i powoli opuścił rękę, wycofując się bez słowa na schody.

Odprowadzając wzrokiem jego szerokie plecy, walczyła ze zżerającą ją od środka bestią i w końcu przegrała.

– Wiem o twojej siostrze – wypaliła.

Zatrzymał się w pół kroku i znieruchomiał z ręką na poręczy, napinając po kolei każdy mięsień swojej imponującej muskulatury. Jej słowa przecięły ciszę jak pociski, potwierdzając jego najgorsze podejrzenia.

Może nie powinna była pokazywać mu kart, ale słowa same wyrwały jej się z gardła.

Boże, była już taka zmęczona tym ciągłym kombinowaniem.

Przetykając ślinę, zebrała się na odwagę i podniosła z miejsca. Musiała wiedzieć, musiała wreszcie usłyszeć, czy to dlatego tak

bardzo jej nienawidzi, potrzebowała tego jak powietrza w ściśniętych płucach.

Bo jeśli naprawdę nienawidził jej za to, że ona żyje, a jego siostra najpewniej nie, to nie widziała dla nich żadnej przyszłości. A patrząc teraz na jego plecy usiane bliznami niczym pocałunkami i widząc, jak krwawi z bezradnego bólu, chciała tej przyszłości.

Zacisnęła drżące dłonie w pięści.

– Wiem, że ją uprowadzono i nigdy nie wróciła.

Nie poruszył się.

Nie oddychał.

Jego plecy były jak zabetonowane.

Współczucie ścisnęło jej serce i przypomniała sobie, z jaką czułością mówił wtedy o siostrze.

Przygryzając wargi, zrobiła krok w jego stronę.

– Wiem, że mnie też uprowadzono.

Kolejny krok.

– Ale ja wróciłam.

Martwa cisza.

– A ona nie.

Powietrze tak zgęstniało od jego niewypowiedzianego bólu, że można je było kroić nożem.

Zbliżyła się do niego na drżących nogach i tym razem to ona ujęła jego szorstki podbródek i zmusiła go, by spojrzał jej w oczy. Opuścił na nią pusty, niewidzący wzrok.

– To dlatego mnie nienawidzisz, prawda? – wyszeptała w przestrzeń drżącym głosem. – Bo ja się odnalazłam, a ona nie?

Jego usta zadrżały i się zacisnęły. Gdyby nie stała tak blisko, nawet by tego nie zauważyła.

Zabrała rękę i spuściła wzrok.

– Jak możesz w ogóle na mnie patrzeć? Jak mogłeś mnie przygarnąć, skoro...

– Nigdy cię za to nie nienawidziłem.

To był ledwie szept, ale usłyszała go i momentalnie podniosła oczy. Jego ciagle pozostawały wyprane z jakichkolwiek emocji.

Ale wiedziała, że mówi prawdę. On, który od początku nie krył się ze swoją niechęcią, nie miał żadnego powodu, by teraz skłamać.

– Więc za co? – zapytała cicho, kompletnie skołowana.

Chmury zakryły szczelnie niebo nad miastem. W apartamencie zrobiło się ciemniej.

Odwrócił wzrok.

Czekała, aż ochłonie, aż na nią spojrzy, aż się odezwie. Nadaremnie.

Zalała ją wezbrana fala złości.

Zaciskając zęby, złapała go za biceps, próbując nim potrząsnąć.

– Mów, do diabła! Mów, dlaczego tak bardzo chcesz mnie zabić. I czemu nie zrobiłeś tego, gdy miałeś okazję. Mów, czemu tak cię obchodzi moja „krzywda”, skoro każdym słowem obiecujesz mi śmierć ze swoich rąk. No mów!

Teraz już krzyczała, szarpiąc go za rękę. Kotłowały się w niej złość, frustracja, niepewność i pożądanie, każde ciągnęło w swoją stronę. I tak w kółko, odkąd go poznała.

Porwano ją tak samo jak dwadzieścia pięć innych dziewczynek, w tym jego siostrę, i odnalazła się tylko ona. I nigdy o niczym nawet nie słyszała, ale jak widać, jakiś anonimowy donosiciel postanowił ją oświecić. A teraz jeszcze dowiaduje się, że to wcale nie w tym leży źródło nienawiści Caine'a.

W takim razie gdzie, do cholery?

W jego oczach błysnęła złość. Wreszcie jakiś dowód życia. Wolną ręką złapał ją za nadgarstek, uwalniając swój twardy biceps, i przyciągnął do siebie. Gdy znaleźli się nos w nos, zajrzał jej prosto w oczy, ciężko dysząc. Rozsierdzone serce załomotało jej w piersi.

– Nie jestem ci winny żadnych cholernych wyjaśnień – warknął jej w usta. – Robię, co robię, a moje motywy to moja sprawa.

– Nie kiedy odbijają się na innych, czyli w tym przypadku na mnie – odparowała ze złością.

– Nie moja broszka.

Zmrużyła oczy.

– Będzie nią, jeśli dojdę do wniosku, że jesteś tylko zwykłym blagierem. Wychodzisz z wprawy, Drapieżco – rzuciła szyderczo.

Uniósł kącik ust, ale ta nagła wesołość nie miała najmniejszej szansy sięgnąć oczu.

– Zapominasz, że jeszcze cię nawet nie tknąłem. Nie na serio.

Oddech uwiązał jej w gardle, bo aluzja była dość czytelna. Puścił jej rękę i wbiegł sprężystym krokiem na górę, pokonując po trzy

stopnie naraz. Zniknął, po raz kolejny zostawiając ją bez odpowiedzi.

Przymknąwszy oczy, wciągnęła powietrze i wróciła do swojego pokoju, poprzysięgając sobie, że nie spocznie, dopóki nie wyjaśni sprawy. Tego wszystkiego było za dużo – seria nierozwiązanych porwań, jej własny w tym udział, fakt, że całe otoczenie nabrało wody w usta – i musiała to zrobić, choćby dla swojego zdrowia psychicznego.

Po niespokojnej nocy łóżko przedstawiało sobą obraz nędzy i rozpacz, bardziej przypominając skotłowany barłóg. Pospiesznie je pościeliła i jeszcze szybciej wbiła się w dżinsy i pierwszą bluzkę z tobołka od Amary, jaka się napatoczyła. Dobrała jeszcze baletki, włosy upięła w węzeł, poprawiła okulary i zgarniając kluczyki z telefonem, wyszła z sypialni.

Tristan Caine był właśnie w kuchni, w pełnym rynsztunku i ewidentnie świeżo po prysznicu. Roztrzepywał jajka na jajecznicę. Nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem, więc ona też postanowiła go zignorować i pomaszerowała prosto do windy.

– Wybierasz się gdzieś?

Co za dupek.

Nie zatrzymała się, pobrzękując kluczykami.

– Ochrona cię nie wypuści, dopóki nie dam zielonego światła.

Na te słowa przystanęła w pół kroku i odwróciła się na pięcie, by spiorunować go wzrokiem.

– Nie poinformowano mnie o awansie na więźnia – wycodziła chłodno, choć w środku aż się gotowała.

Z jak zwykle kamienną twarzą odstawił miskę na blat i się o niego oparł, krzyżując ręce na piersi.

– Traktuję panią jak gościa, panno Vitalio, oboje o tym wiemy – przypomniał jej spokojnie. – Nie zabrałem ci ukochanego auta, miałaś pełną swobodę ruchu. Ale wczoraj postanowiłaś nadużyć tej swobody. Przez cały dzień mnie śledziłaś, narażając nie tylko swoje życie, ale i moje. I to nie raz.

Oderwał się od blatu i nie rozplatając rąk, ruszył niespiesznie w jej stronę z surową, groźną miną, którą tańczące cienie tylko pogłębiły.

– Czy muszę ci przypominać, że jesteśmy na skraju wojny? – wycodził i oczy mu zapłonęły. – To, że twój ojciec siedzi cicho, nie

znaczy jeszcze, że nie szykuje odwetu. Pobiłem go na jego terytorium i zabrałem mu córkę, to wystarczająca obraza. Nie wspominając o twoim kodzie-zabójcy, który nadal w najlepsze hula sobie po świecie.

Częściowo miał rację, więc milczała, czekając, aż zatrzyma się parę kroków przed nią.

– Więc tak, wydałem ochronie jasne rozkazy, żeby nie wypuszczała cię bez mojej zgody, bo jeśli ktoś skręci ci ten śliczny kark, zanim odnajdziemy kod, to wszyscy mamy przesrane.

Serce zamarło jej na ułamek sekundy, po czym rozkręciło się na dobre.

– To dlatego nie zabiłeś mnie wtedy w kasynie? Dlatego trzymasz mnie jeszcze przy życiu?

Przekrzywił głowę, obrzucając ją pustym spojrzeniem.

– Oczywiście.

Poczuła ukłucie w sercu, ale szybko je zdusiła, wiedząc, że ten człowiek ma więcej warstw niż cebula, a przez łzy niczego przecież nie wypatrzy. Odsunawszy więc emocje, zmrużyła powieki i skupiła się na jego oczach.

Pokręciła głową ze słodkim uśmiechem i zanim zdążył zareagować, odwróciła się na pięcie i wcisnęła guzik windy.

– Każ im mnie wypuścić, bo będzie źle. Albo z nimi, albo ze mną. Twój wybór.

Drzwi się rozsunęły i weszła do kabiny. Nacisnąwszy „Parking”, obrzuciła go ostatnim spojrzeniem.

– Aha, i wmawiaj sobie dalej, że to dlatego jeszcze mnie nie zabiłeś, panie Caine. I wyśpij się wreszcie.

Jego oczy rozbłyły. Kiedy drzwi się zasunęły, została sama ze swoim uśmiechniętym odbiciem.

I zdała sobie sprawę, że parominutowa pogawędka z tym wnerwiającym człowiekiem wystarczyła, by ręce przestały jej się trząść.



Leżała na trawie, spoglądając w zachmurzone niebo.

Ten mały cementarzyk przy lotnisku od lat koł jej nerwy.

Odkryła go przez przypadek podczas przejażdżki parę lat temu. Odgrodzony wysokim płotem od pasa startowego, z miejsca wydał się jej oazą niebiańskiego spokoju. W pewnej chwili ziemia zatrzęsa się pod jej stopami, a niebo przesłoniło brzuszysko startującego samolotu i poczuła się mała jak mrówka. Tak zaczęła się ich wspólna przygoda.

Od tamtej pory często tu przyjeżdżała. Żeby po prostu poleżeć na trawie, popatrzeć na odrywające się od ziemi samoloty, uciec od miejskiego zgiełku. Tu myślała się jej najlepiej, tu podjęła wiele śmiałych decyzji. W gorączce ostatnich tygodni kompletnie o nim zapomniała.

Leżąc teraz na miękkiej trawie, poczuła znajome drżenie pod plecami i uśmiechnęła się do zachmurzonego nieba. Skrzyżowała ręce na piersi, dudnienie z każdą sekundą rosło w siłę. Nagle przy wtórze ogłuszających silników niebo tuż nad nią przeciął dziób samolotu, ciągnąc za sobą swój opasty kałdun. Odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął za horyzontem, zostawiając za sobą martwą ciszę.

Przywrócił ją do życia tylko po to, by po chwili porzucić wśród zmarłych. Dosłownie.

Zachichotała do własnych myśli, ale szybko przywołała się do porządku, przystępując do podziału i kategoryzacji swoich głównych problemów.

Pierwszą mentalną szufladkę opatrzyła etykietą „kod”. Co prawda siostrzany antyprogram był już niemal gotowy, ale martwiło ją co innego. Ktoś wynajął tego lowelasa od stu boleści, Jacksona, podając się za Tristana Caine’a, żeby go bezczelnie zrobić. Gdyby nie skonfrontowała się z nim na tamtym przyjęciu, pewnie jeszcze długo by się o niczym nie dowiedział.

Tylko kto to zrobił i dlaczego? To jasne, że ów tajemniczy wróg bardzo dobrze znał Caine’a, ale skąd wiedział o niej? Jej zdolności znane były tylko w kręgach programistów, których w mafii jest jak na lekarstwo. Tyle że na przestrzeni ostatnich tygodni podczas swojego cyberśledztwa natknęła się już na dwóch. Jej anonimowe źródło

wykazało się wysokim profesjonalizmem, którego sam by się nie powstydziała.

Czy te dwa wątki mogły być powiązane? I co Przymierze miało z tym wspólnego?

Druga szufladka miała etykietkę „Tristan Caine”. Choć zapierała się przed tym rękami i nogami, musiała zmierzyć się z uczuciami, jakie w niej budził. Wyparcie to żadna metoda.

Pożądała go, nie było sensu zaprzeczać. I chciała więcej niż tylko jakiegoś szybkiego numerku w ciemności pod ścianą. Pragnęła, by gładził ją po plecach tak jak wczorajszej nocy, by choć raz pieścił jej piersi, zamiast wpychać jej łapę w bieliznę. Pragnęła dotykać tej kwadratowej szczęki, poczuć szorstki zarost pod palcami, powędrować językiem po jego bliznach, a palcem po tatuażach. Pożądała go wtedy i teraz. Jej głód nie został nasycony i byłaby głupia, myśląc, że to się kiedyś zmieni.

Przy nim czuła, że żyje, to też było dla niej jasne. Ale pomimo incydentu w kasynie, pomimo wczorajszej nocy, gdy wszelkie tamy puściły, i dzisiejszego poranka, gdy zapytał, czy ją skrzywdził, z jakiegoś nieodgadnionego powodu czuła się przy nim bezpieczna. Niepojęte, biorąc pod uwagę jego reputację – a jednak tak było.

Gdy tylko przekroczyła próg kasyna i go ujrziała, odetchnęła z prawdziwą ulgą. Tamtego dnia, gdy uciekła z domu ojca i znalazła u niego schronienie, coś w niej pękło. Tyle razy podała mu się na talerzu, a on nawet jej nie tknął. Widząc, jak płonie, podsycił jej ogień, zamiast go zgasić. Przejrzał ją na wylot i w przeciwieństwie do jej własnego ojca, nigdy tego nie wykorzystał.

Nie mogła zignorować tych wszystkich faktów. Wiedziała, że to skomplikowany mężczyzna, najtrudniejsza zagadka, z jaką przyszło się jej zmierzyć. Wiedziała, że jej nienawidzi, i skoro nie za to, że ona przeżyła, a jego siostra nie, powód musiał być dużo, dużo gorszy. I nie chciał go jej wyjawić. Dlaczego?

I jak w takiej sytuacji mogła w ogóle marzyć o postępach w tej relacji? Bo prawda była taka, że ich chciała.

Z zamyślenia wyrwały ją kolejne wibracje, choć tym razem dużo lżejsze. Telefoniczne.

Wyciągnęła iPhone'a z kieszeni i spojrzała na wyświetlacz.

Trzecia szufladka postanowiła o sobie przypomnieć.

Kochany tatuś.

Wbiła wzrok w numer, zawieszając palec nad ikoną zielonej słuchawki.

Od tamtej nocy nie zamienili ze sobą ani słowa. Upadek ze schodów pozbawił ją resztki złudzeń, a jeszcze to przyklepało zrobienie z niej przynęty. Ale teraz wypłynęła sprawa tych porywaczy, których sama padła ofiarą, i wiedziała, że poważna rozmowa ich nie minie.

A mimo to nie potrafiła się zmusić do odebrania połączenia.

Dzwonienie ustało.

Nad jej głową przeleciał kolejny samolot.

Telefon znów się rozświecił.

Wzięła głęboki oddech i przełknęła ślinę, opanowując głos. Dotknęła ikonki i przyłożyła telefon do ucha.

– Całkiem nieźle się urządziłaś jako jego dziwka, Morano – rozległ się chłodny głos ojca. – A ja miałem wobec ciebie takie wielkie plany.

– Z pewnością nie interesują cię pikantne szczegóły mojego życia intymnego, ojcze – wycedziła przez zęby. – Zapomniałam spytać: jak tam twój nos?

Cisza.

Punkt dla niej.

– Wiem, że samotnie opuściłaś apartamentowiec – poinformował ją.

Ach, ci wierni szpicle. Oczywiście, że miał wszędzie oczy.

– I?

– Zostałaś okrzyknięta zdrajczynią, Morano, więc w moim mieście nie jesteś już bezpieczna. Jeśli nie ukatrupią cię na miejscu, zostaniesz przywleczona do domu. Gdzie wymierzę ci sprawiedliwość.

Pokręciła głową.

– Za bardzo zależy ci na reputacji, żeby mi to zrobić, ojcze. Nazwisko jest dla ciebie wszystkim. Córka sypiąca z wrogiem? Taki skandal zakopiesz głęboko pod ziemią, by nigdy nie ujrział światła dnia. – Przerwała i wzięła głęboki wdech. – Czy nie dlatego trzymałeś w tajemnicy sprawę mojego porwania?

Usłyszała, jak wstrzymuje oddech.

– Ta pieprzona wesz! – warknął po chwili podniesionym głosem. – Był parszywą gnidą wtedy, i jest parszywą gnidą teraz. Co on ci naopowiadał?

Interesujące.

Zerwał się wiatr i zadarła głowę. Zamrugła na widok zbierających się chmur.

– A jak myślisz? – zablefowała opanowanym głosem, próbując pociągnąć go za język. – Wiem o wszystkim, ojcze.

Zaczął dyszeć w słuchawkę.

– O wszystkim?

– Tak.

– No to masz rację – powiedział w końcu głosem tak lodowatym, że aż ją zmroziło. – Reputacja jest dla mnie najważniejsza. Za ciężko na nią pracowałem, by to ją miało teraz pogrzebać.

Zmarszczyła brwi, próbując połączyć te kropki.

– Wiesz już od jakiegoś czasu, prawda?

– Tak – ciągnęła swój blef.

– Powinnaś była umrzeć – powtórzył swoje słowa z tamtej nocy. – Przynajmniej oszczędziłabyś mi tych wszystkich problemów.

Nie przerywała mu z nadzieją na więcej.

– Uciekłaś, zhańbiłaś mnie, a teraz znasz prawdę o nas. Podpisałaś wyrok nie tylko na sobie, Morano. Na niego też.

W głowie jej wirowało, lecz nie od tych wszystkich grózb.

„Prawdę o nas”?

O kim mówił jej ojciec?

– Od dziś jesteś dla mnie martwa.

Po tych słowach się rozłączył.

Spojrzała na telefon i przeszły ją ciarki, a włoski na rękach stanęły dęba.

Rozejrzała się wokół i czar oazy spokoju nagle prysł. Idealne miejsce na pozbycie się zwłok. Przerazenie chwyciło ją za gardło.

Musiała natychmiast wracać do penthouse’u.

Schowawszy telefon do kieszeni, zerwała się na równe nogi i pomaszerowała do bramy, za którą zostawiła auto. Nie tracąc czujności, przyspieszyła kroku, raz po raz oglądając się przez ramię. Zielony zakątek tonął w złowieszczej ciszy.

Po chwili jej oczom ukazała się kuta brama, a za nią czerwony mustang.

Odetchnęła z ulgą, puszczając się biegiem.

Najprawdopodobniej swoim wyostrzonym zmysłem zawdzięczała wyłapanie cichego piknięcia, na które normalnie nie zwróciłaby uwagi, gdy była już prawie przy aucie.

I kolejne, niczym trzaśnięcie bicia o ziemię. Serce zaczęło jej walić jak młotem, a krew zadudniła w uszach.

Zatrzymała się w pół kroku. Przywarła do ziemi i zajrzała pod auto, gotowa do natychmiastowej ucieczki, jeśli jej podejrzenia się sprawdzą.

Sprawdziły się.

Do podwozia była mała czarna skrzyneczka z mrugającą czerwoną diodą. Nie dostrzegła timera, więc musiała być zdalnie sterowana. A to oznaczało, że ktoś zaczął się na nią w pobliżu.

Z sercem w gardle i duszą na ramieniu dźwignęła się z ziemi i co tchu popędziła z powrotem ku bramie. Krew dudniła jej w uszach, a kamyczki wrzynały się jej w stopy, ale dalej pędziła wielkimi susami.

Boże, tylko nie teraz.

W chwili, gdy niebo przeciął z rykiem kolejny samolot, gorący podmuch rzucił ją na ziemię, osmalając cienką bluzkę.

Dyszząc, przewróciła się na plecy z grymasem bólu, czując, że krew jej leci z ranki po postrzale, która się otworzyła.

Spojrzała w kierunku bramy i z piersi wyrwał się jej szloch.

Autko.

W ogniu.

Nie, Boże, nie.

Ten przerażający obraz wypalił się jej w mózgu: wysokie, pomarańczowe płomienie liżące czerwoną karoserię, na jej oczach zamieniające ją w zwęgloną czernią.

Ze łzami rozpaczy w oczach patrzyła na gwałtowną śmierć swego wiernego przyjaciela, jedyne stałego punktu w burzliwym życiu. To auto było jej wolnością, ucieczką, towarzyszem niedoli. To w nim śpiewała na całe gardło i ryczała jak bóbr, to ono wiozło ją w bezpieczne miejsce.

To auto.

Jej auto.

Zaszlochała, patrząc, jak przemienia się w proch. To była sprawka ojca. Jego ludzi.

I gdy już je opłakała, miejsce żałoby w jej sercu zajęła dzika furia.

Siepacze musieli być w pobliżu, chcieli znaleźć jakiś dowód jej śmierci, by zanieść go swemu mocodawcy.

Wyprostowała się, ocierając łzy, i wyciągnęła broń zza paska.

Chcieli śmierci? No to dostaną ją na tacy w krwawym sosie.

Ogarnięta żądzą zemsty, podkradła się skulona w kierunku szosy biegnącej przy cmentarzu, oczyszczając umysł ze wszystkich bolesnych myśli.

Po chwili zza zakrętu wyłonił się czarny SUV siepaczy ojca.

Rozpoznała ich ze swojego ukrycia.

Dwóch ludzi.

Wysłał tylko dwóch ludzi, by sprzątnęli mu córkę. Ale za to najbliższych.

Wielka szkoda.

Wysiedli i patrzyli na płonący wrak, sądząc, że jest w środku.

Musiąta ich rozwalić, również dla przykładu, wysyłając ojcu jasny komunikat. Nikt nie będzie z nią bezkarnie zadzierał. Nikt.

Wiedziąta, że nie zdoła zastrzelić jednego w taki sposób, aby drugi się nie zorientował, a w bezpośrednim starciu nie miała z nimi najmniejszych szans, nie z tą kontuzją. Musiåta działać po cichu. Mrużąc oczy, wycelowala w SUV-a, a dokładniej w zbiornik paliwa.

Ręka jej zadrżała, ale ją uspokoiła.

„Komunikat dla drogiego tatusia, żeby się odpieprzył”.

Wzięła głęboki wdech i pociągnęła za spust.

Ułamek sekundy później SUV wyleciał w powietrze. Było zupełnie inaczej niż na filmach, wszystko trwało raptem parę sekund. Spokojnie patrzyła, jak płomienie liżą wrażå karoserię, a wraz z nią ludzi ojca. Osunęła się na zimną ziemię, nie czując ani grama satysfakcji. Była jedynie pustka.

Siedziåta tak pomiędzy dwoma nagrobkami, chcåc tylko wrócić do penthouse'u i zasnąć kamiennym snem. Ale nie mogåa. Nie miała czym, a w pobliżu mogåo czekać więcej siepaczy ojca.

Trzęsącymi się rękami odłożyła spluwę i wyciągnęła telefon, a łzy znów spływały jej po policzkach.

Wiedziała, że może do niego zadzwonić. I że na pewno by przyjechał.

Ale nie chciała mu się pokazywać w takim stanie. I ciągle wzywać go na ratunek. Tylko do kogo zadzwonić? Była sama jak palec.

Otworzyła kontakty i jej oczy spoczęły na trzecim od góry, jednym z najświeższych. Przełknęła ślinę i nie namyślając się, wcisnęła „zadzwoń”.

Przycisnęła telefon do ucha, podciągając kolana pod brodę i wbijając niewidzący wzrok w ziemię.

Przygryzła wargi i już miała się rozłączyć, gdy nagle w słuchawce rozległa się znajoma chrypka.

– Morana?

W tym jednym słowie zamknięty był niepokój, troska i zaskoczenie – i to wystarczyło, by pękła.

– Amaro – przywitała się drżącym głosem. – Nie wiedziałam, do kogo zadzwonić.

– Cieszę się, że cię słyszę, ale... wszystko gra? – zapytała z nieskrywaną troską Amara.

– Niezbyt.

– Coś ci się stało? Mów, gdzie jesteś, zaraz podjadę.

– Nic... nic mi nie jest – załkała. – Potrzebuję twojej pomocy. I byłabym wdzięczna za dyskrecję.

– Nie ma sprawy – padła natychmiastowa odpowiedź. – Co mam robić?

– Przyjechać po mnie.

Podawała jej adres i nakazała ostrożność.

– Będę za dziesięć minut. Nigdzie się nie ruszaj, dobrze?

Morana skinęła i wargi jej zadrżały.

– Dzięki.

– Do usług, Morano.

Położyła telefon obok broni i oparła się o twarde nagrobek, spoglądając w niebo. Plecy ją bolały, a skóra trochę piekła od poddmuchu. Całe szczęście, że jej nie poparzyło.

A więc to tak.

Jej autko dogorywało, a ona po raz pierwszy odebrała komuś życie.

Nigdy nie sądziła, że ją na to stać, choć skrzywdzona bez mrugnięcia okiem potrafiła odpłacić pięknym za nadobne. Ale nigdy nie wyobrażała sobie siebie w roli morderczyni. Zabijającej nie w obronie własnej, a ze starej dobrej zemsty. I to bez skrupułów. Teraz, gdy było już po wszystkim, nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia. Była tylko pustka. Może później coś ją ruszy, ale na razie miała w sercu jedną wielką czeluść.

Przynajmniej miała z głowy tę trzecią szufladkę z ojcem. Teraz wiedziała, do czego dąży wszelkimi możliwymi środkami, i będzie gotowa.

Nagle z zamyślenia wyrwały ją ciche wibracje. Esemes. Rzuciła okiem na telefon.

Tristan Caine: Oj, nieładnie, kotku. Przed podpisaniem wyroku śmierci na mnie powinnaś była pozwolić mi choć raz obić mu mordę. To jest twojemu ojcu. A teraz sam muszę dać sobie zgodę. Gdzie tu zabawa?

Parsknąwszy śmiechem, zaczęła wystukiwać odpowiedź. Skąd on wiedział? Czyżby ojciec coś wywinął? To jest poza podłożeniem bomby pod jej samochód.

Ja: Sorki, nie pomyślałam. Ale zapytałam go, jak tam nos.

Tristan Caine: Musiało być grubo.

Ja: Klął na czym świat stoi.

Tristan Caine: Cóż, daleko mu do dżentelmena. Uśmiechnęła się, kręcąc głową.

Ja: I kto to mówi.

Tristan Caine: Od początku ostrzegałem, że żaden ze mnie dżentelmen.

Przypomniała sobie ich pierwszą rozmowę tamtej nocy w Tenebrae, którą odbyła dosłownie z nożem na gardle.

Ja: Owszem. Na szczęście nie lecę na dżentelmenów. Nie radzą sobie ze mną.

Tristan Caine: Coś mi się widzi, że nie tylko oni. Nie jeśli sobie tego nie życzysz.

Przeczytała to ostatnie i serce zabiło jej szybciej. To był chyba najmiłszy, najbardziej motywujący komplement, jaki w życiu słyszała – że sama może być sobie panią i niech nikt się do niej nie wtrąca. Wyjątkowo zaskakujący pogląd jak na faceta z ich świata.

Ja: Zabawne, miałam powiedzieć to samo o tobie.

Na wyświetlaczu pojawił się numer Amary. Pospiesznie odebrała, podając swoje namiary. Gdy się rozłączyła, czekała na nią już nowa wiadomość, która szybko ją otrzeźwiła, sprowadzając z powrotem na ziemię.

Tristan Caine: Moja ochrona chyba się ciebie boi.

Przeczytała wiadomość raz i drugi. Była utrzymana w tym samym żartobliwym tonie, którego kompletnie nie wyobrażała sobie na żywo, ale rodząca się w sercu odpowiedź powoli połykała pustkę.

Ja: Powinni. Bo właśnie wysadziłam w powietrze auto z dwoma ludźmi w środku.

Zanim zdążył odpisać, odłożyła telefon, dostrzegając wyłaniającą się zza drzew Amarę. Miała na sobie pogniecioną koszulkę, dżinsy i apaszkę, a włosy związała w krzywy kucyk, jakby ubierała się w pośpiechu. Na myśl, że ktoś rzucił wszystko, by do niej przyjechać, Moranie zrobiło się ciepło na sercu.

Z gulą w gardle pomachała do zbliżającej się dziewczyny, a ona na jej widok zwolniła kroku. Nic dziwnego: rozczochrane włosy, naddarte i przybrudzone ciuchy aż krzyczały, że coś się stało.

Brakowało tylko tabliczki na czole z napisem: „obraz nędzy i rozpacz”.

Amara zatrzymała się tuż przed nią i nie dbając o brud i trawę, klapnęła na pupie, opierając się o sąsiedni nagrobek. Otworzyła torebkę i bez słowa podała Moranie butelkę wody.

Morana zdjęła zakrętkę i łapczywie wypija zawartość, mrużąc z rozkoszy, gdy chłodny płyn spływał jej w przetyku. Nawet nie wiedziała, jak bardzo tego potrzebowała.

Ugasiwszy pragnienie, umyła ręce i ochlapała twarz, próbując doprowadzić się do jako takiego porządku.

– Ładnie tu jak na cmentarz.

Na dźwięk tych cichych słów podniosła wzrok i widząc troskę w ciemnozielonych oczach Amary, wciągnęła powietrze.

– To prawda. Ale najlepsze widoki są z drugiej strony, koło bramy.

Amara uniosła brwi.

– Chyba nie masz na myśli tych sfajczonych aut, co?

Morana zachichotała.

– Nie, ale ta rozmowa chyba nas nie minie.

– Do niczego nie zmuszam. – Ta chryпка tylko dodawała jej głosowi serdeczności. Amara naprawdę potrafiła w sobie rozkochać. Tej dziewczyny po prostu nie dało się nie lubić.

A po tym wszystkim, co dla niej zrobiła, zasługiwała na przyjaźń. Tak jak ona sama. I bez względu na całą resztę, ona ją jej podaruje.

To, że straciła wszystko, co знаła, nie znaczyło jeszcze, że nie znajdzie czegoś pięknego w nieznanym.

Z tą myślą odchrząknęła.

– Wiesz, ostatnio dużo się dowiedziałam o sobie i otaczających mnie ludziach. I nic nie jest takie, jak się wydaje.

Kruczowłosa piękność przekrzywiła głowę, nie przerywając ani słowem. Morana lekko się uśmiechnęła.

– Wiem o Lunie – oznajmiła i Amara zrobiła wielkie oczy. – Wiem o porwaniach i wszystkich ofiarach. I wiem, że byłam wśród nich. Tylko mnie udało się odnaleźć.

Amara przełknęła głośno, kiwając głową.

– To było trzymane w tajemnicy, niewiele osób o tym wiedziało.

Morana kiwnęła głową, ale nie pociągnęła jej za język.

– Wiem, że te porwania mają coś wspólnego z Przymierzem, może nawet moje. I wiem, że on nie nienawidzi mnie za to, że ja się znalazłam, a jego siostra nie.

Amara przygryzła wargi i jej oczy wypełniły się łzami. Ale nie powiedziała ani słowa i Morana jeszcze bardziej szanowała ją za tę lojalność.

– Wiem, że mojemu ojcu zupełnie na mnie nie zależy – ciągnęła. – Tu chodzi o coś większego i mój kod gra w tym jakąś rolę. Czuję to w kościach. To on kazał wysadzić w powietrze moje auto. Nie rozumiem tylko dlaczego. Czemu to zrobił?

Amara przełknęła ślinę i w jej ciemnozielonych oczach zabłysło współczucie.

– Tak mi przykro...

Morana skinęła głową.

– Właśnie zabiłam dwóch ludzi i nie mając do kogo się zwrócić, postawiłam na ciebie. I wiedz, że jeśli odwzajemnisz mi się zaufaniem, ja nigdy go nie zawiodę. – Przerwała ze ściśniętym sercem. – Może to głupio zabrzmie, ale nawet nie mam komu cię zdradzić. Człowiek, który powinien mnie chronić, chce mojej śmierci, a ten, który powinien mnie ukatrupić, daje mi dach nad głową. Choć to pokręcone, nigdy nie odpłaciłabym zdradą za taki akt dobroci. Nie zaznałam jej wiele w życiu, a najwięcej od ciebie, Dantego i jego. Nie sprzeniewierzę się temu. – Wzięła głęboki wdech. – Ale prosta prawda jest taka, że nie mam pojęcia, kim on był. Kim jest. Pomóż mi go zrozumieć. Pomóż mi zawalczyć.

Amara odchyliła głowę, wpatrując się przez dłuższą chwilę w niebo. Morana postanowiła dać jej czas do namysłu. Wreszcie Amara odezwała się niemal szeptem.

– Wiem, dlaczego cię nienawidzi, Morano, choć nigdy mi się nie zwierzał. On nikomu się nie zwierza, nikogo do siebie nie dopuszcza. To chyba najsamotniejszy człowiek świata.

Serce Morany ścisnęło się na wspomnienie tamtej deszczowej nocy pod przeszkloną ścianą. Patrzyła w milczeniu, jak po policzku Amary spływa pojedyncza łza.

– Dante znał prawdę, bo jest dziedzicem. W chwili bezsilnej słabości, nie mogąc ulżyć bratu w cierpieniu, powiedział mi

o wszystkim. I przysięgam mu na swoje życie, że będę milczeć jak grób.

W powietrzu zawisło niewypowiedziane „ale” i Morana ugryzła się w język, nie chcąc psuć tej chwili szczerości.

Po policzku Amary spłynęła druga łza.

– Widzę, jak na ciebie patrzy. Choć całe życie o tobie wiedziałam, nie sądziłam, że będzie taki przy tobie.

– Jaki? – wyrwało się szeptem Moranie.

Usta Amary wygięły się w lekkim uśmiechu.

– Pełen życia – odparła, nie odrywając oczu od płynących po niebie chmur.

Morana miała wrażenie, że przez jej serce przeszedł prąd.

– Nie umiem tego inaczej ująć. I dlatego nie wierzę, by mógł cię skrzywdzić. Bo zakosztowawszy życia, człowiek nie chce się z nim żegnać, prawda?

Prawda.

Nagle przypomniała sobie jego uporczywe pytanie z poranka.

„Zrobiłem ci krzywdę?”

Czyżby Amara miała rację?

Morana milczała, pogrążona w myślach.

– Lubię cię, Morano. – Amara wreszcie na nią spojrzała tymi swoimi szczerymi, zbolalymi oczami. – Nic nie sprawiłoby mi takiej radości jak nasza przyjaźń. Dlatego też muszę cię przestrzec. Znając Tristana i powód jego nienawiści, wiem, że w końcu cię skrzywdzi. Nie z premedytacją, ale dlatego, że inaczej nie potrafi. Nie po tych dwudziestu nieczułych latach. Bywało, że zamykał się nawet przede mną i Dantem. My o tym wiemy i to akceptujemy. Jesteś pewna, że ty też będziesz potrafiła?

Morana zamrugła i serce załomotało jej w piersi.

– O co mnie prosisz, Amaro?

Amara wzięła głęboki wdech.

– Chcę, żebyś znała przyczyny, Morano. Rozmawiam z tobą jak kobieta z kobietą, przyjaciółka z przyjaciółką. No i według mnie jesteś jedyną osobą, która może ocalić go przed nim samym. A żeby to zrobić, musisz poznać prawdę. I mieć świadomość, że to niełatwa droga, a najwięcej kłód będzie rzucał ci pod nogi właśnie Tristan.

Próbując uspokoić drżące ręce, zamyśliła się nad słowami Amary.

– Prawda zmieni to, jak na niego patrzysz, Morano. Ale dla niego nic się nie zmieni. Nadal chcesz ją poznać?

Boże, co za bałagan.

Wiedzieć albo nie wiedzieć, oto jest pytanie.

Powiadają, że niewiedza jest błogosławieństwem. Wybacz, antyczny filozofie, ale niewiedza ssie.

Ale jeśli usłyszysz prawdę, nie będzie już odwrotu. Nigdy. Jak to zmieni ich relację? Relacje ich rodzin? A jeśli on zechce się jej pozbyć, bo ją poznała? Co wtedy?

W każdej chwili mogła rzucić to w pioruny i odejść.

Nie. Nie mogła. Nie odejdzie, dopóki nie dowie się o sobie całej prawdy.

Targające nią emocje – złość, niepokój, ciekawość – zlały się w jedno i zagnieździły w piersi, pozbawiając tchu. Z boleśnie ściśniętym żołądkiem przymknęła oczy i kiwnęła głową.

– Chcę wiedzieć.

I tymi słowy przypieczętowała swój los. Już nigdy nie będzie taka sama jak wcześniej.

Otworzyła oczy i z duszą na ramieniu wsłuchała się w opowieść Amary.



STRACH

*Tristan, lat osiem
Tenebrae City*

Bał się. Nie powinno go tu być.

Wspinając się z trudem na paluszki, Tristan wiedział, że łamie zasady. Ukryty za filarem, próbował zapuścić żurawia do przepastnej jadalni rezydencji. W każdym rogu stała wysoka, jasna lampa, przy kamiennych ścianach umieszczono podręczne stoliki, a na środku królował długi dębowy stół otoczony krzesłami. Całości dopełniały ciężkie purpurowe zasłony, którymi Tristan był dosłownie oczarowany. Tak sama jak tym pokojem.

Był tu raptem dwa razy w swoim krótkim życiu, na przyjęciach organizowanych przez Bossa. Jego mama uwijała się jak w ukropie, by wszystko dopiąć. Mały bardzo chciał zobaczyć tę kolację i swego ojca w charakterze osobistej ochrony człowieka numer jeden.

Na każdym kroku powtarzano mu, że to bardzo ważna i odpowiedzialna funkcja. Dlatego też matka zwykle nie wpuszczała go do rezydencji i wysyłała do ogrodu, żeby się pobawił. Gdy już udało mu się zakraść do środka, włączył się bez celu po tych wielkich pustych salach, chowając się przed strażnikami.

Był już na tyle duży, by wiedzieć, że wpadka oznaczała nie lada tarapaty. Boss podobno nie zabijał małych chłopców, ale stosowne kary wymierzał bez mrugnięcia okiem. A Tristanowi ta perspektywa wcale się nie uśmiechała.

Od jego ostatniej ukradkowej wizyty minęły całe wieki. Naprawdę powinien już uciekać, ale stopy miał jakby przyklejone do

podłogi. Z początku zakradał się tu z ciekawości. Tym razem przyszedł po informacje.

Odkąd podrósł, nikt nie zawracał sobie głowy, by cokolwiek mu wyjaśniać. Co nie znaczyło, że żył w błogiej nieświadomości.

Wiedział.

Widział.

Słyszał.

Czuł.

Tyle bólu. Tyle wyrzutów sumienia.

Jego młodsza siostrzyczka zniknęła i to była jego wina. Była pod jego opieką, miał obowiązek jej pilnować. Minęło już siedemnaście dni, wszelki ślad po niej zaginął.

Tamta noc wciąż nawiedzała go w snach. Pamiętał jej słodki, perlisty śmiech podczas łaskotek, pamiętał białą piżamkę w czerwone serduszka. I te jej duże zielone oczy wpatrzone weń z tak czystą miłością, z takim oddaniem, że aż robiło się ciepło w piersi. Pamiętał, jak zajrzał kontrolnie pod łóżko i przytulił ją na dobranoc, pamiętał ten jej słodki niemowlęcy zapach, gdy miniaturową piąstką złapała go za włosy.

Była najpiękniejszą młodszą siostrzyczką pod słońcem. Gdy trzymając w ramionach tę kruszynę po raz pierwszy ujrzał jej różową ściągniętą twarzyczkę, poprzysiągł sobie, że nigdy nie pozwoli jej skrzywdzić. W końcu był jej starszym bratem, to był jego obowiązek. Ale tamtej nocy się z niego nie wywiązał. Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale się stało.

Okna pokoju dziecięcego były dobrze zamknięte, sam sprawdzał, a jedyna droga prowadziła przez jego sypialnię. Miał tak lekki sen, że w nocy budziły go nawet bezszelestne kroki matki, kiedy przychodziła, by zajrzeć do córeczki.

Tamtej nocy jak zawsze przytulił ją na dobranoc.

A rano łóżeczko było puste.

Okna pozostały zamknięte. W nocy nie obudził go żaden szelest. Zupełnie jakby mała rozplynęła się w powietrzu. On spał sobie w najlepsze, gdy ona go potrzebowała. Zawiódł ją na całej linii.

Pustka, którą po sobie zostawiła, zjadała go od środka. Chciał tylko, żeby wróciła. Żeby wrócił jej niemowlęcy zapach, radosny śmiech i łaskotki. Tak bardzo za nią tęsknił!

Białymi długimi rękawami otarł łzy, które cicho spłynęły mu po policzku. Ojciec nauczył go, by nigdy nie płakać. Był już dużym chłopcem i jeśli chciał być potężny, nie mógł ronić łez.

Tłumił je ze wszystkich sił.

Ale każdej nocy spoglądał na to puste łóżeczko za drzwiami i łzy same napływały mu do oczu. Każdej nocy słyszał oskarżycielskie krzyki ojca i łzy same napływały mu do oczu. Każdej nocy słyszał, jak matka zboląłym głosem próbuje go uspokoić, i łzy same napływały mu do oczu.

Cały dom zalewał się łzami. On po prostu robił to w tajemnicy. Rano mył twarz, pozbywając się dowodów i twardo trzymał język za zębami. Nikt nie wiedział, że każdego wieczora przymyka oczy i modli się za swoją siostrzyczkę. Modlił się o jej bezpieczny powrót, modlił się, by nie marzła i nie głodowała, modlił się, by zanadto za nim nie tęskniła.

Był już zmęczony tą nieustanną modlitwą.

Potrzeba działania, jakiegokolwiek działania, zaczynała w nim dominować.

I choć wszyscy nabrali wody w usta, miał uszy dookoła głowy. Wczorajszej nocy ojciec krzyczał coś o spisku i hurtowych porwaniach w mieście. I małego Tristana wypełnił gniew na myśl o innych starszych braciach, bezradnych i przerażonych. Słuchał tego wszystkiego wpatrzony w zacinający za oknem deszcz, który Luna tak uwielbiała.

I chciał, by nadal skakała z radości na widok jego kropel.

Ale siedemnaście dni to szmat czasu i choć wiedział, że sam nigdy się nie podda, jego rodzice powoli tracili nadzieję.

Wtedy ojciec wspomniał coś o odnalezionej dziewczynce.

Jedynej, która wróciła.

To z jej powodu zakradł się dziś do rezydencji.

Chciał ją zobaczyć. Chciał zobaczyć tę, która wróciła zamiast jego ukochanej Luny. Chciał tylko rzucić na nią okiem i może dowiedzieć się czegoś więcej o siostrze. Może była z nią, może ją widziała.

Ukryty za filarem, nie spuszczał oka z zebranych. Naliczył dziewięciu mężczyzn, w tym paru ochroniarzy, i jedną kobietę.

Ojciec zawsze go uczył, by zapamiętywać twarze. W ich branży były sekretami, bronią do użycia w przyszłości.

Matka z kolei powtarzała mu, by starał się czytać w oczach. Oczy, mawiała, są zwierciadłem duszy. I mały Tristan wiedział, że jego siostrzyczka ma najczystsza duszyczkę pod słońcem, a ojcowska czernieje z każdym kolejnym dniem jej nieobecności. Matczyna zaś – usycha i więdnie pod naporem tego całego bólu.

Ignorując rozstawioną po kątach ochronę, wędrował wzrokiem po twarzach i oczach siedzących przy stole ważniaków. Zatrzymał go na ojcu.

David Caine stał za krzesłem Bossa, wysoki i szczupły, splatając dłonie na plecach. Tristan wiedział, że mu drżą. To nie była żadna nowość, ale ostatnio się nasiliło. Odsuwając od siebie tę myśl, przeniósł wzrok na Bossa.

Brodaty, ciemnooki Lorenzo Maroni – nazywany przez jego ojca Bossem – siedział u szczytu stołu w „rodzinnym” czarnym garniturze.

Tristan przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Siedział sobie w ogrodzie, podczas gdy matka przygotowywała właśnie jedno z przyjęć. Nagle z domu wyszedł Boss we własnej osobie. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to on. Rzucił okiem na tego wysokiego, ciemnego typu i z miejsca zapalał doń antypatią.

Boss przytrzymał jego spojrzenie.

– Zjadam ludzi za takie gapienie się, chłopcze.

Tristan nie odpowiedział, tylko zniechęcił go jeszcze bardziej.

Usta starszego mężczyzny wygięły się w podłym uśmiechu.

– Nie jesteś jak inni mali chłopcy, co?

– Nie jestem – odparował Tristan, mrużąc oczy.

Boss wbił w niego badawczy wzrok i po chwili odszedł, a Tristan uciekł z powrotem na swoją ławkę. Tak wyglądało ich pierwsze i na razie ostatnie spotkanie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jego ojciec pracuje dla tego typu spod ciemnej gwiazdy.

Patrzył teraz, jak pali spokojnie cygaro, z lśniącą bronią na podorędziu. Za jego przykładem paru innych mafiosów też wyłożyło spluwy na stół.

Ale takie coś nigdy nie ruszało Tristana. Ojciec nauczył go trzymać broń i choć jeszcze nigdy nie strzelał, te zabawki bardzo mu

się podobały. Lubił je trzymać w dłoni. Pewnego dnia ojciec zrobi z niego świetnego strzelca i będzie miał całą ich kolekcję.

Pewnego dnia. Gdy Luna wróci do domu.

Rzuciwszy okiem na znajome, choć bezimienne twarze, które nieraz widywał z ojcem, przeniósł wzrok na drugą stronę stołu, gdzie ulokowano gości spoza miasta.

Zaczął się im uważnie przyglądać. Ich herszt był wielki, większy od samego Bossa – choć nie większy od ojca Tristana – i jak reszta miał na sobie czarny garnitur, a jego podbródek zdobiła kozia bródka. Gdy już wyrył sobie w pamięci jego twarz, skupił się na oczach.

I poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Ten człowiek mu się nie podobał. Ani trochę.

Miał regularne rysy i czarne oczy – było w nich coś takiego, co przeraziłoby każdego innego chłopca w jego wieku.

Ale to nie on przykuł uwagę Tristana.

Tym kimś była kobieta w niebieskiej sukience i z dzieckiem na rękach.

Oddech uwiązał mu w gardle.

Ona była taka maleńka, dużo mniejsza od Luny. Przed oczami mignęła mu tylko różowa sukieneczka i garść czarnych kędziorków.

Czy była z Luną? Czy była z jego siostrą, czy razem płakały?

Jak ją odnaleziono? Dlaczego tylko ona wróciła?

Te pytania kołatały mu się w głowie, gdy patrzył na to kruche zawiniątko w ramionach kobiety. Zapomniał o całym świecie. Wierzyła jak ciekawski robaczek, wyrywając się swojej matce – jak przypuszczał. Luna też tak robiła, wydając z siebie odgłosy frustracji i radosny śmiech po uwolnieniu.

Ta mała wydawała z siebie takie same dźwięki. Słyszał je przez cienką ścianę.

– Po prostu połóż ją na tym stole, Alice! – ryknął typ spod ciemnej gwiazdy i Tristan wbił weń oczy niczym sztylety.

Alice pospiesznie posadziła małą plecami do siebie, tak by widziała wszystkich obecnych.

Tristan spojrział na jej twarzyczkę i poczuł to samo trzepotanie w piersi, gdy po raz pierwszy ujrzał Lunę.

Była piękna – różowe puciołowate policzki, zgięte w kolankach nóżki, ułożone w zdziwione „o” różane usteczka. Ale nie to zachwyciło go najbardziej. Najpiękniejsze były jej oczy. Duże, błyszczące oczęta koloru pszenicy i trawy. Czyste i niewinne, nietknięte przez otaczające ją zło.

Tristan miał nadzieję, że z jego siostrą było podobnie. I że niedługo znów ją zobaczy, ucałuje.

Po policzku spłynęła mu świeża łza.

I wtedy to się stało.

Jakimś tajemniczym sposobem dziewczynka odnalazła go wzrokiem za tym filarem i spojrzała mu prosto w oczy.

I przekrzywiając ciekawie główkę, uśmiechnęła się do niego swoimi bezzębnymi usteczkami.

To było jak cios w podbrzusze.

Jego wargi same wygięły się w uśmiechu, pierwszym od zaginięcia Luny.

Dziewczynka zamachała pulchnymi rączkami i sala wypełniła się jej perlistym śmiechem.

– Cieszę się, że mała Morana jest cała i zdrowa.

Głos Bossa stał mu uśmiech z twarzy.

Morana. Ładne imię. Mała odwróciła się w stronę głosu, przekrzywiając główkę. Nie podobało mu się to. Nie podobało mu się, że posadzili ją na uginającym się od broni stole. Nie podobały mu się zwrócone ku niej spojrzenia tych wszystkich mężczyzn.

Miał ochotę porwać ją stamtąd i uciec, tak samo jak Lunę, wtedy, gdy do ich domu przychodzili tacy ludzie. Nie chciał, by ich ciemne, mroczne oczy oglądały jego siostrzyczkę. Ani tę dziewczynkę.

Ale nie wyściubił nosa ze swojej kryjówki.

– Chciałeś ją zobaczyć, Lorenzo; oto jest – odezwał się typ spod ciemnej gwiazdy siedzący u drugiego szczytu stołu naprzeciwko Bossa. Odchylił się na krześle, kładąc dłoń na blacie. – Możemy przejść do interesów?

Słyszając ten ton, Tristan zacisnął zęby.

– Sekundka – odparł Boss, gasząc cygaro.

Przez chwilę spowijał go dym, ale wiatrak nad stołem szybko go rozwiały.

– Alice – powiedział tamten mężczyzna do kobiety. – Weź Moranę i wyjdź.

– Zostaw dziecko – wycedził Boss, gdy kobieta wstała.

Zawahała się, ale w końcu wyszła bez dziecka. Drzwi zamknęły się za nią. Nieświadoma niczego Morana włożyła sobie do buzi rąbek sukieneczki i zaczęła go żuć.

Ciszę przerwał głos Bossa.

– Skoro spośród wszystkich zaginionych odnaleziono tylko twoją córkę, z pewnością chętnie odpowiesz na parę pytań mojego człowieka, Gabrielu?

W jego głosie było coś, czego Tristan nie rozumiał, jakby Boss mówił zagadkami.

Typ spod ciemnej gwiazdy uniósł brwi.

– Kto ma te pytania?

Oczy Bossa błyszczały w świetle lamp.

– Mój szef ochrony. Jego córka zaginęła parę tygodni temu.

Tristan wciągnął powietrze, gdy do stołu podszedł jego ojciec. Ten cały Gabriel skinął głową.

– W jakich okolicznościach zaginęła pańska córka? – Uszu Tristana dobiegł opanowany głos ojca. Niepojęte, że poza domem zawsze potrafił zachować zimną krew.

Gabriel wskazał brodą drzwi, za którymi zniknęła kobieta.

– Moja żona zabrała ją na spacer do parku i zgubiła. Nie wiedzieliśmy, że ją porwano, dopóki nie odnalazła się cztery dni później.

Goryle z otoczenia Bossa wyprostowali się, gdy jego ojciec kiwnął głową, podchodząc do stołu.

– A jak ją odnaleźliście?

– Nie odnaleźliśmy – odparł Gabriel. – W nocy podrzucono ją nam pod drzwi.

Tak po prostu?

Ale dlaczego?

Jego ojciec chyba zadawał sobie te same pytania.

– Czyli znika, a cztery dni później odnajduje się pod drzwiami? – dopytywał drżącym głosem. Lada chwili uderzy w „domowe” tony. – Jakże wygodnie.

Gabriel łypnął na niego.

– Coś sugerujesz?

– A żebyś wiedział – odparował ojciec, podchodząc jeszcze bliżej niego.

Gdy się nachylił, światło lamp padło na jego twarz i Tristan się przeraził.

Popatrzył na ojca, potem na Gabriela siedzącego już na brzegu krzesła i na małą. Żołądek podszedł mu do gardła. Musi ją stąd zabrać, zanim zaczną się wrzaski.

– Sprawdziłem cię, Gabrieli Vitalio – odezwał się mrocznym głosem ojciec. – Przejrzałem twoje ciemne sprawki. Tyle dziewczynek zaginęło i żadna nie wróciła. Oprócz twojej. Tylko czerwonej kokardy brakuje. Wyjaśnienia mogą być dwa: boją się ciebie albo ich znasz. Które jest właściwe?

Gabriel Vitalio wbił w Bossa wściekłe spojrzenie, a jego ludzie poruszyli się niespokojnie, w każdej chwili gotowi sięgnąć po broń.

– Po to mnie tu zaprosiłeś, Lorenzo? Żeby mnie obrażano?

Boss się zaśmiał.

– Dobrze wiesz, po co cię zaprosiłem. Z Przymierzem koniec.

– Naprawdę chcesz prać tu nasze brudy? Trzymam cię za jaja i dobrze o tym wiesz, Ogarze.

Boss odchylił się na krzesło i zachichotał, choć w oczach miał złowieszczą pustkę.

– Rozejrzyj się, Żmijo. Jesteś na moim terenie. To moje miasto. Mój dom. Ty i cały twój wewnętrzny krąg jesteście otoczeni.

Jak na sygnał ludzie Bossa wyciągnęli broń i wycelowali w świętą Vitalia. Tristan przełknął ślinę, obserwując całą scenę.

Gabriel Vitalio wziął głęboki oddech.

– Nawet jeśli zerwiesz naszą współpracę, nie możesz mnie zabić. Mam swój teren i mocne zabezpieczenia.

– Wiem, wiem. Może teraz cię nie zabiję... – odparł Boss – ... ale w każdej chwili mogę zrobić ci to samo, co Żniwiarzowi.

Vitalio zamilkł.

– Ty pieprzony draniu.

Brwi Tristana wystrzeliły pod samą linię włosów. Kim był Żniwiarz i co mu zrobili?

– Tak jak mówiłem, z Przymierzem koniec. Oddaję cię w ręce mojego szefa ochrony i niech sobie z tobą robi, co chce. Skoro nie

jesteś już sprzymierzeńcem, to stałeś się naszym wrogiem.

– A ty jesteś głupi jak but, jeśli myślisz, że zamkniesz mi usta groźbami, Ogarze – wycedził niskim głosem Vitalio. – Znam wszystkie wasze brudne sprawy i to wystarczy do wysadzenia w powietrze twojego imperium.

– Wtedy spłonimy razem.

Cisza.

Tristan nie rozumiał, o czym mówią, ale przysłuchiwał się tej wymianie zdań z zapartym tchem. Gromy leciały z obu krańców stołu, a atmosfera tak zgęstniała, że aż dostał gęsiej skórki. Potarł ramiona, żeby ochłonać.

Może powinien posłuchać ciała i czym prędzej dać drapaka. Ojca wypyta później.

Ale się nie ruszył.

Raz po raz zerkał na niewinne dziecko w oku tego cyklonu, być może ostatniego człowieka, który widział jego siostrę. I który bawił się teraz podwędzoną ze stołu łyżeczką.

Przygryzł wargi, nie odrywając się od filaru.

Ciszę przerwały ostre słowa jego ojca do typa spod ciemnej gwiazdy, Żmii.

– Gdzie są dziewczynki?

Vitalio zacisnął zęby.

– A skąd ja mam to wiedzieć, do kurwy nędzy?

Ojcu nie spodobała się ta odpowiedź.

W mgnieniu oka wyciągnął broń i wycełował mu prosto w łeb. Boss siedział dalej rozparty na krześle, przyglądając się widowisku.

Ręka tamtego powędrowała do kieszeni. Ojciec pokręcił głową.

– Ani drgnij.

Mięśnie Tristana mimowolnie się napięły. Nie odrywając oczu od tej sceny, błyskawicznie schylił się po szwajcarski scyzoryk ukryty w skarpetce. Zwędził go kiedyś ojcu na wypadek, gdyby musiał bronić Luny. Był ciężki, ale trzymał go pewnie, w każdej chwili gotów do walki.

Nagle ciszę przeciął podniesiony głos ojca. Tristan się wzdygnął, a nóż wyślizgnął mu się z ręki, rozcinając skórę. Zapiekło jak diabli, ale przygryzł wargi, tłumiąc ból i łzy.

– Wiem, że wiesz, Gabrielu Vitalio. Ty coś wiesz. Gadaj natychmiast albo nie rękę za siebie.

Żmija zarechotał szyderczo.

– Nędzny robaku, nie masz o niczym bladego pojęcia, co?

Tristan kompletnie zapomniał o krwawiącej dłoni. Miał ochotę rozkwasić nos temu facetowi. Jego siostra zniknęła, a ten się śmiał? Bo jego córka wróciła cała i zdrowa?

Tristan nigdy nie miał do czynienia z takimi ludźmi. I nie chciał ich znać. Ani ich, ani ich diabolicznego śmiechu.

To nim wstrząsnęło.

Ojciec niemal przycisnął lufę do czoła tego gościa.

– Mów, co wiesz!

Vitalio zarechotał.

– Może ty mu powiesz, Ogarze? Czy ja mam go oświecić, dlaczego tak ci spieszo do zerwania Przymierza?

Tristan spojrzał na Bossa. Ten nagle zeszywniał.

– Zanim otworzysz usta, przypomnij sobie Żniwiarza.

Tamten obnażył kły, ale nic nie powiedział.

Ojciec pstryknął palcami.

– Co to ma wspólnego z moją córką?

Vitalio wzruszył ramionami.

I wtedy ojciec Tristana wykonał zaskakujący ruch.

W mgnieniu oka wycelował broń między piwne, ciekawskie oczęta osadzone w pyzatej twarzyczce.

Tristan nie mógł oddychać.

Drżąca dłoń ojca znieruchomiła, a w jego oczach zagościła kompletna pustka.

– Jeśli w tej chwili nie zaczniesz gadać – wycedził niskim głosem – to ją zabiję. Twoja córka za moją.

Tristan przyglądał się tej scenie ze zgrozą, odsuwając od siebie czarne myśli. Ojciec tylko blefował. Chciał po prostu wyciągnąć informacje o Lunie i pogrywał sobie z tym facetem. Na pewno.

Musiał mu jakoś pomóc.

Opanowując nerwy, wyszedł zza filaru i stanął w cieniu, rozglądając się na boki.

Jego wzrok padł na broń leżącą na pobliskim stoliku. Nie namyślając się, odłożył zakrwawiony scyzoryk i drżącą ręką sięgnął

po spluwę. Nie miał pojęcia, jaki to kaliber ani ile kul jest w magazynku. Broń była ciężka. I to bardzo.

Mimo to uniósł ją i odbezpieczył, tak jak uczył go ojciec, po czym wycelował w Żmiję. Był gotów zabić typa, który nie umiał docenić szczęścia z odzyskania córki. Tristan oddałby wszystko, wszystko, byle tylko Luna wróciła do domu.

Tak bardzo tego pragnął.

Ojciec też za nią tęsknił. To stąd ten blef. Próbował wyciągnąć informacje wszelkimi możliwymi sposobami. Tristan to rozumiał.

Broń ciążyła mu w rannej dłoni, ale nawet nie zadrżał.

Zaciskając zęby, by nie zdradzić się choćby pomrukiem, nie spuszczał oka z rozgrywającej się sceny, wciąż pozostając niezauważony. W pewnym momencie Vitalio spojrział na Bossa – ten pokręcił lekko głową – i opadł z powrotem na krzesło.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – oznajmił spokojnie. – Rób, co musisz.

Krew zaszumiała mu w uszach. Ludzie Bossa trzymali na muszce goryli Vitalia, a ojciec Tristana – córeczkę mafiosa. Rozumiał jego motywację, ale nie mógł pojąć, dlaczego nikt ich wszystkich nie próbuje powstrzymać.

Jak można tak narażać własne dziecko?

Przełknął, czekając, aż ojciec opuści broń i przejdzie do planu B.

Nie zrobił tego.

Serce zaczęło mu walić jak młotem, broń zadrżała w dłoniach.

Czemu on nie opuszcza spluwę?

Czemu nie odsuwa się od dziecka?

Czemu nikt nic nie robi?

– Ostatnia szansa, Vitalio – powiedział cicho ojciec.

Żmija pokręcił głową.

– Daj spokój, Davidzie – włączył się Boss.

„Opuść broń, tato”, błagał go w duchu roztrzęsiony Tristan.

Ojciec potrząsnął głową.

Odsuń się, tato.

Nie powinno go tu być.

Nie powinien był się tu zakradać.

Nic z tego nie rozumiał.

Nie mógł rozumieć.
Boże, czemu ojciec nie opuszcza broni?
Był przerażony. Na śmierć przerażony.
Chciał stąd wybiec.
Ale nogi przyrosły mu do ziemi. Jakby miały swój rozum.
Przełykając napływające do oczu łzy, walczył z uciskiem
w sercu. Chciał do domu. Chciał zagrzebać się w łóżku. Chciał swoją
siostrzyczkę.
Ale stopy wciąż odmawiały mu posłuszeństwa.
Nie powinno go tu być.
Umierał ze strachu.
Serce łomotało mu w piersi, a w uszach dudniło.
Zaczął się cały trząść, żołądek wypełnił mu się ołowiem.
Ojciec odciągnął kurek pistoletu.
Z gardła Tristana wyrwał się cichy szloch. Tak bardzo kochał
ojca. Ale czemu on to robił? Nie mógł objąć tego rozumem. To nie
przywróci im Luny.
Zaczął ciężko dyszeć.
Dostrzegł, jak ojciec przesuwając palec na spust, i już wiedział, że
się nie cofnie.
To nie był żaden bluff. Ani gra. Na szali było czyjeś życie.
Spojrzał na twarz ojca i zobaczył pustkę. Kamienną, nieczułą
maskę.
I czekał.
Wdech.
Wydech.
Wdech.
Wydech.
Palec na spuście zaczął się zginać.
Tristan zakwilił, przerażony.
I zanim zdał sobie z sprawę z tego, co robi, sam nacisnął spust.
Odrzut sprawił, że upadł na ziemię, z palcami wciąż
zaciśniętymi na broni. Jadalnią wstrząsnął huk wystrzału, a po nim
seria przekleństw i kwilenie dziecka.
O Boże.
Ale on nic nie słyszał: przed oczami miał tylko tę zbryzganą
krwią twarzyczkę.

Nie namyślając się ani chwili, wyszedł z cienia i ruszył prosto do niej. Zapominając o własnej ranie, drżącymi rękoma zaczął ścierać krew z jej delikatnej buzi.

Ale zamiast ją obetrzeć, pobrudził ją jeszcze bardziej swoją krwią.

W domu czekało go takie lanie, że...

Odwrócił się, gotów wziąć na klatę ojcowski gniew.

I serce stanęło mu w piersi.

Nie. Nie. Nie. Nie. Nie.

Broń wysunęła się z jego ręki i z łoskotem upadła na posadzkę. W jadalni zapadła grobowa cisza.

Tristan potrząsnął głową.

Nie. Nie. Nie. Nie. Nie.

Jego ojciec leżał bez ruchu, z martwymi oczami utkwionymi w suficie.

Z dziurą na samym środku czoła.

Dziurą po kuli.

W piersi Tristana coś się zacięło.

– Zabiłeś własnego ojca? – Dobiegł go głos Bossa. Słyszał jakieś słowa, ale wpatrywał się tylko w ojca, nie mogąc się z tym pogodzić.

Nie. Nie. Nie. Nie. Nie.

– To jego ojciec? – zapytał ktoś.

– Jak on stamtąd trafił?

– Jakim cudem się tu zakradł?

– Bezwzględny dzieciak. Ciekawe, co z niego wyrośnie.

Słowa.

O nim.

Wokół niego.

A w środku tylko jedno, zapętlone.

Nie. Nie. Nie. Nie. Nie.

– Pierwsze danie goto...

Podniósł głowę dopiero na dźwięk głosu matki.

O Boże, co on zrobił?

Stanęła w progu, wbijając w niego wzrok.

– Tristanie, co ty tu robisz? – zapytała gniewnie, wchodząc do środka. – Przepraszam za niego, panie Maroni. To jeszcze dziecko –

zwróciła się do Bossa. – Nie wie, co...

Jej wzrok padł na leżącego na posadzce trupa i głos uwiązł jej w gardle.

Bezwiednie zasłaniając usta dłońmi, zaszlochała i łzy spłynęły jej po policzkach. Tristan poczuł pulsowanie w boleśnie zaciśniętej szczęce.

W powietrzu zawisło tylko jedno słowo.

– Kto?

Boss podszedł do Tristana.

– Twój syn.

Matka spojrzała na niego z niedowierzaniem. Na widok jego pobladłej twarzy powoli przeszło ono w przerażenie.

I w tamtej chwili coś w nim umarło. Szczeka mu drżała, gdy zbliżył się do niej z niemym błaganiem, by go przytuliła i powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Zamiast tego odskoczyła od niego jak oparzona.

– Nie zbliżaj się do mnie.

Znieruchomiał.

Patrzyła na niego długo, kręcąc głową.

– Dlaczego?

– Ja... to... – Słowa uwięzły mu w gardle.

Cofnęła się o krok.

– Straciłeś siostrę. A teraz zabiłeś ojca. Mojego męża. Moją córkę.

Milczał, zaciskając donie, by nie wyciągnąć do niej rąk. Nie zostało nic więcej do powiedzenia.

– Mój syn był kochanym chłopcem – wyszeptala w stronę drzwi. – Ty nim nie jesteś. Stałeś się tacy jak oni. Potwory.

W jego piersi coś pękło – raz i na zawsze.

– Nie chcę cię więcej widzieć – rzuciła w progu łamiącym się głosem. – Jesteś dla mnie martwy.

I wybiegła.

Został sam.

Bez siostry.

Bez ojca.

Bez matki.

Wśród mężczyzn, którzy patrzyli na niego jak głodne wilki.

Z dzieckiem, które przestało płakać.

I które jeszcze przed paroma minutami nic dla niego nie znaczyło. Dla którego zabił ukochanego ojca.

Spojrzał na nią – na jej błyszczące, opuchnięte od płaczu oczka, na miękkie różane usteczka, pulchną buzię obryzganą krwią jego ojca.

Ucisk serca sprzed paru chwil minął jak ręką odjął, a w jego miejscu pojawiło się coś nowego, coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczył. Gdy tak na nią patrzył, w jego piersi zakorzeniło się coś mrocznego i spaczzonego, kropla po kropli sączącego do serca paraliżującą truciznę. W końcu przestało ono bić, zamieniając się w zimny głaz.

Na języku czuł tylko ten jad, a przed oczami miał jedno: jej powleczoną szkarłatem twarz.

Przełał krew swojego ojca, by ją ocalić.

Matka nazwała go potworem. Miała rację. W jednej sekundzie stał się większym potworem niż wszyscy tu obecni.

A wszystko przez nią.

Bo zmusiła go, by wybrał.

Nie miał już nic.

I nikogo.

Nic.

Nic prócz trucizny w sercu. Uczepił się tego, próbując wyrycć sobie w pamięci jej twarzyczkę. Zaglądając jej w oczy, ujrzał duszę na zawsze splamioną jego krwią.

Od dziś jej życie należało do niego. Oddał wszystko, by ona mogła żyć.

Jej życie należało do niego.

Nie wiedział, co z nim zrobi, ale należało do niego.

– Chodź ze mną, chłopcze. – Usłyszał głos Bossa. Nie. Nie Bossa. Był bossem jego ojca, a on nie żyje.

Wraz z nim umarł Tristan Caine i narodził się ktoś inny. Ktoś, kto spojrzał teraz na Lorenza Maroniego pustym, martwym wzrokiem.

Milczał, wewnątrz niego nic już nie pozostało z wyjątkiem gorzkiego uczucia do tej obcej dziewczynki. Obecni w jadalni faceci, dorośli i twardzi, patrzyli na niego z mieszaniną zdziwienia i szacunku.

Już się nie bał.

I poprzysiął sobie, że nigdy więcej nie będzie się bał.

Nigdy więcej.

Stanie się największym postrachem wśród nich wszystkich.

Ocalenie jej zniszczyło go. Patrząc, jak Vitalio bierze ją na ręce i wychodzi, poprzysiął sobie, że pewnego dnia odbierze swój dług.



WYBÓR

Morana
Teraz

Była jednym wielkim kłębkim emocji.

Wszystko ją bolało.

Po prostu wszystko.

Trzęsące się ręce, drżące usta, rozedrgane serce. Wszystko.

Nie mogła oddychać. Powietrze uwięzło jej w piersi, gdzieś w okolicach krwawiącego serca. Gardło miała ściśnięte, treść żołądka przemieniła się w ołów, a w uszach szumiało od ryku kolejnego startującego samolotu, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Ale ból został. Cierpiała.

Niewyobrażalnie. Nie sądziła, że człowiek może aż tak cierpieć.

Lata wprawy dały znać o sobie i zamruwała. Piekły ją oczy. Powstrzymywała łzy – na jednej z pewnością by się nie skończyło. Nie gdy z każdym oddechem robiło jej się coraz ciężiej na piersi.

Miała ochotę krzyczeć, aż ochrypnie i na dobre straci głos. Chciała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z siebie dźwięku.

Była niewinna.

Absolutnie niewinna.

Jej jedynym grzechem było istnienie.

Tak, jej własne istnienie przyprawiało ją o łzy. I wzbudzało ochotę, by pogruchotać komuś kości.

Istniała dzięki niemu. Była niewinna, ale on też. Była niewinna, a jednak splamiona krwią.

Jego krwią.

Krwia jego ojca.

Krwia, którą przelał, by ją ocalić; krwią, którą ją pomazał, próbując obmyć.

Ci, którzy znali tę historię, uważali, że tym samym ją oznakował. Ale ona wiedziała, że był tylko kochanym chłopcem usiłującym obmyć buzię niewinnego berbecia.

Ból i wściekłość, nienawiść i chaos, współczucie i żałoba – wszystko to zlało się w jedną wielką gulę w gardle i przesiąkło do krwiobiegu i dalej, do każdej komórki ciała.

Przymknęła oczy i zaczęła się trząść, nie mogąc udźwignąć ciężaru tego wewnętrznego rozdarcia.

– Morano.

Z odrętwienia wyrwał ją łamiący się głos Amary. W przeciwieństwie do Morany, nie kryła łez, jakby była papierkiem lakmusowym jej odczuć. I to właśnie ona wreszcie wyjawiała tę skrętnie ukrywaną prawdę, łamiąc daną przed laty przysięgę. Trudno o większy dowód zaufania.

– Chcesz, żebym przerwała?

Morana, nie mogąc wydobyć z siebie słowa, potrząsnęła gwałtownie głową. Szczeka bolała ją od ciągłego zaciskania, a kotłowana emocji nie pozwalała sklecić zdania, ale musiała wiedzieć. Jej wygłodniała dusza łaknęła każdego skrawka informacji. Tylko w ten sposób będzie w stanie go zrozumieć. Bo to on był kluczem do twierdzy kłamstw, w której żyła.

Musiała wiedzieć.

Ocierając drobnymi dłońmi łzy szklące się w jej niesamowitych zielonych oczach, Amara ciągnęła swoją opowieść głosem drżącym jak liść na wietrze.

– Poznałam Tristana tamtego dnia, gdy pan Maroni przyprowadził go do domu... – Wbiła błyszczące oczy w przestrzeń, przeczesując zakamarki pamięci.

Na myśl o czekających go wówczas konsekwencjach Morana jeszcze mocniej zacisnęła zęby.

– Był rozczochrany jak nieboskie stworzenie i miał na sobie taką białą koszulkę z długimi rękawami, całą obryzganą krwią. Był tylko o dwa lata starszy ode mnie, ale sprawiał wrażenie małego

doroślego. Jego oczy... Boże, Morano... Były całkiem martwe. – Amara zadrżała, wpatrując się w przestrzeń, a jej ręce pokryły się gęsią skórą.

Powoli je sobie rozmasowała.

– Pan Maroni oznajmił wszystkim domownikom, że Tristan z nami zamieszka. Szef mówił i mówił, a on stał nieruchomy jak posąg, wędrując niewidzącym wzrokiem po naszych twarzach... jakby patrzył na przestrzał... U małego chłopca to było jeszcze bardziej przerażające.

Morana też widywała u niego to spojrzenie martwych oczu – patrzył tak na graczy w kasynie, tamtych oprychów ze stodoły, gości w restauracji. A nawet na nią, tamtej pierwszej nocy w Tenebrae, gdy przyłożył jej nóż do gardła, nie wiedząc, kim jest.

Teraz zdała sobie sprawę, że to był pierwszy i ostatni raz, gdy widziała w jego oczach tę martwą pustkę; potem już zawsze przeszywał ją tylko tym swoim dziwnym, płonącym wzrokiem.

Podmuch wiatru poderwał jeden z kruczoczarnych kosmyków Amary i Morana zadrżała z zimna.

– Pamiętam, że tamtego wieczoru zapytałam o niego mamę – ciągnęła piękność, wrywając ją z zamyślenia. – Nikt w naszym światku nie wiedział, skąd na łonie rodziny wziął się ten outsider. I na dokładkę zamieszkał w rezydencji. To był prawdziwy ewenement. Ale parę dni później zaczęły docierać plotki...

Zmarznięta Morana objęła się rękami, nadstawiając uszu.

– Mama powtórzyła mi przerażone rozmowy służących. Oni zawsze wiedzieli, co w trawie piszczy, nic im nie umknęło. Oczywiście ze strachu o rodzinę i życie na zewnątrz wszyscy trzymali język za zębami, ale między sobą szeptano. Tristan wywołał niemały popłoch. Opowiadano, że na oczach całej mafijnej wierchuszki zabił z zimną krwią własnego ojca, nazywano go niebezpiecznym narwańcem, z którego wyrośnie najgorszy zbir. Mama tak się przestraszyła, że zabroniła mi się z nim zadawać. Wszyscy schodzili mu z drogi; przyznaję ze wstydem, że ja też. Ze strachu.

– Byłaś tylko dzieckiem – przerwała jej Morana cienkim, ochrypłym głosem.

Amara uśmiechnęła się smutno, bawiąc się rąbkiem bluzki.

– On też nim był, Morano. Wszyscy o tym jakoś zapomnieliśmy. Morana przełknęła kulę w gardle, wykręcając w palcach materiał koszuli.

– A to jego grobowe milczenie tylko napędzało karuzelę strachu. Wiedział, że ludzie o nim gadają, jestem tego pewna, ale słowem się o tym nie zająknął. Cisza. Do tego stopnia, że minęły lata, zanim usłyszałam jego głos. – Pokręciła głową, jakby chciała strząsnąć z siebie to wspomnienie. – Pan Maroni kazał swoim ludziom przysiąc, że będą milczeć na temat tamtego zajścia; bynajmniej nie z dobroci serca, jeżeli w ogóle je ma, czy żeby chronić małego chłopca, o nie. Chciał po prostu, żeby dorosły Tristan był jego dłużnikiem.

Odraza w głosie Amary przesączyła się do serca Morany. Poczowała ucisk w piersi. Odmęty okrucieństwa tego światka chyba nigdy nie przestaną ją zdumiewać. Nie było w nim miejsca na niewinność. Żadnego. Jeden odruch miłosierdzia małego chłopca kosztował go wszystko, co miał. Nie dlatego, że ktoś chciał się na nim zemścić, wyprawić go na tamten świat. Chciano go po prostu wykorzystać. Powinien być otoczony miłością i opieką. A przede wszystkim wybaczeniem. Zamiast tego czekała go wieczna udręka pod skrzydłami tych, którzy go przygarnęli.

– Kurwa – szepnęła tylko, bo to było jedyne słowo podsumowujące całą tę tragedię.

– No. Jakby tego było mało, trzymano go w oddzielnym skrzydle, z dala od innych dzieci – ciągnęła drżącym, chrapliwym głosem Amara i po policzku spłynęła jej kolejna łza. – W ciągu dnia, gdy były one w szkole albo na treningu, on siedział zamknięty z prywatnymi „korepetytorami”. Szkolili go najlepsi ludzie Maroniego, nierzadko torturowali, ale nigdy nie wypowiedział słowa skargi. Mama mówiła, że przechodząc, czasami słyszała jego krzyki, ale słów – żadnych. A po pewnym czasie nawet krzyki ucichły.

Morana przymknęła oczy, walcząc z ogarniającą ją falą dzikiej furii. Miała ochotę ich wszystkich pozabijać, zniszczyć za to, co zrobili temu dziecku. Przed oczami stanęły je te wszystkie blizny na jego torsie, ślady po przypalaniu papierosem na plecach. Ile z nich to sprawka tych ludzi? Ile pochodziło z dzieciństwa? Ile zaprowadziło go na skraj śmierci? I szaleństwa?

Po policzku spłynęła jej samotna łza – bólu, złości, współczucia. Nie przerywając jej wędrówki, wzięła głęboki wdech, aby uspokoić rozedrgane serce.

Otworzyła oczy.

– Mów dalej.

Amara westchnęła cicho ze skruszoną miną.

– Nigdy sobie nie wybaczę, że go wtedy ignorowałam. Wiem, byłam tylko dzieckiem, ale już wtedy czułam, że nie powinno tak być. Że to było złe. A mimo to nie zrobiłam nic, by mu pomóc. Nie kiwnęłam palcem. I czasami się zastanawiam, czy jedno dobre słowo, jeden bezinteresowny gest, wyciągnięta ręka nie poprawiłyby odrobinę jego losu...

Morana nie odpowiedziała. Nie mogła. Nie w tym stanie.

Amara przełknęła ślinę, ewidentnie z czymś walcząc, i w końcu wciągnęła powietrze.

– Latami widywałam go na terenie rezydencji, włócząc się po korytarzach, bawiąc się z innymi dziećmi albo pomagając mamie. – Potarła zmęczoną twarz. – Zawsze był posiniaczony. Czasami utykał, bywało, że ledwo chodził. Ale nawet wtedy nikt nie miał odwagi się nad nim zlitować czy choćby do niego zagadać. I z biegiem lat stało się jasne, że przeobraził się w śmiertelną broń. Jego milczenie tylko wzmagало ten efekt. Rodzina traktowała go jak trędowatego, bo był outsiderem, a obcy – bo siedział w wewnętrznym kręgu. Stał w rozkroku między dwoma światami, nie należąc do żadnego. I choć nikt z nim nie zadzierał, nikt z nim też nie rozmawiał.

– I c-co dalej? – wydukała z trudem Morana. Serce krajało się jej na myśl o małym chłopcu, którym był. Tak strasznie żałowała, że go wtedy nie знаła. Ona też dorastała w przeraźliwej samotności, choć wśród ludzi. Jakkolwiek abstrakcyjnie by to zabrzmiało, pomyślała, że może ona wyciągnęłaby do niego rękę, o której mówiła Amara, może razem nie byłiby już tacy samotni.

Może...

Amara uśmiechnęła się lekko i cała twarz jej nagle pojaśniała.

– Dante.

Morana ściągnęła brwi, zdezorientowana.

Amara potrząsnęła głową, strzelając oczami.

– Parę lat później pan Maroni oddał go na szkolenie tym samym ludziom. Czasami trenowali w tych samych miejscach. Już wtedy pojawiały się głosy, że w swoim czasie Tristan przejmie interes, a przecież oczywistym następcą powinien być Dante, jako najstarszy syn i tak dalej. Tristan był milczkiem i prawie do nikogo się nie odzywał, co też nie pomagało. Dante próbował go zagadywać, ale on momentalnie zamykał się w sobie. Nikogo do siebie nie dopuszczał. Nigdy nie odzywał się niepytany, a i to nie zawsze. Dante nie nawykł do zderzania się ze ścianą. To było powodem dużych napięć między nimi.

Co ty nie powiesz.

– W końcu pewnego wieczora po treningu Dantemu puściły nerwy. Naskoczył na Tristana, a gdy ten próbował go obejść, po prostu mu przywalił. W rewanżu Tristan złamał mu szczękę. – Amara umilkła. – Złamał szczękę pierworodnemu synowi Lorenza Maroniego, bossa Klanu Tenebrae.

Morana wytrzeszczyła oczy i na samą myśl o konsekwencjach takiego występuki ciarki przeszły jej po plecach.

Wiatr poderwał z chodnika roztańczone liście.

– Ukarano go? – zapytała szeptem, bojąc się odpowiedzi.

Amara ni z tego, ni z owego zachichotała, kręcąc głową.

– Pan Maroni wezwał wszystkich do gabinetu. Łącznie ze służbą. Wrzeszczał, domagając się wskazania sprawcy. Uznał tę złamaną szczękę za ujmę na swoim honorze czy coś w tym stylu.

Morana pochyliła się, wstrzymując oddech.

– I? Co dalej?

Uśmiech nie schodził z ust Amary.

– Dante nie odezwał się słowem ani nawet nie zerknął na Tristana. Od dawna nienawidził ojca. Ale Tristan bez wahania wystąpił z szeregu. Ten chłopak nie wiedział, co to strach. Widywałam dorosłych mężczyzn robiących w portki przed Lorenzem Maronim, a on... W każdym razie Maroni trochę mu pogroził i wtedy...

Wiatr znów się poderwał i Morana zadrżała. Robiło się coraz ciekawiej.

– ...i wtedy po raz pierwszy usłyszałam głos Tristana.

Morana uniosła brwi i serce załomotało jej w piersi.

– Co powiedział?

Wyraz nabożnego podziwu na twarzy Amary dorównywał tylko niedowierzaniu w jej głosie. I to po tylu latach!

– Boże, pamiętam, jakby to było wczoraj... Pan Maroni próbował zastraszyć Tristana, wzbudzić jego wdzięczność czy tam respekt, a on... stanął z nim twarzą w twarz i powiedział: „tylko spróbuj założyć mi smycz, to cię nią, kurwa, uduszę”.

Morana zamrugła, oszołomiona.

– Tak powiedział?!

Amara skinęła głową.

– „Tylko spróbuj założyć mi smycz, to cię nią uduszę”. Słowo w słowo.

Morana miała bujną wyobraźnię, ale to przekraczało jej granice.

– Ile miał wtedy lat?

– Czternaście.

Opadła na nagrobek, jakby wbił ją weń podmuch wiatru.

Amara pokiwała głową, jakby świetnie ją rozumiała.

– Mówiłam, że nie znał strachu. Po raz pierwszy w historii klanu jakiś chłoptaś zamknął usta wielkiemu szefowi. I to był ten moment, w którym Dante dokonał wołty, stając po stronie Tristana. A gdy ojciec powiedział mu o nim prawdę, żeby zrazić go do nowego kolegi, odniosło to odwrotny skutek.

– I przybili sztamę? – wtrąciła Morana, łapiąc oddech.

– A gdzie tam! – zaśmiała się Amara, kręcąc z nostalgią głową. – Dante zawsze był takim powierzchownym czarusem. Owijał cię sobie wokół palca, drugą ręką planując krwawy mord. Tristan ani trochę mu nie ufał, ale nie mógł się go pozbyć. Dante potrafi być naprawdę uparty. I choć był pierworodnym synem, w którym pokładano wielkie nadzieje, na każdym kroku kłuł w oczy ojca tym przymierzem. Maroni wolałby, żeby ze sobą rywalizowali. A tu nici. Mijały lata i powoli się do siebie zbliżali, wiedząc, że w tej bitwie mają tylko siebie. Wiesz, to dość skomplikowana relacja.

Morana milczała, próbując to wszystko przetrawić.

Amara odkręciła butelkę i upiła łyk wody, opierając się o nagrobek.

– Parę lat później zostałam uprowadzona – niemal wyszeptała tym swoim chrapliwym głosem, wpatrując się pustym wzrokiem w przestrzeń. – To Tristan mnie odnalazł.

Morana spojrzała na nią, zdumiona.

Amara kiwnęła potwierdzająco głową.

– No, odnalazł mnie i zostawił z Dantem, a sam wrócił rozprawić się z porywaczami. Po tym zdarzeniu zaczęliśmy częściej rozmawiać. To nas do siebie... zbliżyło. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak bolesne wspomnienia musiało to w nim obudzić. I od tamtej pory roztoczył nade mną dyskretną ochronę, zaczął być bardziej obecny w moim życiu. Mówił niewiele, ale zawsze był obok i słuchał, a to już naprawdę dużo, wierz mi. Stąd też moje przekonanie, że kobiety i dzieci to dla niego świętość. Mówię to nie tylko z doświadczenia, ale i wieloletniej obserwacji.

A więc to stąd brała się jego głęboka potrzeba chronienia słabszych. To, że osobiste cierpienia nie zdołały wykorzenić mu jej z serca, mówiło o nim więcej niż milion słów.

– On nigdy nikomu nie ufał, Morano – ciągnęła z lekkim smutkiem Amara. – Nie bez przyczyny.

– Ufa tobie i Dantemu – przypomniała jej Morana.

Amara znów uśmiechnęła się smutno.

– Tylko do pewnego stopnia. Otoczył się murem, za którym króluje samotność, jakby postanowił umrzeć dla świata. Pozwala nam się zbliżać do tego muru, ale nigdy go przekroczyć. To dlatego budzi taką grozę. Wszyscy wiedzą, że nie ma nic do stracenia. Wszelkie słabości zostały z niego wyrwane z korzeniami. Efekt? Zero słabych punktów. Zero. Przez te wszystkie lata widziałam go tylko w jednej śmiertelnej odśłonie. Nie wie, co to radość, smutek czy ból. Jest martwy w środku...

Jak na zawołanie wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą.

„Zrobiłem ci krzywdę?”

Jego przekrwione oczy, żarliwy głos, naprężone mięśnie.

Tamta furia na widok jej poobijanego ciała. Płonące pożądaniem oczy, gdy ją brał, jakby miało nie być jutra. Przekleństwa pod prysznicem, gdy walił pięścią w ścianę.

Amara się myliła – nie był martwy w środku.

On potrafił czuć.

Tak głęboko, że go to przerażało. Śmiertelnie.

A może to była tylko sztuczka, żeby ją zmanipulować? Przygotować grunt pod zemstę?

Nagle niebo przecięła błyskawica, sprowadzając ją na ziemię.

Nie wiadomo kiedy słońce się schowało, a jego miejsce zajęły skłębione chmury. Wiatr rozhulał się na dobre, trzęsąc liśćmi na drzewach, świszcząc między kolumnkami nagrobków, podrywając jej włosy i zaogniając otwartą ranę na przedramieniu.

Bez słowa wzięła wodę od Amary, oderwała mniej więcej czysty skrawek koszuli, jako tako obmyła krew i zrobiła prowizoryczny opatrunek, po czym oddała niemal pustą butelkę właścicielce.

Chciała zostać sama.

Musiła zaszyć się gdzieś, gdzie będzie mogła sobie to wszystko ułożyć. Potrzebowała czasu, by rozsuptać te wszystkie niewidzialne więzy, które połączyły ich przed laty, u progu życia, odciskając na nich swoje piętno – w jego przypadku tak straszne i bolesne. A najważniejsze pytanie brzmiało: czy ich wspólna przyszłość była w ogóle możliwa?

Wzięła głęboki wdech, przełknęła gigantyczną kulę w gardle i spojrzała Amarze w oczy.

– Ja... muszę... – wydukała, potykając się o własne słowa.

Kruczowłosa piękność skinęła wyrozumiale głową, podniosła się na klęczki. Sięgnęła po swoją przepastną torbę i wrzuciła do niej pustą butelkę. Otrzepując się, wstała i zarzuciła torbę na ramię.

Nieruchoma Morana podniosła wzrok. Spojrzała na wypukłą jasną bliznę na smukłej szyi dziewczyny. Pamiątkę odmowy współpracy z porywaczami. Zawsze zasłaniały ją apaszki albo podkład, ale teraz prezentowała się w całej swojej bolesnej krasie.

Pospiesznie odwróciła wzrok, by Amara tego nie zauważyła. Przyszła do niej z odkrytą szyją, obdarzając niebywałym zaufaniem, którego za żadne skarby nie chciała teraz zawieść jakimś głupim brakiem delikatności.

– Nie wyobrażam sobie nawet, jakie to musi być dla ciebie trudne, Morano – wychrypiła Amara swoim zaskakująco kojącym głosem. – Jakby co, to masz mój numer, dzwoń o każdej porze.

Czy tak właśnie wyglądała przyjaźń?

Nie miała bladego pojęcia. Łzy napłynęły jej do oczu na myśl o niesłychanej dobroci tej obcej dziewczyny, o jej szczerości wbrew danemu słowu, o jej bezinteresownej chęci niesienia pomocy. Dla Morany to była czysta abstrakcja. Piękna, wyśniona abstrakcja.

Przełknęła, próbując opanować drżenie warg.

– Dziękuję, Amaro. – Ten szept wyrwał się jej z głębi duszy. – Dziękuję za... wszystko.

Amara pociągnęła nosem, ocierając z uśmiechem łzy.

– Cieszę się po prostu, że jesteś. W życiu moimi Tristana. On... on od dwudziestu lat ucieka przed bólem, Morano. Kocham go jak brata, brata, którego nigdy nie miałam. Tyle w życiu przeszedł, wiecznie w pojedynkę, i...

Morana wciągnęła powietrze, czekając na ciąg dalszy.

Amara wzięła głęboki oddech.

– Zrozumiem, jeśli to dla ciebie zbyt wiele... jeśli on jest za trudny. Szczerze, zdziwiłabym się, gdybyś tak nie pomyślała. Proszę tylko, żebyś... żebyś nie dawała mu złudnych nadziei. On nigdy nie okazuje słabości. I nie liczy na wielką, dozgonną miłość. Dlatego nikomu nie ufa. Więc to moja jedyna prośba, Morano: błagam, nie budź jego zaufania, jeśli jednak zamierzasz odejść. – Wypuszczając powietrze, przeczesła palcami swoje kruczoczarne włosy. – Opowiedziałam ci to wszystko, bo musiałaś poznać prawdę o sobie i o nim. Zrób, co trzeba, Morano. Nie przeczę, że w duchu trzymam za was kciuki, ale jeśli tego nie widzisz, nie rań go.

W gardle Morany znów urosła gula.

Przymknęła oczy i skinęła głową.

– Muszę... muszę to sobie wszystko przetrawić.

– Wiem, dużo tego. To ja już sobie pójdę.

– Tylko... tylko nie mów o tym nikomu, dobrze?

– Dobrze – szepnęła Amara.

Po chwili Morana usłyszała oddalające się kroki. Została sam na sam ze zmarłymi.

Nie otwierając oczu, oparła głowę na nagrobku.

Śmierć. Wszędzie śmierć.

W jej przeszłości. W teraźniejszości. Czy położy się cieniem również na przyszłości? Czy to ku niej się zbliżała? Czy w ogóle

chciała to ciągnąć? Wiedząc, że nie zrobiła niczego złego? Przecież była wtedy dzieckiem i nic a nic z tego nie pamiętała, do diabła!

A mimo to w jej duszy, w jej sercu zakorzeniło się rozdzierające współczucie dla chłopca, którym był, i mężczyzny, którym się stał, tracąc po drodze wszystko, co kochał.

Minęło dwadzieścia lat.

Jak on je przetrwał?

Nagle doznała olśnienia.

I już wiedziała.

Przetrwał tylko dzięki żelaznej sile woli.

Dla niej.

Wyobraziła sobie wszystkie blizny na jego ciele, które widziała i których jeszcze nie odkryła. Wyobraziła sobie biednego, małego chłopca, któremu dzień po dniu, rok po roku, przybywają nowe. I nic więcej. Przez dwadzieścia lat nie miał nic prócz tego wymyślanego długu krwi.

Jej krwi.

Żył tylko po to, by pewnego dnia go odebrać. Trzymał się życia tylko z myślą o niej. I choć go rozumiała, a serce krwawiło jej na myśl o jego niedoli, czy naprawdę sobie na to zasłużyła? Miała zostać z człowiekiem, który poprzysiągł, że pewnego dnia odbierze swój dług? Jak żyć z wiszącym nad głową mieczem?

Nie mogła.

Spojrzała na swoje brudne palce, obiecując sobie pełną szczerłość. Żadnych więcej uników. Sięgnęła pamięcią do wszystkich chwil, które razem spędzili, począwszy od tamtej feralnej nocy w Tenebrae, a skończywszy na jego ostatnim esemesie, w którym stwierdził, że nikt sobie z nią nie poradzi, jeśli ona tego nie zechce.

Te krótkie tygodnie były dla niej czasem wielkich wewnętrznych przemian. Zapierała się przed nimi rękami i nogami, bała się ich, ale to było poza jej kontrolą.

Zmieniła się. A jego oczy zbyt często mówiły jej, że i on się zmienił, by mogła mieć co do tego jakiegokolwiek wątpliwości. Chłopiec, którym był, może i nie zapomniał o długu krwi, ale mężczyzna, który z niego wyrósł, pragnął tylko jej.

To była jego słabość.

Pragnął jej i wcale tego nie ukrywał. Pragnął jej i tylko dlatego jeszcze żyła. To dlatego ją chronił, przygarnął i raz po raz ratował, również przed jej własnym ojcem.

Pożądanie było jego słabością.

A ona miała dwa wyjścia: wykorzystać tę słabość jako oręż do walki o tę relację albo podać mu się na talerzu, zdając się na los.

Wyostrzony instynkt samozachowawczy ze wszystkich sił bronił się przed opcją numer dwa. Ale jakiś cichutki wewnętrzny głosik przekonywał, że to jedyna droga. Ostatnie tygodnie upłynęły pod znakiem jego reakcji na jej wybory. I tym razem będzie musiała zrobić pierwszy krok.

Ale gołe fakty były takie, że żyła dziś tylko dlatego, że postanowił utrzymać ją przy życiu. Choćby z tego względu była mu winna wyjaśnienia, zanim odejdzie. Ucieczka już nie wchodziła w grę. Jej życie było dla niego wszystkim. On sprawił, że znów stało się wszystkim dla niej.

Zabiła dwóch ludzi ojca. Z nagromadzonego przez dwadzieścia lat gniewu i w zemście za auto.

On żył ze swoim równie długo.

Boże, to było takie trudne! I to nawet bez mafijnych afer i spisków. Głowa jej pękała od tego wszystkiego.

Wciągnęła powietrze i spojrzała w zachmurzone wieczorne niebo, które przeciął z rykiem kolejny startujący samolot.

Potrzebowała jakiegoś punktu zaczepienia. Jeśli miała się odstąpić, potrzebowała potwierdzenia, że nie popełnia największego życiowego błędu. Czegokolwiek, co ją przekona, że sobie „ich” nie ubzdurała, że to nie była zwykła manipulacja.

Nagle ciszę cmentarzyka przeciął jakiś hałas dobiegający zza żelaznej bramy.

Zamarta.

Było późno, dużo później, niż myślała.

Z sercem walącym jak młotem sięgnęła po broń, próbując opanować drżenie rąk. Jeśli padnie tu trupem, nie podejmie już żadnej decyzji. Nie mogła tak umrzeć – nie wyszedłszy cało z tego zamachu, nie teraz, gdy wreszcie poznała prawdę. Nie po tylu latach udręki.

Krople deszczu trzymały się chmur ostatkiem sił, odgłos odległych grzmotów niósł się na wietrze, a w powietrzu wisiała ulewa. Zapadająca noc zdużyła ostatnie promienie zachodzącego słońca, i nagle zdała sobie sprawę, że nie jest sama na tym pustkowiu.

Wstała cichutko jak myszka i nie wychodząc z cienia, zaczęła się skradać w stronę bramy. Dziękując w duchu za ubłocone „cichobiegi” i zasłonę chmur na niebie, zmrużyła oczy, powoli przyzwyczajając się do ciemności.

Ukrywszy się za ostatnim drzewem z widokiem na bramę, ostrożnie się wychyliła, by ocenić sytuację.

Przy wysadzonym przez nią wozie kręciło się dwóch goryli, ewidentnie nastanych przez ojca. Jeden stał z telefonem przy uchu, a drugi rozglądał się po okolicy, paląc papierosa.

Z bronią w dłoni czekała, nie ujawniając się.

Nagle serce zamarło jej w piersi. Zobaczyła jego.

Jakimś cudem znalazł jej kryjówkę.

Przywołując się do porządku, przypomniała sobie słowa Amary. Tak, prawda zmieniła to, jak na niego patrzyła. Ale dla niego wszystko było tak samo jak wcześniej – dopiero ona będzie musiała to zmienić.

Z trzepocącym sercem i wyostrzonymi zmysłami, jak zawsze w jego obecności, patrzyła, jak wysunął się zza kółka swojego czarnego SUV-a. Miał na sobie czarny garnitur i koszulę z krawatem, czyli jechał prosto z jakiegoś ważnego spotkania.

Tylko skąd się tu wziął?

Goryle jak na zawołanie wycelowali w niego broń.

Jednemu przestrzelił kolano, zanim jeszcze trzasnęły drzwi.

Tamten zwałił się na ziemię, wyjąc z bólu, ale jego partner miał czas, by wycelować. Tym razem jednak nawet się nie przejęła. Zbyt często widziała Tristana w akcji, by wiedzieć, że nawet go nie draśnie.

Domykając drzwi auta, ruszył niespiesznym krokiem w stronę przeciwnika. W blasku przecinającej niebo błyskawicy wyglądał jak pantera na łowach – gibki, zwinny, groźny.

Nagle jej uszu dobiegł lodowaty głos stuletniej whisky i grzechu.

– Gdzie ona jest?

Cisza.

Serce chciało jej się wyrwać z piersi jak dziki ptak z klatki. Bezwiednie przylgnęła do pnia, wpijając weń palce, aż jej kłykcie pobieleły. Nie odrywała wzroku od człowieka, który dziś zadecyduje o jej życiu i śmierci.

Otworzyła usta, by do niego krzyknąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

Milczący goryl ojca nie spuszczał go z muszki.

– Gdzie. Ona. Jest?

Nie podniósł głosu. Tacy jak on nie musieli. W tych trzech krótkich słowach zamykała się wystarczająca groźba niechybnej śmierci.

Najwyraźniej ten z przestrelonym kolaniem był podobnego zdania.

– Przed chwilą przyjechaliśmy. Oba wozy poszły z dymem. Błagam, pozwól nam odejść. Mamy rodziny.

Dopiero teraz powędrował wzrokiem do spalonego wraku auta i momentalnie znieruchomiał.

Na krótką chwilę wszystko zamarło – wiatr, drzewa, liście.

– Gdzie ona jest, do cholery? – wycedził przerażającym głosem, nie opuszczając broni.

Błyskawica przecięła niebo i zerwała się wichura. Wiatr wbił mu w twardą klatkę krawat i uniósł poły rozpiętej marynarki.

Ale ani na chwilę nie oderwał wzroku od jej auta.

Coś ścisnęło ją w piersi.

– Nie wiemy. Kazano nam sprowadzić naszych.

Opuszczając broń, przeniósł pusty wzrok na drugiego siepacza. Nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

– Wynocha stąd. I nie wracać, jeśli wam życie miłe.

Goryl skinął głową, schował broń, odciągnął rannego towarzysza i po chwili odjechali z piskiem opon.

Puścił ich wolno.

Serce łomotało jej w piersi, a krew dudniła w uszach. Nie mogąc tego wszystkiego pojąć, wychyliła się zza drzewa.

Kurz powoli opadł.

Patrzyła, jak podchodzi do zwęglonego szkieletu, który był jej ukochanym autkiem, i przystanął.

Broń zwisała luźno w jego dłoni przy boku.

Stał nieruchomo przy tych samochodowych zwłokach, plecami do niej, nie zważając na smaganie wiatru.

Patrzyła na niego zza drzewa, czekała na jego reakcję. Bo jeśli miała postawić na tego człowieka, musiała znać swoje karty.

Od tamtej wymiany esemesów nie zamienili jeszcze ani słowa. Jej telefon był wyłączony, a Amara obiecała dać jej trochę czasu dla siebie. Zapadła się pod ziemię na wiele godzin, ale teraz musiała zobaczyć jego reakcję – nie przy ludziach, a właśnie w samotności. Bo choć nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji, wiedziała, że gdyby dał jej choć cień nadziei, już by od niego nie uciekła. Po raz pierwszy w życiu chciała zostać.

Jego napięte plecy uniosły się, gdy nabrał powietrza, i zacisnął pięści, nie odrywając wzroku od trupa jej autka. Spowijający go mrok rozświetlił na ułamek sekundy błysk pioruna i jego sylwetka na powrót zlała się z ciemnością.

Grobową ciszę przeciął posępny grzmot.

Wiatr zawodził niczym rozpaczający żałobnik.

Morana przełknęła podchodzący do gardła ból, ale ani drgnęła, instynktownie czując, że najmniejszy ruch zdradziłby jej obecność.

Czekała więc na jego reakcję, wpatrzona w jego plecy.

I wtedy to się stało.

Dotknął jej auta.

Pogłaskał je.

Jeden jedyny raz.

Ale to wyłapała.

Zrobił to, myśląc, że nikt go nie widzi.

Myśląc, że jest sam.

Zamrugnęła, wędrując wzrokiem za jego szeroką, szorstką dłonią głaszczącą czule zwęglony wrak, i w jej sercu zajaśniała iskierka nadziei.

I już wiedziała.

Widziała.

Zawalczy o niego tak, jak on walczył o nią. Postawi na niego. Rzuci się z tego klifu w nadziei, że on ją złapie. Bo bez tego nie ruszą z miejsca. Nigdy.

Wciągając powietrze, ruszyła ku niemu.

W pierwszej chwili była tylko ciemność. I martwa cisza.

Stała na widoku, czekała, aż się odwróci.

Ale nic się nie wydarzyło.

Z trzepoczącym w piersi sercem przełknęła ślinę, robiąc kolejny krok.

I już wiedziała, że wyczuł jej obecność.

Wziął głęboki wdech i marynarka napięła mu się na plecach, ale się nie odwrócił.

Chryste, nie ułatwiał jej tego. W takim razie ona niczego nie ułatwi jemu.

Zbliżyła się o kolejny krok, i następny, i jeszcze jeden, patrząc, jak mięśnie pleców stopniowo mu się napinają.

Przeżyła déjà vu. Tak samo było podczas tamtej krytycznej konfrontacji, gdy dowiedziała się prawdy o jego siostrze.

„Nigdy cię za to nie nienawidziłem”.

To prawda. Nie za to.

Usłyszała to raptem parę godzin temu, a miała wrażenie, że upłynęła cała wieczność.

Ale tę upragnioną reakcję udało się z niego wyciągnąć.

Nabrała powietrza, przymknęła oczy i zebrawszy się w końcu na odwagę, skoczyła z klifu.

– Ja wiem.

Dwa słowa.

Przecięły ciszę niczym dwa wystrzały, by zawisnąć nad ich głowami.

Nie odwrócił się, nie poruszył. Tylko jego plecy napięły się przy kolejnym głębokim wdechu. Chciała wyciągnąć ręce, poczuć te poorane bliznami mięśnie. Zacisnęła pięści.

Uzbrojona dłoń nadal zwisała mu bezwładnie przy boku, a drugą sięgnął do kieszeni spodni. Ale nawet się nie odwrócił, jakby nie chciał jej zauważyć.

– Ja wiem... – powtórzyła, przygryzając wargi. – Tristan.

Cisza. Grobowa cisza.

Znieruchomiał jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe.

Instynktownie dopasowała się do niego.

Powietrze wokół jakby zastygło.

Wiedziała, że wymawiając jego imię, przekroczyła niewidzialną linię, do której oboje bali się dotąd choćby zbliżyć. Wpływała na nieznanne wody i to ją przerażało. Do tego stopnia, że stojąc teraz na ich spokojnych brzegach, zadrżała i mimowolnie zacisnęła pięści, czekając na jego reakcję.

Wreszcie nadeszła.

Odwrócił się.

Niebo przecięła błyskawica.

Wykorzystując przelotny błysk, odnalazł jej wzrok, by wciągnąć ją w błękitną głębię swoich płonących oczu.

Oddech uwiązał jej w gardle, serce łomotało w piersi, a w uszach szumiała krew.

Przytłoczona jego straszną, spowitą mrokiem sylwetką, zaczęła łapać powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

Nie wydał z siebie żadnego odgłosu.

Boże, ten człowiek nie ustąpi o milimetr, jeśli ona go do tego nie zmusi. Więc go zmusi. Nie było innego wyjścia, już nie. Nie dla nich.

Z tą pewnością w sercu, przymknęła oczy i nabrała powietrza, starając się utrzymać choćby pozory spokoju.

– Dziękuję – zaczęła cicho, przerywając martwą ciszę.

Jego oczy niknęły w mroku, więc reakcja, jakakolwiek była, siłą rzeczy jej umknęła. Czuła się jak dziecko we mgle.

– Dziękuję za ocalenie mi życia – rzuciła w wypełnioną nim przestrzeń, nie dając sobie czasu na panikę. Może to i lepiej, że go nie widziała. Pod spojrzeniem jego świdrujących oczu pewnie szybko zapomniaby języka w gębie. – Nie tylko ostatnio, ale i dwadzieścia lat temu.

Jego palce zacisnęły się na broni.

– Wiem, jaką straszną cenę przyszło ci za to zapłacić, i jest mi z tego powodu ogromnie, niewymownie przykro.

Tylko ruch piersi.

Wdech. Wydech.

Jej własny oddech zsynchronizował się z jego.

Okej.

– Ale nie o tym chciałam porozmawiać, to nie czas ani miejsce. Wrócimy do tego, kiedy będziesz gotowy, bo to twoja historia.

I tu zaczynały się schody.

Poddając się wezbranej fali gniewu przemieszanego z lękiem, zbliżyła się o krok.

– Nienawidzisz mnie za coś, czego nie zrobiłam. Ja to rozumiem, naprawdę, ale nie mogę tak żyć. Nie ze świadomością swojej niewinności. – Wciągnęła powietrze. – Niemniej zawdzięczam ci życie i sumienie nie pozwala mi odejść bez pożegnania.

W powietrzu zapachniało nadciągającym deszczem i dzikim kwieciem, które rośnie tu na każdym kroku. Zaciągnęła się jego wonią, czerpiąc siły ze wspomnienia innej deszczowej nocy, tego kamyczka uruchamiającego lawinę zmian. Oblizła usta i przemówiła opanowanym głosem, choć w środku cała się trzęsała.

– A więc tak, panie Caine. – Postanowiła, że nie zwróci się do niego po imieniu, dopóki nie da jej takiego prawa. – Podjęłam decyzję, na dobre i na złe. Kolej na ciebie. Oto okazja, by mnie zabić, tu i teraz.

Upłynęła sekunda. Intensywnie się w nią wpatrywał.

Zebrawszy się na odwagę, odrzuciła na bok broń, którą przez cały czas trzymała w ręku.

On swoją nadal trzymał przy boku.

– Ojciec właśnie przeprowadził zamach na moje życie, więc jeśli dziś umrę, nikt nie będzie cię podejrzewał. Wszyscy myślą, że wyleciałam w powietrze, i wina spadnie na niego. Klan też będzie czysty.

Smagnięcia wiatru przeskoczyły na niego, uniosły połę jego marynarki.

Gdzieś w dali uderzył kolejny piorun.

Odczekała, aż zrobi się cicho.

– Co do kodów – wyrzuciła z siebie, zastanawiając się, czy kiedykolwiek ktoś inny przy zdrowych zmysłach przekonywał kogoś, by go unicestwił. – Oboje wiemy, że w każdej chwili możesz sobie znaleźć innego specja od komputerów, więc nie w tym rzecz. Lepsza okazja, by mnie zabić, już ci się nie trafi. Ty to wiesz i ja to wiem. To zostałoby między nami i lokatorami tego cmentarza. Więc podnieś tę broń i celuj prosto w serce. Zastrzel mnie. Zamknij ten rozdział. Odnajdź to, czego szukasz od dwudziestu lat.

Palce mu drgnęły, ale nie podniósł ręki. Martwa cisza, którą wcześniej zapełniła paplanina, teraz niszczyła ją kawałek po

kawałku.

By ukryć rozedrganie, zrobiła kolejny krok w jego stronę.

– Tylko pamiętaj – ciągnęła wciąż tym samym opanowanym głosem. – Drugiej takiej szansy ode mnie nie dostaniesz. Jeśli teraz tego nie zrobisz, temat uważam za zamknięty. Na wieki. I oczekuję, że na zawsze wyrzekniesz się pomysłu odebrania mi życia. I nigdy więcej nie będziesz mi groził.

Wyjął z kieszeni zaciśniętą pięść i ją rozluźnił. To dodało jej skrzydeł.

– Ja już wybrałam, kolej na ciebie: moja śmierć albo nasza czysta karta. Bo skoro twoje wybory sprzed lat zdecydowały o moim losie, równie dobrze mogą zdecydować o nim teraz. Z tą różnicą, że tym razem dokonuje ich nie chłopiec, a dorosły mężczyzna. – Głos w końcu zaczął się jej łamać i zacisnęła szczękę. – Bo możesz być pewny, że po dzisiejszym nigdy więcej nie podam ci się na tacy. To twoja jedyna szansa. Więc wybieraj – zakończyła, czując nagły przyływ adrenaliny, i dłonie momentalnie jej spotniały.

Kątem oka widziała, jak zaciska palce na broni, i przymknęła oczy. W tej ciemności otaczające ich zewsząd dźwięki się wyostrzyły: uwijanie się nocnych żyłatek, szum liści na wietrze, dudnienie krwi w uszach.

W powietrzu zaroilo się nagle od zapachów: przedburzowej wilgoci, jej własnego strachu, wszechobecnego kwiecia. I mogłoby się zdawać, że nadciągająca burza to tylko uosobienie jej wewnętrznej zawieruchy.

Mierzy w nią?

Ścisnęło ją w piersi.

Zastanawia się?

Żołądek podszedł jej do gardła.

Naciśnię spust i zakończy jej męki? Czy ostatnią rzeczą, jaką zrobiła na tym świecie, było zaufanie niewłaściwemu człowiekowi? Po raz kolejny?

Serce łomotało jej jak szalone.

Czy powinna była po prostu uciec bez słowa i do końca życia zastanawiać się, „co by było gdyby”? Czy byłoby jej łatwiej?

Zaczęła się trząść.

Sekundy, minuty, godziny. Zawieszony między nimi. Pomiedzy jego wyborem a jej.

Wspomnienia, chwile, cala historia. Klin. Pomiedzy jego wyborem a jej.

Pytania, waplivosti, lęki. Pomiedzy jego wyborem a jej.

Cisza.

Powoli rozpadala sie na kawaleczki, implodowala w srodku.

Niech on juz podejmie te decyzje. Niech wybierze ja, jak przed laty. Bo po tym koszmarnym, koszmarnym dniu i zamachu ojca tak bardzo potrzebowała, by ktos wybral ja.

Cisza.

I nagle: zmiana w powietrzu.

Drzewno-pizmowa won.

Ciepły oddech owiewający jej twarz.

I wtedy je poczula.

Jego wargi na swoich ustach.

Miękkie, czule, delikatne.

Serce zamarlo jej w piersi.

Po prostu stanęło.

Oddech uwiązl jej w gardle, powieki zapiekly, a wargi zadrzaly pod naporem jego ust. Balala sie otworzyc oczu, by nie przerwal, by nie przestal. Balala sie otworzyc oczu, by ten czar nie prysl. Balala sie otworzyc oczu, by nie zobaczył jej wzburajacych łez.

Balala sie oddychac.

Kolejne musnienie miękkich warg i musiala zacisnac pieści przy bokach, by go nie dotknac, gdy odchylil jej glowe, poglebajac pocałunek.

Na policzek spadla jej zimna kropla deszczu, a niebo rozdral piorun.

Rozwarla usta, badajac kazdy centymetr jego warg, ich ksztalt, fakture, cieplote. Zlapal zębami jej dolna warge i delikatnie ja ssal.

W tej samej chwili nastapilo oberwanie chmury i juz po paru sekundach oboje byli przemoczeni do suchej nitki.

Pozwolila splynac tej łzie, ktora przemieszala sie dyskretnie z deszczem. Przycisnal wargi do jej drzacych ust, nigdzie indziej jej nie dotykajac. Jego szorstki zarost drapal lekko jej skore, przyprawiajac ja o mrowienie i rozpalajac jej wyobrazenie. Zakotysala

się, pragnąc poczuć te wargi wszędzie, łaknąc ich słodkich pieśczoł.

Rozpalona, instyktownie przekrzywiła głowę, próbując opanować drżenie rąk i ugasić wrzenie krwi w żyłach.

Jego pocałunki były naturalne, delikatne i wprawne.

Całował ją, aż kolana się pod nią ugięły i poczuła rozkoszny ucisk w podbrzuszu.

Całował ją bez języczka, bez dotyku, bez kontaktu ciała.

Były tylko jego usta – miękkie, stanowcze, obecne – na jej wargach.

Piękniejszego, bardziej niewinnego pocałunku nie mogłaby sobie wyśnić. Nie sądziła, że jest zdolny do takiej delikatności. Nie z tymi jego płonącymi, wygłodniałymi oczami skrywającymi obietnicę szalu uniesień.

To nie był szal.

To było delectowanie się.

Delectował się jej ustami, zapamiętując ich smak, oswajając ją z tą najintymniejszą pieśczołą. Całe jej ciało pulsowało, a serce ścisnęło się w piersi.

Stali w strugach deszczu, a zapach ziemi mieszał się z jego wonią, która wdzierła się w jej nozdrza, atakując zmysły, przenikając skórę i rozpalając do głębi.

Całował ją długo i namiętnie, nie przekraczając jednak cienkiej granicy, zza której nie byłoby już powrotu.

Nagle poczuła na mokrej skórze zimny metal lufy czule głaszczącej jej skroń, policzek i na koniec szczękę.

Odsunęła się odrobinę, odnajdując te jego niesamowite, płonące oczy. Zobaczyła zacienioną, mokrą od deszczu twarz i nabrzmiące usta.

Jej wzrok powędrował do broni w jego ręku i ku swojemu zdumieniu ujrzała zdarte do krwi kłykcie, do których zupełnie nie pasowało jego eleganckie wdzianko. I najważniejsze pytanie: z kim się rozprawił tuż przed przyjazdem na jej cmentarzyk?

Przycisnął lekko lufę do jej szczęki, zmuszając ją, by na niego spojrzała.

Na widok jego palca wciąż na spuście bez szemrania spełniła milczące polecenie.

W końcu sama dała mu wybór.

Powędrował koniuszkiem lufy po jej spuchniętych wargach, po czym przesunął ją na powrót pod podbródkiem.

I stali tak, wpatrując się w siebie w rzęsistych strugach deszczu, ona z zadartą głową, on z bronią przy jej szyi. Wiatr i krople smagały jej rozpaloną skórę, spływając po piersiach i sterczących sutkach. Serce zabiło jej jeszcze szybciej, rozpalając uśpione pożądanie. Momentalnie wychwycił to w jej spojrzeniu i żar w jego oczach rozgorzał na dobre.

Zanim zdążyła mrugnąć, wpił się w jej usta, rozwarł je językiem i wdarł się do środka. Jak na zawołanie poczuła znajome pulsowanie między nogami i mimowolnie ścisnęła uda. Przymknęła oczy i wspięła się na palce, instynktownie pozwalając mu na więcej.

Skwapliwie skorzystał z zaproszenia i zaczął ją pożerać.

Spełniając każdą obietnicę, jaką kiedykolwiek złożyły jego oczy.

Pożerał ją w strugach deszczu, nie opuszczając broni.

Wreszcie mogła posmakować tej stuletniej whisky i grzechu z jego głosu.

Pożerał ją, nadal nigdzie indziej nie dotykając, pieszcząc jej język swoim, kosztując ją z takim zapamiętaniem, że po chwili nogi miała jak z waty i musiała złapać się klap jego marynarki, by nie upaść.

Magia.

Tylko tak można było to nazwać.

Niewyjaśniona siła. Czary.

Rozgniatał ustami jej pulsujące wargi, drapiąc zarostem wilgotną skórę – wiedziała, że jeszcze długo będzie jej ona przypominać o jego pocałunkach. Chciała tego. Chciała, by przez te najbliższe dni na jej widok rozpalał się na nowo, tak jak ona. Chciała, by jej nabrzmiałe wargi przypominały mu ich pierwszy pocałunek w deszczu.

Wczepiona w jego mokrą marynarkę, ssła jego język, zapraszając go głębiej. W odpowiedzi skubnął zębami jej dolną wargę, zsuwając zimną lufę coraz niżej i niżej, aż dotarł między jej piersi.

Gdy chłodny metal dotknął skóry w tym miejscu, serce podskoczyło jej do gardła, ale on ani na chwilę nie przerwał

pocałunku, pożerając ją wygłodniałymi, drapieżnymi ustami.

Dreszcz przeszedł jej po plecach, a usta zadrżały i zacisnęła palce na klapach jego marynarki, gdy wreszcie się od niej oderwał.

Otworzyła oczy, oszołomiona siłą jego pocałunku, oszołomiona reakcją swego ciała – i jego decyzją.

Zobaczyła jego nabrzmiałe, rozgniecione wargi i zalała ją świeża fala gorąca, a od dotyku zimnego metalu lufy jej sutki stwardniały jeszcze bardziej.

Wpatrując się żarliwie w jej oczy, zacisnął szczękę i na szyi wyskoczyła mu znajoma żyłka. Wytrzymała jego wzrok bez mrugnięcia okiem, nie zważając na smagnięcia deszczu i wiatru. Jego usta zawisły nad jej wargami i patrzyli tak na siebie, bojąc się przerwać ten magiczny moment.

W końcu mrugnął i na krótką chwilę przymknął oczy, przełykając ślinę.

I wtedy opuścił broń.

Morana wypuściła powietrze, nie wiedząc nawet, że od dawna wstrzymywała oddech.

Odsunął się, by podnieść z ziemi jej broń, zostawiając ją na pastwę deszczu i wiatru.

Gdy się wyprostował, podał jej pistolet. Na widok jego białej koszuli przyklejonej do torsu, wilgotnej skóry i atramentu przebijającego przez cienki materiał Morana instynktownie przełknęła. W jego szerokiej, podrapanej dłoni jej beretta wyglądała jak pistolet na kapiszony, dziecięca zabawka.

Bez słowa wyjęła ją z jego ręki, muskając jego palce, i dreszcz przeszedł jej po skórze.

Jego reakcji się nie doczekała, typowe.

Ale unikał jej wzroku, a to już było nietypowe.

Odwrócił się na pięcie i ruszył do auta, znikając w strugach deszczu i odmętach mroku.

Przypomniała sobie jego słowa.

„Gdy raz skosztujesz moich warg, już nigdy nie będziesz taka sama”.

Miał rację.

Spojrzała na broń, którą podniósł z błota i jej oddał.

Chciała czegoś. A on jej to dał, na swój własny sposób. Innego nie znał. Nie powiedział ani słowa. Ale dokonał wyboru. Ona też. Wzięła głęboki wdech i ruszyła w ślad za nim. W ciemność.

PODZIĘKOWANIA

Gdyby nie wielu wspaniałych ludzi, ta powieść nigdy by nie powstała, i w tym miejscu chciałabym złożyć im wszystkim gorące podziękowania. Seria Dark Verse to owoc miłości i wieloletniej pracy, więc w pierwszej kolejności muszę podziękować moim cudownym czytelniczkom, które towarzyszą mi od początku tej niezwyklej podróży. Dziękuję za każdy komentarz, tweet, wiadomość i dobre słowo. Nawet nie wiecie, ile dla mnie znaczą. Pomogłyście mi przejść przez najmroczniejsze chwile i codziennie dajecie mi zastrzyk inspiracji i świeżej energii do działania. Żadne słowa nie są w stanie wyrazić głębi mojej wdzięczności. Mam jedynie nadzieję, że będzie mi dane nadal dla Was pisać.

Chcę podziękować moim rodzicom, którzy nigdy nie pozwolili mi osiąść na laurach i ani razu we mnie nie zwątpili, nawet w trudnych chwilach. Każdego dnia Wasza miłość wskazuje mi drogę. Dziękuję za to, że kochacie mnie bezwarunkowo.

Nelly, dziękuję Ci za to, że jesteś najjaśniejszą gwiazdą na nieboskłonie. Mówiłam to wiele razy i znów powtórzę: Twoja wizja i talent są nie z tej ziemi. Dziękuję za piękną okładkę, która przerosła moje najśmielsze oczekiwania.

I dziękuję Wam, moje nowe czytelniczki. Mam nadzieję, że ta powieść była dla Was choćby krótkim wytchnieniem. Dziękuję, że ją wybrałyście.

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

NOTA AUTORKI

PRZEDMOWA PRZYMIERZE

1 W PASZCZY LWA

2 KONFRONTACJA

3 WŁÓCZĘGA

4 KREW

5 OCZEKIWANIE

6 OGON

7 PRZECIĄGANIE LINY

8 ZWROT

9 W OSACZENIU

10 KNEBEL

11 UPADEK

12 UCIECZKA

13 WIĘŹ

14 DECYZJA

15 NAGOŚĆ

16 DRŻENIE

17 STRACH

18 WYBÓR

PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Predator

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Katarzyna Kusoń

Opracowanie graficzne okładki: Robert Weber

Copyright © 2020. THE PREDATOR by RuNyx

Copyright © 2023 for the Polish edition by Niegrzeczne Książki
an imprint
of Wydawnictwo KobiECE Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Julianna Kowal, 2023
Published by arrangement of Brower Literary & Management Inc.,
USA and Book/Lab Literary Agency, Poland

Cover Design by Nelly R.

Copyright © 2024 for the Polish edition by Papierowe Serca an
imprint of Wydawnictwo KobiECE Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska,
2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego
uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-163-8

Grupa **Wydawnictwo**
www.WydawnictwoKobiECE.pl

KobiECE |



Na zlecenie Woblink

woblink
woblink.com

plik przygotowała Angelika Kuler-Duchnik